

Powieści Thomasa Swana

FALSZYWY DA VINCI

POLOWANIE NA CEZANNE'A

OSTATNI
Fabergé

THOMAS SWAN

...Boże mój, ileż w życiu ciernistych ścieżek!

Grigorij Rasputin

ROZDZIAŁ 1

Piotrogród, 16 grudnia 1916 roku

Na stole leżało puzdro. Nie jakieś tam pudełko ze zwykłego drewna sosnowego, ale ze starannie przyciętych, idealnie dopasowanych kawałków drobnoziarnistego ostrokrzewu; drewno wybejcowano na jasny brąz, pokryto kilkoma warstwami szelaku, a następnie wypolerowano na wysoki połysk proszkiem z pumeksu i popiołu. Puzdro miało dwadzieścia pięć centymetrów wysokości, tyle, ile stojący koło niego dzban ze szkła i srebra. Obok dzbana ustawiono figurki z kamieni półszlachetnych, zegary kominkowe zdobione klejnotami, rzeźby, znalazły się też papierośnice, tabakiery, biżuteria i inne dzieła rąk setki rzemieślników z Domu Fabergé, pod numerem 16 przy ulicy Bolszoja Morskaja.

Mężczyzna, który siedział przy stole, miał wyraźną łysinę, gęstą białą brodę, bladą cerę i zsunięte na nos okulary w stalowych oprawkach. Naznaczoną zmarszczkami twarz siedemdziesięciolatka znamionowały godność i inteligencja, a w oczach błyskały iskierki młodzieńczego humoru. Sprawiał wrażenie mądrego i energicznego. Otworzył puzdro i wydobył zeń błyszczący przedmiot w kształcie dużego jaja. Tym człowiekiem był sam Peter Carl Fabergé, zaś przedmiotem mieniącym się kolorami - carska pisanka, jedna z tych, które rozślawiły Fabergého na cały świat. Była przeznaczona na prezent dla carycy Aleksandry Fiodorowny.

Fabergé umieścił jajko na skrawku granatowego aksamitu.

- Pomimo wojny - zaczął - udało nam się znaleźć niemal wszystkie niezbędne rzeczy. Z wyjątkiem złota. Na nim musieliśmy oszczędzać.
- Pchnął jajko ku mężczyźnie zasiadającemu po drugiej stronie stołu.

Pisanka stała pionowo, podtrzymywana przez parę misternie wyrzeźbionych dłoni, wyłaniających się z okrągłej, białej onyksowej podstawy. Na czubku umieszczono filigranowy koszycek z paseczków złota. Wewnątrz znajdowały się kwiatki z szafirów i diamentów, ze starannie polakierowanymi białymi i różowymi płatkami. Jajo powleczono warstewką czystego srebra - kutego, grawerowanego, polerowanego i wreszcie pokrytego szkłem z domieszką tlenków metali, by stworzyć półprzejrzystą, jakby emaliowaną powierzchnię - błękitną niczym letnie niebo. Precyzja jego wykonania świadczyła, że w warsztatach Petera Fabergého osiągnięto mistrzostwo w technice ornamentu bordiurwego. Jajo

opasywały dwie, mniej więcej centymetrowe srebrne wstążki, a na nich lśniły rubiny i szmaragdy. Onyksową podstawę otaczał pasek błękitnej emalii, na którą nałożono złote listki i rozetki.

Fabergé przycisnął palcem największy rubin. Wówczas otworzył się zamek sprężynowy i uniosła górna część jajka, ujawniając wyścielaną kremowym jedwabiem przegródkę. Znajdowała się w niej „niespodzianka”. W innych carskich pisankach Fabergégo zawsze jakieś były, i to najprzeróżniejsze - od miniaturowego modelu carskiego jachtu po piejącego kogucika wysadzanego rubinami. Tutaj na jedwabiu spoczywały maleńkie sztalugi - a na nich zdobiony emalią portret cara i carycy.

Konstrukcja tego artystycznego wyrobu różniła się od wykonywanych poprzednio na zamówienie cara Aleksandra III i jego syna, Mikołaja II. Zamiast jednej skrytki mistrz zrobił dwie. Druga została tak sprytnie zamaskowana, że odkryć można ją było, chyba tylko przekrawając jajko.

Tym razem pisanki nie zamówił car na podarek wielkanocny dla żony, tylko człowiek mrocznych intryg i wielkiej władzy, zdaniem wielu równy potęgą samemu carowi. Mężczyzna ten siedział teraz naprzeciw Fabergégo. Jajko obracało się powoli w długich, kościstych palcach wiejskiego mnicha. Czterdziestopięcioletni Grigorij Jefimowicz Rasputin miał bujną brodę, opadające na plecy kruczoczarne kręcone włosy, głęboko osadzone oczy pod krzaczastymi brwiami i cienki, niemal niesłyszalny głos.

Uniósł wzrok i spojrzał spode łba na Fabergégo.

- Zrobiliście piękny podarek dla mych przyjaciół - rzekł. Zamknął jajko i przesunął palcem po powierzchni, szukając dojścia do drugiego schowka. - Jak się je otwiera?

Fabergé wziął od niego jajko.

- Proszę, mamy tutaj krąg dwunastu pereł. A właściwie jedenastu, bo to nie jest perła - objaśnił, wskazując idealnie okrągły szafir. - To jakby tarcza zegara. Szafir wskazuje południe. Kiedy nacisnę trzy perły w określonej kolejności, otworzy się druga skrytka. O tak...

Nacisnął ostrożnie trzy perły. Każda z nich nieznacznie różniła się od pozostałych. Następnie obrócił dół jajka w miejscu, w którym srebrna wstęga dzieliła je na pół. Paznokciem rozwarł maciupkie drzwiczki, ukazując skrytkę wielkości orzecha włoskiego.

- Podoba się? - zagadnął.

- Śliczna zabaweczka. - Rasputin uśmiechnął się szeroko. - Wiem już, jak ją nazwę: Jajko Wieczystego Błogosławieństwa.

Z kieszeni bufiastych spodni wydobyl skórzaną sakiewkę i wyjął

z niej dwa kamienie, które położył na wyciągniętej dłoni Fabergégo. Jeden z klejnotów był błękitny, drugi - jasnożółty.

- To dopiero będzie niespodzianka.

Złotnik przyłożył do oka jubilerską lupę, by starannie przyjrzeć się kamieniom. Najpierw błękitny - oszlifowany szafir gwiazdzisty. Orzekł, iż ma przepiękną barwę, gwiazda zaś niemal idealny kształt. Odłożył klejnot i wziął do ręki diament. Przyglądał mu się przez dobrych kilka minut.

- Cóż za niezwykły kolor... jaki rzadki szlif... ponad piętnaście karatów! Gdzież to...? - mamrotał.

Rasputin obszedł stół i stanął za plecami jubilera, pozostając poza kręgiem światła, jakby przynosił ze sobą ciemność.

- To podarunek od madame Alikiny - powiedział. - Wnuczki brata hrabiego Orłowa. Klejnot otrzymała po ojcu, który z kolei dostał kuferek klejnotów w spadku po swym ojcu. Pomagałem staruszce w walce z chorobą, ale miała już osiemdziesiąt pięć lat. Nim zmarła, podarowała mi ten diament. Czy jest cenny?

Fabergé z trudem mógł uwierzyć, że znany z diabelskiej przebiegłości Rasputin nie zdawał sobie sprawy z wartości diamentu. Zważył kamień - ponad osiemnaście i pół karata.

- Żółci się barwą słońca - mówił z namaszczeniem. - Nigdy takie go nie widziałem. - Wejrzał w mroczną twarz mnicha, w jego czarne oczy, płonące ogniem. - Czy jest cenny? W normalnych czasach bez problemu dostalibyście za niego sto tysięcy rubli.

Zanim kamienie zostały umieszczone w drugiej skrytce, Rasputin poprosił, by złotnik pokazał mu, w jakiej kolejności należy nacisnąć perły, by ją otworzyć.

-Muszę zapisać liczby, odpowiadające właściwej kolejności - rzekł.

Jubiler podał mu pióro i papier. Rasputin zanotował starannie, złożył kartkę i wetknął ją do sakiewki. Na polecenie mnicha Fabergé włożył jajko do puzdra, które owinał papierem pakowym.

- Udaję się wprost do domu księcia Jusupowa - oświadczył Rasputin. - Nie chcę wzbudzać podejrzeń.

- Na wieczorek towarzyski? - spytał niewinnie Fabergé, wiedząc o skłonności mnicha do hulanki i jego wiecznie nienasyconym apetycie na kobiety. - U księcia z pewnością dobrze się zabawicie.

Rasputin pokręcił głową, niemal znikając pod połami obszernego płaszcza z bobrowego i lisiego futra.

- Feliks nalegał. Jestem zmęczony, bracie Fabergé, aie obiecano mi, że będzie tam Irina z przyjaciółkami.

Irina była świeżo poślubioną żoną Jusupowa i daleką kuzynką cara Mikołaja. Piękność ta wyznała skrycie, iż pragnie poznać otoczonego złą sławą mnicha.

Było po dziesiątej, gdy Rasputin dotarł wreszcie do rezydencji Jusupowa, znajdującej się nad brzegiem Mojki. Już w holu słyszał muzykę, *Yankee Doodle* z płyty gramofonowej. Młody brodaty lokaj wziął od Rasputina płaszcz i sięgnął po puzdro, które mnich trzymał pod pachą.

- Wezmę je ze sobą- rzekł Rasputin.

-Też coś! - zaprotestował człowieczek, który właśnie podszedł. - Mikołaj przechowa paczkę bezpiecznie. Przecież nie będziecie przez cały wieczór taszczyć zakupów.

Feliks Jusupow był mikrej postury, mówił głosem wysokim i syczącym. I umiał postawić na swoim. Wziął puzdro, polecając lokajowi, aby zawinął je w ten wielgachny płaszcz gościa i zabrał do sypialni państwa.

- Bardzo proszę - zwrócił się do Rasputina. - Zejdziemy na chwilę na dół, a potem zapoznajcie się z Iriną.

Na dole znajdował się pokój wielkości położonej nad nim sali balowej, umeblowany paryskimi meblami i wyściełany kobiercami z Ankary. Na jednej ścianie wisiały ikony. Jakby dla kontrastu, przyległą zdobiły dziwaczne obrazy awangardowego malarza, niejakiego Picassa. W pokoju widoczny był każdy rubel fortuny Jusupowa. Choć młody i niepozorny, książę Feliks Jusupow Sumarokow uchodził za ważną personę. Jego rodzinę kojarzono z prestiżem i władzą.

Teraz mierzył wzrokiem Rasputina, zatrzymując spojrzenie na jego aksamitnych pantalonach, jedwabnej koszuli i dużym żółtym krzyżu zawieszonym na ciężkim łańcuchu. Rasputin okazywał ostatnio Jusupowowi swe względy - być może świadom, iż książę skarżył się na niesłabnący wpływ mnicha na carycę Aleksandrę Fiodorownę.

- Wino ma owocowy posmak - uprzedził Jusupow, podając gościowi kielich. - Pochodzi z winnicy mego kuzyna, niedaleko Jałty. Jeśli wolicie, może być wódka lub brandy.

Rasputin ujął kielich, szybko się przeżegnał i osuszył go jednym haustem. Westchnąwszy ciężko, rozsiadł się w fotelu wyściełanym poduchami. Jusupow dolał mu wina, po czym z kieliszkiem w ręku usadowił się na fotelu obok.

- Macie jakieś wieści o wojnie? - zagadnął.

Rasputin pokręcił głową.

- Lepiej, żeby jej nie było. - Wypowiedział to powoli, z posępną miną.

Od dawna plotkowano, że sympatyzuje z Niemcami. Oskarżano go również, iż namówił Mikołaja, by ten niebezpiecznie długo zwlekał z wejściem do gry. Jusupow wiedział też, jak wielki wpływ ma Rasputin na Aleksandrę.

- Czekoladowe czy śmietankowe? - spytał księżę, podsuwając tacę z ciasteczkami.

Rasputin popatrzył na słodkości, jednak odmówił uprzejmym gestem uniesionej dłoni.

-Ależ proszę...! - nalegał Jusupow. Mówiąc to, wsunął sobie ciastko do ust i bacznie obserwując gościa, wciąż podsuwał mu tacę. Rasputin dopił drugi kieliszek wina, sięgnął po ciastko i błyskawicznie je pochłoniął. Księżę pozwolił sobie na uśmiech. Z góry dobiegała coraz głośniejsza muzyka... kolejny amerykański song.

- Tańczą - ni to spytał, ni to stwierdził Rasputin. Jakby się domyślał, że goście Iriny piją i dobrze się bawią. - Powinniśmy do nich dołączyć. Z roztargnieniem wziął kolejne ciastko i kielich. - Smakuje mi wino twego brata - dodał.

Nie tak miało być.

Jusupow podszedł do stołu po butelkę, podczas gdy Rasputin zajadał się słodyczami. Napenił kolejny kieliszek i podał go mnichowi,

uważnie przyglądając się oczom i dłoniom gościa. Ciastka najwyraźniej nie zaszkodziły Rasputinowi. Wydawało się nawet, że humor mu się poprawił.

Niecałą godzinę wcześniej w pokoju, gdzie teraz goszczono Rasputina, panowała gorączkowa krzątanina. Jusupow oraz jego czterej sojusznicy, Władimir M. Puryszkiewicz, wielki książę Dymitr Pawłowicz, Anton Suchotyn i doktor Fiodor Lazovert, zebrali się tu w konkretnym celu: by zaplanować zabójstwo Rasputina. Puryszkiewicz był ekstrawaganckim politykiem, znanym z publicznej krytyki cara i nieskrywanej wrogości wobec Rasputina. Jego służalczy protegowany, Pawłowicz, podzielał te poglądy. Suchotyn, z racji znaczącej pozycji w wojsku, miał zapewnić dojście do sprzyjających im oficerów wysokiej rangi. Książę Jusupow zastrzegł, iż jako właściciel domu sam zadecyduje o sposobie zabicia Rasputina; a zatem, zgodnie z jego wolą, zwerbowano neorewolucjonistę Lazoverta, którego zadaniem było umieszczenie kryształków cyjanku potasu w ciastkach. Doktor zapewnił, że trucizna w nich zawarta mogłaby pozbawić życia dziesięciu Rasputinów.

- Starczyłoby jedno ciastko - przekonywał. - Jeśli jednak zachęcicie go do zjedzenia dwóch, to rychła śmierć jest pewna.

Kiedy Jusupow znów podsunął mu tacę z ciastkami, Rasputin niemal wytrącił mu ją z ręki. Dopił wino i, chwiejąc się, skierował ku drzwiom, wabiony dźwiękami muzyki.

- Późno się robi, mój mały - powiedział do księcia. - Chodźmy się bawić. Chodźmy, gdzie muzyka i kobiety. Tu nie ma zabawy. Tylko słodkie ciasteczka i wino jak sok porzeczkowy.

Po tych słowach zgiął się wpół, niemal padając na podłogę. Jusupow podbiegł do niego, pewien, że zadziałała trucizna. Bał się, że śmierć będzie bolesna, że nie zniesie widoku konającego. Niemał z przerażeniem pomyślał, iż zaraz zobaczy, jak najśłynniejszy mnich w Rosji wije się z bólu, gapi się na niego tymi czarnymi oczami i przeklina go, obiecując straszliwą zemstę.

Jednak Rasputin błyskawicznie doszedł do siebie. Sięgnął po leżącą na półce gitarę obok drzwi i poprosił gospodarza, by ten zagrał. Jusupow wziął od niego instrument, ale prośby nie spełnił.

- Zostańcie, gdzie jesteście! Pójdę po Irinę! - krzyknął i ruszył po schodach, przeskakując po dwa stopnie. U ich szczytu napotkał Puryszkiewicza. Wkrótce dołączył do nich doktor Lazovert. Rzucił niecierpliwie spojrzenie, czekając, aż Jusupow ogłosi, że Rasputin nie żyje. Tymczasem książę zdjęty przerażeniem, łamiącym się głosem i

bardziej piskliwym niż zwykle, wyrzeszczał:

- To jakiś potwór! Diabeł w ludzkiej skórze, ledwie mu się wyrwałem! Po dwóch ciastach z cyjankiem myśli tylko o tym, by dołączyć do Iriny na przyjęciu. Chciał, żebym na tym zagrał! - Rzucił gitarę i tak łapczywie łykał powietrze, że Lazovert naprawdę obawiał się o jego zdrowie.

- Idziemy razem. Mam rewolwer - oświadczył Puryszkiewicz.

- Nie. To mój obowiązek - zachnął się Jusupow. Zniknął na chwilę w swojej pracowni, by powrócić z kieszonkowym browningiem. Zszedł cicho po schodach i za chwilę był już w pokoju. Zastał Rasputina przy stole z ciastkami i winem. Mnich właśnie uzupełniał zawartość kielicha.

- Wróciłeś, mój mały - odezwał się pogodnie. - No i dobrze. Napijże się wina, a potem pójdziemy do Iriny. - Napełnił kielich i podał go księciu.

Jusupow stanął niecałe trzy metry od Rasputina. W wyciągniętej przed siebie zeszywniałej lewej ręce ścisnął krucyfiks z brązu, prawą trzymał za plecami.

- Musicie zmówić modlitwę, Grigoriju Jefimowiczu - wykrztusił.

Mnich spojrział zaskoczony na krzyż, a potem utkwiał wzrok w lufie rewolweru, wycelowanej w jego pierś. Otworzył usta i w tym momencie huknął strzał, zwielokrotniony echem. Rasputin zatoczył się i upadł. Jusupow z wahaniem postąpił kilka kroków ku niemu. Zerknął na ciało i przerażony widokiem wybiegł z pokoju. Na schodach spotkał resztę spiskowców. Wszyscy chcieli wiedzieć, co z Rasputinem, gdzie został postrzelony, iloma kulami...

- Zabiłem go! - wyrzucił z siebie Jusupow. - Dla dobra Rosji. - Ścisnął rewolwer oburącz i cały się trząsł. Twarz miał pobladłą i mokrą od potu. - Nigdy jeszcze nikogo nie zabiłem - wyznał drżącym głosem.

Jego kompani w okamgnieniu zbiegli pędem na dół. Wpadli do pokoju i zobaczyli Rasputina. Leżał na plecach, rozciągnięty, a niedźwiedzia skóra pod nim zabarwiła się czerwienią. Doktor Lazovert nachylił się i ucisnął palcami szyję mnicha, badając puls. Najwidoczniej go nie wyczuł, bo gdy podniósł wzrok, w milczeniu skinął głową.

Puryszkiewicz przejął dowodzenie. Suchotynowi rozkazał osobiście zameldować o śmierci Rasputina dowództwu sił zbrojnych, zaś Pawłowiczowi wykonać wcześniej ustalony plan pozbycia się ciała. Potem zwrócił się do Lazoverta:

- Zrobiłeś swoje, możesz sobie iść. - Powiedział to bez cienia prze konania, dając do zrozumienia, że doktorek nie wywiązał się z zadania. Zbliżył się do ciała, zapalił cygaro i splunął tytoniem na Rasputina. - Muszę skorzystać z telefonu - rzekł, odwracając się.

Jusupow został sam na sam z trupem. Siedział na krześle, z wzrokiem wbitym w twarz Rasputina. Poruszał bezgłośnie wargami, szepcząc dziecięcą modlitwę. Naraz spostrzegł ledwie zauważalne drganie mięśni na twarzy umarlaka. Niemożliwe, nerwy odmawiają mi posłuszeństwa, pomyślał. Jakby skurcz... O, znowu! Otworzyło się jedno oko. Jusupow poderwał się na równe nogi, szukając w popłochu browninga. Myśl, że Rasputin wciąż żyje, napełniała go obłądnym przerażeniem. Teraz spoglądało już na niego dwoje oczu. Mnich przetoczył się na bok, wstał z wysiłkiem i ruszył na Jusupowa. Ryczał wściekle, bryzgając krwią z ust.

- Feliksie! Feliksie! - wyrzaskiwał jak oszalały i wciąż tylko powtarzał jego imię. - Feliksie! Feliksie! Feliksie...!

Zagarnął ramieniem głowę Jusupowa, ale ten był niższy i udało mu się wysliznąć. Gdy się wyswobodził, pobiegł schodami do góry. Puryszkiewiczza zastał w swojej pracowni.

- On żyje! Boże, miej nas w swej opiece! - krzyknął.

Puryszkiewicz pognął na dół, przebijając szybko nienawykłymi do wysiłku krótkimi, grubymi nogami. Z kieszeni płaszcza wyszarpnął rewolwer. Ale pokój okazał się pusty. Rasputina znalazł na podwórzu.

- Feliksie, wszystko opowiem carcy! - grzmiał mnich, brnąc przez zasy.

Puryszkiewicz strzelił dwukrotnie i dwakroć spudłował. W końcu podszedł bliżej i wpakował kulę w plecy Rasputina. Zbliżył się jeszcze bardziej. Ostatni pocisk utkwiał w karku mnicha, który zwałił się na ziemię. Puryszkiewicz podszedł do leżącego i wymierzył mu solidnego kopniaka w głowę.

Na podwórzu pojawił się Jusupow, ramię w ramię z Mikołajem. Lokaj pochylił się nad ciałem i powiedział:

- Myślę, że teraz to już naprawdę nie żyje.

- Przynies jego płaszcz - rozkazał Jusupow. - Zawiniemy weń ciało i włożymy do mojego samochodu. Kiedy ulice już opustoszeją, zabierzesz je na most Piotrowski i wrzucisz do Newy.

Mikołaj Karsałow zrobił, jak mu kazano. Zawsze wypełniał rozkazy Jusupowów. Poszedł po płaszcz. Kiedy zarzucał go sobie na ramię, na podłogę wypadł pakunek, o który tak martwił się Rasputin. Po chwili wahania lokaj rozdarł opakowanie i otworzył puzdro. Wziął do ręki Jajko Wierzygodnego Błogosławieństwa, oszołomiony blaskiem klejnotów. Nie ośmielił się nawet zgadywać, jaką ma wartość. Nie przyszło mu też wówczas do głowy, że demoniczny mnich mógł obłożyć jajko kłątą. Zdawał sobie jednak sprawę, iż w całym tym zamieszaniu Feliks Jusupow nie będzie pamiętać, że Rasputin przyszedł z pakunkiem pod pachą. Mikołaj włożył jajko do puzdra,

zawinął w papier i pobiegł do swego pokoju. Wyjąwszy z garderoby but z wysoką cholewą, wepchnął doń puzdro.

ROZDZIAŁ 2

Leningrad, 16 grudnia 1941 roku

Obleżenie rozpoczęło się dziesiątego sierpnia. Miasto szturmowała niemiecka Grupa Armii „Północ”, obejmująca 56. Korpus Zmotoryzowany 4. Grupy Pancerniej. Po stu dwudziestu ośmiu dniach w Petersburgu, jak go nazywali, brakowało już jedzenia, paliwa i większości artykułów pierwszej potrzeby. Tymczasem tak srogiej zimy nie pamiętali najstarsi mieszkańcy. Mróz i śmierć przewijały się w każdej rozmowie, a nawet najbardziej kłamiwe audycje radiowe mroziły przerażającymi statystykami. Co krok porażały swym widokiem sterty ciał, których nie dało się przecież pogrzebać w zamrożonej na kość ziemi. Przydzielone racje żywności nie zdawały się na wiele; nie było możliwości upieczenia w domu chleba z żyta, nasion lnu, celulozy drzewnej, i niewielkiej ilości mąki pszennej. Wielu mieszkańców kłóciło się, kiedy tak naprawdę zaczęło się obleżenie, niezależnie jednak od opinii, jedno było pewne: miasto padało. Co dzień umierały tysiące ludzi.

Mikołaj Karsałow, trzymając w ramionach synka, przesunął się w kolejce przed piekarnią. Dłonią w rękawiczce przytulał malutką główkę, przyciskał policzek do policzka chłopczyka, by go ogrzać. Dwa tygodnie wcześniej Maria Karsałowa stała w tej samej kolejce ze swą córeczką, Niną. Dziewczynka chichotała z uciechy na myśl, że następnego dnia skończy dziesięć lat. Był to jeden z tych rzadkich słonecznych dni przed nadejściem straszliwych mrozów. Matka z córką w radosnym nastroju poszły po chleb, rację mięsa i urodzinowy prezent, który Nina wybrała w jednym z nielicznych działających jeszcze sklepów. Oferowały one używane sprzęty gospodarstwa domowego i marny wybór książek. Jak to w zimie, słońce szybko chyliło się ku zachodowi. Kiedy wracały do domu, zaczęła je para młodych włóczęgów, żądając jedzenia. Nie otrzymawszy go, dźgnęli Marię dwukrotnie nożem w klatkę piersiową. Zwłoki pozostawili w śniegu, zabrali torbę z jedzeniem i kartki na żywność, które miała w portfelu. Nina starała się pomóc matce, jednak ciężko pobita upadła bezwładnie na jej ciało. Obok nich leżała opakowana w różowy papier

paczka. Godzinę później Karsałow rozpoczął poszukiwania i sam odnalazł martwą żonę i ciężko ranną córkę. Cud, że Nina przeżyła. Należała do szczęśliwców, którzy otrzymali pomoc w szpitalu. Choć odmroziła sobie nogi i lekarze musieli amputować palce u obu stóp, jej stan znacząco się poprawiał.

W końcu Karsałow dopchał się do piekarni. Za dwie kartki rzucono mu coś na brudną ladę przez ciemny otwór w ścianie. Porcje wielkości pięści nie przypominały chleba. Były prawie czarne, bez jakiegokolwiek zapachu i twarde jak suche drewno. Wrzucił je do worka i rozejrzał się za kimś, komu mógłby się poskarżyć. „Ruszać się, nie ociagać!” - instruowała znudzonym głosem kobieta, która pilnowała porządku w asyście dwóch mundurowych. Oczywiście więc było, że skargą nic nie wskóra.

Kilka minut po ósmej rano Karsałow, wraz ze swoim synem Wasylem, odebrał chleb i poszedł po drewno na rozpałkę, które zwykle kupował na obrzeżach parku Gorodskoj. Tego dnia jednak był śledzony. Kiedy wrzucił już całe drewno na nosidło, ktoś przywitał go szorstkim, choć przyjaznym głosem.

- Towarzysz Karsałow?

Jaki tam z niego towarzysz. Gra tę rolę tylko z przymusu.

- Tak - mruknął niechętnie. - A wy kto?

- Pawlenko. Kładłem tynki w galerii. Pamiętacie?

Karsałow przyjrzał się nieznanemu mężczyźnie o rumianej, pełnej twarzy i niezwykle jasnych, dużych oczach. Pokręcił głową.

- Nie. Kiedy to było?

-Przed całym tym zamieszanym. Dwa lata temu, może trochę mniej. Zalało galerię sztuki chińskiej. Byliście tam, widziałem was.

- Przepraszam, ale nie pamiętam.

- To i tak bez znaczenia - uciął Pawlenko. - Teraz mam nowy interes. Koniec z tynkowaniem.

- Cieszę się - odparł Karsałow. - W dzisiejszych czasach nie trzeba nam tynkarzy. - Chwycił za sznurek od sanek i ruszył naprzód. - Małemu robi się zimno.

- Mój nowy interes może was zaciekawić, towarzyszu Karsałow. Gdzie i kiedy moglibyśmy porozmawiać?

Karsałow zatrzymał się i popatrzył na Pawlenkę. Z dziesięć lat młodszy, dobrze odżywiony, przyzwoicie ubrany, płaszcz podbity bobrowym futrem...

Zastanawiał się, czemu zawdzięcza zainteresowanie.

- To raczej niemożliwe - odrzekł wreszcie. - Córka leży w szpitalu. Kiedy nie jestem w pracy, chodzę za jedzeniem... Brak mi czasu dla syna i dla siebie. - Odpowiadał spokojnie, uprzejmie, uważał bowiem,

że każdego, czy to przyjaciela, czy to obcego, należy traktować z szacunkiem. -Ale dziękuję.

- Pozwólcie mi przyjść do was dziś wieczorem, kiedy położycie już synka spać. Obiecuję, że nie zajmę dużo czasu. To ważne - dodał z naciskiem.

Karsałow zawahał się, jednak ciekawość wzięła górę nad niechęcią. Westchnął głęboko i powiedział:

- Dobrze. Przyjdźcie przed dziewiątą. Mieszkam na...

-Wiem - przerwał Pawlenko. - Piotra Ławrowa sześćdziesiąt osiem, za Prospektem Litejnym. - Wcisnął na głowę czarny wełniany kapelusz i szybkim krokiem opuścił park.

Mieszkanie znajdowało się na trzecim piętrze budynku z przelomu wieku. Duże, jak dla kogoś utrzymującego się z dorywczych prac; Karsałow zajmował jednak tylko kuchnię. Pokoje były szczelnie zamknięte. By utrzymać ciepło, ogrzewał jedno pomieszczenie co drugi dzień w antycznym żeliwnym piecyku. Tego dnia trzyletni Wasyl zwymiotował swój niewielki posiłek, wieczorem miał dreszcze i bezustannie płakał. Karsałow sporządził miksturę z wódki i herbaty, a potem położył się obok synka, żeby zapewnić mu więcej ciepła. W końcu kilka minut przed dziewiątą malec zapadł w niespokojny sen.

Punktualnie o dziewiątej zjawił się Pawlenko. Karsałow przyjął go w małym przedpokoju. Drzwi do kuchni zamknął. Od przybysza biło ciepło lipcowego słońca. Miał ze sobą dużą papierową torbę. Wyciągnął z niej butelkę i paczkę.

- Mały prezent - oznajmił radośnie, podając rzeczy gospodarzowi.

Wódka pieprzowa i kawał kielbasy. Było to więcej mięsa, niż Karsałow widział przez ostatnie cztery miesiące.

- Nie chcę waszego jedzenia - zaprotestował. - Nie znamy się, a ja... Ja nie będę mógł dać wam nic w zamian.

- Nie ma potrzeby. - Pawlenko uśmiechnął się szeroko i, otarłszy się o Karsałowa, wszedł do kuchni. Znalazł szybko szklanki i nalał w nie żółtawego płynu. Jedną podał zakłopotanemu gospodarzowi. - Wznieśmy toast za nową przyjaźń.

Karsałow niepewnie unióś szklanekę, pociągnął głęboki łyk... i kolejny. Wódka była wyśmienita, intensywna w smaku i mocna.

Pawlenko stanął przy łóżku, na którym, zwinięty w kłębek pod stertą koców, spał Wasyl. Pochrapywał delikatnie.

- Starcza wam jedzenia? - zagadnął, poklepując dłonią przykryte ramię chłopca.

- Nikomu nie starcza - odparł Karsałow z goryczą.

- Przykro mi z powodu waszej żony - rzekł Pawlenko, lecz w głosie brak było emocji. - Zabrali jej kartki, i córce też. Słyszałem.

- Tym się zajmujecie? Sprawdzacie, kto umarł i komu ukradli kartki?

- Niezupełnie. - Obrócił się do Karsałowa i skinął głową. - Ale, prawdę mówiąc, żywność jest częścią mojego nowego zajęcia.

- To nawet po was widać - zauważył Karsałow. - Znowu obcięli nam racje. Dziś nie było masła, ryby ani mięsa.

- Czyli przyniosłem to w dobrym momencie - stwierdził gość, wskazując na kielbasę.

- Powiedzcie, o co chodzi? Dlaczego przyszliście właśnie do mnie?

Pawlenko rozpiął płaszcz, sięgnął po papierośnicę, otworzył ją i podsunął z uśmiechem Karsałowowi. Ten wziął papierosa, a gość podał mu ogień. Pawlenko usiadł na prostym, drewnianym krześle obok stołu i założył nogę na nogę. Zapalił papierosa, wypuszczając smużki dymu.

- Wiecie co to jest? - spytał, pokazując papierośnicę.

- To przecież papierośnica - burknął Karsałow i usiadł na krześle vis-à-vis swojego gościa.

- Bez wątplenia - przytaknął Pawlenko. - A wiecie, kto ją zrobił?

Karsałow wziął przedmiot do ręki i przyjrzał mu się uważnie. Widział już podobne, kiedy służył księciu Jusupowowi. Magnaci nosili tabakiery albo papierośnice równie okazałe jak ta. Ciężkie srebro zdobił misterny grawerunek scenki militarnej. Obrócił cacko w dłoni. Na spodzie wybito: „G. Fabergé”.

- Musiała sporo kosztować, gdy była nowa - ocenił Karsałow i oddał papierośnicę Pawlence.

- Ciągle jest wiele warta, nie dlatego że to Fabergé, lecz ze względu na srebro i złoto. Chociaż nie teraz ani nie w tym mieście. Tu nic nie ma wartości prócz chleba.

Karsałow delektował się papierosem, smakując ostry aromat dymu, który wypełniał gardło i płuca. Podobał mu się lekki rausz, dawał odskocznnię od wiecznej niewygody chłodu i braku jedzenia. Nie chciał przerywać tej przyjemności. Wypalił prawie całego papierosa, aż popiół zaczął parzyć go w palce. Niechętnie odłożył peta do puszki i pozwolił mu się dopalić.

- Nie odpowiedzieliście na moje pytanie. Dlaczego przyszliście właśnie do mnie? - spytał, kiedy uleciała ostatnia nitka tytoniowego dymu.

Pawlenko rozsiadł się wygodnie. Jedną rękę oparł na stole, w drugiej trzymał papierośnicę, którą delikatnie stukał co kilka sekund o kant stołu, precyzyjnie niczym metronom.

- Zaraz wyjaśnię - zaczął. - Leningrad jest oblężony i jeśli Hitler

się przedrze, pancerni zgniotą każdego jak karalucha. Nie ma możliwości dostarczenia do miasta większych ilości jedzenia czy paliwa. Pociągi nie kursują, drogi zablokowane, samochody dostawcze mogą przejechać tylko przez zamrożone jezioro Ładoga; jeśli nie przeszkodzi temu niemieckie lotnictwo. Liczy się przetrwanie, ale żeby przetrwać, musimy mieć jedzenie. Dobre jedzenie. Chleb, który dziś dostałeś, zrobiono ze śmieci, z trocin i kory. - Pawlenko sięgnął po butelkę wódki i nalał sobie solidną porcję. Uniósł szklanekę. - Za twojego syna. - Wzniósł toast, wskazując na Wasyla. - Niech zawsze będzie mu ciepło i nigdy więcej nie zazna głodu.

Karsałow osuszył szklanekę jednym haustem. Gdy tylko poczuł ciepło mocnego alkoholu, zerknął łakomie na papierosnicę. Pawlenko poczęstował go papierosem i zapytał:

- Czy mówi wam coś - obrócił pudełeczko - nazwisko Fabergé?

- To był jeden z najlepszych sklepów w Petersburgu. Drogi. Ja tam nie chadzałem.

- Ale macie coś, co zostało wykonane przez Fabergégo, prawda?

- Nie. - Karsałow zaciągnął się papierosem.

Pawlenko dolał wódki.

- Za lepszą pamięć. - Wzniósł z uśmiechem toast. Wypili. - Przed tym zdarzeniem - ciągnął - człowiek, który was zatrudnił, Feliks Jusupow, zaprosił do siebie niejakiego Rasputina. Pamiętacie tego szalonego mnicha, prawda?

- Nie mam pojęcia, co zaszło, nim go zabrali - powiedział Karsałow, odwracając wzrok.

- Rasputin przyszedł tamtej nocy z paczką. Zgadza się?

- Może miał prezent dla Jusupowa.

- Nie, to było coś, co Rasputin odebrał wcześniej od Fabergégo.

Coś, co chciał zabrać ze sobą do domu, tylko że... - Pawlenko dopił wódkę - ...nigdy nie dotarł tam żywy.

- Faktycznie, ale rzecz się działa dwadzieścia pięć lat temu. Nic więcej nie pamiętam. - Wstał. - Dziękuję za wódkę. Zabierzcie, co zostało, kiełbasę też. Muszę was poprosić, byście opuścili mój dom.

- Cierpliwości, towarzyszu! Myślę, że zaciekawili was, co mam do powiedzenia.

Karsałow stanął tyłem do piecyka, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. W jednej trzymał papierosa.

- Mów, byle szybko - rzucił.

- W paczce było ozdobne jajo, które Rasputin zamówił u samego Fabergégo, jako wielkanocny prezent dla carycy. Zabraliście paczkę do swojego pokoju. Służąca was widziała. Wstała z łóżka, kiedy usłyszała strzały.

-Niestworzone historie! - zachnął się Karsałow, wdychając głęboko dym.

- Powiedziano mi to wszystko dziesięć dni temu. - Pawlenko się uśmiechnął. - Wtedy dowiedziałem się też o śmierci waszej żony, co pomogło mi was znaleźć. W mieście jest wielu Karsałowów, ale tylko jeden Mikołaj.

- Kto rozpowiada te kłamstwa?

- Ktoś, kto wszystko wie i dobrze pamięta.

- Jaki wy macie w tym interes?

- Jajko Fabergégo, które wzięliście, jest nic niewarte, towarzyszu Karsałow. Wyjdźcie na ulicę i zaoferujcie je za bochenek chleba. Wyśmieją was. A ja chcę tę pisanekę kupić.

Karsałow zapakował wódkę oraz kielbasę w papierową torbę, którą postawił przed Pawlenką.

- Zabierajcie to i do widzenia.

- Zapłacę wam jedzeniem. Starczy dla was i dla dzieciaka do czasu, aż drogi będą przejezdne, gdy odeprzemy Niemców.

- Czy wyglądam na głupca? - Karsałow hałaśliwie odsunął krzesło. - Mówiłem, żebyście sobie poszli.

Uśmiech Pawlenki był mało przekonujący. Stuknął jeszcze dwa razy papierosnicą o stół i sięgnął pod połę płaszcza, jakby chciał schować srebrne cacko. Ale nie o to chodziło; w jego dłoni pojawił się długolufowy ciężki rewolwer. Sam jego widok przerażał. Rosyjska robota.

- Towarzyszu Karsałow...

- Pies ci towarzyszem.

- Panie Karsałow - poprawił się usłużnie. - W zamian za jajko daję chleb, mięso i cukier... Zapewnię wyżywienie panu i pańskiemu synowi.

- Nie jestem głuchy - rzucił Karsałow. - Mówię wam, nie mam carskiego jajka, nie mam nic, co należałoby do cara.

Pomieszczenie oświetlała okrągła, mleczna żarówka zawieszona nad stołem. Druga, słabsza, paliła się w stojącej obok łóżka lampie. Pawlenko podszedł do łóżka. Ściągnąwszy koc, przyłożył broń do skroni dziecka, i nie spuszczać wzroku z Karsałowa, wycodził:

- Dawaj jajko albo skrócę twojemu synowi męki.

- Przecież nie zastrzelisz bezbronnego dziecka.

- Codziennie umierają tu dwa tysiące dzieci. Jedno więcej, jedno mniej, co za różnica? - Zaśmiał się. - To całkiem proste, wystarczy pociągnąć...

- Dobrze, dostaniesz, co chcesz. - Karsałow szarpnął drzwiczki kredensu. Sięgnął za stertę naczyń i wyciągnął owinięte w gazetę,

przewiązane grubym sznurem pudełko. Postawił je na stole.

- Rozwijaj - zażądał Pawlenko.

Karsałow powoli rozplątywał supły, obserwując kątem oka Pawlenkę.

- Trzymałem carską pisanekę dla dzieci - tłumaczył drżącym głosem. - Jest ich własnością. Obiecałem żonie, że dam im, kiedy skończy się wojna i znowu będzie coś warta.

- Szybciej - ponaglił Pawlenko, podchodząc do stołu.

Karsałow odwinął jajko z resztki papieru.

- Proszę, nie zabieraj go, nie chcę tego cholernego jedzenia.

-Otwieraj.

Otworzył puzdro i wydobyl z niego pisanekę. Spojrzał na Pawlenkę, położył ją na stole i zrobił krok w tył.

Pawlenko podszedł bliżej. W prawej dłoni trzymał rewolwer, lewą sięgnął po jajko.

- Pokaż mi, jak je otworzyć, ja nie...

Obrócił się gwałtownie, by nie wystawiać się na strzał. Uniósł broń, którą powinien był mierzyć w gospodarza. Za późno. Karsałow strzelił dwa razy. Dwie kule przeszły elegancki płaszcz Pawlenki i utkwily w piersi. Kieszonkowy browning Feliksa Jusupowa, ten sam, którym nie udało się zabić Rasputina, Karsałow wyciągnął zaraz po tragicznej śmierci żony. Wyczyszczony i załadowany, nosił przy sobie za paskiem.

Odczekał chwilę i zarzucił sobie ciało Pawlenki na plecy. Zadzwigał je na ulicę, pozostawiając pod drzwiami zbombardowanego budynku. Kolejna śmierć, na którą nikt nie zwróci uwagi.

Włożył ciepły, ciężki płaszcz. W jednej kieszeni znalazł kopertę wypchaną kartkami na żywność. Zabrał tylko dwie. Tyle, ile skradziono, kiedy zamordowano Marię.

I tak skończyła się kariera spekulanta Pawlenki.

ROZDZIAŁ 3

Tallin, Estońska SRR, 23 listopada 1963 roku

Poranna mroźna bryza znad Zatoki Fińskiej wróżyła stolicy chlapę i ciemność. Zmiany i powrotu słońca do miasta można było oczekiwać w kwietniu. Jednak brzydka pogoda nie zniweczyła dobrego samopoczucia Wasyla Karsałowa. Zszedł z posterunku w

bazie marynarki wojennej i udał się na oddział położniczy szpitala, gdzie za czwartym przepierzeniem, przy zewnętrznej ścianie leżała jego żona, trzymając w ramionach ich syna - urodzonego kilka minut po północy, dokładnie w dwie godziny po tym, jak ogłoszono zabójstwo Johna F. Kennedy'ego. Wasyl pocałował żonę i wpatrywał się w noworodka, któremu postanowił po drodze dać na imię Michaił.

- Będzie taki przystojny, jak ty - szepnęła Anna Karsałowa. Miała nie więcej niż dwadzieścia lat, gładką, świeżą cerę i jasnozłote włosy. Jej twarz promieniowała radosnym spokojem. Wasyl znów ją pocałował. W jego oddechu wyczuła ostry zapach alkoholu. Najwyraźniej za dużo świętował. Anna się nie myliła, jej mąż był przystojny. Męskiego uroku dodawały mujasnobrazowe włosy, szeroka szczeka, wąskie usta i ostre rysy twarzy. Tylko niewiarygodnie błękitne oczy były osadzone nieco zbyt blisko siebie.

- Nazwę go Michaił - powiedział. - Podobało ci się to imię, pamiętasz?

- Nie Mikołaj, po twoim ojcu?

- Sam noszę jego imię, wystarczy. - Poglądził policzek dziecka:

- Niech Michaił Wasyliewicz Karsałow zacznie wszystko od nowa

- dodał, ucinając dyskusję.

- Co się działo wczoraj w nocy? - zapytała Anna. - Niewiele pamiętam. .. Tylko ból, a potem urodził się mały. Pielęgniarka musiała coś mi dać.

- Zabili prezydenta Kennedy'ego - rzucił, śmiejąc się, Wasyl. - Chyba w Teksasie.

-1 to takie zabawne?

- Kennedy nie był nam przyjacielem. Zeszłego roku, gdy stacjonowałem na Kubie, zostaliśmy zmuszeni do odwrotu. - Pokręcił głową.

- To nie było dla nas dobre.

- Ty chciałbyś cały czas bawić się w wojnę.

Wasyl musnął palcami baretki na piersi.

- W końcu jestem marynarzem. Nudno tak czekać bezczynnie.

Popatrzyła na niego i pobłażliwie poklepała po ramieniu.

- Bardzo jestem zmęczona - westchnęła.

Pocałował ją w usta. Siedział jeszcze czas jakiś przy łóżku, patrząc na nią i synka, póki się nie upewnił, że oboje śpią. Na pożegnanie cmoknął ją delikatnie, po cichu opuścił pomieszczenie i wyszedł ze szpitala.

Jeszcze zanim zameldował się na posterunku, wiedział, że zabójstwo amerykańskiego prezydenta wywoła ostrą reakcję. Flotę bałtycką postawiono w stan najwyższej gotowości. Uszczelniono ochronę.

Statki z zapasami na sześć tygodni miały dołączyć do stacjonujących na północnym Atlantyku. On dostał rozkaz dopilnowania zaopatrzenia trzech niszczycieli klasy Kriwak.

Wasył ukończył Kolegium Marynarki Wojennej w Leningradzie w 1960 roku. Po dwunastu miesiącach spędzonych na morzu wrócił, by odbyć szkolenie na oficera zaopatrzeniowego. Z Anną pobrali się na dwa miesiące przed wyjazdem do Tallina. Jego ojciec, Mikołaj Karsałow, który mieszkał w Leningradzie, był już na emeryturze; nie miał jeszcze siedemdziesiątki, ale coraz bardziej podupadał na zdrowiu. Siostra Wasyla, Nina, wyszła za mąż i przeprowadziła się do Moskwy. Na pozór Karsałow przypominał rasowego oficera marynarki: pracowity i całkowicie oddany ideałom sowieckiej władzy. Było w nim jednak coś, co niszczyło ten wizerunek. Wasył Karsałow staczał się w alkoholizm. Podczas pijackich libacji wdawał się w bójki, wybuchając nieokiełznanym gniewem. Choć miał dopiero dwadzieścia trzy lata, już groziła mu, gdyby znów się wdał w awanturę, dyscyplinarka, a nawet mógł zostać wydalony ze służby.

Teraz świeżo upieczony ojciec nie dbał jednak o nienaganne zachowanie, zależało mu jedynie na dobrej zabawie. Miał zamiar wyprawić niewielkie przyjęcie w swoim mieszkanku. Chciał uczcić nie tylko narodziny syna, ale i śmierć zbrodniarza, jakim był amerykański prezydent.

Wasył zaprosił dwóch znajomych poruczników, Leonida Baleckiego i Olega Dieriabina. W gronie zaproszonych nie zabrakło oczywiście Saszy Akimowa i Artura Preknera. Najstarszy z nich, miły w obejściu trzydziestoosmioletni Akimow, weteran wojny ojczyźnianej, pełnił funkcję starszego miczmana. Choć niskiego wzrostu i przy tuszy, był zaskakująco sprawny fizycznie. Wasył uważał go za swojego mentora. Od niego nauczył się zdobywania nie tylko podstawowych artykułów, ale i luksusowych dóbr dla wyższych rangą oficerów i niekończącego się korowodu oficjeli. Ci tak naprawdę podróżowali tylko od jednej bazy do drugiej, by wypełniać niezliczone formularze, obżerać się szkocką wołowiną i opijać jankeskim burbonem.

Artur Prekner, jedyny cywil, przyjechał na życzenie Wasyla z Leningradu. Wiele lat wcześniej Artur i Wasył mieszkali po sąsiedzku i mimo różnicy wieku - Artur dziesięć lat starszy - zostali przyjaciółmi. W tym czasie Prekner był urzędnikiem średniego szczebla, odpowiedzialnym za dostawy żywności i odzieży do państwowych sklepów. Z tego samego magazynu pochodziły zapasy dla lokalnych baz

wojskowych. Do bazy marynarki wojennej w Tallinie Wasyl przywiózł mrożone mięso, mleko w proszku, cukier i amerykańskie trunki. Wiedzieli, że lista zamówień się powiększy. Zaledwie parę tygodni wcześniej zamówienie na siedemset kilogramów wołowiny nigdy nie opuściło chłodni, chociaż dokonano już zapłaty. Przeoczenie, które jednak zauważyli i Prekner, i Wasyl. Przypadkiem wpadli na to, jak zagarnąć ceną żywność dla siebie. Wasyl musiał tylko zatwierdzać faktury i zamawiać kolejne dostawy, które uzupełniały niedobory. A Prekner wiedział już, gdzie znaleźć nabywców na artykuły.

Choć pracowali ze sobą zaledwie od sześciu miesięcy, Karsałow, Balecki i Akimow już tworzyli zgraną paczkę przyjaciół. Starszy, dwudziestoosmioletni Leonid Balecki zyskał sobie opinię miłego i spokojnego, w przeciwieństwie do tajemniczego Olega Dieriabina, dopiero co przeniesionego z innej bazy.

Dierabin miał dwadzieścia cztery lata, wyglądał jednak na starszego. Był dość przystojnym mężczyzną średniego wzrostu, o szerokiej, muskularnej klatce piersiowej i głęboko osadzonych, ciemnych oczach, które przeszywały człowieka na wskroś. Z jego twarzy nie schodził kąpiący uśmiezek, jakby właśnie usłyszał dobry kawał albo znał odpowiedź na pytanie, zbyt trudne dla innych. Miał głęboki, donośny głos i cięty język. Szybko zyskał popularność wśród oficerów. Potrafił być nieprzyjemny i upokarzał ludzi. Prawdopodobnie wynikało to z nadmiernej pewności siebie lub po prostu leżało w jego charakterze. Mimo wszystko jednak uchodził za dobrego kompana.

Wznoszono toast za toastem, a wszystkie związane z faktem, że Wasyl Karsałow został właśnie ojcem, jego syn miał otrzymać imię Michaił, a żona Anna była piękną kobietą. Kiedy wyczerpano już temat, wzniesiono nowe toasty: za śmierć Kennedy'ego i za tych, którzy, jak spekulowano, mieli uczestniczyć w spisku na jego życie - Kubańczyków, Chińczyków, Izraelczyków i włosko-amerykańskich mafiozów.

Zgodzili się co do jednego: Kreml zbyt ostro zareagował na wiadomość o zabójstwie. I nie byłoby dziwne, gdyby się okazało, że wpływ na to mieli Sowieci - co również uczcili toastem. W miarę jak alkohol uderzał do głów, mnożyły się toasty: a to za pamięć kochanki Lenina, a to za syfilis, który wykończył Stalina, i tym podobne. Ostatecznie Wasyl zaproponował, by wypili za zakończenie toastów i zagrali w karty.

Grali w preferansa. Stawki były symboliczne, a równa liczba wygranych i porażek utrzymywała wszystkich w dobrym nastroju. Chodziło bardziej o dobrą zabawę niż o rywalizację. Grali jakieś pół godziny, kiedy Wasyl przegrał do Baleckiego rozdanie, z czym nie

mógł się pogodzić. Obaj znów zaczęli pić szklankami.

- Powinienem był wygrać - bełkotał Wasyl.

- No żesz, kurwa, przecież nie znaczył sobie tych kart - wtrącił się Dieriabin.

- Jeżeli myślisz, że oszukuję, zagraj w oczko - powiedział Balecki.

- Trzeba było patrzeć, zamiast otwierać butelkę.

Wasyl podał karty Akimowowi.

- Rozdawaj, stary.

- Stary? - Akimow się zaśmiał. - Nie mam czterdziestu lat i wciąż mogę cię rozłożyć na macie.

-Rozdawaj - powtórzył Wasyl. Dopił wódkę i znów napełnił szklankę.

Grali w pokera. Dieriabin wygrał trzy z pięciu pierwszych rozdania, Wasylowi nie sprzyjało szczęście. Po kolejnej rundzie Dieriabin był wielkim zwycięzcą, a Wasyl jedynym przegranym.

- Zrób sobie przerwę. Nie idzie ci karta - radził mu Artur Prekner.

Wasyl zniecierpliwiony machnął ręką i kazał Akimowowi rozdawać. Opróżnił portfel, wykładając wszystkie pieniądze na stół. Kolejne rozdanie zakończyło się przegraną Wasyla. W następnym wygrał niewielką sumę, zgarniając ochno kopiejki.

-1 komu źle idzie? - ofuknął Preknera.

Jednak już wkrótce okazało się, że Artur miał rację. Wasyl, przegrawszy wszystkie pieniądze, siedział niepocieszony, narzekał, że prześladowuje go pech, którego nie może się pozbyć od momentu, gdy został oszukany przy zwycięskim rozdaniu. Kolegom humor dopisywał i grali dalej. Podwyższono stawki, zastępując kopiejki rublami. Pili wszyscy, prócz Dieriabina, który sączył od czasu do czasu wino ze szklanki stojącej obok rosnącej kupki rubli.

Pół godziny po północy Wasyl opuścił mieszkanie. Było mu niedobrze, a mroźne powietrze miało postawić go na nogi. Istotnie trochę mu pomogło, jak i to, że nie powstrzymywał się od wymiotów. Kiedy pozbył się już mdlącego balastu z żołądka, przyrzekł sobie już nie wprowadzać więcej alkoholu do krwiobiegu. Uznał, że jest zupełnie trzeźwy. Rozochocony, postanowił się odegrać. Fatalna decyzja, która zmieniła jego całe życie.

Wróciwszy do gry, położył na stół swój zegarek, oświadczając, że co prawda wart jest czterdzieści sześć rubli, ale on chce za niego czterdzieści. Puścił go w obieg. Najwięcej - dwadzieścia osiem rubli - dał Leonid Balecki, który stwierdził, że robi taki gest w dobrej wierze. Chciał udowodnić, że uczciwie wygrał sporne rozdanie. Gdy to mówił, był już jednak mocno pijany. Wasyl wziął pieniądze, zaś Balecki nałożył zegarek na rękę, mamrocząc coś o swoim starym, popsutym czasomierzu i zaoszczędzeniu sobie fatygi poszukiwania nowego.

Ku zaskoczeniu wszystkich, Wasyl wygrał kolejne trzy rozdania. Nie były to wielkie wygrane, ale zawsze wygrane, dobre dla urażonej ambicji. W następnym rozdaniu - a grali teraz w pięciokartowego dobieranego - stawkę, wynoszącą czterdzieści rubli wygrał Dieriabin. Wasyl miał znowu dwadzieścia osiem rubli, które dostał za zegarek. Jednak w niecałe pięć minut zostały mu tylko cztery. Na jego czole i górnej wardze pojawiły się krople potu. Nalał sobie pełen kieliszek wina i osuszył jednym haustem.

Rozdawał Dieriabin. Wasyl dostał pięć kart i od razu skoczyło mu ciśnienie, a ręce zaczęły drżeć. Pociągnął jeszcze dwie karty - i miał cztery walety. W pierwszej rundzie licytacji wzięli udział wszyscy. Prekner odpadł w drugiej, Balecki w trzeciej. Wasyl, choć zgrał się do cna, brał ruble na pokrycie zakładów z puli i układał w stosik przed sobą. Odpadł Akimow, zostali Dieriabin i Wasyl. Podbijali stawkę, aż wreszcie Oleg powiedział, iż Wasyl nie może dalej licytować, chyba że udowodni, że jest w stanie pokryć zadłużenie w puli, jeśli przegra. Wasyl uniósł się honorem:

- Wątpisz, że cię spłacę w razie przegranej?

Dieriabin ciągle się uśmiechał, ale jego głos nabrał ostrego tonu.

- Jutro mogą cię odesłać i nigdy więcej się nie zobaczymy. Długi hazardowe spłaca się w rublach, nie w słowach.

- Najpierw musisz wygrać.

- Sprawdzasz mnie?

- Podbijam. Dwadzieścia rubli.

Dieriabin przestał się uśmiechać.

- Dam dwadzieścia, gdy... zobaczę twoją dwudziestkę.

Wasyl popatrzył na kolegów, jednak proszące spojrzenie na nic się nie zdało. Wstał i piorunując wzrokiem Dieriabina, oświadczył:

- Zobacysz dwadzieścia i jeszcze więcej.

Zniknął w przyległej do pokoju małej sypialni. Siedzieli przy stole w milczeniu, pierwszy się odezwał Balecki, który mamrotał coś najpierw o powrocie do domu, a potem wytoczył się z pokoju, tłumacząc, że idzie się wysikać. W tym czasie Akimow zabrał się do przeliczania pieniędzy. Prekner kiwał smętnie głową. Dieriabin

wiercił się nerwowo, co moment wstawał i siadał. Zgarnął karty, przetasował i ułożył w równy stosik. Obserwował go Prekner. Wasyl wrócił z paczką owiniętą w starą gazetę.

- Mój ojciec dał mi coś, co należało do... - Zamilkł gwałtownie. - Dwóch mężczyzn straciło przez to życie - dodał po chwili. Zerwał papier i postawił pudło na stole. Otworzył i wyciągnął carską pisanekę, podsuwając ją Dieriabinowi.

- Co to? - zapytał Oleg.

- Carskie jajko - wybełkotał Wasyl - zrobione przez Fabergégo dla carycy Aleksandry Fiodorowny.

Dieriabin obracał jajko w dłoniach, przyglądając się mu sceptycznie.

- Skoro zrobiono je dla cara, jak się znalazło u twojego ojca?

- Nieistotne. Teraz należy do mnie.

- Ile jest warte?

- Setki... tysiące. Masz tu diamenty, dwa rzędy rubinów i szmaragdów, a środek wysadzany jest perłami. - Wasyl otworzył jajko.

- Dwanaście tuzinów pereł oraz to... - Wyciągnął emaliowany portret Mikołaja i Aleksandry. - Ramkę i sztalugę wykonano ze złota.

- Przeliczaj pieniądze tak, żeby widział Wasyl - przypomniał Akimowowi Dieriabin.

Reszta patrzyła, jak ten sortuje banknoty według nominału, notując liczbę na kartce.

- Dwieście osiemdziesiąt sześć rubli - ogłosił.

- To trzymiesięczna pensja - dodał Balecki.

Wasyl położył jajko na wprost Olega.

- To moje cholerne dwadzieścia rubli. Gdzie twoje?

Dieriabin był jedynym zwycięzcą, ale teraz wszystko, co wygrał i co przyniósł ze sobą, znalazło się na stole. Gdyby przegrał, musiałby biedować następny miesiąc. Przyglądał się jajku dłuższą chwilę, opierając dłoń, w której trzymał karty na piersi, raz jeszcze rzucił na nie okiem. Z portfela wyciągnął dwie dziesięciorublowki.

- Pokaż mi swoje karty - zażądał.

Pierwszy raz od rozdania Wasyl wyszczerzył zęby w uśmiechu, kładąc karty na stole - najpierw króla, potem cztery walety. Wszyscy prócz Dieriabina odetchnęli z ulgą.

- Bardzo dobrze - uznał przeciwnik. - Ale... - Odrzucając trójkę karo, położył cztery damy obok waletów Wasyla.

Zapadła cisza, tak niepokojąca jak wcześniejsze napięcie. Przerwało ją skrzyknięcie przesuwanych po drewnianej podłodze krzeseł. Balecki i Akimow odsunęli się od stołu. Prekner zerwał się na nogi, wytrzeźwiał od razu po tym, co zobaczył. Wytrzeszczył oczy. Spojrzał na Wasyla, wyciągnął dłoń, próbując coś powiedzieć, ale

zmilczał. Zarzucił płaszcz, reszta poszła w jego ślady. Bez słowa opuścili mieszkanie.

Dieriabin zgarnął banknoty i podzielił je na dwie równe części. Każdą schował w innej kieszeni płaszcza. Włożył pisanekę z powrotem do pudełka, zamknął je i wcisnął pod pachę. Dochodząc do drzwi, przystanął, obrócił się i wrócił do stołu. Wasyl ani drgnął. Bezmyślnie wpatrywał się w leżące przed nim karty.

- To był dobry zakład, Wasylu Mikołajewiczu, ale posunałeś się za daleko - powiedział Dieriabin. Wyciągnął z kieszeni pięćdziesiąt rubli i rzucił na stół. - To dla twojego syna. - Na jego twarzy widniał ten sam nieznaczny uśmiech. - Dla Michaiła.

ROZDZIAŁ 4

Mike to naprawdę szczęściarz - odezwała się do swojego pasażera kobieta za kierownicą nowiutkiego zielonego cadillaca seville STS, odgarniając z oczu włosy o trudnym do zidentyfikowania rudawym odcieniu. Oczy, lekko wyłupiaste przez szkła kontaktowe, były czujne i ruchliwe, starannie podkreślone cienkimi kreskami ciemnego brązu. Po czterdziestce, atrakcyjna, swego czasu mogła nawet uchodzić za piękną.

- Idealna pogoda - dodała, jakby niechętnie. - W radiu mówili, że tak będzie przez cały weekend.

Siedzący obok mężczyzna nawet w tak dużym samochodzie wydawał się wciśnięty w fotel. Mniej więcej metr osiemdziesiąt wzrostu, też po czterdziestce. Na czubku głowy prześwitywała łysina. Swoistą rekompensatą tego mankamentu były wąsy, które nieustannie pocierał, jakby go śwędziały. Nosił okulary, zazwyczaj jednak zwisaly na złotym łańcuszku.

- Zawsze ma takie szczęście do dat? - odezwał się.

- O tak - odpowiedziała głosem, w którym słycać było te dwie paczki marlboro dziennie... ochryplym, z nowojorskim akcentem: Brooklyn z domieszką Bronksu. - Mike bierze daty cholera wie skąd, a zawsze ma świetną pogodę. Zawsze!

Dobrze wiedziała, co mówi. To ona zaplanowała strategię public relations i reklamową dla siedemnastu uroczystości otwarcia w siedmiu wschodnich stanach. Przez cztery lata w jedno tylko sobotnie popołudnie troszkę popadało - i to kiedy kończyły się już jedzenie i napoje, a klienci zbierali się do wyjścia.

- Jest zjazd - zauważył jej towarzysza.

Samochód skręcił płynnie na podjazd, zawrócił i dołączył do ciężarówek jadących na wschód *Long Island Expressway* - międzystanową autostradą 1-495.

- O co chodzi z tym całym Mikiem? - Mężczyzna był arogancki. Jego niedbały ton świadczył, że ma za nic swoich rozmówców. Z kieszeni koszuli wyzierał dyktafon. - Mogę tego użyć, Patsy?

- Śmiało.

Patsy - Patricia Mulcahy Abromowitz, córka gorącokrwistej Irlandki i statecznego Żyda, rasowego księgowego. Odziedziczyła po obojgu najlepsze cechy. Miała piękną cerę po matce, a także przebojowość -jednak złagodzoną opanowaniem ojca.

- Po pierwsze, kiedy go spotkasz, będziesz się do niego zwracać per „panie Carson”, mimo że jest młodszy. A jeśli cię polubi, Lenny, to pozwoli ci mówić do siebie „Mike”.

Leonard Sulzberger, ale nie z tych Sulzbergerów od „Timesa”, pracował dla „Bridgeport Post Telegram”, potem dla „New York Post”, a teraz - jako wolny strzelec - został zatrudniony przez Patsy do napisania rysu biograficznego faceta, który wyciągał z kapelusza daty otwarcia nowych salonów. Faceta, który w tak młodym wieku stał się jednym z najlepiej prosperujących sprzedawców samochodów w USA. Ucieleśnienie amerykańskiego marzenia o sukcesie - pracowity, przystojny... W dodatku świętował urodziny dwudziestego drugiego listopada, gdy kraj wspominał tragiczną śmierć JFK. Niemal zbyt piękne, by uwierzyć, że prawdziwe. Mike Carson był Rosjaninem, który wyemigrował do Londynu w wieku czternastu lat, znając dokładnie siedem słów po angielsku. Trzy gęsto zadrukowane strony, które przeglądał Sulzberger, zawierały jeszcze inne informacje o Mike’u Carsonie.

- Piszą tu, że nazywa się Mike Carson. Tak po prostu? Nie Michael?

-Na chrzcie dali mu Michał Wasiliewicz Karsałow. Zbiegł do Londynu, gdy miał czternaście lat. Nauczył się mówić po angielsku bez śladu rosyjskiego akcentu, zmienił imię i nazwisko. Powiedziano mu, że Mike brzmi bardzo amerykańsko - i tak z Michała zrobił się Mike, a z Karsałowa - Carson. Wasiliewicz znaczy „syn Wasyla”, ale Mike nie chciał mieć nic wspólnego ze swoim ojcem. Powiedział mi kiedyś, że stary służył w marynarce, ale wyrzucono go i wysłano w jakieś koszmarnie miejsce w pobliżu granicy z Mongolią. Nawet nie wie, czy jeszcze żyje.

- A matka?

Pokręciła głową.

- Matka zachorowała, gdy był dzieckiem. Nie wiem, czy cierpiała na jakąś chorobę fizyczną, czy psychiczną. Może obie wchodziły w grę. Tak czy siak, zdrowie miała kiepskie... A potem zniknęła z jego życia. Ot tak po prostu. Tyle mi powiedział.

- Trochę dziwne, nie?

- No tak. Ale Mike to nie jest jakiś zwykły facet. Nigdy byś się nie domyślił, skąd pochodzi. Ma w Londynie wuja, którego bardzo lubi; ot i wszystko, co wiem o jego krewnych. I tak powiedziałam ci za dużo. - Z tymi słowy spojrzała na Lenny'ego surowo. - Nie pytaj o rodzinę, to nie ma nic do rzeczy.

- Jakieś rodzeństwo?

- Chyba nie słuchasz, co do ciebie mówię, Lenny. Zero pytań o rodzinę.

- Pytam ciebie, nie jego - odparł z irytacją Lenny. - Im lepiej go poznam, tym lepiej go opiszę.

Patsy Abromowitz zjechała na szybszy pas ruchu.

- Dobra, jest jedynakiem. Zadowolony?

- Wspomniałaś, że doskonale zna angielski. Chyba nie mówisz poważnie?

-Jak najbardziej poważnie. Myślę, że powinieneś to wziąć pod uwagę. Po osiemnastu latach szkoły wciąż mówię jak nastolatka z Bronksu. Mike Carson ma taki akcent, jakby dorastał w Oksfordzie. Nie jest zresztą pierwszy. Tak samo Robert Maxwell, ten angielski wydawca. Słyszałam jego przemówienie i nie mogłam uwierzyć, że urodził się i wychował w Czechosłowacji. Mówi jak Laurence Olivier.

Lenny zamyślił się nad tym, co właśnie usłyszał.

-Mike Carson miał szesnaście lat, kiedy przybył do Brighton Beach, pod koniec lat siedemdziesiątych. Dlaczego do Brighton Beach?

- Bo tam udawali się Rosjanie. Gdyby wychowywał się w swoim środowisku, pewnie zostałby ortodoksem, ale tu trafił po prostu do miejscowej gminy żydowskiej. Z początku chodził nawet do katolickiego kościoła. Żeby poznać ludzi, nie w celach religijnych. Nie jestem pewna, czy w ogóle wyznaje jakąś religię, choć ma swoje standardy moralne. Cholernie wysokie standardy - dodała po chwili.

Budynek Carson Cadillac & Oldsmobile z oddali przypominał luksusową szklarnię. Jeden z wielu salonów samochodowych na Northern Boulevard, niedaleko Roslyn - w pobliżu ekskluzywnych dzielnic na północy Long Island. Salon numer 24. Mike Carson uważał tę liczbę za szczęśliwą, ale cóż - tak było z każdym numerem salonu od czasu, gdy otworzył swój pierwszy komis samochodowy na Coney

Island Avenue - niespełna półhektarowy plac, sześć gołych żarówek i ręcznie namalowany szyld. Teraz zaś firma Carson Motors Inc. miała przedstawicielstwa w Bostonie, Waszyngtonie, Atlancie, Jacksonville i St. Petersburg na Florydzie. Sprzedawano w nich fordys, dodges, jeepy, chryslerys, oldsmobiles, buicki i cadillaki. Obrazu dopełniało sześć wypożyczalni działających na zasadach franczyzy i trzy firmy leasingowe sprzedające ciężarówki. W zeszłym roku przedsiębiorstwo odnotowało przychody rzędu pół miliarda dolarów. Nieźle, jak na firmę należącą do gościa, który nie skończył trzydziestu pięciu lat, a do amerykańskiej szkoły poszedł w wieku lat szesnastu. Jednak już w dwa lata później skończył szkołę średnią, a w kolejne trzy zrobił licencjat na Long Island University -jednocześnie pracując na dwóch etatach.

Transparenty i wstęgi błyszczały w popołudniowym majowym słońcu. Krzykliwe kolory i hałaśliwa muzyka były znakiem firmowym amerykańskich salonów samochodowych -jakby cisza i dobry gust nie mogły przyciągać uwagi lub - broń Boże - robiły złe wrażenie na potencjalnych klientach. Mamy zatem spektakl światła i dźwięku, do tego kiełbaski i klopsiki, a najmocniejszym trunkiem jest cola. Amerykańska miłość do samochodów-rozślawiona, niegasnąca, choć anachroniczna! W salonie pyszniły się cadillaki i oldsmobile, których ceny zaczynały się od dwudziestu tysięcy, a kończyły na ponad sześćdziesięciu pięciu za ważącego prawie dwie tony cadillaca fleetwooda, z przyspieszeniem od zera do stu kilometrów w siedem i osiem dziesiątych sekundy, napędzanego silnikiem Northstar o mocy dwustu dziewięćdziesięciu pięciu koni mechanicznych.

Seville Patsy Abromowitz miał tablice rejestracyjne dealera, dzięki czemu mogła zaparkować na miejscu dla VTP-ów. Lenny ogarniał wszystko wzrokiem, podczas gdy jego słuch atakowały przeboje z dziesiątek głośników, przerywane terkotaniem miejscowego radiowego DJ-a, nadającego na żywo z salonu. Zachęcał wszystkich, którzy ukończyli osiemnaście lat, do wzięcia udziału we wspaniałej loterii, w której główną nagrodą był tygodniowy pobyt w luksusowym motelu w St. Petersburg na Florydzie - wraz z biletami na samolot, pięcioma tysiącami kieszonkowego i kabrioletem oldsmobile cutlass supreme, którego szczęśliwy zwycięzca odbierze w salonie Carson Olds & Pon-tiac, znajdującym się w odległości dziewięćdziesięciu metrów od motelu.

Dwoje klaunów pilnowało dzieciaków, których rodzice podziwiali najnowszy krzyk mody wśród luksusowych samochodów. Wieczorem zjawily się tłumy pracowników z Nowego Jorku, zamieszkujących Glen Cove i Oyster Bay - a wraz z nimi prawdziwe pieniądze. Agencja reklamowa Patricii zrobiła rozpoznanie w okolicy i rozesłała kosztowne

zaproszenia do domów w stosownych dzielnicach. Na podstawie dotychczasowego doświadczenia dział badawczy prognozował, że przez pierwsze trzy dni przez salon przewinie się dwa tysiące siedemset trzydzieści czworo dorosłych i trzy tysiące czterysta jednaścioro dzieci.

Patsy chwyciła Lenny'ego za ramię i poprowadziła tam, gdzie kręciło się najwięcej młodych ludzi w uniformach Carsona - szarych spodniach lub spódniczkach i kremowych bluzach; każdy miał plakietkę z imieniem, nazwiskiem i stanowiskiem. Wszyscy uśmiechali się szeroko, wręczając okolicznościowe zestawy, na które składały się broszury reklamowe, oferty serwisowe i losy na loterię. Przeszli obok kabrioletu cutlass supreme, wypełnionego balonami i pudłami owiniętymi w złoty i srebrny papier. Zawieszony nad nim szyld informował, że samochód stanowi nagrodę główną. Po obu stronach auta przeżyły się modelki w kostiumach kąpielowych w firmowych kolorach Carsona - jedna miała szary strój, druga kremowy. Lenny'ego oszołomił cały ten przepych i zgiełk. Patricia pozostała czujna. Szukała błędów. Kombinowała, jak by tu wypaść lepiej następnym razem.

- O, tam. - Wskazała na ruchome schody wiodące na antresolę.

Jej plakietka z fotografią i słowem „kierownik” pozwoliła im przejść obok wielkoluda w bluzie rozmiaru XXL. Dennis LeGrande, do nie dawna obrońca New York Giants, choć szkolił się na konsultanta do spraw transportu osobowego, podczas uroczystości otwarcia był swego rodzaju szeryfem. Zajął pozycję u dołu schodów, pilnując, by dzieci nie biegały w tę i we w tę.

- Mike już na nas czeka - oznajmiła Patsy. - Pamiętaj, pan Carson.

Na podeście znajdowało się centrum łączności, otoczone przez osiem stanowisk, na które składały się biurka z krzesłami i niskie szafki. Każde z nich odgrodzono od pozostałych roślinami doniczkowymi. Wzdłuż wewnętrznej ściany ciągnęły się biura - małe, poza jednym, z widokiem na całą salę wystawową. W jego drzwiach stały dwie kobiety i dwóch mężczyzn w firmowych bluzach, rozmawiając o czymś z przejęciem. Przepuścili mężczyznę, który wyszedł z biura. Ten przystanął na moment, dostrzegłszy Patsy, uśmiechnął się szeroko i ruszył ku niej, machając ręką.

- A oto i nasz bohater - powiedziała Patsy. Uśmiechnęła się szeroko i też mu pomachała.

Lenny przyjrzał się uważnie mężczyźnie, idąc ku niemu i był zaskoczony, jakby spodziewał się kogoś innego. Czyżby Mike Carson wyglądał zbyt zwyczajnie? Czy włosy już mu się przerzedzały, czy też

zaczynały siwieć lub były aż tak jasne? Miał niekompletne uzębienie? Na pewno wyglądał młodziej niż na swoje trzydzieści pięć lat.

- Leonard Sulzberger - przedstawiła go Patsy.

- Witam, panie Sulzberger. - Uśmiech nie zniknął z twarzy Mike'a Carsona. - Miło mi, że tak świetny dziennikarz napisze o mojej firmie. - Z tymi słowy wyciągnął rękę.

-Panie Carson... - Lenny pamiętał, by nie popełnić błędu zaraz na wstępie. - Cieszę się, że mogę pana poznać. - Ucisnęła serdecznie dłoń Mike'a.

Mike Carson wydawał się pod każdym względem zwyczajny. Na pozór rzędzące włosy okazały się bujną blond czupryną, za którą większość kobiet dałaby się pokrajać. No i jego twarz... Właściwie przeciętna, ale poszczególne elementy interesujące: orli nos, czujne błękitne oczy, wyraziste usta, nawet małeńki dołek w podbródku. Owszem, miał też widoczny niewielki ubytek w uzębieniu po lewej. Mężczyzna mierzył może mniej niż metr osiemdziesiąt. Nie wyhodował sobie brzuszka. Głos miał głęboki. Akcent? Jeśli już, to Rochester, Nowy Jork... Może Ogden w Utah? Wprost niewiarygodne, że do czternastego roku życia mówił wyłącznie po rosyjsku. Na pewno nie stracił pewności siebie. Mike Carson sprawiał wrażenie spokojnego i zrównoważonego - a przecież cechy takie nabywa się, dorastając w bezpieczeństwie i dostatku. Nie mają ich pólśieroty czy nastoletni emigranci.

- Będę się do ciebie zwracał per „Leonard” - zaproponował Mike, puszczając jego dłoń. - Możesz mi mówić Mike. Okej?

- Mów mi Lenny. Wszyscy mnie tak nazywają. Możemy porozmawiać? Teraz?

- Co tylko Patsy rozkaże.

- Im szybciej zaczniecie, tym szybciej skończycie - odparła.

- Przedtem jednak pozwól, że pokażę ci sklep. Nasz najnowszy projekt. Możesz to wykorzystać w swoim artykule.

Mieli właśnie udać się na dół, gdy u podnóża schodów wybuchła głośnie sprzeczka między Dennisem LeGrande'em a niskim, łysiącym człowieczkiem. Facet rozpaczliwie usiłował się porozumieć, ale nie potrafił znaleźć właściwych angielskich słów.

- W czym problem, Denny? - Mike spojrzął z zaciekawieniem na przybysza, który biegł już po schodach ku niemu.

-*Michail! Michail Wasiliewicz... mienja zawut Sasza Akimow!*

- wykrzyknął radośnie.

Przez ułamek sekundy Mike Carson wydawał się skonfundowany, jednak przywitał serdecznie gościa.

-Akimow, co za niespodzianka... - Ujął mężczyznę pod ramię.

- Stary przyjaciel rodziny. To nie zajmie dużo czasu - zwrócił się do

Patsy i Lenny'ego.

Rozsuwane szklane panele całkowicie pokrywały jedną ścianę biura - Mike zajmował to pomieszczenie, gdy odwiedzał salon - z widokiem przez oszkloną podłogę na salę wystawową. Tam właśnie zaprowadził gościa, wciąż powtarzając, jak bardzo zaskoczyła go ta wizyta.

- Mój angielski jest kiepski - powiedział Akimow po rosyjsku.
- Przejdziemy na rosyjski?

Mike skinął głową. Akimow mówił szybko. Wyrzucił z siebie uprzejme słowa formalnego pozdrowienia, zapewne przygotowanego zawczasu. Podszedł do szklanej ściany i wpatrywał się w rosnący tłum. Mike obserwował go z rozbawieniem.

- Czekasz na kogoś?

Akimow zaprzeczył. Wyciągnął z paczki butelkę wódki.

- Wypijemy, Michaił?

- Nie jestem Michaił - rzucił z naciskiem Mike. - Nazywam się Mike. Mike Carson. Nie Karsałow, nie Wasiliewicz.

Ze stojącej na stole konferencyjnym tacy Akimow wziął dwie szklanki. Nalał wódki do obu, jedną wręczył Mike'owi. Wzniósł toast za spotkanie i wychylił jednym haustem. Mike pił powoli. Akimow, zawsze zaskakująco mikrej postury, ale korpulentny, z wiekiem stał się nawet mniejszy. Teraz przypominał raczej szczupłego chłopca. Miał na sobie nijaki, pomięły szary garnitur. Smętny ubiór ożywiały baretki nad kieszonką marynarki i krawat zdobiący koszulę, której kołnierzyk i mankiety były mocno wytarte.

Napełnił sobie szklankę i wzniósł toast za pomyślność Mike'a.

- Usiądź, proszę - odezwał się wreszcie - i pozwól wytłumaczyć, dlaczego przyjechałem do Nowego Jorku. I proszę, pozwól mi mówić do siebie „Michaił”. Znam cię pod tym imieniem od nocy, gdy się urodziłeś - dodał z ciepłym uśmiechem. - Kiedy sobie pójde, znowu będziesz Mikiem.

Mike zerknął na zegarek, potem na drzwi, upewniając się, że są zamknięte. Usiadł z westchnieniem.

- Michaił - szepnął w zamyśleniu, uśmiechnąwszy się ironicznie.

- Znałem też twoją matkę - ciągnął Akimow. - Anna była niezwykle piękna i bardzo z siebie dumna. Ale rodzice mieli do siebie żal... Tak głęboki, że oddalili się od siebie na dobre. Wiedzieliś o tym?

- Ojciec nigdy nie był dobry dla matki. Wiecznie pijany, o wszystkim zapominał, trwonił pieniądze. Nic nie mogłem na to poradzić.

Akimow uniósł butelkę wódki i postawił ją z rozmachem na stole.

- Wiesz, co się stało z twoim ojcem?

- Zesłano go gdzieś, chyba do jakiegoś kraju w Azji Środkowej.

Nawet nie wiem, dlaczego. - Mike unikał wzroku Akimowa.

- Do Uzbekistanu. I nie wiesz, co było tego powodem?

-Nie i nie chcę wiedzieć. Staralem się o nim zapomnieć. Nie dowiedział się, że wysłano mnie do sierocińca, gdy miałem jedenaście lat. - Odwrócił się do swego gościa. - Byłem w czterech, nim uciekłem. Uciekałem, aż znalazłem brata matki w Londynie. Miałem wtedy czternaście lat. Wiedziałaś o tym?

- Tak. - Akimow pokiwał głową. - I o innych sprawach też. Po wiedzieć?

Mikę to podnosił szklanke, to stawiał ją na stole. Wreszcie upił spory łyk. Wódka przepaliła przełyk i rozgorzała kulą ognia w żołądku.

- Powiedz, Sasza.

- Kiedy miałeś osiem lat, zostaliśmy przeniesieni do Sankt Petersburga. Przydzielono mnie i twojego ojca do tego samego wydziału, ale już po pół roku robił wszystko sam, łącznie z moją papierkową robotą. Odkryłem, że rozparcelowuje każdy transport żywności do kantyny i transportuje część do miejskiego magazynu, a jego partner, miejscowy handlarz, sprzedaje ją. Kradli mięso, alkohol, papierosy... i sprzedawali temu, kto dał więcej. Zawsze za dolary. Ale twojego ojca nie aresztowano za kradzież - Akimow pokręcił głową - tylko za morderstwo.

Mike'owi coraz mniej się to podobało.

- Morderstwo? - powtórzył z niedowierzaniem. - Nigdy mi o tym nie mówiono. A niby kogo miał zamordować?

- Twój ojciec zarobił kupę szmalu, ale pieniądze nigdy się go nie trzymały. Wolał wódkę. Nie wiem, co zaszło między nim a jego współnikiem. Przypuszczam, że tamten oszukiwał. W każdym razie znaleziono handlarza z poderżniętym gardłem, a twoego ojca oskarżono o morderstwo. Kiedy go aresztowali, był pijany. Mówią, że się przyznał, ale ja w to nie wierzę. Stał przed sądem wojskowym. Proces był tajny. W tydzień później dowiedziałem się, że dostał dożywotni przydział do Uzbekistanu. To jak wygnanie. Zobaczyłem się z nim przelotnie po procesie. Powiedział tylko, że jest niewinny. Więcej go nie widziałem.

- Wuj nigdy o tym nie wspominał.

-Co on tam wie... - Akimow przyjrzał się uważnie rozmówcy. - Nienawidził Wasyla. Twoja matka mi powiedziała.

- Skąd tyle wiesz o mojej rodzinie?

- Twoja matka i ja pochodzimy z Soczi, nad Morzem Czarnym. Nasze rodziny przyjaźnią się od lat. Często rozmawialiśmy. Chyba to lubiła. Można więc powiedzieć, że znam twojego wuja, choć

rozmawialiśmy tylko przez telefon. Kiedy zaczęły się niesnaski między twoimi rodzicami, ona nie potrafiła sobie z tym poradzić. Całymi dniami siedziała w zamknięciu i rozmawiała sama ze sobą. Lekarze z marynarki próbowali jej pomóc, w końcu jednak znalazła się w zakładzie.

- Wuj nigdy mi nie powiedział, na co była chora. Mówił tylko, że wysłano ją gdzieś, gdzie się nią zaopiekowano.

- Młody byłeś. Nie chciał ci sprawiać przykrości.

- Gdyby nie ona, nie już nie łączyłoby mnie z Rosją. Nie próbowałem jej odszukać i teraz się tego wstydę. Bałem się prawdy. Że mnie porzuciła.

Akimow wstał i wyciągnął z kieszeni zapaćkane okulary, które nałożył na nos. W innej kieszeni znalazł kopertę i położył ją na stole. Zapiał marynarkę, wziął głęboki oddech. Każdy ruch był wyćwiczony, jakby miał wygłosić oficjalną mowę.

- Nie jestem tu po to, by zwracać ci głowę przeszłością, Michaił. Ważne, byś zrozumiał, jakie mam relacje z twoją rodziną. - Wyjął z kopty kartkę i podał Mike'owi. - Tu masz adres matki, gdybyś chciał się z nią zobaczyć lub do niej napisać. Nie jest jeszcze stara. Może lekarze jakoś jej pomogli.

Mike odczytał adres, złożył starannie karteczkę i wsunął ją do portfela.

- Jak sądzę, masz też kartkę z adresem ojca?

- To stary adres - odparł Akimow. - Jeśli napiszesz, może podadzą ci aktualny.

- Więc żyje?

- Możliwe. Napiszesz do niego?

- Może. Nie wiem.

- Zostawię tę kartkę. Sam zadecydujesz. Twój ojciec, widzisz, posiadał kiedyś coś, co powinno ci szczególnie zainteresować.

Mike skrzyżował ręce na piersi.

- Cóż takiego?

- W dzień po twoich narodzinach ojciec zaprosił na wieczór czworo przyjaciół, by to uczcić. Dwóch poruczników, jak on, mnie, wtedy starszego miczmana. Czwarty był Artur Prekner, cywil. Domyślasz się zapewne, że piliśmy na umór i rżnęliśmy w karty. W końcu zaczęliśmy grać na pieniądze. Wznosiliśmy toasty: za ciebie i za twoją matkę, za twoich dziadków i babki, i za Chruszczowa, i za zabójstwo Kennedy'ego. Mówili ci kiedyś o tym wieczorze? - spytał poważnie, zerkając znad okularów.

Mike pokręcił głową.

- Twój ojciec dużo wypił, zresztą jak zwykle. Nie dość jednak,

że był pijany, to jeszcze nie szła mu karta. Przegrał wszystkie pieniądze i zegarek. Grał jednak dalej. Ostatnie rozdanie. Był pewien, że się odegra. Z licytacji odpadli wszyscy poza jednym graczem. Też oficerem. Twój ojciec postawił wszystko, co miał. Zaczął się zapożyczać, aż w końcu musiał udowodnić wypłacalność. Postawił na stole pudro i wyjął z niego zdobione klejnotami jajko, które, jak twierdził, zostało wykonane przez Fabergého dla carycy Aleksandry. Twój ojciec dostał je od swojego ojca i zamierzał przekazać tobie. Nikt z nas nie miał pojęcia, ile jest warte. Wiedzieliśmy jednak, że o wiele więcej niż wszystko, co postawił w ostatnim rozdaniu. Twój ojciec był jednak uparty jak osioł. No i przegrał.

- Przejechałeś taki szmat drogi, by mi powiedzieć, że mój ojciec przegrał jajko zdobione klejnotami... bo był pijany i bezmyślnie uparty?

- Cierpliwości, Michaił -uspokajał Akimo w. Mike nie krył irytacji. I mówił dalej: - Służyłem w marynarce, wciąż nie kwapiąc się do zakończenia służby. Jednak zmusili mnie, po pięćdziesiątce, do przejścia na emeryturę. Przez cztery lata właściwie nic nie robiłem. I wyobraź sobie, cztery lata temu przedstawiono mnie temu gościowi, który wygrał od twego ojca jajko Fabergého. Po pieriestrojce zaczął rozkręcać biznes, import-eksport. Czerpał z tego wielkie zyski, gdy trafiał w odpowiedni czas z właściwymi towarami. Spryciarz, ale miał jedną wadę: pieniądze się go nie trzymały. Szybciej je wydawał, niż zarabiał. Wtedy jednak dobrze się nam współpracowało. Nie byłem bez doświadczenia, znałem się niezłe na transporcie lądowym i morskim. No i dość miałem skromnej emerytury. Płacił mi dolarami, nawet do dwudziestu tysięcy, gdy interesy dobrze szły. - Przerwał. - W Sankt Petersburgu to istna fortuna - dodał po chwili.

- Z pewnością, Sasza. - Mike zerknął na zegarek, wyraźnie sugerując, że chciałby jak najszybciej zakończyć to spotkanie. - Powinienem już iść, czekają na mnie.

- Jeszcze tylko kilka minut, Michaił - zapewnił Akimow. Podeszedł do szklanych paneli i patrzył z uwagą na kłębiący się w sali wystawowej tłum. Wróciwszy do stołu, kontynuował swoją opowieść: - Dziesięć dni temu powiedziano mi, że nie jestem potrzebny. Że czas, bym zaczął korzystać z emerytury. Zostałem zaproszony do biura tego człowieka. W gabinecie skórzane fotele, telewizor, perski dywan... Spotkaliśmy się późnym popołudniem i byliśmy sami. Na biurku stała butelka wódki. On rzadko pije wódkę, ale tego dnia opróżnił parę kielichów. Chciał pogadać. Spytał, czy pamiętam tamten wieczór u twojego ojca, kiedy graliśmy w karty. Jak gospodarz za dużo wypił i postawił jajko Fabergého. Ja mu na to, że pamiętam, jak...

- Już mi to mówiłeś, Sasza. - Cierpliwość Mike'a była na wyczerpaniu. - Proszę cię...

- Musisz tego wysłuchać, Michaił. Musisz wiedzieć dwie rzeczy.

- Tylko dwie? - Mike uniósł dłoń z wyprostowanymi dwoma palcami.

- *Da*. Jedna to jajko Fabergégo. Druga to prawda o procesie twojego ojca.

- Chętnie wysłucham, co masz mi do powiedzenia, Sasza - westchnął - ale później, gdy będzie czas, żeby spokojnie porozmawiać.

Akimow znów napełnił swoją szklanke.

- *Wasze zdrowie!* - Opróżnił ją duszkiem. Mike się uśmiechnął. Sięgnął po butelkę, nalał sobie odrobinę i wypił. Usiadł wygodnie, zrezygnowany, by wysłuchać, z czym przyszedł ten pocieszny człowieczek.

- Spytał mnie, czy pamiętam, jakie karty miał Wasyl, a jakie wygrały. Pamiętałem, że twój ojciec miał cztery walety, a tamten cztery damy. Pomyśl tylko! Mówię mu: szansa na to, że dwóch na pięciu graczy dostanie cztery walety i cztery damy, jest jedna na milion.

- To bardzo interesujące, Sasza, ale pospiesz się, proszę.

- Potem spytał mnie - ciągnął niezrażony Akimow - czy jeszcze coś pamiętam z tamtego wieczoru. Zwłaszcza z ostatniego rozdania. No to powiedziałem, że nigdy nie zapomnę tych czterech waletów i czterech dam. Wtedy on dał mi kopertę. Otworzyłem. Pomyślałem, trafiła się kupa forsy, ale to były i dolary, i marki, i franki... Dopiero później się zorientowałem, że dał mi niecałe dwa tysiące dolarów. Po tym wszystkim, co dla niego zrobiłem! Kiedy już miałem wyjść, spytał mnie, czy przypominam sobie jakieś szczegóły związane z oskarżeniem twojego ojca o morderstwo. Powiedziałem, że nie, a on pyta jeszcze raz. No to znowu powiedziałem, że nie. Wziąłem kopertę i wróciłem do domu. Spakowałem, co potrzeba, do małej walizki, poszedłem na dworzec i porannym pociągiem pojechałem do Moskwy. Znalazłem hotel niedaleko lotniska. Mieszkałem tam przez trzy dni. Porządkowałem swoje sprawy. Zadzwoiłem do Londynu i nowego Jorku. Kupiłem bilet Aeroflotu do Kopenhagi, a stamtąd przyleciałem tutaj.

Coś w tym słowotoku wyraźnie zainteresowało Mike'a. Aż się pochylił do przodu, łowiąc każde słowo. Przypominał sobie dawno nie-słyszany rosyjski.

- Jajko Fabergégo należy do ciebie - oznajmił Akimow. - Jest war te wiele milionów dolarów. Musisz je odzyskać, Michaił.

Mike'a zatkano. Zerwał się na równe nogi, wpatrując w siedzącego vis-à-vis Akimowa.

- Twierdzisz, że jajko Fabergégo należy do mnie. Przedtem mówiłeś, że ojciec przegrał je w pokera. W takim razie nie jest już moje.

- Posłuchaj. Człowiek, o którym ci opowiadałem, zdobył ogromną władzę w Sankt Petersburgu. Importuje artykuły medyczne ze Szwajcarii, przepakowuje towar i handluje nim w Kijowie albo w Moskwie. Pierwszy sprowadził do Petersburga kasety wideo; w swoich fabrykach robi kopie i sprzedaje jako oryginały. Ma laboratorium chemiczne, w którym podrabia drogie perfumy. Sprzedaje je potem w opakowaniach identycznych z oryginalnymi. Prawo nic dla niego nie znaczy. Mówi, że jest handlowcem, biznesmenem... - Akimow zaśmiał się sarkastycznie. - Wykorzystał swoje koneksje w partii i stworzył przestępczy syndykat. To *wor*. Wiesz, kto to taki?

Mike nie wiedział.

- *Wor w zakonie*, mafioso.

Mike w zamyśleniu potarł podbródek.

- Dużo się dowiedziałem, ale nadal nie znam jego nazwiska. Po wiedz, Sasza, jak ten skurwiel się nazywa?

Akimow odstawił szklanekę i pochylił się nad stołem.

- Poznasz je, jednak najpierw...

Raptem otworzyły się drzwi. Do pokoju napływała muzyka, dochodził też hałas z sali wystawowej. Gdy Mike i Sasza się odwrócili, ujrzeli młodą kobietę w kremowej bluzie Carsona. Zamknęła drzwi i postąpiła krok do przodu. Była ładna mimo zbyt mocnego makijażu. Miała krótkie blond włosy oraz nad podziw zgrabną figurę. Szybkim spojrzeniem zlustrowała pokój i zatrzymał wzrok na Akimowie.

- Cześć - odezwał się Mike. - Przepraszam, nie pamiętam, jak masz na imię. Już kończymy. - Z tymi słowami wstał. - Powiedz reszcie, że zjawię się za minutkę.

Nagle, jakby za sprawą magicznego triku, w dłoni kobiety pojawił się pistolet wycelowany w Akimowa. Mike zareagował błyskawicznie. Rzucił w dziewczynę tym, co miał akurat pod ręką - butelką wódki. Trafił nieznajomą w ramię, gdy broń wypaliła. Sasza okrzyknął i upadł. Mike skoczył ku kobiecie, ale zdążyła strzelić jeszcze raz w Akimowa. Błyskawicznie otworzyła drzwi i rzuciła się do ucieczki. Mike ruszył za nią, wzywając pomocy.

- Zatrzymaj ją, Dennis. Biegnie w twoją stronę!

Okrzyk Mike'a utonął w głośniejszej muzyce. Jednak były obrońca Giants zobaczył kobietę torującą sobie drogę ku schodom. Zorientował się też, że Mike usiłuje ją złapać. Powstało zamieszanie i Lenny Sulzberger

zobaczył, jak blondynka zbiega ze schodów prosto w objęcia postawnego futbolisty. Potężna dłoń Dennisa opadła na ramię dziewczyny. W tym momencie szarpnął głową, a jego oczy rozszerzyły się z bólu i niedowierzania. Złapał się za prawy bok, nieco powyżej pasa. Palce natrafiły na masywną rękojeść noża. Mężczyzna zachwiał się i padł na ziemię.

Dzieci zaczęły krzyczeć. Ludzie, zobaczywszy leżącego w kałuży krwi olbrzyma, cofnęli się przerażeni. Zapanował chaos. W całym tym zamieszaniu dwie osoby dotarły do samochodu na parkingu dla klientów i odjechały.

ROZDZIAŁ 5

Boulevard Plaża Motel. Nic nadzwyczajnego. Dwupiętrowy budynek z czerwonej cegły, przestarzały już w chwili wybudowania. Jediną zaletę stanowiła lokalizacja - dwadzieścia minut drogi od Portu Lotniczego imienia Kennedy'ego, na Rockaway Boulevard, w sercu South Ozone Park. Ze stawkami o połowę niższymi niż na Manhattanie był popularny wśród sprzedawców utrzymujących się z prowizji oraz tych wszystkich, którzy chcieli zdążyć na poranny lot.

Boulevard Plaża to także jeden z moteli na liście New World Travel - biura podróży w zachodnim stylu, wchodzącego w skład wciąż rozrastającego się konglomeratu, od niedawna w biurze przy Newskim Prospeckie, w pobliżu stacji metra Gostinnyj Dwór w Sankt Petersburgu. Kierownikiem był Fiodor Puserow, szpakowaty mężczyzna w wieku pięćdziesięciu dwóch lat, ze wczesnymi objawami rozedmy płuc i światłowstrętu. Dwadzieścia siedem lat pracował w agencji Intourist. Swą karierę w administracji zwińczył stanowiskiem dyrektora leningradzkiego biura. Dokładnie w czternaście tygodni po jego nominacji urząd do spraw turystyki odszedł na dobre w zapomnienie.

Puserow zarezerwował dwuosobowy pokój na trzy noce, płacąc z góry w dolarach za pośrednictwem Narodowego Banku Finlandii. Rezerwacji dokonano na Wiktora i Galinę Łysenko z Kijowa. Para zajmowała pokój numer 12. Wynajęty samochód, z gorącą jeszcze maską, zaparkowali pod oknami pokoju.

Galina Łysenko stała przed lustrem, przypatrując się sobie. Jej piękna twarz była pozbawiona wyrazu. Paznokciami pokrytymi

dyskretnie czerwonym lakierem musnęła logo Carsona wyszyte na kieszonce przy-dużej bluzy. Zdjęła ją i rzuciła na łóżko. Następnie zdjęła apaszkę, zawiązaną tak, by przypominała krawat, potem bluzkę... Zsunęła spódniczkę i stała nadal, oglądając się w lustrze. Uśmiechnęła się najwyraźniej zadowolona. Czarny biustonosz, figi i pończochy oraz szpilki, w których mierzyła prawie metr siedemdziesiąt pięć, wszystko to razem sprawiało, że wyglądała seksownie. Miała szerokie ramiona, ładne wcięcie w talii i pełne piersi, nieskrępowane teraz biustonoszem. Wzięła kilka głębokich oddechów. Przeszył ją dreszcz, a uśmiech zniknął. Przymknęła oczy. Na toaletce przed nią leżał poręczny pistolecik Semmerling - zwodnicze dziesięć centymetrów zabójczej siły rażenia z pięcioma nabojami lugera kaliber 9 milimetrów, 124 gramów w magazynku. Wzięła go w dłonie ostrożnie. Poczła delikatny zapach smaru i spalonego prochu. Po chwili odłożyła pistolet, jakby miała do czynienia z niezwykle cennym przedmiotem. Przeszesała dłońmi włosy i pozwoliła im opaść na ramiona.

Uśmiech powrócił na jej twarz, gdy zobaczyła w lustrze, że otwierają się drzwi od łazienki i pojawia się w nich nagi mężczyzna, energicznie wycierający się ręcznikiem. Patrzyła, jak zbliża się do niej. Poczła, gdy stanął za jej plecami. Oczy Wiktora Łysenki znalazły się na wysokości oczu Galiny. Był szczupły, ważył niewiele więcej od niej. Oboje uderzająco podobni - ten sam kolor włosów i oczu, te same rysy twarzy. Mogliby być bliźniętami. I ona, i on mieli wysokie czoła, wyraziste łuki brwi, duże brązowe oczy, małe nosy i pełne usta, silnie zaznaczone podbródki i wysmukłe szyje. Przez chwilę delectowali się widokiem swoich odbić w lustrze, w końcu Galina się odwróciła i zarzuciła Wiktorowi ramiona na szyję. Przytulili się do siebie. Pocałunek był długi i namiętny.

Oderwała się od partnera raptownie.

- Strzeliłam do niego dwa razy - mówiła po rosyjsku - ale ten drugi, Karsałow, rzucił we mnie butelką. Nie... - patrzyła Wiktorowi w oczy - ..nie jestem pewna, że Akimow nie żyje.

- Rozmawialiśmy już o tym. - Dotknął palcem jej ust. - Widziałas krew na jego szyi, widziałas, jak pada. - Pokręcił głową. - Ty nie chybiesz celu.

Jednak to jej nie uspokoiło. Wciąż była zachmurzona i spięta.

- Zawsze wiem, kiedy trafiam. Tym razem nie.

- Jutro, Galino. Jutro się dowiemy.

ROZDZIAŁ 6

Szpital w dziwny sposób pociągały Mike'a Carsona. Szpital Uniwersytecki North Shore nie był wyjątkiem. Może to przez ulotne wspomnienie z dzieciństwa, kiedy marzył, że któregoś dnia zostanie lekarzem. Spojrzał na zegarek po to tylko, by stwierdzić, że zerkał nań ledwie cztery minuty wcześniej. Dwie minuty po północy. Już sobota.

- Za długo to trwa - odezwał się.

- To dobry znak - uspokoiła go Patsy Abromowitz. Siedziała na twardym plastikowym krzeselku, z pewnością zaprojektowanym nie dla osób o normalnej sylwetce. Nie miała jednak wyboru, wszystkie krzesła w ciasnej poczekalni były takie same. Mogła tylko skulić się na swoim i przecierpieć. - Gdyby od razu wyszli, powiedzieliby, że nie żyje.

Mike przytaknął niechętnie. Podeszedł do wahadłowych drzwi, z dużym oknem w każdym skrzydle. Stał przez chwilę bez ruchu, patrząc na długi korytarz, na zielone i żółte symbole nad drzwiami i oznaczone czerwonym znakiem wyjście, trzydzieści metrów dalej.

-Mówisz, że ledwo znasz tego człowieka, że widziałeś go, gdy byłeś jeszcze dzieckiem... - Patsy przyglądała mu się badawczo. -Ale martwisz się o niego, prawda?

- No pewnie. Chcę, żeby przeżył. - Znow zerknął na zegarek, odwrócił się i podeszedł do Patsy. - Próbowałem go spławić, ale on nalegał na rozmowę, twierdził, że musi mi powiedzieć o pewnych sprawach. Nie byłem tym zainteresowany, ale w końcu się zgodziłem. Zaczął opowiadać o mojej matce i o jajku Fabergégo, które kiedyś miał mój ojciec. I jeszcze o ojcu... - Urwał. - Miał mi opowiedzieć o moich rodzicach. Chciałem usłyszeć więcej. Wtedy zjawiała się ta kobieta. Miała na sobie nasz uniform. Nigdy wcześniej jej nie widziałem, ale od razu bym ją poznał. - Postrzeliła Akimowa. O co w tym wszystkim, do cholery, chodzi? - Usiadł obok na krzeselku i mówił dalej : - Słuchaj, to się stało w moim biurze, w moim budynku. Akimow przyszedł do mnie. Jestem odpowiedzialny za to, co się wydarzyło.

- Nie, Mike - zaoponowała twardo Patsy. - Ktokolwiek go postrzelił, był piekielnie sprytny. A właściwie byli. Absolutnie nie możesz się obwiniać.

- Myślisz, że z Dennisem wszystko w porządku?

- Robią mu transfuzję. Będzie wiadomo na sto procent, kiedy skończą zabieg. Chyba nie ma powodów do niepokoju. Tyle tylko, że stracił sporo krwi.

- Biedaczysko, wyglądał jak ranny hipopotam.

Otworzyły się drzwi. Sierżant policji przytrzymał je mężczyźnie po cywilnemu.

- Pan Carson? - zapytał sierżant.

Mikę potwierdził.

Tajniak pokazał odznakę. Peter Crowley, detektyw z szóstego posterunku policji w hrabstwie Nassau. Wyrecytował te informacje tonem lekko ironicznym, jakby zakładał, iż Mike Carson jest analfabetą.

- Muszę coś napisać o całym tym gównie - oświadczył bezceremonialnie. - Mogę zadać kilka pytań?

Mikę przeszył wzrokiem młodego detektywa. Nauczył się wyczuwać tę aurę wyższości otaczającą ludzi reprezentujących władzę - prawdziwą lub urojoną. W ten sam sposób niektórzy, uważający się za elitę, Amerykanie spoglądali na nieszczęsnych pechowców, którzy urodzili się za granicą. Widać było, że przeciętnego wzrostu detektyw o ospowatej twarzy wyhodował sobie nieproporcjonalnie wielkie uprzedzenia.

- Nie możemy tego zrobić jutro? - spytał Mikę.

- Możemy, ale chcę to zrobić teraz. - Crowley stanął przed Mikiem, dając sierżantowi znak wzrokiem, by stanął obok niego. - Jeśli zrobimy to teraz, panie Carson, nie będziemy musieli jeszcze raz przechodzić przez to gówno - dodał z pogardliwym uśmiechem.

Mikę popatrzył na jednego, potem na drugiego. Wreszcie spokojnym głosem opisał, jak młoda kobieta w uniformie Carsona weszła do jego biura, wyciągnęła pistolet, postrzeliła Saszę Akimowa i uciekła.

- Ile miała lat? Była wysoka? Chuda? Rude włosy...?

-Dobrze wyglądała. Nie potrafię powiedzieć, ile miała lat. Za szybko to się stało. Była wysoka. Blondynka.

- Dobrze wyglądała? Dobrze to wygląda moja ciocia. Co pan ma na myśli? Była ładna? Piękna?

- Miała piękną twarz. Może być?

- A budowa ciała? Wie pan, co mam na myśli? - Crowley położył dłoń na piersi.

- Mówiłem już, to stało się zbyt szybko, żebym zauważył szczegóły.

- Na ten szczegół większość mężczyzn zwraca uwagę - zareplikował Crowley. Ton jego głosu świadczył, że podał właśnie informację niezmiernie ważną dla sprawy. - Powiedziała coś?

Mikę pokręcił głową.

- Nie. Słyszałem tylko wystrzał z pistoletu. Dwa strzały z

odległości sześciu metrów.

- Jest pan pewien, że były dwa strzały? Nie trzy, nie jeden, tylko dwa?

- Przecież mówię.

- Była pańską pracownicą?

- Oczywiście, że nie.

- Ale powiedział pan, że miała na sobie strój firmowy.

- Dwoje moich sprzedawców znaleziono w biurze sprzedaży używanych samochodów. Związanych i zakneblowanych. Pańscy ludzie z pewnością o tym wiedzą.

- Panie Carson, nie mam pojęcia, co wiedzą, a czego nie wiedzą inni. Moim zadaniem jest rozpoznanie sprawy, a do tego potrzeba jak najwięcej szczegółowych danych. - Crowley bawił się kolejnym niezapalonym papierosem. - Proszę mi powiedzieć o tym całym Akimowie.

- Niby co mam powiedzieć? - zdziwił się Mike.

- Czy to znajomy, klient, partner biznesowy... takie tam pierdoły.

- Takie tam co?

- Pan wybaczy, panie Carson - wysyczał Crowley. - Spróbuję wyrażać się jaśniej. Czy zna pan tego Akimowa?

- Tak. Z czasów dzieciństwa.

- Jest Rosjaninem?

Mike skinął głową.

- Pan także jest Rosjaninem, prawda?

- Jestem obywatelem amerykańskim.

- Ale urodzonym w Rosji? -

Ajakie to ma znaczenie?

- Panie Carson, gównu mnie obchodzi, gdzie się pan urodził. Próbuję tylko zrozumieć cokolwiek z tego, co się stało po południu w pana biurze. Jeszcze raz. Co pan wie o Akimowie?

Mike wpatrywał się w młodego policjanta. Zauważył żółte plamy na palcach prawej dłoni. Widać było, że Crowley marzy o papierosie. Mike doszedł do wniosku, że to wyjątek potwierdzający regułę - większość policjantów, z którymi miał do czynienia, także detektywów, to uprzejmi, rozsądni ludzie.

- Sasza Akimow znał moich rodziców - powiedział w końcu.

- Przyszedł w interesach?

- Można tak powiedzieć.

- Jakiego rodzaju interesach?

- Sprawa osobista.

- Czy sądzi pan, że ta sprawa osobista ma coś wspólnego z faktem, że jakaś lasencja wpada do pana biura i strzela do pańskiego gościa?

- Gdybym wiedział, kim była i kto ją przysłał, może mógłbym znaleźć powiązanie.

- Mówił pan, że go pan nie widział od dzieciństwa. I zjawił się tak nagle po latach? Trochę to dziwne, prawda?

Mike nie raczył odpowiedzieć.

- Słuchaj pan, panie Carson, musisz pan przyznać, że to cholernie dziwne. Facet przyjeżdża z wizytą taki szmat drogi, a potem strzelają do niego na pana oczach. Może gdybyśmy wiedzieli, po co do pana przyjechał, wpadlibyśmy na coś.

- Pomyślę nad tym - odparł Mike.

- Oż kurde. Pomyśli pan. - Crowley wyjął papierosa, niemal uniósł go do ust, po czym z wściekłością wcisnął do paczki. - A jak już pan pomyśli, to da mi pan znać? Czy może zwoła konferencję prasową?

Patsy Abromowitz przewróciła oczami, przymknęła je i wydeła usta, jakby chciała coś powiedzieć. Zamiast tego uśmiechnęła się niczym Mona Lisa.

W drzwiach pojawił się mężczyzna w lekarskim fartuchu i czepku. Z szyi zwisała mu maska. Pod oczami miał ciemne obwódki, twarz pokrywał jednodniowy zarost.

- Czy któryś z panów to Mike Carson? - odezwał się, nie odrywając wzroku od trzymanej w ręce kartki.

Crowley wskazał Mike'a kciukiem.

- Ja jestem Peter Crowley. Policja.

-Nazywam się Kapłan - zwrócił się do Mike'a lekarz. - Miałem właśnie obchód, kiedy wezwano mnie do wypadku. Zrobiliśmy, co w naszej mocy, dla pana Akimowa, jednak gardło zostało poważnie uszkodzone. Prawdę powiedziawszy, jestem zaskoczony, że przeżył. Tylko dlatego, że pocisk minął tętnicę szyjną i nie przerwał rdzenia kręgowego. Cud.

- Będzie żyć? - zapytał Mike.

- Jeśli nie wystąpią komplikacje wskutek tracheotomii, to przeżyje.

- Będzie mógł mówić? - chciała wiedzieć Patsy.

Kapłan westchnął ze znużeniem.

-Wymaga laryngoplastyki, czyli operacji odtworzenia krtani. Przy pewnej dozie szczęścia i po długiej terapii będzie w stanie wydusić z siebie jakiś dźwięk. Więcej nie mogę teraz powiedzieć.

- Był w odwiedzinach - powiedział Mike. - To Rosjanin.

- Mówiono mi - potwierdził Kapłan. - Mają tam dobrych lekarzy, ale obawiam się, że nie zniósłby długiej podróży.

- Zakładając, że nie wraca... Gdzie można wykonać tę operację?

- Choćby tu, zresztą w każdym dobrym szpitalu. To nie operacja

na otwartym sercu. Ale powinien to zrobić lekarz z dużym doświadczeniem. No i pozostają koszty.

- Pokryję je - zapewnił Mike.

- To skomplikowana procedura - ostrzegł Kapłan. - Droga.

- Powiedziałem, że to pokryję - powtórzył dobitnie Mike. - A jak tam LeGrande... ten wielkolud?

Kapłan po raz pierwszy się ożywił.

-W porządku, z wyjątkiem wysokiej gorączki, która nas trochę martwi. Każdy tu zna Dennisa. No, każdy fan Giants.

- Gorączka? Dlaczego?

- Stracił dużo krwi. Musieli mu sporo przetoczyć. Czasem dochodzi do takich komplikacji. Mógł też coś złapać. Jest na obserwacji.

- Akimow też?

- Jest na intensywnej terapii. Monitorujemy go.

- To nie wystarczy - stwierdził Mike. - Przydzielę mu jednego ze swoich ludzi.

- Tylko za naszym pozwoleniem - uprzedził Peter Crowley. - Ma pan jakieś zastrzeżenia do ochrony szpitala?

- Ktoś był na tyle sprytny, że dostał się do mojego biura, ubrany w firmowy uniform i postrzelił Akimowa. Ten ktoś chce, żeby umarł. Ja chcę, żeby żył.

ROZDZIAŁ 7

Na zewnątrz, typowy londyński dzień, mgła i wilgoć. Wewnątrz, na piętnastym piętrze, w narożnym biurze Elliotta Hestona, zastępcy komisarza grupy dowodzenia operacyjnego Nowego Scotland Yardu powietrze aż iskrzyło od emocji. Doszło do konfliktu między starymi przyjaciółmi. Było sobotnie popołudnie, ale sprawy osobiste nie mogły czekać.

Wysoki jak tyka Heston opadł na fotel.

- Obiecałeś, że jeszcze się nad tym zastanowisz. Jestem pewien, że gdybyś wszystko przemyślał dokładnie, nie obstawałbyś tak bardzo przy swoim. - Odgarnął z czoła niesforny kosmyk. - Oczywiście wątpliwe, żebyśmy jeszcze kiedykolwiek pojechali razem na ryby - tu zawiesił na moment głos - jak za dawnych, dobrych czasów - dodał tonem zbolałym.

Detektyw nadinspektor Jack Oxby zajął miejsce przy narożnym

oknie. Oparł się o parapet, ręce skrzyżował na piersi, głowę przechylił na bok jak ktoś, kto chce lepiej słyszeć lub sprawiać wrażenie, że uważnie słucha. Uśmiechał się lekko. Firmowy uśmiech Oxby'ego... rozbijający lub zwodniczy, zależnie od okoliczności. Uśmiech odbijający się w niebieskoszarych oczach, które umiały dostrzegać to, co niewidoczne.

Oxby mierzył metr siedemdziesiąt pięć, lecz wyglądał na wyższego. Wydatny nos, choć długi, nie czynił go mniej przystojnym. Darem od Boga był głęboki głos. Przydał mu się, gdy pracował w telewizji po ukończeniu Cambridge. Dzięki wsparciu rodziców oraz długiemu pobytowi na kontynencie Oxby mówił już wówczas po francusku niczym paryżanin, a po włosku jak rodowity mieszkaniec Florencji. Potrafił wychwycić i naśladować całą gamę brytyjskich akcentów. Ten rzadki

talent wykorzystał w karierze zawodowej w londyńskiej policji, którą w końcu wybrał.

- Więc sprowadzasz naszą przyjaźń do chodzenia na ryby - podsumował Oxby. - To chcesz mi powiedzieć? Oczekujesz, że przygotuję ci haczyki i przynętę, a potem oczyszczę każdą rybę, którą jakimś cudem złapiesz. A jeśli nie, to koniec z przyjaźnią?

- Nie zaczynaj - obruszył się Heston. - Dobrze wiesz, że sam potrafię wybrać przynętę, łapać ryby i je czyścić. - Zdawać się mogło, iż chciał rozwinąć ten temat. Wędkarstwo było dla niego niewyczerpanym źródłem przyjemności. Naraz jednak zmienił ton. - Ale ja cię tu potrzebuję. Twojego doświadczenia. Chcę, żebyś szkolił młodziaków.

- Spuścił wzrok, jakby w nadziei, że jego rozmówca nie zaprotestuje. - Słuchaj, Jack - ciągnął - kiedy klamka zapadła, nie ma co mówić o morale. Moi najlepsi ludzie, ty przede wszystkim, chcą się wycofać. Chciałbym ci pomóc na rękę...

- Na rękę? Chyba w podkutyh buciorach, Elliott. Zdezorganizowali pracę wydziału sztuki i antyków w imię dwóch świętych „o”: operatywności i oszczędności.

- Sam wiesz, jak kombinują - westchnął Heston.

- Trafna uwaga, Elliott. Czas, żebym sam trochę pokombinował. Spłaciłem wszystkie swoje długi. Nic mnie już nie trzyma.

- Więc decyzja zapadła?

- Można tak powiedzieć. Mam jeszcze pięć tygodni zaległego urlopu. Niewykluczone, że pojadę na północ. Odwiedzę starych przyjaciół, pogram w golfa...

- Chryste, tylko nie w golfa! - Wypowiedział to słowo z obrzydzeniem, niczym nazwę złośliwej choroby. - Nie dość, że odchodzisz ze służby, to jeszcze chcesz grać w to obrzydlistwo?

- Dlaczego nie? Wystarczy trochę praktyki. Potrafię równie dobrze grać w golfa, jak wędkować. - Uśmiechnął się. - Może do mnie dołączysz na kilka dni?

- Przecież wiesz, że się nie wyrwę, póki nie skończę tej reorganizacji. - Heston wstał i krążył wokół biurka. Wreszcie zasiadł za nim, twarzą do Oxby'ego.

- Uważasz, że umniejszyli znaczenie wydziału, ale przypomnij sobie, już tak bywało i zawsze zdołaliśmy jakoś go odtworzyć. Sięgnął po kopertę oznaczoną „Poufne”. - Tymczasem masz tu ode mnie nominację na detektywa inspektora.

Oxby przyglądał się kopercie sceptycznie. Wreszcie otworzył ją i wyjął wszystkie te pisma, noty i formularze z oficjalnymi pieczęciami

- kilkanaście arkuszy biurowej papki. Przejrzawszy kilka stron, włożył wszystko do koperty i położył ją na biurku Hestona.

Popatrzył na komisarza i pokręcił głową

- Pracuję w Scotland Yardzie od piętnastu lat - powiedział. - Ni gdy tego nie żałowałem. Nawet kiedy do mnie strzelano, próbowano zadźgać nożem czy przestraszyć na śmierć. Odchodzę, zanim przestanę to lubić.

-Na zawsze? Mówiłeś o urlopie. W porządku! Odpocznij sobie i wracaj. Dostaniesz nowe stanowisko, inny zakres obowiązków, więcej pieniędzy...

- Już zdecydowałem, Elliott. Możesz mi tylko życzyć powodzenia.

- No to powodzenia - odszczeknął się Heston. Z powrotem opadł na swój fotel. - Co zrobisz, jak już się nagrasz w golfa? Opiszysz wszystkie mroczne sekrety historii Scotland Yardu?

-Nie pomyślałem o tym - Oxby się uśmiechnął - ale kto wie...

- Odsunął krzesło i zasiadł przed biurkiem Hestona. Z kieszeni koszuli wyjął wizytówkę i położył ją na blacie. - Mówi ci to coś? - spytał.

Nie musiał czekać na odpowiedź Hestona.

- Oczywiście. Christopher Forbes to syn Malcolma Forbesa. Znam trochę jego ojca. Z czasów, gdy kupił Old Battersea House. Wieczny chłopiec - dodał, machnąwszy ręką. - Motocykle, randki z Liz Taylor. .. Co cię łączy z Chrisem?

- Kip, bo tak życzy sobie być nazywany, chce, żebym znalazł jajko.

- Jajko? - Heston aż się skrzywił.

- Zacznijmy od tego, że Kip pomógł ojcu zgromadzić największą na świecie prywatną kolekcję carskich pisanek Fabergégo.

- Nie wiedziałem, że większą niż królowa, ale czy mógłbyś odpowiedzieć na moje pytanie. Jakież to jajko masz znaleźć dla Kipa Forbesa?

- Carskie. Zrobione na zamówienie Grigorija Rasputina.

- Śmiechu warte. - Heston nie dowierzał. - Ktoś myśli, że istnieje takie jajko?

- Nawet dość sporo osób. To jedna z wielu fascynujących pogłosek o carycy i Rasputinie, które wciąż krążą. Niedawno odżyła po artykule prasowym w gazecie wychodzącej w Schaffhausen, w Szwajcarii. Forbes przesłał mi jego kopię. Pewna stara panna zmarła w wieku dziewięćdziesięciu czterech lat. Nie miała spadkobierców, nie pozostawiła po sobie testamentu. Kiedy sąd inwentaryzował dobytek tej kobiety, znaleziono kufer zawierający zapiski jej ojca, niejakiego Augusta Hollminga. Był on pomocnikiem mistrza w warsztacie

Fabergégo w Sankt Petersburgu w czasie rewolucji. - Oxby podał rozmówcy kopię wycinka z gazety. - Znasz niemiecki, prawda? - Otyłe, o ile.

- Jak widzisz, Hollming wymieniał informacje z innymi pracownikami warsztatu Fabergégo. Jedna z nich tyczy się Rasputina.

Heston przestudiował wycinek.

- Fabergé musiał wiedzieć, że Rasputin to szarlatan, pijak i kobieciarz - orzekł.

- Nie dla Aleksandry. Caryca uważała go za świętego. Wierzyła, że kilkakrotnie uratował życie jej syna. Poza tym kobiety lubiły tego łajdaka. Obdarowywały go klejnotami i złotem. Mógł więc pozwolić sobie na opłacenie Fabergégo, i wynagrodził złotnika sowicie, jak mniemam.

-Przez ten nędzny świstek z... jak mu tam? Schaffhausen? ...zamierzasz porzucić Scotland Yard i zaprzepaścić swoją przyszłość?!

- Elliott, apeluję o spokój. Już rozmawialiśmy na ten temat.

- Ale musi być coś więcej niż ten wycinek.

-I owszem. - Oxby wyciągnął kolejną kartkę, którą wręczył Hestonowi. - To odręczna notatka Henrika Wigstroma dla Augusta Hollmin-ga, z listopada 1915 roku. Obaj byli Finami, więc notatka jest po fińsku. Forbes wyszukał ją jakoś dzięki swym kontaktom w Genewie. W owym czasie, w 1915, Wigstrom był mistrzem zajmującym się carskimi pisankami. Nie znam fińskiego, ale powiedziano mi, że notka to potwierdzenie pewnego szczegółu dotyczącego konstrukcji carskiego jajka. Potrafię tu tylko odczytać trzy cyfry: dwa, jedenaście i dziewięć.

Heston zerknął tylko na notkę i oddał ją Oxby'emu.

- Jakoś nie robi to na mnie wrażenia.

- Jakoś mnie to nie dziwi.

Heston pokręcił głową i ciężko westchnął.

- Zamierzasz poszukiwać wielkanocnej pisanki? - rzekł w końcu.

- Na to wygląda. Najpierw potwierdzę, że Rasputin faktycznie zamówił ją u Fabergégo. Potem muszę się przekonać, że jajo wciąż istnieje. A nie będzie to proste. Była wojna, mogło wylecieć w powietrze, mogli je przetopić... Jeśli jednak wszystko się potwierdzi, ruszam na poszukiwanie!

- Pewnie byłoby warte fortunę.

- Jakieś pięć milionów dolarów. Jeśli maczał w tym palce Rasputin, to nawet więcej.

Heston zachmurzył się jeszcze bardziej.

- Jeśli owa błyskotka nie pojawiła się po osiemdziesięciu latach, to

skąd przypuszczenie, że masz szansę ją znaleźć?

- Na tym polega wyzwanie, Elliott. - Oxby uśmiechnął się szelmowsko. - To właśnie lubię.

-A ja myślę, że szukasz wiatru w polu.

- Wielu takich wiatrów kazałeś mi szukać.

Heston pochylił się nad biurkiem.

- Oczywiście płacą ci za to i pokrywają wydatki.

- Pierwsza klasa - przytaknął Oxby. - Ale i tak mogę potrzebować twojej pomocy, Elliott.

-A idź do diabła. - Heston się naburmuszył. - Nigdy nie byłeś w Rosji. Nauka samego alfabetu nawet tobie zajmie co najmniej miesiąc. Jedzenie mają tam podłe, a wino robią ze śliwek.

- Widzę, że wprost szalejesz na punkcie tego kraju, co?

- Chcę, żebyś wiedział, w co się pakujesz.

- Mam dobrego znajomego w Sankt Petersburgu. Znasz go zresztą. Jakow Iljuszyn. Podjął się funkcji przewodnika i tłumacza.

- To staruszek - zauważył Heston.

- Bo ma siedemdziesiątkę? Módl się, żebyś miał jego kondycję w tym wieku.

- Kiedy rozpoczynasz tę szaleńczą eskapadę? - spytał z rezygnacją Heston, godząc się z tym, co nieuniknione.

- Wyjeżdżam we wtorek. Forbes jest w Paryżu. Stamtąd ruszę dalej.

ROZDZIAŁ 8

Dział sprzedaży i usług IBM zajmował piętra drugie i trzecie. Działalność amerykańskiego giganta komputerowego rozwijała się. Szef biura, miejscowy chłopak z perspektywami, planował jego

rozbudowę. Pochodzący z ery stalinowskiej klockowaty budynek z żółtej cegły przy Majorowej czekała kolejna metamorfoza. IBM miał zająć parter i pierwsze piętro po wyprowadzce dotychczasowych lokatorów.

Na najwyższym, czwartym piętrze znajdowała się siedziba rosyjskiej firmy. Po wyjściu z windy można się było natknąć na ogromną mapę ślepą postsowieckiej Rosji, w poprzek której biegły litery „New Century”.

W krzykliwe logo wkomponowano nazwy siedmiu oddziałów. Dwuskrzydłowe drzwi wiodły do recepcji z dywanem, lampami i meblami w bogatych odcieniach miedzi, złota, czerwieni i ciepłych brązów.

Pokryte lustrami ściany i niemal połowa sufitu dawały poczucie przestrzeni. Goście meldowali się u recepcjonistki, której biurko stało pod ścianą, w miejscu, gdzie nie było luster. Niecałe trzy metry od niej zasiadał wielkolud w szarym garniturze, białej koszuli i staroświeckim krawacie Countess Mara. Na podółku spoczywała zwinięta gazeta. Nieczytana. W jednej ręce trzymał telefon komórkowy. Człowiek ten - albo jego bliźniaczy odpowiednik - siedział tam przez cały dzień.

Do dalszych pomieszczeń goście wejść mogli jedynie z eskortą. Były one ogromne, jak na rosyjskie standardy, i równie bogato wyposażone. Ekrany komputerów dawały możliwość oglądania efektów pracy lub wyświetlały bezgłośnie animacje zwierząt zmieniających się to w rośliny, to znów w wirujące wzory geometryczne.

Panowała tu atmosfera wzmożonej pracy - słychać było hałas elektroniki: klekot klawiatur, szum drukarek, sygnały telefonów i faksów. Wyczuwało się napięcie, dyktowane przez pospieszny, niecierpliwy rytm niezliczonych maszyn i ludzi, którzy na nich pracowali.

Wszystkie drzwi w zasięgu wzroku były otwarte. Z wyjątkiem jednych. Pilnował ich wartownik w szarym garniturze, zadziwiająco podobny do wcześniej napotkanego strażnika. Stał przed drzwiami, z rękoma skrzyżowanymi na piersi, kręcąc powoli głową to w tę, to we w tę. Wystający spod poły marynarki przewód kończył się małą słuchawką w uchu.

Korytarz za drzwiami prowadził do apartamentu. Pierwszym pomieszczeniem był pozbawiony okien, średniej wielkości salon. Następnym, luksusowa sypialnia z łazienką. Trzecim pokojem,

narożnym, z oknami na dwie strony, było duże biuro. Jakby dla kontrastu do współczesnego wystroju innych pomieszczeń, wydawało się ono żywcem przeniesione z ostatnich lat panowania dynastii Romanowów. Masywne meble wykonano z dębu i orzecha. W rogu przeciwnym do biurka stał ogromny piec kaflowy pokryty białą i błękitną ceramiką z Delft. Tuż obok znajdowały się niemal niezauważalne drzwi do prywatnej sali konferencyjnej. Na podłodze z bukowych klepek rozpościerały się wspaniałe dywany, liczące sobie setki lat, ale wciąż puszyste i niewyblakłe. W kinkietach, mających klosze z ręcznie dmuchanego szkła osadzono opasłe świece. Obok nich zawieszono różnorakie ikony

- arcydzieła malarstwa na srebrze, przedstawiające Maryję, dzieciątko Jezus czy świętego Jerzego, pogromcę smoka. Dwie godne ekspozycji muzealnej ikony miały metr dwadzieścia długości i datowane były na XIV wiek.

Na półkach, nielicznych stołach i w jedynej gablotce wystawiono szkatułki z biżuterią, flakony perfum, ramki, kosmetyczki oraz szczególnie widowiskową kolekcję papierośnic. Każdy przedmiot był w idealnym stanie i każdy nosił symbol Domu Fabergé.

W kącie przy oknach stało ogromne biurko z ciemnego drewna, wypolerowanego na wysoki połysk. Stało na nim jeszcze więcej przedmiotów wykonanych przez Fabergégo: srebrny kałamarz, ramki oraz kolekcja zwierzątek z kwarcu, jaspisu, nefrytu i czarnego onyxu. Na okrągłych podstawkach ze srebra i złota spoczywały porcelanowe pisanki w jaskrawych kolorach.

Naprzeciw dwóch krzeseł dla gości stał na biurku srebrny *kowsz* - ceremonialna czarka z wyłobionym carskim orłem - zawierający wizytówki z logo New Century i nazwiskiem: Oleg Władimirowicz Dieriabin. Była też nieostra fotografia Dieriabina w towarzystwie ślicznej młodej kobiety -jedeny akcent rodzinny. Brakowało zdjęć dzieci, zwierząt czy nawet rodzinnej daczy.

Z biura Olega Dieriabina roztaczał się widok na katedrę Świętego Izaaka. Promienie letniego słońca odbijały się od ogromnej pozłacanej kopuły. W głębi ulicy czerwieniły się markizy hotelu Astoria. Dalej na południe widać było posąg Mikołaja I. W oddali majaczył odległy o jakieś osiemset metrów dach pałacu Jusupowa, gdzie rozegrały się pamiętne wydarzenia zimowej nocy 1916 roku, kiedy młody książę Feliks Jusupow wpakował kulę w plecy niesławnego Grigorija Rasputina. Dieriabin z rozrzewnieniem przywoływał w pamięci opowieść o tych zdarzeniach, które

przyczyniły się do wzbogacenia jego kolekcji o najcenniejszy wyrób Fabergégo. Carskie jajko spoczywało w sejfie za jedną z ikon - to samo, które niegdyś wygrał w pokera.

W biurze panowała cisza, zakłócana tylko hałasem ruchu ulicznego na placu Issakijewskim. Dieriabin wstał zza biurka i otworzył drzwi do pokoju konferencyjnego. Było to pomieszczenie na planie kwadratu, jasno oświetlone, wyposażone w telefony, faksy oraz gotowy do użycia komputer. Środek pokoju zajmował stół pokryty skórą w złote liście z logo New Century. Wokół stołu stało dziewięć krzeseł. Cztery po jednej stronie, trzy po drugiej. Krzesło u szczytu stołu, większe od pozostałych, miało wyższe oparcie i czerwono-złote obicie. Na nim właśnie zasiadał Oleg Dieriabin, prowadząc sporadycznie zebrania z menedżerami oddziałów. Krzesło na drugim końcu stołu było przeznaczone dla doradcy Dieriabina. W ścianę wbudowano barek po jednej stronie, a lodówkę i mikrofalówkę po drugiej. Nad wieńczącą je półką zawisała tablica suchościerna z tacką na markery i gąbkę. Ponad nią znajdowała się niemal równie wielka tablica korkowa, na której przypięto projekty architektoniczne salonów samochodowych. Dieriabin stanął przed tablicą i po raz kolejny zaczął studiować jeden po drugim. Zdjął rysunek, potem następny... aż w końcu pozostał tylko jeden. Przypiął go na środku tablicy, cofnął się o krok i popatrzył raz jeszcze. Grymas, który zdawał się czasem wytatuowany na twarzy, przekształcił się w szeroki uśmiech.

Obok rysunku przypiął zdjęcie kolejnego salonu samochodowego. Podobieństwo było nie do przeoczenia. Fotografia przedstawiała wielkie otwarcie najnowszego salonu Carson Motors w Roslyn.

U góry korkowej tablicy zawisała wstęga z napisem „Koleso”. Koleso, po rosyjsku koło, było najnowszym oddziałem New Century. Koleso świadczyło obecnie usługi kurierskie i wynajmu limuzyn w obrębie Moskwy, Kijowa, Nowogrodu i Helsinek. Przed końcem roku Dieriabin planował otwarcie wykwinetnego salonu, który miałby w ofercie najnowsze modele cadillaców i oldsmobili.

I choć Dieriabin ogłosi, że salon Koleso w Sankt Petersburgu będzie pierwszy z ogólnorosyjskiej sieci, to w istocie nie powstały plany jej budowy. Koszty byłyby zbyt wysokie, konkurencja zbyt ostra, zaś rynek nieprzygotowany. Borys Bieriezowski, jeden z najbogatszych rosyjskich biznesmenów, był w tej dziedzinie niekwestionowanym pionierem ze swoją siecią LogoVAZ.

Dieriabin miał jeszcze jeden powód, by sprzedawać cadillaki i oldsmobile. Z każdych dziesięciu samochodów importowanych ze Stanów trzy planował sprzedawać w Sankt Petersburgu, siedem zaś ładować z powrotem na statek i wysyłać na Cypr, do Nikozji. W

każdym z nich ukryty będzie niewielki cylinder z substancją, której wartość dwudziestokrotnie przewyższa cenę samochodu.

Zbliżający się do sześćdziesiątki Dieriabın teraz nie był już tym przystojnym mężczyzną atletycznej budowy. Ciemne włosy siwiały i rzedły. Z tyłu głowy utworzyła się łysinka, która z pewnej odległości wygląda jak różowawa jarmułka. Skóra nabrała niezdrowo bladego koloru, zaś policzki i godny boksera nos, szeroki i nieco skrzywiony, znaczyły popękane naczynka. Pod oczami pojawiły się kurze łapki. Usta poruszały się nieustannie, jakby nie przestawał mówić, ukazując poplamione tytoniem zęby - skutek trwającego całe życie nałogu. Jeden z kłów pokrywało złoto, a za nim ziała czarna dziura.

Choć miał uśmiech przyklepiony do ust, tak naprawdę udawał pogodne usposobienie. Ci, którzy go znali lub z nim pracowali, świadomi byli, iż nieznikający z jego twarzy zimny uśmiech maskował nieokiełznany temperament, siejąc postrach w sercach podwładnych.

Oleg Władimirowicz Dieriabın szybko pojął, że sukces na odradzającym się rosyjskim rynku osiągnęli ci, którzy przeżyli stary system, nauczyli się działać śmiało i zdecydowanie oraz mieli dobre układy w nowej biurokracji. W biurze wisiały oprawne w srebro i emalię zdjęcia Dieriabına z ludźmi z czasów marynarki, a później w KGB, gdy pracował przy sowieckiej ambasadzie w Paryżu, potem przez dwa lata w Bagdadzie - gdzie zawarł ważne przyjaźnie i zyskał wielu dłużników - wreszcie przez trzy lata w Waszyngtonie.

Podczas każdego przydziału oficjalnie występował jako oficer łącznościowy. Tak naprawdę był członkiem I Zarządu Głównego, szpiegowskiego wydziału KGB. Wyróżnił się rozszyfrowaniem dwóch sowieckich agentów kontrwywiadu podejrzewanych o podwójną grę. Jeden zginął we własnym samochodzie - prawdopodobnie samobójstwo. Drugi zmarł wskutek poważnego zatrucia. W każdym z tych przypadków Dieriabın miał swój udział: jako wykonawca wyroku.

Po dwudziestu siedmiu latach w marynarce i KGB nauczył się poświęcać innym w imię tego, co uważał za dobro ogółu w myśl ideałów Lenina. Jednak lojalność dla martwej sprawy wyszła z mody. Teraz zajmowało go gromadzenie majątku. Prawdziwej władzy nie zdobywało się już w rządzie, tak jak bywało przez siedemdziesiąt pięć lat. Władza to pieniądze, nie pozycja w partii, nie wspinanie się pokrętnym szlakiem politycznej kariery w imię zdyskredytowanej filozofii.

Dieriabın był żywym dowodem na trafność popularnego ostatnio powiedzenia, że starzy oficerowie KGB nie umierają- stają się biznesmenami.

Gdyby ktoś chciał napisać prawdziwy życiorys Dieriabına, nie

obyłoby się bez ciemnych kart. Potrafił być beznamiętnie okrutny i bezlitośnie skuteczny. Dowiódł tego, gdy doszło do rozpadu jego krótkotrwałego małżeństwa. Na szczęście nigdy nie próbował ponownie się żenić. Mimo pozornie nieskazitelnej drogi zawodowej w przeszłości, nim wrócił do cywila, jego mściwość stała się legendarna. W wypadku Dieriabina to już nie było oko za oko - to było dwoje oczu za jedno.

Jednak największym przekleństwem mężczyzny, chcącego uchodzić za rosyjskiego człowieka renesansu, była całkowita niekompetencja w sprawach finansowych. Oczywiście nie miał wiedzy z zakresu ekonomii czy bankowości, ale brakowało mu nawet podstawowej umiejętności rozsądnego dysponowania zasobami i utrzymywania porządku w księgach rachunkowych. Choć czcił mamonę i doskonalił się w jej zdobywaniu, wydawał pieniądze bez umiaru, a potem dawał upust emocjom, gdy rosła liczba niezapłaconych rachunków.

New Century, z całym swoim blichтром, siedziało na czubku kruchej finansowej piramidki. Osobą, która jeszcze jakoś to trzymała, był jedyny człowiek, obdarzony przez Dieriabina bezgranicznym zaufaniem. Tylko on znał mroczne sekrety Dieriabina, które ten desperacko starał się ukryć.

Dieriabin odsunął krzesło, usiadł i nacisnął przycisk na wbudowanym w stół panelu. Z otwartych drzwi wyszedł wysoki chudzielec i zajął miejsce po lewicy Dieriabina. Miał długą szyję, pociągłą twarz, z wysoko osadzonymi kośćmi policzkowymi i krzaczaste brwi. Nosił okulary w cienkich stalowych oprawkach. Drugie zwykle trzymał w ręku. Zakładał je podczas negocjacji, by skryć oczy za niebieskimi szklami. Głos miał łagodny, a mówił niespiesznie. Był o cztery lata starszy, lecz zwawszy. Nazywał się Trivimi Laar. W dokumentach firmy figurował jako asystent przewodniczącego. Widywano go często, ale tylko nieliczni szczęśliwcy mieli okazję poznać asystenta. Wiedzano, że chudzielec ma niczym nieograniczony dostęp do Dieriabina. Czasem było słyhać, jak tych dwóch tak zażarcie się kłóci, że lada chwila spodziewano się strzałów. Większość pracowników New Century znała Trivimiego Laara po prostu jako Estończyka.

Dwóch mężczyzn łączyła więź jeszcze z czasów estońskich, gdy mieli po dwadzieścia kilka lat. Dieriabin stacjonował w bazie sowieckiej marynarki wojennej w Tallinie, Laar był urzędnikiem państwowym, który dzięki swym rzadkim dyplomatycznym talentom doszedł później do znaczącej pozycji. Ich ścieżki znów się skrzyżowały, gdy Dieriabin pracował dla KGB. Tak bardzo się

zaprzyjaźnili, że w końcu Dieriabin sprowadził Trivimiego do New Century.

Dieriabin odezwał się pierwszy.

-Wysłałem Łysenków, żeby wykończyli Akimowa. Zawiedli. - Wstał z krzesła, wpychając ręce głęboko do kieszeni. - Nie będę tolerował niekompetencji! Mów, co wiesz.

Estończyk również się podniósł. Stał na szeroko rozstawionych nogach, pochyliwszy się nieco, by nie przewyższać wzrostem Dieriabina.

- Galina dopadła Akimowa dopiero w biurze Michaiła. Nie wiem, ile czasu spędzili razem. Zastała ich przy stole, ze szklankami w dłoniach. Na stole stała butelka. Michaił coś do niej powiedział, ale nie zwracała na to uwagi. Wycelowała w pierś Saszy. Jest świetnym strzelcem, nie chybia z takiej odległości. Ale Michaił rzucił w nią butelką. Trafił w ramię w momencie, gdy strzelała.

- Ma semmerlinga DA z pięcioma nabojami - odparł Dieriabin zniecierpliwiony. - Jest wyszkoloną zabójczynią. Czemu nie strzelała ponownie?

Estończyk zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie znam odpowiedzi. Może Michaił na nią natarł. Może próbowała ponownie. Czekam na raport. Przysięga, że się dowiedzą, co Akimow powiedział Michaiłowi.

- Gdzie trafiła Akimowa?

- W szyję. Pocisk rozerwał mu krtań. Jeśli przeżyje, z czasem będzie mógł napisać...

-Nie! Nie przeżyje na tyle długo, żeby wziąć do ręki pióro. Co ci powiedział Wiktor?

- Sądzi, że Akimow był z Michaiłem jakieś dziesięć minut. Może nawet krócej.

-Jasne, kurwa, sądzi... Gówno prawda, Trivimi. Ile czasu spędzili razem? Pięć minut? Osiem?! - wykrzykiwał Dieriabin. - Mieli powstrzymać Akimowa, zanim dotrze do Michaiła.

- To byłby cud. Próbowali. Dieriabinowi

powoli przechodziła złość.

- Kiedy rozmawiałeś z Galiną?

- Wcześniej rano. W Nowym Jorku było po północy.

- Jakie dałeś instrukcje?

- Dowiedzieć się, co Akimow powiedział Michaiłowi. Wiedzą, że rozpowszechniał fałszywe pogłoski o tobie i New Century - zapewnił solennie Trivimi. - Powiedziałem im, że Akimow nie może opuścić szpitala żywy.

Dieriabin skinął głową, usiadł na krześle i odpalił papierosa od

papierosa.

- Na pewno mówił, że powinienem oddać jajko Fabergégo matce Michaiła. Ten dureń wygadywał takie pierdoły.

- Dlaczego Akimow miałby to sugerować?

- Bo był dla niej jak brat. Oboje pochodzili z Soczi.

- No tak. Zapomniałem. - Trivimi wolno obszedł stół konferencyjny. - Masz piękną kolekcję Fabergégo. W biurze pełno tych cacek. Ale carską pisanekę trzymasz pod kluczem. Czemu jej nie pokazać światu?

- Bo nie - uciał Dieriabin.

- Zastanowiłeś się wreszcie nad wystawieniem jej na aukcji?

- Nie chcę o tym rozmawiać. - Spojrzał na Trivimiego bez śladu uśmiechu. - Zrozumiano?

- Nie, ja tego nie pojmuję. Zgodziłeś się, że rynek dojrzał. Wzrosło zainteresowanie Fabergém, zwłaszcza carskimi pisanekami. Myślę, że powinieneś ją sprzedać.

- Nie twój zasrany interes - warknął Dieriabin.

- Wciąż się jej boisz, prawda?

Dieriabin zaciągnął się głęboko.

- Moja sprawa, nie twoja.

Trivimi usiadł obok niego.

- Nie zgadzam się - zaoponował, wolno kręcąc głową. - Być może jest to również moja sprawa. Twierdzisz, że powiedziałeś mi wszystko o tym jajku. Może o czymś zapomniałem, Oleszka - rzekł łagodnie. - Opowiedz mi jeszcze raz.

Dieriabin skrzyżował ręce na piersi, zaciągnął się ponownie i ze wzrokiem utkwionym w jakimś punkcie za plecami Estończyka rozpoczął swoją opowieść.

- Fabergé robił pisanek na zamówienie carskiej rodziny, jako wielkanocne podarki dla carycy lub matki cara. Jedną zamówił Grigorij Rasputin. Podobno dla Aleksandry. Nie wiem, w jaki sposób, ale dziadek Michaiła Karsałowa zdobył jajko, gdy zamordowano Rasputina.

- Pamiętam, mówiłeś mi o tym, ale jaki masz dowód, że jest autentyczne? Weź pod uwagę możliwość fałszerstwa.

- Są na nim symbole Fabergégo: skrzyżowane kotwice i carskie berło - odparł Dieriabin. - Także data oraz inicjały projektanta.

- A potem wygrałeś je w karty od Wasyla Karsałowa. Tylko że tak naprawdę to była kradzież.

- Przysięgliśmy na własną krew, by strzec nawzajem swoich sekretów - obruszył się Dieriabin.

- Ja tam nikomu o jajku nie powiedziałem. Dotrzymałem słowa.

- Ja też - zapewnił Dieriabin, patrząc mu w oczy.
- Ale teraz chcesz robić interesy z synem Wasyla Karsałowa?
- Jeśli Akimow napłótl mu bzdur, będzie z tym problem. Zakładając jednak, że Wiktor ma rację, Sasza spędził z Michailem najwyżej dziesięć minut. Najpierw chyba głądził o starych czasach, o matce Michaïła, o Sankt Petersburgu... jak wszystko się zmieniło. Dopiero potem zaczął gadać o jajku.

- Opowiedz mi jeszcze raz o tej grze w karty.
- Było nas pięciu. Wasyl Karsałow, Sasza Akimow, Artur Prekner, Leonid Balecki i ja.

-Graliście w pokera dobieranego... Tak to się chyba nazywa? - wtrącił Trivimi, przyglądając się swoim dłoniom. - Wygrałeś carskie jajko czterema damami.

Dieriabin przytaknął ruchem głowy.

- Cztery damy? - Estończyk się uśmiechnął. - Bardzo mocna karta. I to bez dzokerów, jak w wersji amerykańskiej.

- Przecież ci mówiłem, że bez. O co ci chodzi?

- Bo miałeś cztery damy, a Wasyl cztery walety. Bez dzokerów to szansa jedna na milion.

- Cholernie nieprawdopodobne. Zawsze to powtarzałem.

-Ale kiedy Wasyl wstał od stołu, by pójść po swoją cenną pisanekę, miałeś tylko trzy damy. Nieprawda?

- To też ci mówiłem. - Dieriabin zagryzł wargi.

- A w nierozdanych kartach znalazłeś czwartą?

- Opowiadałem już tę historię. Nie ma powodu do niej wracać.

- Ależ j est powód, Oleszka.

- Niby, kurwa, jaki?

- Chcę, żebyś grał ze mną w otwarte karty. Wygrałeś carską pisanekę Wasyla Karsałowa, oszukując. Minęło trzydzieści pięć lat i nadal nic z nią nie zrobiłeś. Nigdy nie wystawiłeś w muzeum, nigdy nie pokazałeś w swoim biurze. I, rzecz jasna, nigdy nie sprzedałeś.

- Do czego zmierzasz?

- Do tego, czemu tak bardzo nie chciałeś, żeby Akimow pojechał do Nowego Jorku i powiedział Michaïłowi, że jego ojciec przegrał z tobą cesarską pisanekę Fabergégo w pokera. Czy to dlatego chcesz, żeby zginął?

- Mówiłem ci, że ten cholerny Sasza rozpowiada o mnie kłamstwa! - wykrzyczał Dieriabin.

- Jakie kłamstwa, Oleszka? Jakież to kłamstwa rozgłasza, że trzeba go za nie uśmiercić?

- Nie wiem dokładnie... - Dieriabin się płątał, tracąc pewność siebie. -Ale cokolwiek to jest, pokrzyżuje moje plany spółki z

Michaiłem Karsałowem.

-Ale nie z powodu carskiego jajka. Nawet jeśli Sasza powiedział Michaiłowi, że oszukiwałeś, bo chciałeś je wygrać, miałbyś szansę się wytłumaczyć.

- Zatrudniłem Akimowa, gdy odszedł z marynarki. Jego emerytura była śmiechu warta, potrzebował pracy, więc go przysparzałem. Ale on uważa, że byłem wobec niego nie w porządku, że odciąłem się od niego bez powodu. Będzie wciskać Michaiłowi każde łgarstwo, żeby się na mnie zemścić.

- Był starym przyjacielem. Popeliłeś błąd, wyrzucając go, i jeszcze większy, gdy nastąpił na niego bliźnięta.

-Ja nie popełniam błędów! - Dieriabina się wściekł. - Ten zakłamany skurwiel powie cokolwiek, byle mnie zniszczyć. Zwariował na starość.

Estończyk przesunął krzesło, by znaleźć się na wprost Dieriabina. Po chwili milczenia odezwał się stłumionym głosem, wyraźnie zakłopotany:

- Jedno mnie zastanawia w tej całej sprawie z Akimowem. Jajko Fabergégo? To tylko kosztowne świecidełko. Szczerze mówiąc, mało mnie obchodzi, jak wszedłeś w jego posiadanie. - Położył dłoń na ramieniu Dieriabina. -Ale pamiętaj, Oleszka, mamy do siebie zaufanie. - Delikatnie ścisnął go za ramię. - Opowiedz mi o tych „kłamstwach”, które Akimow miałby o tobie rozgłaszać.

Dieriabina zerknął spode łba i odwrócił wzrok

- Mam gdzieś takie zaufanie. Mówiłem ci, że Saszy odbiło. Wymyślał o mnie niestworzone historie.

- Przyszedł do mnie, wiesz? Po tym jak wylałeś go z pracy. Był wściekły, że musi przez ciebie wracać na emeryturę. Mówił o jakichś animozjach między tobą a Wasylem Karsałowem.

Dieriabina wzdygnął się i przeszył Trivimiego wściekłym spojrzeniem.

-Niby jakich?

Trivimi pokręcił głową i wzruszył ramionami.

- Nie znalazł odpowiednich słów.

- Raczej odwagi. Durny mazgaj. A w ogóle, w czym rzecz? I tak będzie martwy.

- Co on chciał mi powiedzieć, Oleszka? - Głos Trivimiego stwardniał. - Co ma na ciebie Akimow, gadaj.

- Nic, kurwa, ty pieprzony Estończyku.

- To lepiej niż pieprzony Rosjanin. Jak ty.

-Wynocha! Bierz dupę w troki i jazda! - Dieriabina zerwał się z miejsca, wskazując drzwi.

- Nie ruszę się, zanim nie skończymy.

Dieriabin chwycił za słuchawkę telefonu i zaczął wystukiwać numer, ale Estończyk zabrał mu aparat.

- Wszystko w porządku - powiedział spokojnie do słuchawki i się rozłączył.

Dieriabin patrzył na niego wilkiem.

- Za wiele sobie pozwalasz.

- Bynajmniej. - Trivimi napierał. - Czas, żebyś mi się wypowiedział.

Dieriabin poczerwieniał. Rzucił wzrokiem od Estończyka do podłogi i od podłogi do drzwi. Zapalił kolejnego papierosa, jednocześnie kręcąc petem tłącym się w popielniczce. Zgarnął ze stołu czerwony marker, szybko przerzucił rysunki przedstawiające propozycje salonu Koleso, aż znalazł miejsce do pisania. Drukowanymi literami nagryzmolił na tablicy: „Artur Prekner”.

Wreszcie odwrócił się do Estończyka.

- Prekner i Wasyl byli kumplami ze szkoły. Zaczęli razem kombi nować, gdy Wasyl stacjonował w bazie marynarki w Tallinie, a Prekner był urzędnikiem magazynu w Petersburgu, gdzie go poznałem. To było niewielkie przedsięwzięcie: tylko dwóch partnerów. Część każdego transportu nie docierała do Tallina, tylko do magazynu w Puszkynie. Następnie sprzedawali mięso i alkohol na czarnym rynku w Sankt Petersburgu. Nie widziałem Preknera ponad rok. Spotkałem go we wrześniu 1972 roku, na przyjęciu weselnym naszego wspólnego znajomego. Poprosił o spotkanie, wieczorem. Powiedział, że ma problem i potrzebuje mojej rady.

Dieriabin znów zaciągnął się głęboko. Kiedy zaczął mówić, smużki dymu wymykały się spomiędzy warg.

- Spotkaliśmy się na kolacji, potem zaprosił mnie do biura. Znajdował się w jego mieszkaniu. Powiedział mi, że ma problemy z Karsałowem. Że znów za dużo pije. Podsunąłem mu parę pomysłów i myślałem, że na tym koniec. Wtedy zjawili się ci młodzi. Para.

Dieriabin zerknął na Estończyka.

- To może się wydawać nieprawdopodobne. Podano wódkę i dobrą whisky, i jedzenie, jakiego nigdzie nie sposób było dostać, chyba, że zasiadało się w rządzie albo tańczyło w pieprzonym balacie. Spędziłem tam parę godzin i całkiem mi to odpowiadało. Grała dziwna muzyka. Pamiętam też słodki zapach. Można by pomyśleć, że światła będą przyćmione, ale były jasne i różnokolorowe: żółte, pomarańczowe i fioletowe. Ci młodzi tańczyli i się całowali. Potem usiedli na kocu, na środku podłogi i rozebrali się wzajemnie.

Wreszcie zaczęli się dymać. Prekner dołączył do nich. Pieprzyła się cała trójka. Facet z kobietą, facet z facetem... Wtedy zjawiała się druga dziewczyna. Miała duże cycki, niezły tyłek i powiedziała, że mogę z nią robić, co mi się podoba. Chciała się pieprzyć. No to się pieprzyliśmy. Palilem marihuane. Pierwszy raz, więc nie wiedziałem, czego się spodziewać. Nic szczególnie nie poczułem, ale potem pokazali mi, jak brać kokainę. Coś fantastycznego! Chciałem, żeby to uczucie trwało wiecznie. Rozejrzałem się za Preknerem, ale jego nie było. Miał niewielkie mieszkanie, kilka ciasnych pokoi. Nigdzie nie mogłem go znaleźć. Pomyślałem, że poszedł po więcej żarcia, i przestałem się nim interesować. Mój haj nie trwał długo. Kiedy przeszło odurzenie, zrobiło mi się niedobrze. Ale też wytrzeźwiałem. Potem wrócił Prekner, jakby nigdy nie wychodził.

Dieriabin otarł usta.

- Wyszedłem stamtąd i wróciłem do bazy.

Estonczyk z rozbawieniem obserwował Dieriabina, który zakłopotany, nad wyraz emocjonalnie odtwarzał tamto wydarzenie.

- Cemu opowiadasz mi o Preknerze i jego orgii?

- Powiedziałeś, że nie mamy przed sobą żadnych sekretów?

- Żadnych sekretów - przytaknął Trivimi Laar.

- Opisałem ci kiedyś, jak zginął Prekner. Dostał nożem w kark, o tu. - Dieriabin położył dłoń na szyi.

- Powiedziałeś, że pijany Karsałow pokłócił się z Preknerem i go zadźgał.

- Fakt, była kłótnia i był nóż. Ale to ja wbilem go w kark Preknera.

- Ty? - zdumiał się Trivimi.

-W tydzień po tej balandze Prekner czekał na mnie przy wejściu do sztabu. Wsiadliśmy do jego samochodu. Wręczył mi album ze zdjęciami. Nawet nie pamiętałem, że robiłem to, co tam zobaczyłem.

- Szantaż? Czego chciał?

- Prekner wiedział, że miałem dostać przydział do I Zarządu Głównego i chciał, żebym pomógł w realizacji szaleńczego planu, jaki sobie ułożył. Postawił sprawę prosto. Albo będę współpracował, albo wyśle zdjęcia moim przełożonym. Zagroził, że może wysyłać jedno co tydzień, przez trzy miesiące.

-A ty...?

- Odparłem, że potrzebuję więcej czasu, żeby to sobie przemyśleć. Dwa dni później zadzwoniłem do niego i powiedziałem, że się zgadzam, ale chcę porozmawiać o szczegółach. I zastawiłem na niego pułapkę.

- Dieriabin uśmiechnął się szeroko. - zaproponowałem Preknerowi, że spotkamy się u niego w mieszkaniu. Spodobał mu się ten pomysł,

nawet sobie żartował, że jego młodzi przyjaciele do nas dołączą. Potrzebny mi był Wasyl. Kiedy przyjechał, dałem mu butelkę wódki. Nie musiałem go zachęcać do wypicia. Upił się w godzinę. Zaprowadziłem go do sypialni i powiedziałem, żeby się przespał. Dla pewności, że zaśnie, dałem mu środek uspokajający.

Estończyk słuchał uważnie, nie spuszczać wzroku z przyjaciela.

- Wziąłem ze sobą nóż i pistolet - ciągnął Dieriabin - ale znalazłem w kuchni większy nóż. Schowałem go w rękawie.

Trivimi pochylił się ku rozmówcy.

- Niczego nie podejrzewał?

- Nie. Oświadczyłem mu, że jego plan spowoduje zbyt wiele komplikacji. Upierałem się, żeby uprościć go, na ile to możliwe. Powiedziałem mu, że się myli. Chciałem go wciągnąć w kłótnię. Zaczęliśmy się sprzeczać. Nie ustępowałem, powtarzałem, że musi wprowadzić zmiany. Wściekł się. Po minucie wrzeszczeliśmy już na siebie. O to mi właśnie chodziło. Żeby sąsiedzi zapamiętali głośną kłótnię. Była jedenasta, więc uznałem, że wszyscy są już w domu.

Dieriabin podszedł do stołu, sięgnął po papierosa i trzymając go w rękę, gestykulował nerwowo.

- Staliśmy tuż obok siebie w środku pokoju. Wysunąłem z rękawa nóż. Kiedy go zobaczył, skamieniał. Pamiętam, że martwiłem się tylko, czyjego krew nie zaplami mi ubrania. Uderzyłem dwa razy. Najpierw w klatkę piersiową. Potem niżej, w serce.

Trivimi ani drgnął. Nie spuszczał wzroku z twarzy Olega.

- Robiłeś to wcześniej?

Dieriabin zaprzeczył, ale przyznał, że podczas szkolenia nauczono go, jak zabijać: uderzać trzeba dwukrotnie. Najpierw, aby wywołać ból i zneutralizować przeciwnika, potem by zadać śmiertelny cios. Beznamiętnie objaśnił, jak wraz z ustaniem bicia serca przestała płynąć krew.

- Prekner opadł na krzesło. Kiedy je odsunąłem, stoczył się na podłogę. Poszedłem do sypialni po Wasyla. Przywlokłem go i położyłem obok ciała Preknera. Wsunąłem mu w dłoń nóż. Pomazałem krwią jego ręce i koszulę. Poszedłem do łazienki, umyłem ręce i sprąłem plamy na ubraniu.

- Znalazłeś zdjęcia i negatywy? - spytał Trivimi.

Dieriabin zapalił wreszcie trzymanego w dłoni papierosa z widoczną ulgą, że najgorsze ma już za sobą.

- Miejsce do pracy, to całe „biuro” Preknera, było w kuchni. Stało tam biurko z maszyną do pisania, telefonem i szafką na akta. W szufla dzie znalazłem dwa zestawy zdjęć i negatywy. Szantażował nie tylko mnie. Były tam inne zdjęcia i negatywy. Starczyłoby na dwadzieścia

magazynów porno.

- Akimow podejrzewał, że zabiłeś Preknera? Dlatego chciałeś go wyeliminować?

- Mówiłem ci już, grało nas pięciu. - Wypisał na tablicy kolejne cztery nazwiska, jednocześnie wypowiadając je na głos. - Powtarzam, prócz Preknera byli tam Sasza Akimow, Wasyl Karsałow, Leonid Balecki i ja. Ci trzej - podkreślił Akimowa, Karsałowa i Baleckie-go - zostali w marynarce. Najpierw stacjonowali w Tallinie, potem w Sankt Petersburgu. Przeniesiono ich tam w 1970 roku. Przyjaciele Preknera.

- Pytam raz jeszcze, czy Akimow podejrzewał, że zabiłeś Preknera?

- Nie sądziłem, że któryś z nich o tym wie. Ale kilka miesięcy temu, nie wiadomo skąd, zjawił się u mnie Leonid Balecki. Czekał przy wyjściu z budynku. Nie widzieliśmy się tyle lat i nie poznałem go. Ale on wiedział, kim jestem. Mówił, że po wyjściu do cywila mieszkał w Moskwie z żoną i synem. Kiedy żona zmarła, przeprowadził się z powrotem do Sankt Petersburga. Powiedział, że czytał o New Century i o mnie, spytał, czy mam dla niego pracę. Powiedział też, że rozmawiał z Akimowem. O jajku i o pokerze. A także o innych sprawach.

Dieriabin wpatrywał się przez chwilę w nazwisko Baleckiego.

- Był zdenerwowany, nie patrzył mi w oczy. W końcu wyrzucił z siebie, że pamięta o grze w karty i że popełniając oszustwo, zdobyłem od Wasyla jajko. Spytałem, dlaczego w takim razie od razu nie zareagował. Powiedział, że wie o tym od niedawna. I że za pięćset dolarów zapomni o wszystkim.

- Groził ci?

- Nie chciał zdradzić, kto mu powiedział. Zapytałem, czy wie coś o Wasylu, czy jeszcze żyje. Uważał, że jest wciąż w Uzbekistanie. Powiedziałem mu, że nie ma sensu wracać do tej sprawy, stare dzieje. Że żałowałem, w jaki sposób wygrałem jajko, i zrozumiałem, iż nie mam prawa go zatrzymać. Że oddałem jajko Wasylowi, zanim postawiono go przed sądem i zesłano. Zdziwiło go to, ale chyba mi uwierzył. Potem dałem mu kasę, jakieś sto dolców.

Dieriabin spojrzał porozumiewawczo na Estończyka. - Jeśli będzie sprawiał kłopoty, możemy go uciszyć za znacznie mniej niż pięćset dolarów.

- Złożyć mu wizytę?

- Każ go śledzić. Przez jakiś czas dobrze go mieć na oku.

Popatrzył na nazwiska na tablicy.

- Sasza Akimow... - szepnął. - Miałem go za przyjaciela, ale

mnie oszukał. Popeniłem błąd, pozwalając mu odejść. Ale już nie przemówi.

- Wszyscy wiedzieli, co się stało podczas pokera?
- Wiedział jeden i rozgadał. Myślę, że Akimow.
- A wiedzieli, że to ty, a nie Wasyl, zadzgałeś Preknera?

-Niby skąd? Co prawda Karsałow twierdził, że jest niewinny, i przysięgał na procesie, że był nieprzytomny i nie mógł tego zrobić. Oskarżał mnie, ale miałem nieposzlakowaną opinię i zostałem wybrany na ważne stanowisko. Pod naciskiem KGB sąd nie dał wiary jego zeznaniom. Zmieniono zarzut na zabójstwo w obronie własnej i dali Karsałowowi dożywotni przydział do Uzbekistanu.

Trivimi podszedł do tablicy.

- Prekner nie żyje - stwierdził spokojnie, wykreślając nazwisko.
- Akimow? Nie może mówić i wkrótce też będzie martwy. - Wykreślił kolejne. Następnie postawił znak zapytania przy Karsałowie. - Czy Wasyl żyje? A jeśli tak, to gdzie jest?

- Dam ci nazwiska i numery telefonów ludzi, którzy zdobędą te informacje - odparł Dieriabin.

-Zostaje nam Balecki. Osobiście sprawdzę, co wie. - Postawił znak zapytania również przy tym nazwisku i wrócił do stołu. Usiadł wyprostowany, splótłszy dłonie. Spojrzał na Dieriabina, poczekał, aż ten usiądzie naprzeciwko. Odezwał się wyważonym tonem: - Uważam, że carska pisanka stanowi o twoich relacjach z byłymi kumplami. Na pewno z Karsałowem. Przez niego poznałeś Preknera. Moim zdaniem to Akimow wiedział o grze w pokera i oszustwie w ostatnim rozdaniu. I to on, choć wiele lat później, powiedział o tym Baleckiemu. Sądzę też, iż podejrzewają, że to ty zabiłeś Preknera. Nie Wasyl.

Dieriabin spuścił głowę i ukrył twarz w dłoniach.

- Dlaczego nie pomyślisz o sprzedaży jajka? - mówił Trivimi. - Ma swoją wartość. A ty, choć nie chcesz tego przyznać, rozpaczliwie potrzebujesz pieniędzy.

- Nie jestem przesądny - zastrzegł się Dieriabin - ale nie jestem też głupcem. Wierzę, że Rasputin mógł obłożyć jajko kłątwa. Szalony mnich nazwał je Jajko Wieczystego Błogosławieństwa. Tak mówił ojciec Wasyla.

- Nie brzmi to jak kłątwa.

- Wierzę, że Rasputin mógł mieć na myśli prawowitego właściciela. Ale jeśli ktokolwiek inny zechce na nim zyskać, może spodziewać się przykrych konsekwencji.

ROZDZIAŁ 9

Po wielkim otwarciu salonu Carson Cadillac & Oldsmobile zostały tylko wypełnione helem balony, które pofrunęły i przykleiły się do sufitu niczym gigantyczne pastylki M&M. Strzelanina sprzed dwóch dni była maglowana w telewizji przez cały weekend. Ruszyła lawina plotek i spekulacji na temat Rosjanina, który stał się ofiarą, i kobiety z bronią, udającej pracownicę Carsona. Rozgłos, któremu Patsy Abromowitz po cichu, choć nie bez obawy przyklaskiwała, ściągnął do salonu tłumy większe od przewidywanych w najbardziej optymistycznych prognozach.

Było tuż po dziesiątej. Jeden z potencjalnych nabywców oglądał właśnie oldsmobile. Minąwszy coupe i sedany, zasiadł za kółkiem oldsmobila bravada - przysadzistego sportowego pikapa, z karoserią w kolorze czerwony metalik i pachnącym skórą grafitowym wnętrzem. Mężczyzna, okularnik po trzydziestce, nosił dżinsy, sweter i bejsbolówkę Metsów. Wyglądał na typowego tatusia-yuppie - z kredytem hipotecznym i gromadką pociech. Wiktor Łysenko potrafił dobrze odgrywać tę rolę - tak jak i wiele innych. Prawdopodobieństwo, że zostanie zidentyfikowany jako ten, który na oczach świadków zbiegł z kobietą, która postrzeliła Rosjanina, było zerowe.

Konsultantka Carsona, z burzą włosów popielatoblond, ubrana w firmowy uniform, podeszła do drzwi od strony kierowcy, wyciągając dłoń.

- Georgia Gradowski - przywitała się radośnie. Akcent miała rodem z Atlanty. - Wspaniała maszyna, prawda?

Wiktor skinął głową, ale zaraz dodał:

- Potrzebuję czegoś większego ze względu na rodzinę. - W jego głosie ledwo dało się słyszeć cudzoziemski akcent.

- Proszę go wypróbować - poradziła Georgia. - Przyjdźcie razem i sam pan zobaczy, że wszyscy się zmieścicie.

- No, może. - Wiktor się wahał. - Podobno kogoś tu postrzelono w sobotę? - spytał od niechcienia, zmieniając temat.

- No. Tam u góry. Dokładnie w tym biurze - uściśliła, pokazując palcem.

- Zabito go?

- Nieźle dostał, ale żyje. To dobre wieści. Ale Dennis...! Wszyscy martwimy się o naszego futbolistę. Stałam niecałe trzy metry dalej, gdy dostał o tu. - Przyłożyła dłoń do swego boku. - Straszne, mówię panu. To taki miły człowiek. Pan Carson mówi, że Dennis stracił mnóstwo

krwi.

- Pan Carson jest dzisiaj? - zagadnął Wiktor.

- Ależ skąd - odparła Georgia. - Był tylko na otwarciu. Swoje biuro ma gdzie indziej. No i pracuje w domu. On cały czas pracuje.

- Mieszka w Nowym Jorku?

- Chwileczkę. - Georgia uśmiechnęła się promiennie. - To ja zadaję pytania... Czy chce pan wypróbować tego bravado... i czy ma pan samochód na wymianę?

Klient się roześmiał, ale w jego spojrzeniu było coś, co zaniepokoiło sprzedawczynię. Wysiadł z auta.

- Wezmę państwa katalogi i pokażę żonie. Może zechce się przyjrzeć.

- Proszę pytać o mnie - zaznaczyła, wyciągając z portfela wizytówkę. - I proszę koniecznie wrócić!

Wiktor wsunął karteluszek do kieszeni, przeszedł wolno obok wypolerowanych na wysoki połysk cadillaców przy wejściu do salonu. Zatrzymał się. Raz jeszcze zerknął na półpiętro, po czym otworzył dwuskrzydłowe drzwi i wyszedł na zewnątrz.

Georgia śledziła go zaciekawionym spojrzeniem, aż zniknął w morzu samochodów otaczającym salon.

- O kurde - szepnęła.

Wiktor Łyseriko siedział w fordzie taurusie. Na fotelu obok leżała masywna składana luneta. Wyjechał z parkingu i zatrzymał się przy stojących rzędem oldsmobilach. Miał stąd widok na cały salon.

Wypożyczony samochód wyposażono w telefon komórkowy. Wiktor wybrał numer. Poprosił recepcjonistę w motelu o połączenie z pokojem pani Łysenko. Po dziesięciu sygnałach się rozłączył. Galiny nie było.

Dochodziła jedenasta. Chmury przywiane z południowego zachodu niosły ze sobą mżawkę. Po południu deszcz się nasilił. Ale wewnątrz samochodu było sucho i przytulnie. Znów zadzwonił do motelu. Tym razem Galina odebrała.

- Akimow żyje - oznajmił Wiktor. - Leży w szpitalu na oddziale intensywnej terapii, pod strażą. Jestem przy salonie. Carsona tu nie ma.

- Dzwonił Estończyk - odparła Galina. - Oleg mówi, że musimy się dowiedzieć, co takiego Akimow powiedział Michaiłowi. Wściekł się, że Akimow wciąż żyje. Chce...

- Dureń - przerwał jej Wiktor. - Nie wie, jaki to cud, że w ogóle znaleźliśmy Akimowa.

Jedną ręką trzymał telefon, drugą ujął lunetę. Spokojnie przyglądał

się twarzom gości salonu, nie przerywając rozmowy.

- Zeszłej sobory, przed przybyciem Akimowa, Carson był z mężczyzną i kobietą. Facet był wysoki, a kobieta miała rude włosy.

- Pamiętam - rzuciła Galina niecierpliwie. - W końcu tam byłam. Ale jakie ma to teraz znaczenie?

- Właśnie obserwuję wysokiego mężczyznę. Tego samego.

Georgia Gradowski stała u dołu schodów.

- Spotkaliśmy się w sobotę - wyjaśniła. Odzyskała już rezon i teraz uśmiechała się promiennie do górującego nad nią Lenny'ego Sulzbergera. - Do końca życia nie zapomnę tego dnia. Pan Saintsbury, prawda?

- Sulzberger - poprawił ją Lenny.

- Ach tak, przepraszam. - Zarumieniła się. - Ćwiczyłam różne sztuczki z zapamiętywaniem nazwisk. Wydawało mi się, że z pańskim mi się udało. Przyszedł pan z Patsy Abromowitz i miał się spotkać z panem Carsonem. To chyba dobrze zapamiętałam?

- Faktycznie. Miałem z nim przeprowadzić wywiad, ale przyszedł ten Rosjanin, a potem zaczęła się strzelanina...

- I atak nożem. Niech pan o tym nie zapomina. To się stało właśnie tu, gdzie teraz stoimy... A ja byłam tu. - Wskazała dywan pod stopami Sulzbergera. - Zmyli krew, ale jeszcze trochę zostało. - Wzdrygnęła się. - Nigdy nie widziałam czegoś równie okropnego.

- Taa... Z pewnością- odparł w zamyśleniu Lenny. - Widziała pani tę kobietę, która strzelała?

- Chodzi o to, czy potrafię ją opisać? Ślicznotka, tyle panu powiem. Takie nie chodzą i nie strzelają do ludzi. - Znów się wzdrygnęła. - Uwierzy pan, że była ubrana tak jak ja? Potrafi pan sobie wyobrazić? Prawdę powiedziawszy, nic więcej nie pamiętam.

- Cóż, w całym tym zamieszaniu... - Lenny rozumiał jej zakłopotanie. - Miałem nadzieję, że znajdę tu pana Carsona...

Georgia się uśmiechnęła.

- Mój Boże, ktoś właśnie o niego pytał. - Pokręciła głową. - Pana Carsona nie ma i nie spodziewam się go. Jak już powiedziałam temu panu... - Umilkła, wpatrzona w rozciągającą się za oknami zasłonę deszczu.

ROZDZIAŁ 10

Lenny Sulzberger mieszkał w apartamencie na poddaszu po

północnej stronie North Moore, w nowojorskim trójkącie między rzeką Hudson a Broadwayem. Jego współlokatorka, japońska pisarka, uznała, że dobrze byłoby poślubić nowojorczyka o liczącym się nazwisku, takim jak Sulzberger, by dołączyć do elity ludzi pióra. Nie mając jednak pewności co do swych uczuć, Sheri Ono postanowiła wyjechać do Japonii, gdzie mieszkał ojciec, i tam spokojnie tę kwestię rozważyć.

- Dlaczego nie możesz robić tego tutaj, na miłość boską? - powiedział na głos, choć Sheri przecież już nie było. Wspólne rozwiązywanie problemów raczej nie wchodziło w grę. Egocentryzm, który przewyższał chyba jego samego, nie pozwalał na to. Wielkolud miał o sobie mniemanie właściwe karzełkom. Przy pierwszym spotkaniu Lenny robił dobre wrażenie, jednak przy kolejnych odrzucano go. Bywało, że współpracował z tuzinem liczących się wydawnictw i firm public relations, w tym samym czasie. Jednak przez ostatnich kilka lat dostawał jedynie zlecenia od kiepskich wydawców, płacących mało i z opóźnieniem. Mimo wszystko Lenny miał cholernie dobre pióro. Potrafił oddać werwę i charakter swoich bohaterów, doskonałych biznesmenów i biznesemek. Patsy Abromowitz знаła ciemną stronę Lenny'ego, jednak szanowała jego talent i niezmiennie go lubiła niezależnie od tego, jak bywał nieprzyjemny.

Ostatnie zadanie, które mu przydzieliła, o mało nie spaliło na panewce. Zostały mu tylko trzy dni na dokończenie noty biograficznej. Nie udało mu się jednak skontaktować z Mikiem Carsonem, dowiedział się jedynie, że pan Carson jest nieosiągalny. Wyjazd Sheri pogłębił jego osobistą porażkę i poczucie osamotnienia. Wraz z nią stracił połowę pieniędzy na utrzymanie domu i opłacenie rachunków. Przechodząc przez wielki salon, Lenny dał kartkę, którą zostawiła mu Sheri, i różowe strzępy spadały na podłogę.

- Kurwa! - krzyknął, wyrzucając w górę ramiona.

Tanie i szybkie katharsis. Nie zdążył się zastanowić, jak długo będzie działać zakłęcie, kiedy zadzwonił telefon. Patsy Abromowitz dokonała małego cudu i jeśli Lenny chciał się załapać na wywiad z Mi-kiem Carsonem, musiał się pośpieszyć.

- Bóg jeden wie, jak bardzo się starałem - żalił się. - Tyle się naczekałem w salonie sprzedaży, że śmierdę, jak przednie siedzenie cholernego cadillaca deville'a. Poza tym jest po dziewiątej.

- To gadaj jeszcze - rzuciła ostro Patsy. - Wiem, że ustala dziwne godziny, ale jeśli chcesz się z nim zobaczyć, zbieraj dupę w troki. Bądź w Fort Lee przed dziesiątą trzydzieści.

-Gdzie...?

- Most Waszyngtona, od strony Jersey.
- Wiem - rzucił rozdrażniony. - Gdzie on mieszka?
- Palisades Avenue 152.

Taksówka przyjechała punktualnie. O dziesiątej piętnaście Lenny kazał kierowcy poczekać.

- Godzina. Jeśli przedłużę, dostanie pan napiwek. Okej? - Nego cjował, nie chcąc przystać na stawki niecierpliwego Hindusa z czerwonym kółkiem na czole.

Wieżowiec był jednym z wielu apartamentowców po malowniczej stronie Palisades Avenue, na tak zwanym Złotym Wybrzeżu. Budynki postawione po wojnie zastąpiono wyższymi i bardziej nowoczesnymi. Mike Carson mieszkał w Atrium Palace, osiemnastopiętrowym wysokościowcu usytuowanym pomiędzy Colony a Plaża. Za lokal żądano tam od pięciuset tysięcy do miliona dolarów. Hol był prawie pusty, poza tkwiącym na posterunku umundurowanym strażnikiem. Z plakietki na piersi wynikało, że nazywa się Carlos. Siedział przed rzędem czarno-białych monitorów, słuchając transmisji radiowej meczu Metsów z Piratami. Carlos odebrał telefon i skinął głową.

- Południowa osiemnastka - poinformował, wskazując windę.

Drzwi otworzył Mike ubrany w dżinsy i koszulkę. Poprowadził Lenny'ego obok zamkniętych kartonów, piętrzących się w wysokim pokoju. Meble były przykryte prześcieradłami, a na podłodze stały pudła z farbą. Szerokie okno w szarych ramach wychodziło na południowy wschód i przepiękną rzekę Hudson. Zaraz na północ, jakby w zasięgu ręki, wyrastały pylony i cięgna mostu Waszyngtona. Przeciwległy brzeg rzeki stanowiło północne wybrzeże Nowego Jorku, od którego na południe rozpościerał się widok na bliźniacze wieżowce WTC.

Zatrzymali się w małym pokoju z rzędem półek i biurkiem zawalonym papierzyskami, na którym były dwa telefony i faksodrukarka. Obok stał komputer.

-Przepraszam za bałagan - powiedział Mike. - Jeszcze trochę i będę musiał się przeprowadzić. - Wskazał Lenny'emu krzesło, sam zasiadł za biurkiem. - Pamiętam, że lubisz, aby zwracać się do ciebie Lenny. - Uśmiechnął się szczerze.

-Masz dobrą pamięć - zauważył Lenny. - Artykuł ukaże się w „Playboyu” - przeszedł do konkretów - a wiesz, jak oni kochają fotografie. Trzeba dać twoje zdjęcie. Może zrobić z tą dziewczyną, ekspedientką w tym nowym salonie. Jak jej na imię, Georgia?

- Jest konsultantką handlową- sprostował Mike.

Lenny poczuł się skarcony.

-Taa... - Pokiwał głową. - Okej, mogę przysłać fotografa tutaj? Byłoby dobrze pokazać cię prywatnie.

- Dom jest w rozsypce. Porozmawiaj o zdjęciach z Patsy. Rozmawiaj z nią o wszystkim prócz wywiadu. W tej sprawie nie ma nic do gadania. Przepraszam za sobotę. Wszyscy mieliśmy zły dzień.

- Przekazała trochę materiałów o Carson Motors i o tobie, ale to za mało na notę biograficzną. Chciałbym porozmawiać o strzelaninie.

- Pytaj, po to tu jesteś. - Mike rozsiadł się na krześle. - Muszę cię jednak uprzedzić, że na pytania o mężczyznę, do którego strzelano, nie odpowiem. Może być?

- Może być - odparł Lenny. - Ładne mieszkanie. Mieszkasz sam?

- Teraz tak. Miałem przyjaciółkę, ale była strasznie niecierpliwa. Chciała dzieci. Całej gromady. Wiesz, jak to jest.

- Taa... Cholernie dobrze wiem, jak to jest. Znalazłem się w podobnej sytuacji. Nie chcę dzieci, nie teraz. Nie wiem, czy to był powód, ale wyjechała. Mówiła, że musi wszystko przemyśleć. - Milczeli chwilę.

- Byłeś żonaty? - zagadnął Lenny, bawiąc się swoim notatnikiem.

- Nie, tak daleko się nie posunąłem.

- Zapytałem, bo nie widzę żadnych zdjęć.

Mike otworzył szufladę. Wyciągnął fotografię w srebrnej ramce i podał ją Lenny'emu. Na zdjęciu byli Mike i młoda kobieta, w wieczorowych strojach. Zrobiono je na statku.

- Zachowałem tylko to jedno, na wszelki wypadek.

Lenny aż gwizdnął z podziwu.

- Jest piękna.

- Wiem. Wszyscy tak uważali. Problem w tym, że ona też. - Mike odłożył fotografię do szuflady. - Chyba nie przyszedłeś do mnie po to, żeby rozmawiać o byłych dziewczynach?

- Taa... - Dziennikarz zaczął zadawać pytania. Przygotował je tak, aby zainteresować Mike'a wyszukiwaniem w pamięci mało znanych, ciekawych szczegółów, nie naruszając jednak drastycznie prywatności.

Lenny był zawodowcem i miał swoje sprawdzone sposoby przeprowadzania wywiadu. Często obywatel się bez dyktafonu. Wolał używać notesu i własnych, uproszczonych znaków stenograficznych. Tak było i tym razem. W ciągu trzydziestu pięciu minut wypełnił dziwaczными kulfonami dwadzieścia pięć stron.

-I tu dochodzimy do ostatniej soboty - podsumował Lenny, przewracając kartkę. - Media starają się dowiedzieć, co zaszło. -

Podniósł wzrok. - Tymczasem ty się ukrywasz. Co możesz mi powiedzieć o mężczyźnie, który padł ofiarą? Wiemy, że był Rosjaninem, ale kim dokładnie?

Mimo że Carson uprzedził, iż nie życzy sobie pytań dotyczących strzelaniny w jego salonie, dał się wciągnąć w rozmowę.

- Mówisz o nim, jakby był martwy. A nie jest. - Mike zatarł dłonie.
- To ktoś, kogo znam z dzieciństwa.
 - Czy możesz zdradzić, jak się nazywa?
 - Sasza Akimow.
 - Ile miałeś lat, kiedy go ostatnio widziałeś?
 - Nie pamiętam dokładnie, siedem, może osiem. On był przyjacielem moich rodziców.
 - Czyli minęło od tamtego czasu prawie ćwierć wieku?
- Mike przytaknął.
 - Dlaczego przyszedł się z tobą zobaczyć po tylu latach?
 - Tego nie wiem. Myślę, że starał mi się coś powiedzieć, kiedy...
- Mike złapał się bezwiednie ręką za gardło.
 - Ile czasu rozmawialiście, zanim go postrzelono?
 - Wydaje mi się, że około dziesięciu minut. Nie spodziewałem się jego wizyty, miałem inne plany na ten dzień. Zaczął jednak opowiadać o mojej rodzinie.
 - Był bliskim przyjacielem rodziców?
 - On i moja matka pochodzili z tego samego miasta. Nad Morzem Czarnym. Służył w marynarce z moim ojcem.
 - Ciągłe są przyjaciółmi?
 - Ich drogi się rozeszły. Ale o tym nie chcę rozmawiać.
 - Lenny przewrócił kartkę w notatniku.
 - Akimow przyjechał z Moskwy?
 - Z Sankt Petersburga.
 - Widziałeś go po raz ostatni jako dziecko. Gdzie to było?
 - W Sankt Petersburgu.
 - Tam mieszkałeś w Rosji?
 - Urodziłem się w Estonii. Mój ojciec był w marynarce i akurat stacjonował w Tallinie. Byłem mały, kiedy przeprowadziliśmy się do Petersburga.
 - Mówiłeś, że Akimow też był w marynarce, tak?
 - Mike przytaknął.
 - I też został przeniesiony do Sankt Petersburga.
 - Czyli po tych wszystkich latach zjawił się w twoim salonie. Nie źle, jak na gościa, który nie mówi po angielsku. Dlaczego chciał się z tobą zobaczyć?

Mike wzruszył ramionami.

-Zaczął opowiadać o przyjęciu, które mój ojciec wyprawił tej nocy, gdy przyszedłem na świat. Zaprosił kolegów ze służby, aby oblać moje narodziny i zabójstwo Kennedy'ego.

- Niezła na nagłówek - stwierdził Lenny. - Mike Carson, urodzony w dniu zabójstwa Kennedy'ego. - Zanotował sobie. - Więc było przyjęcie...

- Alkohol i karty.

- Związek Sowiecki nie szalał na punkcie Kennedy'ego. Pewnie twój ojciec i jego koledzy uważali, że mają co świętować.

- Tak też mówił Akimow.

- Opowiadał ci o przyjęciu, które się odbyło ponad trzydzieści lat temu? To musiała być niezła impreza. Co jeszcze ci o niej powiedział?

- Na ustach Lenny'ego pojawił się uśmiech.

Schyliwszy się nad klawiaturą komputera, Mike stuknął w klawisze. Cursor zatańczył na ekranie monitora i pojawiło się na nim słowo „Fabergé”.

- Mój ojciec za dużo wypił. Często mu się to zdarzało. Ale tamtej nocy przegrał pieniądze, zegarek, a potem... - Skasował widniejące na monitorze słowo i obrócił się do Lenny'ego. - Od tego momentu historia staje się zbyt osobista.

- No tak... - mruknął tylko Lenny, żałując, że nie może jej poznać. - Jak opisałbyś kobietę, która strzelała do Akimowa?

- Była wysoka, miała krótkie blond włosy i cholernie dobrze wyglądała. - Mike zamilkł na kilka sekund. - To niewiele, ale tyle tylko pamiętam.

- Czy nie wydaje ci się, że ta piękna zabójczyni mierzyła do ciebie?

- O tym nie pomyślałem. - Uśmiechnął się słabo. - Nie sądzę. Nie traciła czasu, celowała prosto w Akimowa.

Lenny przerwał na chwilę, drapiąc się po brodzie. - Co jeszcze możesz mi powiedzieć o Akimowie?

- Niski, szczupły mężczyzna, po siedemdziesiątce. Nie sądzę, żeby miał rodzinę. - Mike wzruszył ramionami. - Powiedziałem, że on żyje, obawiam się jednak, że może umrzeć.

- Jest aż tak źle?

- Nie wiem, czy ma dość sił, by walczyć. Jest sam w obcym kraju. Szczerze mówiąc, chcę go przewieźć do szpitala w Englewood. To nieopodal. Szukam też kogoś, kto mógłby się nim zająć. Kogoś, kto mówi po rosyjsku.

Leny odłożył notatnik. Podziękował Carsonowi za wywiad i dziesięć po jedenastej był z powrotem w taksówce.

Naprzeciw Złotego Wybrzeża na Palisades Avenue znajdowała się reszta zabudowy Fort Lee - domki jednorodzinne i bliźniaki na typowych podmiejskich ulicach. Na jednej z nich, Solocum Way, leżącej naprzeciwko podjazdu Atrium Palace, stały żółte taksówki. Szary ford taurus był zaparkowany w pobliżu skrzyżowania. Z tego miejsca kierowca mógł obserwować wejście do mieszkania. Wiktor Łysenko robił wszystko, by nie stracić z oczu taksówki pędzącej na czerwonych światłach West Side Drive aż do mostu. Zgubił ją dopiero, gdy przejechał przez most na stronę New Jersey. Żółty samochód wyglądał jak ruchoma latarnia, odbijająca światła, które zalewały wjazd na autostradę i bramki. Wytropił ją jednak i śledził aż do Atrium Palace.

Kiedy zauważył, że Lenny Sulzberger wsiada do taksówki, natychmiast odjechał. Złapał za telefon.

- Jada. Za czterdzieści pięć minut będą w domu Sulzbergera na North Moore.

Kilka minut przed północą taksówka, którą jechał Lenny, zatrzymała się przy North Moore 68. Kierowca podliczył czas podróży.

- Dwie godziny i pięćdziesiąt osiem minut. Plus cztery dolary za wjazd na most.

-Zgodziłeś się pan na stówę, razem z opłatami za autostradę - przypomniał Lenny. - Ale masz pan tu dodatkowe dziesięć za fas cynującą rozmowę o jagnięcinie w curry i kiszonych jajkach. - Podał kierowcy zwitek pięcio- i dziesięciodolarówek. - Jajka jednak sobie daruję.

Lenny wyciągnął klucze z torby na ramieniu i wszedł po wytartych marmurowych schodkach. Kiedy już miał przekreślić klucz w zamku, odniósł wrażenie, że ktoś za nim stoi. Obrócił się.

Stopień niżej stała kobieta. Niewysoka, w czarnym płaszczu przeciwdeszczowym. Włosy osłaniał zawiązany pod brodą szal. Na bezbarwnej twarzy odznaczały się szeroki nos i grube brwi.

- Czy pan Sulzberger? - zapytała słabym głosem, w którym usłyszał obcy akcent.

- Kurde, ale mnie pani przestraszyła. Tak to ja, ale pani nie znam. - Rozejrzał się, sprawdzając, czy jest ktoś jeszcze na chodniku lub w jednym z zaparkowanych naprzeciwko samochodów.

- Nazywam się Katia Mirowa. Wiem o mężczyźnie, którego postrzelono w salonie samochodowym.

- Mówili w wiadomościach. Wielu o tym słyszało.

- Chciałam powiedzieć, że go spotkałam. Nazywa się Sasza Akimow.

Zaskoczony faktem, że obca osoba zjawia się o północy, by oświadczyć, że zna Akimowa, Lenny wyciągnął klucz z zamka i wrócił na chodnik.

- I przyszła tu pani o tej porze, żeby powiedzieć mi, że zna Saszę Akimowa?

- Przepraszam, że tak późno, ale dziś rano przyjechałam z Nowego Jorku. Pan chyba pisze o panu Carsonie, do którego należy salon, gdzie postrzelono Akimowa?

- Dużo pani o mnie wie. Gdzie mieszkam, czym się zajmuję. Skąd, do cholery?

- Wyjaśnię to, ale proszę mi zdradzić, czego pan się dowiedział o Akimowie. Czy możemy gdzieś porozmawiać? - Sugestywnie wskazała na drzwi.

Lenny zerknął w okno swojego mieszkania, po czym się obrócił.

- Tu niedaleko jest otwarta restauracja. Możemy iść tam - zaproponował.

Restauracja Yaffy znajdowała się u zbiegu ulic Greenwich i Harrison. Uważano ją za lokal dla nowobogackich. Stary, drewniany bar biegł przez prawie całą długość frontu. Półki, na których stały alkohole, wykonano z ciemnego orzecha i bejcowanego dębu. Z piwnicy dolatywały kuchenne zapachy. Kilku młodych ludzi, żywcem przeniesionych z Wall Street czy agencji reklamowych, kończyło późną kolację. Lenny poprowadził nieznajomą do stolika, który można było odгородzić od reszty lokalu bordową zasłonką. Poprosił kelnerkę o dwie butelki wody Evian oraz limonkę i nóż, którym można by ją pokroić.

- Sądziłem, że dzisiejszy dzień mam już za sobą - rzucił Lenny. Wyjął z torby notatnik. - Ale jeśli ma mi pani coś do powiedzenia o Akimowie, będę cholernie szczęśliwy, mogąc to usłyszeć.

Niewielką restaurację oświetlały mikre dwudziestopięciowatowe żarówki, rozmieszczone na ścianach. Małe świece w kulistych osłonach miały dodatkowo rozświetlać pomieszczenie, jednak większość z nich zgasła kilka godzin wcześniej.

- Katia Mirowa. - Lenny głośno przeliterował nazwisko, zapisując je w notesie. - Dobrze zrozumiałem?

Podniósł wzrok. Nawet w ciepłym świetle jej twarz wyglądała blado i była zdecydowanie brzydka. Pozostało w niej jednak coś, co

świadczyło o dawnej urodzie. Wydawała się też młodsza, niż sugerowały jej sylwetka i siwiejące włosy. Miała ze sobą szmacianą torbę. Siadając do stolika, położyła ją na kolanach. Kiedy przyniesiono wodę, wypila połowę szklanki.

- Dobrze to pan przeliterował. - Skinęła głową. - Czy pan Carson powiedział dziś panu, dlaczego Akimow się z nim spotkał?

Lenny wpatrywał się w kobietę.

- Skąd pani wie, że tam byłem?

- Nie chcę robić z tego tajemnicy. Panie Sulzberger, musi mi pan zaufać. Akimow jest poszukiwany przez FSB.

- Proszę zrozumieć, pani Katiu. Nie śledzę na bieżąco wydarzeń w Rosji, wiem tyle, ile czasem wyczytam w gazecie. Chyba nie jest tam za wesoło. - Gryzmołił litery w notesie. - Czym jest FSB?

- Rządzący twierdzą, że to MSW, ale faktycznie to stare KGB pod nową nazwą. Policja plus tajniacy.

- Należy pani do nich?

- Nie. Ale mają w Stanach swoich agentów.

- Więc co pani tutaj robi?

- Wynajęto mnie do śledzenia Akimowa. Chcieli wiedzieć, gdzie się znajduje.

- Teraz leży w szpitalu.

- Na Long Island. Szpital nazywa się North Shore.

- Znowu ma pani rację. Ale wygląda na to, że przeniosą go do New Jersey.

- Wie pan, do którego szpitala?

Lenny przekartkował notes.

- Taa... Jest tu gdzieś. Nie zwracam uwagi na takie rzeczy podczas wywiadu. Koncentruję się na stawianiu właściwych pytań i udzielanej odpowiedzi, co jest wystarczająco trudne. O szczegóły będę się martwić później.

Katia ukroiła plasterek limonki i wrzuciła do wody.

- Co Akimow powiedział panu Carsonowi? - Mówiąc to, nie podniosła wzroku.

Lenny wiercił się na krześle.

- Powiedział cholernie mało. Nie rozmawiali długo, bo jak wiadomo, został postrzelony.

Katia przytaknęła.

- Miał jakiś powód, żeby tam pójść. Sądziłam, że dowiedział się pan jaki.

- Musi pani pamiętać, że jestem dziennikarzem. Co oznacza, że wszystkie moje źródła informacji są poufne i dopóki nie uzyskam pozwolenia, nic ode mnie nie wyjdzie. Jak już wspominałem, nie

pamiętam wszystkich szczegółów, które zapisałem. - Uśmiechnął się.
- Sam siebie zaskakuję tym, co znajduję w notatniku.

Kobieta pokiwała głową.

- Ale czy Akimow powiedział panu Carsonowi, dlaczego przeleciał taki szmat drogi? Nie musi mi pan mówić, co dokładnie powiedział, tylko czy w ogóle powiedział.

Lenny przewertował notatnik, po czym gwałtownie go zamknął i włożył do kieszeni marynarki.

- Już prawie pierwsza, a zapowiada się pracowita noc. W ciągu dwóch dni muszę napisać dwadzieścia pięć tysięcy słów i każde z nich musi być cholernie perfekcyjne. Mogę pani powiedzieć, że Akimow mówił o starych czasach, nim go postrzelono.

Katia postawiła szklankę, cały czas trzymając ją w dłoniach.

- Czy może pan powiedzieć coś więcej o tym wywiadzie?

- O co tu chodzi? - zapytał, podnosząc głos. - Powiedziałem więcej, niż powinienem. A jedyne, czego się od pani dowiedziałem, to fakt, że Akimowa poszukuje to całe FSB. Nawet nie wiem, dlaczego. Teraz pani kolej, by podzielić się informacjami.

- Już mówiłam, ja tylko go obserwuję. Szuka go nie tylko policja.

-Kto jeszcze?

- Jego wrogowie. W dzisiejszych czasach w Rosji roi się od przestępców, takich jak wasza mafia. Akimow udawał, że pomaga emerytom. Był, jak się to u nas mówi, maklerem. Kupował ich mieszkania po cenach zaniżonych o tysiące rubli. Mówił im, że mogą tam mieszkać do końca życia. Jednak nie czekał, aż śmierć przyjdzie po nich sama. Ci starsi ludzie ginęli w dziwnych okolicznościach, a sam Akimow z dużym zyskiem sprzedawał mieszkania. Nie on jeden się tego dopuścił. Wielu tak robi.

- Nieprzyjemny człowiek. - Lenny wstał od stolika. - Jeśli nie ma pani nic przeciwko, zapłacę rachunek i pójdę już do domu. Jak mówiłem, jutro mam robotę.

-A nazwa szpitala, do którego mają przewieźć Akimowa? Nie zdradzi mi jej pan?

- Nie zdradzę. - Poklepał dłonią kieszeń, do której włożył notatnik.
- Jest gdzieś tutaj, ale to zbyt cenna informacja. Do zobaczenia. - Podszedł do baru, zapłacił rachunek i wyszedł na ulicę.

Kobieta spojrzała na zegarek, odczekała pół minuty i ruszyła za nim. Na zewnątrz nie było nikogo, tylko jakiś samochód jechał na południe ulicą Greenwich. Katia dostrzegła wysoką postać, która przecnicę dalej skręcała w North Moore. Kiedy samochód przejechał, zaczęła biec. Poruszała się jak sprinterka. Na North Moore zobaczyła, że Lenny

Sulzberger przechodzi przez ulicę i zmierza w stronę swojego domu. W mgnieniu oka przeskoczyła na tę samą stronę i szybko zbliżyła się do mężczyzny.

Kiedy Lenny podszedł do drzwi, w dłoni trzymał już przygotowane klucze. Włożył jeden do zamka. Gdy go przekręcił, usłyszał głośny huk i w tej samej chwili poczuł ostry ból w prawym udzie.

- Cholera! - wrzasnął, dotykając dłonią nogi.

Kolejny huk i taki sam ból rozlał się po jego lewym pośladku. Lenny osunął się na ziemię. Skręcając się z bólu, wzywał pomocy.

Katia podbiegła do schodów i uklękła obok niego. Przyłożyła mu lufę pistoletu do policzka.

- Kolejna kula może się znaleźć tutaj. Zginiesz i nie będziesz już czuł żadnego bólu.

Wyciągnęła notatnik z jego kieszeni.

- Poczekaj do momentu, w którym nie będziesz już mógł znieść bólu, wtedy możesz sobie wrzeszczeć, ile chcesz.

- Ty dziwko. Ty podła, pierdolona dziwko - wykrztusił, ciężko oddychając. Z oczu popłynęły mu łzy bólu i wściekłości.

Kobiety już nie było. Zeskoczyła na chodnik i pobiegła na wschód, w kierunku Hudson. Niedaleko skrzyżowania stał taurus. Kiedy otworzyła drzwi, kierowca odpalił silnik. Wskoczyła do środka. Usadowała się obok Wiktora, machając notatnikiem Lenny'ego.

ROZDZIAŁ 11

W pokoju Mike'a Carsona rozdzwoniły się oba telefony. Na jednym Mike wcisnął przycisk wstrzymania rozmowy, drugi odebrał.

- Czy ktoś ci powiedział, co się stało Lenny'emu Sulzbergerowi?
- mówiła Patsy Abromowitz.

- Nie. Był tu niedawno. - Wystukał coś na klawiaturze komputera i na ekranie pojawił się kalendarz. „2 czerwca, 8.04”. - Patsy? Wyszedł stąd dziewięć godzin temu. Co się stało?

- Po spotkaniu z tobą wrócił do domu. Spotkał kobietę, która przedstawiła się jako Katia. Rozmawiali w pobliskiej restauracji. Kiedy wracał do domu, Katia poszła za nim, strzeliła do Lenny'ego. Trafiła biedaka dwukrotnie. Jest w Szpitalu Świętego Wincenta. Właśnie stąd dzwonię.

- Bardzo z nim źle?

- Dostał w prawe udo i lewy pośladek. Leży teraz na brzuchu i jest tak wkurzony, że pewnie by stąd zwiął, gdyby mógł.
- Bardzo mi przykro. Czy mogę być pomocny w czymkolwiek?
- Nie, dzięki. Ta kobieta, Katia, chciała wiedzieć, co powiedziałeś Lenny'emu o Akimowie. Lenny twierdzi, że nic nie wygadał. Dlatego strzelała i zabrała jego notatnik.
- Potrafi opisać tę kobietę?
- Powiedział mi, że była brzydka, po czterdziestce, raczej przy kości.
- To nie ta, która postrzeliła Saszę.
- Jak myślisz, co się za tym kryje?
- Nie mam pojęcia. Lenny zrobił dużo notatek, ale nie powiedziałem mu wiele. Sasza mówił o mojej rodzinie i to wszystko, co musiał wiedzieć Lenny czy ktokolwiek inny.
- Możliwe, ale ktokolwiek za tym stoi, chce wiedzieć, po co Sasza przejechał taki szmat drogi. Prawdopodobnie wiedzieli, że nie była to niewinna pogawędka o twoich rodzicach. Myślę, że jeśli nie znajdują tego, czego szukają w notesie Lenny'ego, mogą złożyć ci wizytę.
- Mike zamyslił się przez moment.
- Sądzę, że szukają czegoś, czego Sasza nie zdążył mi powiedzieć. Do diabła! Chciałbym wiedzieć, co to było.
- Zostanę z Lennym, dopóki jego stan się nie ustabilizuje. - W słuchawce zapadła cisza. - Wiesz, Mike - odezwała się po chwili - twój rosyjski przyjaciel przywiózł ze sobą same nieszczęścia. Już trzech ludzi jest w szpitalu. Nie chcę, żebyś był czwarty.

ROZDZIAŁ 12

Tak się szczęśliwie złożyło, że Christopher, czyli Kip, Forbes miał przyjechać do Paryża w interesach właśnie wtedy, gdy Oxby zamierzał lecieć stamtąd do Sankt Petersburga. Kip przekazał wiadomość przez telefon, sugerując, by spotkali się w rodzinnym zameczku w Balleroy, kilka kilometrów od Caan w Normandii. Trzystusześćdziesięcioletni zamek kupił ojciec Kipa na początku lat siedemdziesiątych. Oxby znał historię tej wspaniałej budowli, wiedział o znajdującej się tam bibliotece pełnej starodawnych manuskryptów, o tym, że ściany pokryte są historycznymi malowidłami... i o corocznym - w każdy drugi weekend czerwca - międzynarodowym zlocie baloniarzy Forbesa, odbywającym się na

terenach otaczających zameczek. Oxby spotkał się z Kipem na tydzień przed imprezą. Nie figurował na krótkiej liście gości bo ani nie posiadał balonu, ani nie był osobistością.

Kip Forbes, młody przystojniak, podobny bardzo do swego nieprzewidywalnego ojca, powitał Oxby'ego w drzwiach, gdy ten wysiadł ze śnieżnobiałego citroena. Pierwsze spotkanie twarzą w twarz, od kiedy Kip rzucił Oxby'emu wyzwanie odszukania carskiej pisanki Rasputina.

-Miałem nadzieję, że wyślesz po mnie balon - przywitał go Oxby.

-Niesprzyjający wiatr - odparł Kip. -Ale mogę cię balonem odesłać.

Oxby nalegał na oprowadzenie po zamku i Kip uległ jego prośbom. Czas mijał im na rozmowie o sztuce, starych księgach i siedemnastowiecznych meblach... wreszcie carskich pisankach Fabergé.

- Moi bracia uważają, że tym razem mnie poniosło - stwierdził pogodnie Kip.

-A ja mam takie przecucie - oznajmił detektyw - że je znaję. - A moje przecucia zwykle mnie nie zawodzą - dodał szczerze.

Aby uniknąć długiego postoju w Sztokholmie, Oxby poleciał Air-France do Frankfurtu, a stamtąd Aeroflotem do Sankt Petersburga. Rosyjski Tu-134 był podobnej konstrukcji jak boeing 727. Mimo obaw nadinspektora co do możliwego opóźnienia - albo i gorzej - samolot wystartował o czasie. Korzystając z dobrej pogody, pilot poleciał łukiem na północ, nad Bałtykiem i Helsinkami, potem lotem wznoszącym na południowy wschód nad Zatoką Fińską, by wreszcie zejść do lądowania w Sankt Petersburgu. Można powiedzieć, że miasta widziane z lotu ptaka prezentują swą osobowość - i każde jest indywidualnością. Nie inaczej było z tym. Jedenasta w nocy, trzeci czerwca. Dwa tygodnie od rozpoczęcia białych nocy tysiące światła płonęły niepotrzebnie pod niebem jasnym niby rankiem. Światła odbijały się od lśniących tafli i wstęg wody otaczających miasto ze wszech stron: kanałów, rozlewającej się szeroko Newy, zatoki i jeziora Ładoga. Niezapomniany widok. Oxby chłonął go, aż koła samolotu dotknęły gruntu.

Wylądowali na lotnisku Pułkowo II. Zaskakująco mały międzynarodowy terminal znajdował się mniej więcej szesnaście kilometrów od autostrady łączącej Sankt Petersburg z Carskim Siołem, które Sowieci przechrzcili na Puszkina.

Być może zadecydowała późna godzina, ale zwyczajowy rytuał

sprawdzania paszportów i kontroli przez ochronę tym razem przebiegał nadzwyczaj szybko. Detektyw odebrał walizkę w niecałe dwadzieścia minut po zejściu z pokładu.

Oxby poświęcił piętnaście lat życia odzyskiwaniu - czasem nawet ratowaniu - dzieł sztuki. W ich poszukiwaniu przemierzał świat. A jednak nigdy wcześniej nie zawitał do tego miasta - należącego wszak do największych światowych centrów sztuki. Teraz nadarzyła się okazja. Gospodarzem i przewodnikiem będzie Rosjanin z krwi i kości, tak rosyjski, jak wiejska dacza i rodowity petersburżanin, jak niesławny car, który miasto założył.

Jakow Stiepanowicz Iljuszyn czekał u progu zatłoczonej hali przylotów. Zobaczyli się nawzajem i jednocześnie do siebie pomachali.

- *Priwiet!* - zakrzyknął Oxby, przyspieszając kroku. - *Kak dieta?*

Z szerokim uśmiechem Jakow wyrzucił jednym tchem serię rosyjskich zdań - za szybko i zbyt potocznych, aby Oxby mógł je zrozumieć.

Można by domniemywać, iż Jakow po prostu odpowiedział uprzejmie na powitanie.

- Zapewne lepiej będzie, jeśli przez parę dni będziemy mówić po angielsku - zasugerował Oxby. - Albo po francusku. Z tym sobie poradzę.

- Po angielsku. Przyda mi się praktyka - uznał Jakow. Złapał go za ramię i poprowadził do wyjścia z terminalu.

Jakow Iljuszyn był wyższy od Oxby'ego, o jakieś pięć centymetrów i poruszał się przygarbiony wskutek amputacji lewej nogi poniżej kolana. Stracił ją, mając jedenaście lat, podczas oblężenia Leningradu - jak tysiące innych osób, które odmroziły kończyny w rekordowo mroźną zimę 1941 roku.

Jakow miał pociągłą twarz, dość wydatne kości policzkowe, brązowe oczy, w których spojrzeniu było ciepło, i rzadkie siwe brwi.

Przeciętnej wielkości nos wydawał się za duży przy tej szczupłej twarzy. Uśmiech pełnych ust odsłaniał zęby pożółkłe, ale też srebrne i złote. Długie siwe włosy opadały w strąkach za uszy, aż na kołnierz marynarki.

Niemal siedemdziesięcioletni Jakow był emerytowanym starszym kustoszem Muzeum Rosyjskiego. Choć nie tak sławne, jak Ermitaż, Muzeum Rosyjskie posiadało największą na świecie kolekcję dzieł sztuki rosyjskiej, przewyższając liczbą zbiorów nawet Galerię Tretjakowską w Moskwie. Przyjaźń Oxby'ego z Iljuszynem zaczęła się od tego, że mieli wspólne zainteresowania: sztuką, zwłaszcza ozdobną,

która stanowiła oś kariery naukowej Jakowa. Był uznanym ekspertem w dziedzinie rosyjskiej ikonologii - jak również kolekcjonerem - na tyle, na ile pozwalała mu na to skromna pensyjka. Oxby dwukrotnie gościł Jakowa w Londynie, chcąc uzyskać specjalistyczną opinię w sprawach skradzionych dzieł sztuki. Ich najważniejsze wspólne śledztwo dotyczyło cennej ikony dzieła Andrieja Rublowa, którą wystawiono na aukcji w Sotheby. Jakow poświadczył, iż skradł ją podczas wojny niemiecki oficer. Następnie sobie tylko znanym sposobem odszukał oficjalne świadectwo sprzedaży i w sposób niepodważalny ustalił pochodzenie obrazu.

Tym razem Oxby zwrócił się do Jakowa, by ten, wykorzystując całą swą wiedzę i umiejętności, wyraził opinię w sprawie budzącej ciągle kontrowersje: czy Rasputin faktycznie zlecił Fabergému wykonanie carskiej pisanki, czy też jest to uporczywie powtarzana pogłoska, którą można będzie wreszcie zdementować.

Trudno było ustalić wiek samochodu Jakowa - czterodrzwiowej łady sedan - głównie ze względu na fakt, iż wszystkie stare łady są do siebie podobne. Tak jak wiek drzewa ustala się po słojach, tak wiek starego rosyjskiego wozu - po liczbie warstw farby. Jednak niewiele ład mogło się poszczycić takimi skarbami, jak te, wypełniające wnętrze auta, do którego wsiadł Oxby.

- Przesuń to gdzieś - zasugerował Jakow. - To pewnie śmieci, ale nie potrafię nic wyrzucić. - Oxby miał usłyszeć ten smętny komentarz jeszcze wiele razy, podczas wspólnych podróży zabałaganionym rupieciami. Ale pozory mylą. Silnik zaskoczył od razu i w ciągu kilku minut opuścili teren lotniska. Skręcili na M20 i pojechali na północ, w kierunku Sankt Petersburga. Choć był zaprawionym globtroterem, Oxby doznawał emocji, jakie zwykle towarzyszą nowym doświadczeniom.

Obserwował krajobraz, samochody, ciężarówki i autobusy oraz nieliczne mijane budynki. Przejeżdżali właśnie obok budynku, mieniącego się jaskrawą czerwienią i bielą nowej rozlewni coca-coli.

Oxby pierwszy przerwał milczenie.

-Nie wiedziałem, czego się spodziewać, ale... - tu zatoczył ręką wkoło - gdyby nie jazda prawą stroną, wyglądałoby jak któreś z naszych miast.

- Sankt Petersburg to drugie co do wielkości miasto w Rosji... a to nasza główna autostrada. Kiedy wjeżdżasz do Londynu od strony Heathrow, to stokroć bardziej ekscytujące niż ta monotonia.

- Wdychania spalin tysiąca ciężarówek nie nazwałbym ekscytującym. Szczerze mówiąc, wolę tę monotonię.

- Już przestaję narzekać. Nie będę ci psuł twojej pierwszej wizyty

w Sankt Petersburgu.

- Udało ci się coś wyjaśnić w sprawie carskiego jajka, od czasu naszej rozmowy?

- Osiągnąłem tyle, że ożywiłem tę siedemdziesięcioletnią plotkę.

- To znaczy?

- Napisałem opowiadanko o Rasputinie i Fabergém, które wydrukowała jedna z gazet, „Newskoje Wriemia”. - Wydobył z kieszeni złożoną stronę z gazety i podał ją Oxby'emu. - Otrzymałem listy od kilku starszków. A moi przyjaciele z muzeum żartują, czy jestem gotów wypłacić nagrodę uczciwemu znalazcy.

- I tyle? Żadnej zasługującej na uwagę odpowiedzi?

- Jak dotąd, nie. Ale zachęcano mnie, żebym się postarał zamieścić opowiadanie w innych gazetach. Znajomy, który zna się na komputerach, opublikuje im w tym... jak to nazywacie... Internewsie.

- Internecie - poprawił go Oxby. - Jestem pewien, że w Rosji mówicie tak samo.

- Mam stary komputer, który dostałem z muzeum. - Roześmiał się. - Bardziej robi za dekorację niż za narzędzie pracy.

- Wierzysz w tę plotkę o Rasputinie?

- Już dawno słyszałem pogłoski o Fabergém i Rasputinie. Wielu z nas chciało w nie wierzyć. Potem przyszła wojna i takie sprawy przestały mieć znaczenie. - Jakow skrzywił gwałtownie, unikając zderzenia z minivanem, który zajechał im drogę. Z impetem wcisnął klakson i zaklął po angielsku na użytek Oxby'ego. - Ci młodzi... ! Myślą tylko o sobie.

- Nie inaczej jest w Londynie - zauważył Oxby, sięgając nerwowo po nieistniejący pas. - Odpowiedz mi na pytanie - zwrócił się do przyjaciela. - Wierzysz w tę plotkę?

- Rasputina demonizowano tak bardzo, że trudno powiedzieć, kim był naprawdę. - Jakow się skrzywił. - Teraz odkrywają go na nowo, jako człowieka prostego i świętego zarazem, obdarzonego nadludzką mocą. Wcale nie takiego złego.

- Nie odpowiadasz na moje pytanie. Wierzysz, że Rasputin zamówił u Fabergégo wykonanie jajka?

- Jeśli tak było - mówił Jakow, wciąż unikając odpowiedzi wprost - to prawdą może być również pogłoska, że rzucił na nie czar.

- Masz na myśli kłutwę?

- Nie w waszym rozumieniu. To nie ma nic wspólnego z czarną magią. Chodzi o błogosławieństwo. Wyobraź sobie, że jajko ma moc poskramiania zła. Czyli jest błogosławione. - Jakow zerknął na Oxby'ego. - Wierzysz w to?

Detektyw się zamyślił.

- Chyba tak - powiedział w końcu. - W twoim kraju pełno jest duchów i wszelkiego rodzaju istot nadprzyrodzonych. Do tego pijesz?

- Więcej u nas duchów niż w Anglii, Grecji, a nawet Ameryce. Rasputin bez wątpienia miał swoje za uszami, ale w jego wypadku rzecz dotyczy ciała i zmysłów. Jego apetyt seksualny był, jak wy to mówicie, gargantuiczny. - Mrugnął znacząco. - Nie stronił od alkoholu. To wszystko prawda. Ale w Rosji może to znamionować męskość.

Zwolnili i wmieszali się w ruch uliczny.

- To Newski Prospekt - wyjaśnił Jakow - nasza główna aleja. Na zachód masz sklepy, dalej Nową i Ermitaż. Mieszkam kilka minut drogi stąd. Niestety, nie w tym dużym budynku naprzeciwko.

- Monstrualny jest - ocenił nadinspektor. - Cóż to takiego?

- Przechodził różne koleje, tak jak inne stare pałace Petersburga. Teraz nazywa się Pałacem Młodości, ale pierwotnie był to Pałac Aniczkowa; na cześć kapitana, którego regiment wybudował to gmazysko. Ale Aniczkow nigdy w nim nie mieszkał.

Zarówno nazwa, jak i związany z nią fragment historii nic dla Oxby'ego nie znaczyły. Uśmiechnął się pobłaźliwie, świadom, iż to dopiero pierwszy z wielu krótkich wykładów, jakimi uraczy go gospodarz. Gdyby spytał, kto mieszkał w pałacu, Jakow oczywiście by mu powiedział. To i o wiele więcej - a wszystko interesujące, lecz trudne do spamiętania.

- Skręcamy w Litejny Prospekt - mówił Jakow. - Jadąc dalej, napotkasz Bolszoj Dom, czyli „duży dom”, będący siedzibą KGB przed rozpadem związku. A tu mamy ulicę Bielińskiego. - Jakow znów skręcił w wąską ulicę, a z niej na pokryty żużlem parking. Zatrzymał się. - Tu mieszkam - oznajmił, wskazując budynek na rogu Litejnego i Bielińskiego. - Przygotowałem ci mapki miejsc, które powinieneś zwiedzić. Tam - wskazał palcem - trzysta metrów stąd jest rzeka Fontanka. Sam zobaczysz. Na nabrzeżu jest wiele pięknych budynków.

- Stąd nawet ja mogę przejść się na piechotę do Muzeum Rosyjskiego. Czasem nawet tak robię. Na Litejnym znajdziesz sklepy, a pięć minut drogi stąd metro i kioski zjedzeniem.

Mieszkanie Jakowa znajdowało się na pierwszym piętrze budynku z kamienia i cegły. Zbudowano go w 1877 roku. W tym samym roku Rosja wypowiedziała wojnę Turcji. Kolejna lekcja historii w wykonaniu Jakowa. Korytarz prowadzący od wejścia na tył domu, do drzwi mieszkania Jakowa, miał osiem metrów długości, kamienną podłogę i pokryte stiukiem ściany, w kolorze dobrze już Oxby'emu znanym. Na swoje potrzeby określał go mianem żółci przemysłowej.

Jednak widoczność w korytarzu ograniczała się do kilku metrów. Dalsza jego część pogrążona była w nieprzeniknionej ciemności.

- Przepraszam, Jack - odezwał się znów Jakow. - Wciąż kradną mi żarówki. Nie sposób ich powstrzymać.

- Kto je kradnie?

- Może Makarowa spod jedenastki, może Kraskow spod szesnastki lub dzieci Skokowa spod dziewiętnastki. - Wzruszył ramionami. - Wkręcam nowe i zaraz znikają.

Najwyraźniej była to norma, Jakow bowiem wydobyl kieszonkową latarkę i oświetlił drogę Oxby'emu. Kiedy zbliżali się do końca korytarza, uniósł latarkę, rzucając snop światła na drzwi mieszkania.

Do drzwi była przyklejona pomarańczową taśmą izolacyjną spora, pękata koperta.

- Masz prezent, Jakow.

- *Niet.* Nie doręczają mi tak paczek. Ktoś sobie żarty stroi - powiedział, odrywając taśmę.

Przekręcił klucze w obu zamkach i otworzył drzwi. W ciemnym pomieszczeniu zarzyły się tylko małe pomarańczowe i zielone światełka - zegara lub jakichś urządzeń elektronicznych.

- Nie ruszaj się, aż włączę światło - ostrzegł gospodarz.

Latarką oświetlił lampę. Zapalił ją, potem kolejną. Oxby wkroczył do mieszkania. Znalazł się w maleńkim pokoju na planie kwadratu. W każdej z trzech ścian znajdowały się drzwi z pomalowaną szybą pośrodku. Stały tu stół i wysoka, sięgająca pod sufit biblioteczka. W czwartej ścianie znajdowało się dwoje wąskich drzwi, jedno do maleńkiej toalety, drugie do mikroskopijnej łazienki. Drzwi były zamknięte, ale przez kolorowe szkło przedostawało się nieco światła.

- Oprowadzę cię i znajdę coś do picia, ale najpierw paczka...

Jakow położył pakunek na stole. Przeciął scyzorykiem taśmę i papier, wydobywając ciemnozielone pudełko; miało około trzynastu centymetrów długości, tyle samo szerokości i wysokości, starannie przewiązane jasnozieloną wstążką. Przyklejono też do niego wizytówkę.

- A jednak miałeś rację. - Jakow uśmiechnął się nieznacznie. - Osobliwy sposób na przesłanie prezentu. - Wręczył wizytówkę Oxby'emu. - Z warsztatu Fabergého na ulicy Bolszoja Morskaja.

Zsunął wstążkę i otworzył pudełko. Wewnątrz znajdowało się owinięte w chusteczkę mniejsze pudełko. Otworzył je i wyjął pisanekę z papier *mâche* w jaskrawych kolorach. Jajko miało siedem i pół centymetra wysokości i opasane było dwiema gumkami recepturkami. Jakow obracał je w dłoniach, uważnie się przyglądając.

- Dziwne - powiedział. - Jest w kawałkach, ale przytrzymują je te gumki.

- Oryginalny podarek, nie ma co. Otwórz je.

Jakow odłożył jajko na stół. Kiedy zdjął gumki, rozpadło się na pięć części. Wewnątrz znajdował się kolejny pakiecik-pięć centymetrów długości, dwa i pół centymetra w obwodzie - owinięty kawałkiem sukna. Oxby zaczął je odwijać delikatnie. Wyczuł, że w środku znajduje się coś w dwóch kawałkach. Wreszcie w jego dłoniach znalazła się lakierowana matrioska. Głowę cyrkowego klauna wykrecono i zgnieciono.

Jakow wziął od niego obie części i złączył szyję z tułowiem. Zaskoczony, obracał je w dłoniach, szukając jakiegoś oznaczenia. Bezskutecznie. Jednak wewnątrz tułowia laleczki znalazł zwitek papieru. Wyjął go ostrożnie, rozwinął i odczytując krótką wiadomość, pobladł. Rozszerzonymi z przerażenia oczami spojrzął na przyjaciela. Karteczka wysliznęła mu się z palców i spadła na stół.

- Cóż to takiego, Jakow? - spytał Oxby, patrząc na nieczytelne dlań zawijasy cyrylicy.

- Ostrzegają mnie, żebym nie szukał informacji o jajku Rasputina. *Ostriegajsia*, powiadają, czyli „strzeż się!” Albo zmiażdżymy ci głowę jak tej laleczce.

Oxby, niepocieszony, zebrał zawartość paczki: taśmę, pudełko Fabergégo, części jajka, kawałek sukna, wreszcie zepsutą matrioszkę i karteczkę, której nie potrafił odcyfrować. Materiał dowodowy. Gdyby był w pracy, zapakowałby wszystko w plastikowe torebki i przekazał do SO-10 w celu sfotografowania i zbadania, a potem przesłał do laboratoriów kryminalistycznych Scotland Yardu w Lambeth.

- Czy jest tu coś, co mogłoby wskazywać, kto ci to przesłał? Może jakiś znajomy zrobił ci kawał?

- Nic nie ma. - Jakow pokręcił głową. - Wiadomość napisano na maszynie, na zwykłym papierze. Moi znajomi nie są ani tak przebiegli, ani tak okrutni.

- Nie znam się na matrioszkach. Ale gdzieś jest taka, w której brakuje tego ludzika. - Oxby zerknął na Jakowa. - Musimy tylko ją znaleźć.

ROZDZIAŁ 13

Upór Łysenków popłacał. Wiktor i Galina ślęczeli nad notatnikiem Lenny'ego Sulzbergera, starając się odczytać tę dziwną mutację stenografii, wzbraniającej się wprost przed interpretacją. Szkolenie nie przygotowało ich na niezliczone strony hieroglifów przyozdobionych jidyszyzmami i zapisem własnego pomysłu, zapewne podpatrzonym u japońskiej przyjaciółki. Nie żeby Lenny wymyślił własny sekretny język - tak po prostu pisał. Jednak Wiktor znalazł wskazówkę. W całym tym bełkocie odnalazł proste skróty, które można było zrozumieć nawet bez kontekstu.

Lenny opatrzył notatki nagłówkiem „MC”, najwyraźniej mając na myśli Mike'a Carsons. Używana tu i ówdzie duża litera „M” oznaczała właśnie jego. Uznał też, że łatwiej napisać „ENGLWD-RX” niż użyć niemożliwej do rozczytania bazgraniny. Korzystając z tych informacji, Galina i Wiktor zaczęli dzwonić do informacji Szpitala Uniwersyteckiego North Shore oraz do Szpitala i Centrum Medycznego Englewood.

Trzeciego czerwca, tuż przed południem, po wielu godzinach nieustannego wydzwaniania, Wiktor się dowiedział, że Saszę Akimowa przewiozą nazajutrz o dziewiątej wieczorem prywatną karetką do Englewood w New Jersey.

Teraz mogli wprowadzić w życie plan stworzony jeszcze przed poznaniem nazwy szpitala.

Upierdliwy Estończyk kontaktował się z nimi dwa razy dziennie. Przekazał im słowa Olega Władimirowicza Dieriabina: „Niepowodzenie Łysenków w sprawie Akimowa nie będzie tolerowane. W takim wypadku staną się zbędni”.

- Oleg rozumie przez to - wyjaśniał Trivimi - że nie ma mowy o wymówkach i dyskusjach. Zostaniecie... - Przerwał na chwilę, po tem dokończył: - Porzuceni.

Aluzja Dieriabina brzmiała złowrogo. Należało to rozumieć, że zostaną wytropieni i zabici. Aby pozbyć się dowodów. Groźba rozżłościła Wiktora.

- Jeszcze zobaczymy, kto jest zbędny, a kto nie.

Wynajętego przez Wiktora forda taurusa zastąpił czarny grand AM w czerwone pasy. „Nie wynajmuj samochodu na więcej niż trzy dni” było jednym z wielu przykazań, których przestrzeganie wpojono mu podczas szkolenia. Choć powinien się trzymać popularnych amerykańskich modeli, niewyróżniających się na drodze, Wiktor gustował w pojazdach szybkich i zwrotnych. Naciągając trochę reguły, wybrał pon-tiaca, z potężnym silnikiem i deską rozdzielczą przypominającą tablicę przyrządów w odrzutowcu. Zasady

bezpieczeństwa wymagały ponadto zmiany adresu co trzy dni lub co drugi dzień w wypadku najmniejszego nawet podejrzenia, że on i Galina są śledzeni.

Podczas gdy Wiktor szukał samochodu w wypożyczalniach, Galina wzięła na siebie zadanie znalezienia nowego miejsca, w którym mogliby się zatrzymać. Wybrała niewielki hotel Adria, w centrum Bay-side przy Northern Boulevard. Dobry dojazd do autostrady, trzydzieści minut drogi do Portu Lotniczego imienia Kennedy'ego, położony na uboczu i wyposażony w parking.

Nie konsultując się z Wiktorem, zadzwoniła do starego przyjaciela z Sankt Petersburga, jedyne go znanego jej nowojorczyka. Paweł Raków wyjechał z Rosji w styczniu 1994, dwa lata po upadku ZSRR, udając się wprost do Nowego Jorku. Mieszkał, jak powiadał, nad wielką rzeką. Przedstawił ich sobie Wiktor. Później utyskiwał, że Pawłowi nie można ufać. Jednak Galina wiedziała, iż rzecz nie w kwestii zaufania. Chodziło o coś innego. Paweł ostrzegł ją przed niebezpiecznie zazdrosnym Wiktorem. Mało tego, powiedział, że gwałtowny Wiktor to ludzka bomba zegarowa.

Galina potrzebowała pomocy Pawła. Swego małego semmerlinga przywiozła starannie zapakowanego, w dwóch częściach, aby nikt go nie wykrył. W pistolecie były trzy naboje. Dodatkową amunicję ukryła w małych blaszanych pudełkach dziwacznych kształtów, które na prześwietleniu kosmetyczki wyglądałyby jak szminka lub puderniczka. Ale wskutek działania jakichś tajemnych sił - a może po prostu dlatego, że w ostatniej chwili zapomniała ich zapakować - zapasowe naboje zniknęły. Paweł nie wykazywał zbyt wielkiej chęci pomocy, jednak w końcu dał się uprosić i zgodził dostarczyć garść naboji luger kaliber 9 milimetrów, 124 gramów. Spotkali się na stacji Exxon, osiemset metrów od motelu.

O dwunastej trzydzieści pięć, środowego poranka czwartego czerwca Gustaw Cernik z małżonką przybyli z Pragi, meldując się w hotelu Adria. Ubrania i makijaż sprawiły, że mogli uchodzić za przeciętną parę w średnim wieku. Dla reszty świata wyglądali na typowe małżeństwo w podróży do Stanów, którą odbywali regularnie co dwa lata. Lekko utykający pan Cernik spytał, czy potrzebne są paszporty. Usłyszawszy, że nie, wsunął czeskie dokumenty wraz z kartą Visa z powrotem do portfela. Oznajmił, że zapłaci w dolarach.

Pokój mieli nieco tylko lepszy niż w Boulevard Plaža Motel. Ogromne małżeńskie łoże zajmowało trzecią część pokoju. Przed oknem stół z dwoma krzesłami, zaś całą długość wewnętrznej ściany zajmował niski segment z komódką, biurkiem i półką na telewizor.

Łysenkowie pojawili się w szpitalu Englewood osobno, w całkiem nowych rolach. Uzgodnili, że spotkają się w kafeterii o drugiej piętnaście. Pierwszy przybył Wiktor. Kupił sobie coś do picia i zajął stolik. Niebawem dołączyła do niego Galina. Wymienili pozdrowienia, jak to czynią znajomi, i zaczęli rozmawiać ściszymi głosami.

- Akimow będzie miał badania na erce - zakomunikowała Galina. - Poszłam tam. Pielęgniarki ubierają się na biało. Niektóre na niebiesko, ale większość na biało. Noszą czasem swetry. - Wskazała pielęgniarkę w białym bawełnianym swetrze z kwiatkami w pastelowych kolorach.

- Ochrona jest nieszczelna - mówił Wiktor. - Są kamery, ale w przewidywalnych miejscach. Wejście, schody, podjazd dla karet. Brak patroli. Zdobyłem numer do automatu telefonicznego w korytarzu przy poczekalni. Co jeszcze... A, każdy tu ma plakietkę z nazwiskiem i inne przypinki - dodał, wstając. - Spotkamy się w samochodzie - rzucił. Wychodząc ze szpitala, kupił gazetę.

W Paramus, miasteczku leżącym niedaleko Englewood, w jednym z centrów handlowych, znaleźli Centrum Ubiorów Irene. Wiktor zaparkował samochód i czekał, aż Galina znajdzie sobie odpowiedni strój.

Irene okazała się wielce sympatyczną kobietą. Ze współczuciem wysłuchała rozdzierającej serce historii Galiny, opowiedzianej potokiem dziwnie akcentowanych słów, czasem całkiem niezrozumiałych.

- Mój mąż będzie wściekły - wychlipała Galina. Gdy opisywała zawartość zaginionych walizek, po jej policzkach spływały najprawdziwsze łzy.

- Ależ z pewnością zrozumie. To przecież nie pani wina, tylko linii lotniczych.

Galina pokręciła głową, pociągając nosem.

- On jest bardzo surowy. Muszę mieć przynajmniej ubranie do pracy. Zaczynam jutro z samego rana.

Ujęta niedolą Galiny, Irene pomogła jej wybrać spodnie, wykładaną na wierzch bluzkę i białe tenisówki. Poradziła też, by kupić dwie pary nożyczek, kieszonkową latarkę i długopis, wreszcie pomogła wybrać stetoskop.

- A może ma pani plakietkę, na której mogłabym wypisać swoje nazwisko?

Irene znów nie zawiodła. Postawiła na ladzie całe pudełko przypinek i plakietek, dużych i małych, złożonych i emaliowanych. Galina wybrała przypinkę upamiętniającą „Tydzień Dawcy Krwi” i czerwoną kokardkę „AIDS”. Znalazła też plakietkę z wytłoczonym

napisem „Szpital i Centrum Medyczne Englewood”.

- To jeden ze starych identyfikatorów - wyjaśniła Ireń z uśmiechem - ładniejszy niż te nowe. Noszą i takie, i takie.

Za niecałe dwieście dolarów gotówką Galina nabyła strój pielęgniarki wraz z akcesoriami oraz szpitalną plakiętką. Małe zakupy w papierniczym i Wiktor wyprodukuje identyfikator, który z odległości niespełna dwu metrów nie będzie się różnić od noszonych przez personel szpitalny.

Galina ze zjawstwem przyglądała się swemu odbiciu w lustrze. Miała na sobie strój pielęgniarki.

- Wygląda na nowy - stwierdziła z niezadowoleniem. Przejechała dłonią po podeszwach butów, potem wytarła ręce w kieszenie spodni i bluzki. Pomazała odrobiną pudru kołnierzyk. Kilka minut pracy i strój stracił nieskazitelną wykład. Rozczesała brązową perukę z siwymi pasemkami. Założyła ją, upychając starannie pod spód własne włosy. Grymas niezadowolenia zniknął. Galina przeobraziła się w pięćdziesięcioletnią kobietę, ze śladami dawnej urody. Makijaż nałożyła z większą starannością- nie bez powodu - niż dwa dni temu, kiedy napadła na Lenny'ego Sulzbergera. Za kilka godzin będzie pod ostrzałem szczególnie badawczych spojrzeń.

Pozostał jeszcze jeden niezwykle istotny szczegół. Galina skupiła całą swą uwagę. W zamykanym na suwak futerale umieściła strzykawkę i czterocentymetrową zakorkowaną fiolkę z przezroczystym płynem.

Najważniejszym akcentem planu Łysenków było ich absolutne poświęcenie na rzecz jego realizacji - profesjonalnej i efektywnej. Każde z nich znało swoją rolę i każde było w stanie zastąpić partnera.

Wiedzieli, że nie mogą pozwolić, by przytłoczył ich Nowy Jork: jego rozległa sieć komunikacyjna, rzeki, mosty i tunele, jego nieustannie dudniący rytm. Skupili się na dwóch lokalizacjach: szpitalu North Shore w Manhasset i szpitalu Englewood w New Jersey. Wszystkie inne jakby przestały dla nich istnieć.

Wiktor wyliczył, że odległość w linii prostej między dwoma szpitalami wynosi nieco ponad dwadzieścia pięć kilometrów, zaś najkrótsza droga samochodem trzydzieści trzy kilometry. Ambulans mógł przewieźć Akimowa jedną z dziesiątek tras, jednak najprostsza i najbardziej prawdopodobna wiodła przez mosty Throgs Neck i Jerzego Waszyngtona.

Sukces zależał także od tego, czy Galinie uda się wmieszać w zespół przyjmujący pacjenta w Englewood. Będzie musiała zająć pozycję pielęgniarki udającej się do rannego Rosjanina, nim karetka z

Akimowem zajedzie przed wejście oddziału reanimacyjnego.

Plan, jak wszystkie dobre plany, był prosty. Galina wejdzie do szpitala o siódmej trzydzieści. Zapozna się z rozkładem skrzydła reanimacyjnego i ustali, kto rozdziela obowiązki. Zgłosi pielęgniarce dyżurnej na oddziale powypadkowym, że przeszła odpowiednie przeszkolenie.

Silny rosyjski akcent przyda jej autentyczności. Przedstawi się jako Irina Pietrenko, zgodnie z nazwiskiem na identyfikatorze. Powie strażnikom, że czeka na przybycie Saszy Akimowa z innego szpitala. O ósmej zajdzie do kafeterii dla personelu, zje deser i napije się kawy. O ósmej trzydzieści pójdzie do wynajętego wcześniej samochodu i zaczeka, aż Wiktor zadzwoni na jej komórkę o ósmej czterdzieści pięć. Wiktor opíše jej karetkę przewożącą Akimowa do New Jersey. Poda też przybliżony czas przyjazdu.

Po rozmowie z Wiktorem Galina po raz ostatni sprawdzi swój wygląd w jednym z pokoiów przeznaczonych do rozmów lekarzy z rodzinami. Wyjmie z kieszeni strzykawkę i napelni ją śmiertelną dawką pentobarbitalu sodu.

Zadzwonił Wiktor z wiadomością, że ambulans z napisem „Trans-care” powinien przyjechać około dziewiątej dwadzieścia pięć.

Ambulans Transcare, biały z pomarańczowymi i czerwonymi elementami wykończenia, skręcił na podjazd Szpitala i Centrum Medycznego Englewood o dziewiątej trzydzieści dziewięć. Czekał już na niego zespół złożony z pielęgniarza w niebieskim uniformie i białych butach Nike, strażnika z telefonem w ręce, dwoma pagerami i kajdankami przy pasie... i Galiny Łysenko.

Sanitariusz otworzył podwójne drzwi z tyłu karetki i wszedł do środka, by pomóc pielęgniarce, która towarzyszyła Akimowowi podczas jazdy. Odpięli zaczepy noszy i szybko wysunęli je z wnętrza, rozkładając kółka. Podłączono kroplówkę i przykryto Akimowa dodatkowym kocem. Pacjent był przytomny, wolno poruszające się gałki oczne ogarniały kolejne obce i tajemnicze miejsce. Wtem usłyszał znajome słowa...

- *Dobryj wieczier* - pozdrowiła go nieznana mu osoba, nagle zjawiając się tuż obok. - Jest pan w New Jersey - ciągnęła Galina po rosyjsku, pochylając się nad nim, by lepiej słyszał.

Znaleźli się wewnątrz. Fachowe ręce chwyciły Akimowa i delikatnie przenieśli na szpitalny wózek, wraz z kroplówką. Załoga karetki Transcare podążyła w ślad za wózkiem na urazówkę, by upewnić się, że przetransportowanie pacjenta przebiegło bez

komplikacji. Zanieśli nosze do karetki i oddalili się, by wypełnić papiery.

Ekipa z wózkiem przeszła przez automatyczne drzwi do dużego pomieszczenia, w którym znajdowała się dyżurka, otoczona stanowiskami odgradzonymi szarymi przepierzeniami. Połowę zajmowali oczekujący na pomoc pacjenci.

Dźwięki pracujących maszyn i syk sprężonego powietrza mieszały się z cichymi jękami dochodzącymi zza zasłonki, za którą opatrywano rannego w wypadku samochodowym. Wózek z Akimowem przetoczono do sali lśniącej chromem i jasnymi światłami, gdzie znajdował się sprzęt potrzebny do udzielenia pomocy przy wszelkiego rodzaju obrażeniach czy niedomaganiach, od złamań po przedawkowanie heroiny. Pojawiła się młoda internistka. Towarzyszyła jej pielęgniarka, sprawiająca wrażenie osoby autorytatywnej i kompetentnej, najwyraźniej siostra przełożona na erce. Lekarka przejrzała raport medyczny przefaksowany ze szpitala North Shore. Zbadala Akimowa i uzupełniła dokument własnymi zapiskami. Przy pacjencie czuwali pielęgniarz i Galina. Lekarka ponownie przyjrzała się ranie pod grubym opatrunkiem na szyi i górnej części klatki piersiowej. Akimow obserwował ją z ciekawością spod półprzymkniętych powiek.

Dyżurka rozbrzmiewała głosami. Niespodziewanie zjawił się gość pacjenta przeniesionego z Long Island. Mike Carson nalegał, mówił, że przyszedł dopilnować rejestracji swego przyjaciela, który jest Rosjaninem; zobowiązał się też do pokrycia kosztów.

Skierowano go do pomieszczenia, w którym przyjmowano Akimowa. Przedstawił się lekarce i porozmawiał z Saszą, starając się znaleźć dawno zapomniane rosyjskie słowa pocieszenia. Zadowolony, że pacjent dobrze zniósł podróż, Mike Carson podziękował personelowi i udał się do rejestracji.

Zdecydowano, że Akimow spędzi noc w izolatce, gdzie pozostanie pod ścisłą obserwacją, a zespół chirurgów ustali, kiedy będzie go można operować. Lekarka zapisała instrukcje, omówiła je z przełożoną i odeszła.

Pielęgniarz miał nieco ponad czterdzieści lat, ale wcześniej posiwał.

-Nick jestem - przedstawił się Galinie. - Tutejszy. - Zmarszczył brwi. - Biedaczysko naprawdę potrzebuje naszej pomocy. Słyszałaś? To jego postrzelili u tego dealera samochodów, tydzień temu. Na Long Island. Ciekawe, że przewieźli go do Jersey. Skąd jesteś? - dopytywał się. - Pierwszy raz cię widzę.

Galina odparła coś cicho po rosyjsku.

- Przydzielono mnie do tego przypadku - wyjaśniła Galina. W jej głosie dało się słyszeć silny akcent.

Nick zwolnił hamulec wózka i wycofał go z sali.

- Idziesz z nami?

Galina skinęła głową. Idąc obok wózka, prawą ręką sięgnęła do kieszeni po strzykawkę. Kroplówkę przypięto do prześcieradła tuż obok ramienia Akimowa. Rurka biegła wzdłuż ramienia do wenfionu umocowanego na dłoni.

Nick pchnął wózek. Galina zerknęła na pielęgniarza, ale jego uwaga koncentrowała się na odległej o jakieś dziewięć metrów windzie.

Widząc to, chwyciła rurkę kroplówki lewą dłonią, jednocześnie prawą wyjmując z kieszeni strzykawkę. Szybko i sprawnie przebiła kroplówkę igłą i wstrzyknęła dwanaście centymetrów sześciennych pentobarbitalu sodu. Zajęło jej to niecałe dwanaście sekund. Dawka była większa niż śmiertelna - najpewniej niecała znajdzie się w ciele Akimowa; już wcześniej jego serce przestanie bić.

Galina szacowała, że dotarcie na oddział intensywnej terapii zajmie jej niecałe dziesięć minut. Wiedziała, że za piętnaście Akimow będzie martwy. Wsunęła pustą strzykawkę z powrotem do kieszeni i pochyliła się nad Rosjaninem. Przemawiała do niego, aż Nick dopchał wózek do windy, a drzwi zasunęły się za nimi. Galina podniosła wzrok na Nicka.

- Śpi. To dobrze.

- Faktycznie. - Nick się uśmiechnął. - To znaczy, że raczej nie będziemy z nim mieli problemów.

Gdy tylko Akimowa zabrano na OIOM, Galina wróciła schodami na dół na erkę. Tam jednak skręciła ku drzwiom prowadzącym do szpitalnego holu. W cztery minuty później stała już na podjeździe. Podjechał pontiac grand AM. Zatrzymał się przed nią, otworzyły się drzwi. Wsiadła do środka, samochód natychmiast ruszył.

Galina zdjęła perukę i rozpuściła włosy.

- Sasza Akimow przestał stanowić problem - oznajmiła.

- I tak być powinno - przytaknął Wiktor.

-

ROZDZIAŁ 14

Było kilka minut po wpół do ósmej. Mike Carson spakował walizkę i miał właśnie zamiar udać się na pierwsze z porannych spotkań na Manhattanie, gdy zadzwonił telefon. Przez kilka długich

sekund wpatrywał się w aparat, wreszcie podniósł słuchawkę.

- Panie Carson, dzwonię ze Szpitala Englewood. Nazywam się Karen Woo.

- Miałem zamiar zadzwonić do was z samochodu. Wszystko w porządku?

- Obawiam się, że nie. - Chwila ciszy. - Pan Akimow - ton głosu miała bardzo poważny - zmarł dziś w nocy. Nie znam szczegółów. Nie mamy o nim dokładnych danych, nie jesteśmy więc pewni przyczyny zgonu.

-Ale kiedy przywieziono go zeszłej nocy, wszystko było w porządku!

- Przykro nam, panie Carson. Był ciężko ranny. Cóż, w każdym razie dzwonię do pana, ponieważ musi pan odebrać ciało.

-Nie jestem pewien, co mam zrobić. Nie był moim krewnym, w zasadzie nawet nie przyjacielem. - Mike zasiadł za biurkiem i ciężko westchnął.

-Ale to pańskie nazwisko pojawia się w dokumentach, panie Carson. To pan wyraził zgodę na terapię, w tym operację. I to pan pokrywa wszystkie koszty.

- To prawda - przyznał Mike. - Przyjadę i zajmę się tym.

- Proszę pytać o mnie. Zaprowadzę pana do odpowiednich osób. Jeszcze jedno. Pańska zgoda na sekcję nie jest konieczna, ale bardzo ułatwi nam pracę. Mamy pańskie pozwolenie?

- Czy to niezbędne?

- Obawiam się, że tak. Zważywszy na okoliczności, musimy zgłosić śmierć pana Akimowa policji. Będą chcieli wykluczyć udział osób trzecich.

- Co takiego? - zdumiał się Mike.

- To nie ja ustalam przepisy, panie Carson. Ale to możliwe.

W Bayside w Queens, była szósta pięćdziesiąt dwie, w Sankt Petersburgu, trzecia pięćdziesiąt dwie po południu. Galina siedziała na brzegu łóżka, naga, ledwie przysłonięta ręcznikiem. Wiktor stał obok, ze słuchawką telefonu przy uchu. Słuchał z zaciśniętymi wargami, zmrzywszy oczy. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Opuścił rękę ze słuchawką, by za chwilę znów ją podnieść. Był wściekły.

- Skurwysyn! - wycedził do słuchawki i pozwolił jej zwisnąć swobodnie. - Oleg nie chciał ze mną rozmawiać.

- Wiedział, że to ty dzwonisz? - spytała Galina, wycierając włosy ręcznikiem. - Czy też Estończyk skłamał i powiedział, że nie ma go w biurze?

- Oleg tam był. Słyszałem, jak dyktuje Trivimiemu, co powiedzieć. Skurwiel chce, żebyśmy powtórzyli każde słowo, które Akimow

powiedział Michailowi.

- No to mu powiemy - zdecydowała Galina. - Skąd może wiedzieć, czy to prawda?

- Olega nie tak łatwo nabrać.

- Nam się uda.

Wiktor stanął przed Galiną. Położył dłonie na jej karku, przyciągnął lekko ku sobie. Przesunęła wargami po jego płaskim brzuchu, uniosła się, wędrując ustami ku piersiom. Kreśliła językiem kółka wokół sutków i delikatnie je ssała. Położyła się na łóżku, obejmując ramionami Wiktora. Spragnieni siebie zaczęli się kochać, czule i łagodnie, potem coraz gwałtowniej, aż namiętność eksplodowała w nich spazmami rozkoszy. Leżeli w ciszy, spleceni uściskiem. Galina odsunęła się pierwsza i usiadła na brzegu łóżka.

- Nie podoba mi się tu - stwierdziła. - Kiedy możemy wrócić do Sankt Petersburga?

- To jedyna dobra wiadomość od Estończyka. Zarezerwował nam lot na jutrzejszy wieczór.

- *Czudiesnyj!* - wykrzyknęła radośnie i znów wtuliła się w Wiktora.

ROZDZIAŁ 15

Minęły dwa dni. Jack Oxby uświadomił sobie z bolesną wyrazistością, że będzie musiał się przyłożyć, i to niezwłocznie, do nauki rosyjskiego. Tym razem, wbrew swoim zasadom, nie miał ambicji biegłego władania językiem, ale chciał szybko opanować go na tyle, by móc się porozumiewać swobodnie, stawiać pytania i rozumieć odpowiedzi. Z pomocą cierpliwego Jakowa zaczął od niezbędnych podstaw, czyli nauki alfabetu.

Po godzinie maksymalnego skupienia widoczny był taki postęp, że przyjaciel nie mógł wyjść ze zdumienia. Leżąc w łóżku, przykryty słownikiem i rozmówkami, wkuwał słówka. Zmęczenie dawało mu się we znaki, ale sen zmorzył go dopiero koło drugiej. Rankiem obudził się w towarzystwie otwartego podręcznika.

- *Dobroje utro* - powitał Jakowa w kuchni. Mówił wolno, początki były morderczo trudne. Swoje „dzień dobry” wypowiedział tuż przed siódmą rano. Zjedli śniadanie złożone z płatków z mlekiem, jogurtu i tostów. Jakow zaparzył imbryczek mocnej herbaty, nieświadomy faktu, że Oxby należał do tych nielicznych Brytyjczyków, którzy czują awersję do tego napoju. Nie chcąc jednak urazić gospodarza, dosłodził herbatę miodem i sączył ją niczym nektar. Na małym stole ledwo starczało miejsca na nakrycia dla dwóch osób. Wciśnięto go między niewielką kuchenkę gazową a emaliowany zlew, zbrązowiały od płynącej latami wody, zanieczyszczonej rdzą, żelazem i innymi tajemniczymi składnikami. Pomieszczenie o powierzchni ledwo trzech metrów kwadratowych służyło też za jadalnię, salon i pokój telewizyjny.

Gospodarz nalegał, by Oxby zajął jego łóżko, a on się prześpi na niewygodnej sofie w pokoiku nieco tylko większym od kuchni. Znajdowało się w nim również biurko z krzesłem, zaś ściany od podłogi po sufit zajmowały półki uginające się pod ciężarem imponującej liczby zgromadzonych książek. W różnych miejscach stały zdjęcia rodziny gospodarza. Na wielu była żona, Walentyna, która zmarła prawie sześć lat temu. Tak więc obaj przeżyli stratę żon niemal w tym samym czasie. Wspólne bolesne doświadczenie wzmocniło ich przyjaźń.

Oxby położył laleczkę sklejoną taśmą na środku stołu, by przypominała, że nie oni jedni interesują się carską pisanką Rasputina - i że konkurencja ma okrutne zamiary. Obok niej umieścił wycinek z gazety ze Schaffhausen oraz odręczną notkę otrzymaną od Kipa

Forbesa - tę od Henrika Wigstroma do Augusta Hollminga - dwóch mistrzów Fa-bergého.

- Ale ze mnie gapa - odezwał się Oxby. - Miałem ci to pokazać dawno temu. Znasz fiński?

-Fiński, szwedzki, estoński, litewski i wiele innych. Nauczyłem się za młodu. Jeśli się nauczysz jednego obcego języka, inne przychodzą łatwo.

Jakow przeczytał wycinek w pół minuty, natomiast notatkę studiował dłużej. A przecież była krótka, zajmowała ledwie pół stroniczki pożółkłego papieru.

- Masz z czymś problem? - zagadnął Oxby.

- Drobny. Odczytałem pismo, ale kilku słów nie znam. Przypuszczam, iż rzecz dotyczy jakichś szczegółów technicznych.

- To tylko dwa krótkie akapity, nie może ich być zbyt wiele. O co w nich chodzi?

- Autor notki pisze, że sprężyna musi mieć określoną długość i napięcie. Tutaj właśnie mamy te słowa, których nie potrafię przełożyć. W drugim akapicie: „Powinniśmy wybrać jedną liczbę parzystą i dwie nieparzyste. Zalecam dwa-jedenaście-dziewięć”.

- Co znaczą te liczby?

- Tego nie podaje.

Oxby przymknął oczy, jakby porządkując w umyśle informacje przekazane przez Jakowa.

- Trzy liczby - mruknął. - Suma wynosi dwadzieścia dwa. - Wzruszył ramionami. - Masz jakiegokolwiek skojarzenia?

- Przykro mi. Chciałbym być bardziej przydatny.

- Bardzo mi pomogłeś, naprawdę.

- No to się cieszę.

Jakow zebrał naczynia i włożył do zlewu.

- Dziś rano pójdziemy jeszcze raz do Ermitażu. Spodoba ci się.

- Wczoraj spędziłem dwie godziny w tym niesamowitym miejscu. Frustrujące! Jakbym miał pięć minut na wędkowanie nad strumieniem w Szkocji, obfitującym w pstrągi. - Oxby posmarował masłem kawałek razowca na zakwasie i zjadł ze smakiem.

- Znajdziesz czas na obejrzenie kilku galerii, ale co ważniejsze, będziesz miał okazję poznać Junę Botkin. Jak ci mówiłem, wie więcej o rosyjskiej sztuce ozdobnej niż ktokolwiek w Petersburgu czy w Moskwie. - Zerknął chytrze na Oxby'ego. - Bo co oni tam wiedzą w Moskwie? Żeby uczyć się sztuki, przyjeżdżają do Sankt Petersburga.

- Mam nadzieję, że nie mylisz się co do Juny. - Oxby podsunął Jakowowi pudełko. - Jediną reakcją na twój artykuł było ostrzeżenie dołączone do tej zmasakrowanej laleczki.

Jakow jechał powoli, pozwalając Oxby'emu cieszyć oczy widokiem posągów z brązu na rogatkach mostu Aniczkowa nad Fontanką.

- Podczas oblężenia je zakopali - objaśniał Jakow. - Gdy byłem chłopcem, martwiłem się, że Niemcy zbombardują most i wysadzą w powietrze te wspaniałe rumaki. Ale pewnego dnia po prostu zniknęły.

Jakow komentował mijane obiekty przez całą drogę wzdłuż Newskiego Prospektu. Dzięki jego wspomnieniom Oxby mógł zyskać nowe spojrzenie na architektoniczne cuda Sankt Petersburga.

Stara łada Jakowa miała nalepkę uprawniającą do parkowania w strefach zastrzeżonych. Dziesięć lat temu, kiedy Związek Sowiecki już upadł, Jakow nakłonił przychylnego mu urzędnika, by ten wystawił mu zaświadczenie, uprawniające do korzystania z przywilejów dla weteranów-inwalidów. Ci, którzy przetrwali szturm, byli traktowani z należnym szacunkiem, zaś fakt, że został okaleczony, upoważniał do przyznania pewnych ulg.

Był piękny dzień, chłodny, lecz słoneczny. Przeszli przez plac Pałacowy do Pałacu Zimowego. Główne wejście znajdowało się od strony Newy.

Dwie starsze kobiety - babuszki, jak je nazywał Jakow - stały za ladą z biletami. Jedna z nich zgarnęła ruble Oxby'ego z wprawą zawodowego krupiera. Dostał bilet i resztę, bez słowa czy choćby cienia uśmiechu. Jakow okazał kartę - niczym klucz do sezamu - i poprowadził Oxby'ego ku wspaniałym Schodom Jordańskim, urzekającym swym widokiem: szerokie stopnie, marmur i granit, złożony lichtarz. Zanim jednak tam dotarli, do Jakowa podszedł jakiś mężczyzna.

- *Pożalujsta* - odezwał się cicho. - Wiem, że jesteście Jakow Stiepanowicz. Muszę z wami porozmawiać.

Jakow się zatrzymał, taksując przenikliwym wzrokiem przybysza. Mniej więcej sześćdziesiąt pięć lat, zwyczajnie ubrany, na wyłogu płaszcza pojedyncza baretka. Był łysy, z wyjątkiem wątlej otoczki białych włosów z tyłu głowy. Rumianą twarz znaczyły głębokie zmarszczki. Nosił okulary z grubymi szklami, jeszcze powiększającymi naturalną wyłupiastość oczu. Wydawał się spokojny, lecz w oczach jakby czaił się strach.

- *Da*. Jestem Jakow Iljuszyn. A wy...

Oxby, przyjrawszy się nieznajomemu, odszedł kilka kroków od rozmawiających i zlustrował hol, przez który właśnie przeszli, w poszukiwaniu ewentualnych towarzyszy nieznajomego. Muzeum odwiedzały setki ludzi, z autobusu co chwila wysiadało mnóstwo osób, jednak Oxby doszedł do wniosku, że mężczyzna przyszedł sam.

- Jestem Leonid Balecki - mówił właśnie do Jakowa. Jednocześnie wręczył mu złożoną kartkę, artykuł z „Newskoje Wriemia”. - Posiadam informacje o jajku Fabergégo. - Urwał, jakby szukając właściwych słów. - Musicie jednak za wiadomość zapłacić - dodał wreszcie.

Jakow przetłumaczył to Oxby'emu. Pokręcił głową.

- Nie mam pieniędzy, by mu zapłacić.

- Musiał śledzić nas od twojego mieszkania. Wygląda na wystarczająco zestrachanego, żeby go zmiękczyć. Przeczucie mówi mi, że gra uczciwie. Spytaj, ile chce.

- *Skolko?* - rzucił Jakow. Dwaj Rosjanie wdali się w ożywioną dyskusję, by po jakiejś minucie uściśnąć sobie dłonie.

- Sto dolarów - powiedział Jakow.

- Tylko sto? - Oxby był tak samo zaskoczony, jak ubawiony.

- Nie zapominaj, co można w Sankt Petersburgu kupić za sto dolarów. Mówi, że jest emerytem, że potrzeba mu pieniędzy i że nie zajmuje się zazwyczaj sprzedażą informacji. Zaznaczył galerię w naszym przewodniku. Tam się spotkamy.

Jakow skinął głową i gestem odprawił przybysza. Przez chwilę zdało się, że Balecki, wpatrujący się z niepokojem w rosnący tłum turystów, może pomknąć ku wyjściu. Zamiast tego niepewnym krokiem ruszył ku schodom, a potem na półpiętro. Przystanął tam, po czym ruszył w górę, aż zniknął im z oczu.

Jakow przyjrzał się planowi muzeum.

- Spotkamy się w galerii oznaczonej numerem dwieście pięćdziesiąt, w sali z kolekcją ceramiki.

Leonid Balecki czekał samotnie w małej galerii, tuż obok gablotki z arcydziełami ceramiki. Oxby natychmiast zdał sobie sprawę, że znalazł się w sali wypełnionej charakterystycznymi białobłękitnymi misami, talerzami i wazami z Delft. Pochodząca z Holandii kilkusetletnia

kolekcja oszałamiała jakością wykonania. Pracując w wydziale sztuki i antyków, Oxby stykał się z fałszywą porcelaną z Delft i stał się swego rodzaju ekspertem w odróżnianiu jej od oryginałów. Nigdy wcześniej jednak nie widział tak bogatej ekspozycji największych mistrzów z Delft, zwłaszcza z warsztatów Hoppesteyna i Fredericka Frijtoma.

Choć byli w sali sami, Balecki zerkał ukradkiem a to na drzwi, a to w stronę niekończących się korytarzy i rozlicznych galerii. Wreszcie szeptem zażądał pieniędzy.

- Chce pieniędzy - wyjaśnił Jakow.

- Powiedz, że damy mu połowę teraz, a połowę, kiedy już dostaniemy informacje.

Jakow przedstawił Baleckiemu warunki. Tamten, najpierw skonfundowany, w końcu skinął głową. Oxby wręczył mu dwie dwudziestki i dziesiątkę.

Widać było wyraźnie, że Balecki teraz jest bardziej niespokojny niż podczas pierwszego spotkania.

- Spytaj go, czy przypuszcza, że go śledzą - poprosił Oxby.

Jakow powtórzył pytanie. Balecki odrzekł, iż jest zakłopotany, ale bardzo potrzebuje pieniędzy.

- Odkąd syna zabrakło, mieszkam sam. Nie ma pracy dla kogoś w moim wieku.

Choć w małej galerii byli jedynymi zwiedzającymi, nieznajomy prawie nie spuszczał wzroku z zacienionych zakamarków.

- Powiedz mu, że nas się nie musi bać - odpowiedział Oxby. Jakow mówił uspokajająco. Po jakiejś minucie Balecki jakby nabrał otuchy.

- Przypomnij mi o artykule. Spytaj, jakie ma informacje. Nie tłumacz mi jego słów; troszkę rozumiem, a resztę potem mi dopowiesz.

Jakow przymknął oczy i skrzywił się, jakby sprawiało mu trudność przywołanie w pamięci wszystkich informacji, które zawarł w artykule i które sprawiły, że zgłosił się do niego Balecki. Wreszcie otworzył oczy, uśmiechnął się i przemówił. Opisywał wszystko powoli i swobodnie, pomagając przybyszowi ułożyć myśli.

Po jakiejś minucie opowieść zaczął Balecki. Oxby słuchał uważnie. Rozpoznawał pojedyncze słowa, ale też wyczuwał swoisty rytm historii. Co jakiś czas pojawiały się znane nazwiska: Rasputin, Fabergé... Potem inne, a każde powtarzane wielokrotnie. Karsałow, Kennedy...

Jakow notował na folderze, reklamówce muzeum. Dwukrotnie poprosił o wyjaśnienie jakiegoś szczegółu. Opowieść Baleckiego nie

trwała dłużej niż pięć minut. Wzruszył ramionami z miną „nie mam już nic do dodania”.

-Trochę się dowiedziałem - stwierdził Jakow. - Ten człowiek twierdzi, że widział carskie jajko Fabergégo w 1963 roku, w dniu zabójstwa prezydenta Kennedy'ego. Nie ma dowodów, że to jajko Rasputina, ale przysięga, że tak właśnie jest.

- Wie, gdzie je można znaleźć?

- Mówi, że dwie osoby mogą wiedzieć. Podał mi jedno nazwisko, drugiego nie chciał.

- Potrzebujemy czegoś więcej. Spytaj o adres lub numer telefonu.

Jakow powtórzył pytanie Baleckiemu.

- Ten człowiek nazywa się Wasyl Karsałow. Razem służyli w marynarce. Karsałow był właścicielem jajka i przegrał je w karty, ale niewykluczone że zostało mu zwrócone.

- Przyciśnij go - ponaglił Oxby. - Ma ten Karsałow jajko czy nie?

Jakow dopytał Baleckiego, ale nie mógł uzyskać jednoznacznej odpowiedzi.

- Mówi, żebyśmy go odszukali i sami spytali.

- Gdzie? W Petersburgu?

- Twierdzi, że wojsko wysłało go do Taszkientu.

-Ale przecież to...

-Ano. W Uzbekistanie.

- Kiedy go tam wysłano?

- Wiele lat temu. Może dwadzieścia, może więcej.

Jakow zadał Baleckiemu jeszcze kilka pytań, ale odpowiedzi były lakoniczne. Rozmówca znów zaczął się niepokoić.

- Mówi, że Karsałow miał proces i po nim został jakby zesłany.

Oxby starał się skoncentrować. W tych warunkach trudno było pro wadzić przesłuchanie.

- A może Karsałow nie żyje? - odezwał się wreszcie.

- Sądzi, że żyje, ale pewien nie jest.

- A co z tym drugim? Kto to taki?

- Mówi, że nie może nam powiedzieć. -A

jakbyśmy więcej zapłacili?

- Nie. Chce tylko pozostałe pięćdziesiąt dolarów.

- *Walutu* - potwierdził Balecki, odwracając się do Oxby'ego z wyciągniętą dłonią. - *Dolari* - nalegał.

Oxby popatrzył nań surowo.

- Powiedz mu, że potrzebne nam to drugie nazwisko.

Jakow przetłumaczył.

- *Niet!* - odparł stanowczo Balecki i coś jeszcze dodał.

- Jest niezadowolony. Więcej nie powie. Żąda reszty pieniędzy.

Oxby wyjął z portfela kilka banknotów, które podał przybyszowi.

- Trzęsie się przed czymś ze strachu. Ciekaw jestem, w czym rzecz.

Dostanie więcej, jeżeli powie nam drugie nazwisko. A jeśli wyjawি, gdzie możemy znaleźć jajko, zapłacę mu pięćset dolarów.

Kiedy Jakow przekazał to Baleckiemu, ten tylko pokręcił głową i wypadł jak bomba z sali.

Jakow ruszył za nim, lecz zatrzymał się, nie dochodząc do drzwi. Zerknął na Oxby'ego, który roześmiał się, podszedł do kolejnej gablotki.

- Z czego tak się śmiejesz? - spytał zdziwiony.

-Nie śmieję się... No, niezupełnie. Ale czy to nie jest zabawne, iż za jedyne sto dolarów dowiedzieliśmy się... o ile można wierzyć Baleckiemu... że faktycznie istnieje carska pisanka Rasputina? Choć nie wiemy dokładnie, gdzie ją znaleźć, znamy nazwisko kogoś, kto być może zna odpowiedź.

- Jak to mawiamy, w Rosji wszystko jest sekretem, ale nie ma ta jemnic.

Leonid Balecki schodził po Schodach Jordańskich na parter Pałacu Zimowego tak szybko, jak tylko pozwalał mu artretyzm; przeskakiwał nawet po dwa stopnie. Przystanął przy wysokiej na dziewięć metrów kolumnie, wyjął pieniądze z obu kieszeni i przełożył do starego skózanego portfela, który miał w wewnętrznej kieszeni marynarki. Rozejrzał się badawczo. Było mnóstwo ludzi i więcej ich przybywało. Wmieszał się w tłum i ruszył do wyjścia.

Jego śladem podążał wysoki, szczupły mężczyzna w skrojonym na miarę garniturze i okularach z błękitnymi szklami. Trivimi Laar zerknął na zegarek, wyjął notatnik i coś zapisał.

ROZDZIAŁ 16

Wszechobecna mgła opóźniła start z lotniska w Helsinkach. Lot Finnair z JFK do Sankt Petersburga miał dwugodzinne opóźnienie. Dopiero o drugiej po południu Galina i Wiktor znaleźli się w terminalu, w kolejce dla obywateli rosyjskich. Turystów obsługiwano w ślimaczym tempie, jednak paszporty kilkunastu Rosjan sprawdzono błyskawicznie. Państwo Łysenkowie odebrali swój bagaż i skierowali się do wyjścia.

- Czeka na was. - Usłyszeli głos, zanim jeszcze spostrzegli twarz Estończyka.

- Gdzie? - Wiktor się zachmurzył.

Trivimi Laar nie raczył odpowiedzieć. Opuściwszy hol, szedł w kierunku kremowego mercedesa. Przez przyciemnione szyby samochodu pasażer mógł obserwować wszystko dokoła, sam nie będąc widoczny. Otworzyły się drzwi.

- Tutaj - padło z wnętrza limuzyny.

Oleg Dieriabin rozsiadł się na skórzanym siedzeniu, wskazując Łysenkowi miejsca przed nim. Wsiadli. Od razu dało się wyczuć, że atmosfera jest mocno napięta.

Estończyk zajął miejsce kierowcy, zamknął drzwi i odpalił silnik.

- Raportujcie - rzucił Dieriabin lodowatym tonem. Na twarzy nie pojawił się uśmiech, nie wyciągnął dłoni na powitanie.

- Jesteśmy szczęśliwi, będąc z powrotem w domu - zaczął Wiktor.

- Wypchajcie się - prychnął Dieriabin. - Zawaliliście.

Galina pochyliła się ku swemu rozmówcy.

- Co wiesz o problemach, jakie napotkaliśmy? Co ci powiedział Estończyk?

- To, co usłyszał od was. On nie zmyśla. - Dieriabin zapalił papierosa. - Teraz siedzimy twarzą w twarz, dzieli nas tylko dym. - Jego głęboki, beznamiętny głos brzmiał groźnie. - Wasz raport - zażądał ponownie.

Wiktor przedstawił w najdrobniejszych szczegółach przebieg misji. Galina uzupełniała jego opowieść. Nie przepraszała, nie usprawiedliwiała swoich działań, nie wyolbrzymiała też złożoności zadania.

- Zrobiliśmy wszystko, żeby powstrzymać Akimowa przed spotkaniem z Mikiem Carsonem - podsumował Wiktor.

- To nie jest jego prawdziwe nazwisko - powiedział Dieriabin. - Nazywa się Michaił Karsałow. - Zaciągnął się mocno papierosem i wypuścił dym prosto w twarz Wiktora. - Nie zgadzam się. Odszukanie Akimowa powinno pójść wam gładko. Nie mówił po angielsku i ruszał się jak stary, zmęczony człowiek. W każdej chwili mogliście go przechwycić.

- Zrozum, Akimow nie przyleciał do Nowego Jorku bezpośrednio z Rosji. Nie mogliśmy zlokalizować go w żadnej z linii lotniczych. Trzeba było czekać, aż się pojawi w salonie. Niestety, trafiliśmy na jakąś wielką imprezę. Ogromne tłumy, głośna muzyka i wszędzie pełno policji kierującej ruchem. Dwoje sprzedawców wyszło na papierosa, poszliśmy za nimi. Zabraliśmy ich uniformy. Związaliśmy ich razem, potem wrzuciliśmy na tylne siedzenie samochodu.

- Widzieli was? Mogą was rozpoznać?

- Nie - odparł Wiktor. - Wiedzieliśmy, co zrobić, żeby nas nie

rozpoznano. Zaszliśmy ich od tyłu. Galina zajęła się kobietą, ja mężczyzną. Oboje młodzi i przerażeni.

-Ale nie powstrzymaliście Akimowa przed spotkaniem z Michailem. - Dieriabin znów dmuchnął dymem w twarz Wiktora. - Pod tym względem zawiedliście - oświadczył grobowym głosem.

- Nie zawiedliśmy, Oleg - tłumaczył się Wiktor. - Widzieliśmy, jak Akimow udaje się do biura Michała. Przecież nie mogliśmy za nim pobiec. Zbyt wielu świadków, nie mówiąc o policji. Galina szła za nim tak szybko, jak tylko mogła. Po niecałych dziesięciu minutach była w biurze Michała.

- Mój pierwszy strzał powinien był go zabić...

- Powinien, kurwa, powinien - przerwał jej Oleg.

- Cokolwiek by mówić, on już nie żyje.

- Za późno, do diabła! - wrzasnął Dieriabin.

- A co z dziennikarzem, czego się od niego dowiedzieliście? - wtrącił Trivimi.

-Nazywa się Sulzberger. Przeprowadzał z Michailem wywiad. Mieliśmy nadzieję, że powie nam, o czym rozmawiali Michał i Akimow.

- Postrzeliłaś go? - zapytał Dieriabin.

Galina opowiedziała mu, jak czekała na Sulzbergera, jak uparcie odmawiał informacji, i o notatniku, który, jej zdaniem, zawierał to, co chciała wiedzieć.

-Nie było innego wyjścia - mówiła. - Zgodziliśmy się, że jeśli zajdzie potrzeba, będę strzelać. Używam niewielkiej broni, mogę trafić tam, gdzie chcę. Czasem lepiej zadać ból niż zabić. Robiłam to wcześniej. - Otworzyła szeroko oczy, wpatrując się w Dieriabina. - Dostał tutaj... - Klepnęła się w pośladek.

- Okaleczyłaś go? Tylko tyle?

- Wystarczająco, żeby go unieszkodliwić.

- Wciąż jednak żyje i może mówić - stwierdził Dieriabin. -

Rozpoznać cię.

- Nie. Pamięta tylko brzydką, siwą kobietę, która go postrzeliła.

- Masz jego notatnik?

Galina rozpięła torbę. Wyciągnęła notatnik i podała Dieriabinowi.

- Pisane jakimś kodem czy znakami stenograficznymi. Ale wiemy już jak się nazywa szpital, do którego wysłano Akimowa.

Dieriabin przekartkował notatnik, po czym rzucił go na siedzenie obok Trivimiego.

-Wyślemy te hieroglify do naszej starej znajomej z MSW. Na pewno złamie szyfr.

Zaległa kilkuminutowa cisza.

- W mieście jest kolejny człowiek, któremu nagle przyszła chętka na rozmowę o starych czasach - odezwał się wreszcie Dieriabin. - To przyjaciel Akimowa, Leonid Balecki. Jakiś czas temu złożył mi wizytę. Miałem nadzieję, że już o nim nie usłyszę. Ale dowiedzieliśmy się, że coś sobie przypomniał i rozpowiada ludziom o mnie.

- Skąd wiesz?

- Pomógł nam przypadek. Obserwowaliśmy byłego wykładowcę akademickiego, samotnie mieszkającego emeryta. To niejaki Jakow Iljuszyn, były kustosz Muzeum Narodowego. Spotkał się na lotnisku z jakimś Anglikiem i zabrał go do siebie.

- Kim jest ten Anglik? - spytała Galina.

- Podejrzewamy, że to detektyw z londyńskiej policji.

- Ze Scotland Yardu?

- Możliwe. Dowiem się za dzień lub dwa. - Dieriabin palił papierosa, obserwując, jak dym znika w okrągłym wywietrzniku.

- Wczoraj Trivimi śledził Iljuszyna i Anglika aż do Pałacu Zimowego. W holu spotkali się z Baleckim. Stamtąd udali się do małej galerii, gdzie rozmawiali przez piętnaście minut.

Dieriabin zgasił papierosa. Uśmiechnął się.

- Trivimi jest bardzo zaradny. Poczekał, aż Balecki opuści spotka nie. Złapał go na schodach. Przedstawił się jako gość z Tallina, który chce sobie zrobić zdjęcie w Ermitażu. Potem Trivimi stwierdził, że te raz jego kolej. Zapytał go o nazwisko...

Galina i Wiktor wiedzieli, że nie można dać się zwieść uśmiechowi Dieriabina, potrafili jednak rozpoznać moment, w którym jest zadowolony, a w głowie ma pełno pomysłów. Wiedzieli też, że Oleg lubi porównywać swoich podwładnych.

Dieriabin wyciągnął fotografię i podał ją Wiktorowi.

- Poznajesz go?

Wiktor przyjrzał się twarzy, pokręcił głową i podał fotkę Galinie. Ona również nie rozpoznała człowieka na zdjęciu.

- To Leonid Balecki.

Limuzyna dojeżdżała do Smoleńskiego, dzielnicy małych fabryk i bloków mieszkalnych. Samochód zawrócił dwukrotnie, potem stanął.

- Tuż naprzeciwko jest Zagorodnyj Prospekt - tłumaczył Estończyk. - Budynek na rogu, piąte piętro, tam mieszka Leonid Balecki.

- Macie dwa dni, nie więcej. Tym razem nie ma mowy o błędach - napomniał Dieriabin.

ROZDZIAŁ 17

Wieczorem tego samego dnia, gdy spotkali Leonida Baleckiego, obaj mężczyźni prowadzili ożywioną dyskusję, czy rezerwować lot do Taszkientu. Oxby nie miał takich dojsć w brytyjskich kręgach dyplomatycznych, by zlecić poszukiwania jakiegoś tajemniczego oficera rosyjskiej marynarki. Kontakty Jakowa też nie były obiecujące. Decyzja zależała wyłącznie od informacji pochodzących od Leonida Baleckiego oraz od niepokromionego wręcz optymizmu Oxby'ego.

Niezależnie od przeczuć i nadziei pozostawały pytania, na które żaden z nich nie znał odpowiedzi. Czy Wasyl Karsałow żyje? Czy się przeprowadził? Czy ma pisanekę? Wszak raz ją już przegrał w pokera. Co z jego pamięcią? Oraz najważniejsze: Jak go odnaleźć w zupełnie obcym im mieście.

- Nawet jeśli pominąć te kwestie - argumentował Jakow z ponurą miną - nie spodoba ci się Uzbekistan. Gorąco tam. Mówiono mi, że Taszkient nie jest przyjaznym miastem. Tamtejsze jedzenie jest...

- Niejadalne, tak? - Oxby sięgnął przez stół i poklepał przyjaciela po ramieniu. - Zaryzykuję. Poza tym ja stawiam. A ściślej rzecz ujmując, mój klient. Mam przeczucie, że coś się za tym wszystkim kryje. Najpierw paczka, teraz ten Balecki pojawia się ni stąd, ni zowąd w Ermitażu. .. - Wstał, rozprostowując kości. - Czasem trzeba odbyć daleką podróż, by zobaczyć, co się ma pod nosem.

Koniec końców, zdecydowali się zaryzykować. Otrzymali informacje przez telefon, że jest bezpośredni lot z Sankt Petersburga do Taszkientu. Przegapili go - samolot odleciał w sobotę. Alternatywą był wieczorny lot do Moskwy, z przesiadką na samolot TransAero. Odlatywał z Szeremietiewa II dziesięć minut po północy.

- Po północy? - zdumiał się Oxby. - To o której będziemy w Taszkencie?

- O szóstej piętnaście w niedzielę rano. Ale pamiętaj o dwugodzinnej różnicy czasu.

Do południa Oxby odwiedził z pół tuzina księgarni, chcąc kupić angielski przewodnik po mieście, w którym wkrótce się znajdzie. Czy choćby rosyjski lub francuski. Jego wysiłek opłacił się o tyle, że wyszperał w końcu dziesięcioletni słownik geograficzny z powyrywany kartkami, wydany przez Intourist. Podczas gdy Oxby nękał księgarzy, Jakow przeszukiwał własną bibliotekę. Natrafił na niemiecki przewodnik, w którym kilka stron poświęcono stolicy

Uzbekistanu, oraz artykuły zróżnicowane tematycznie, od irygacji i nawożenia, poprzez technikę wydobywania złota, po ubóstwo miejscowych produkcji telewizyjnych.

Podczas czterogodzinnego lotu do Taszkienu Oxby starał się wydobyć jakieś użyteczne informacje z mizernych zasobów, które zgromadzili. Zamęczał Jakowa pytaniami o definicje, starając się oddzielić fakty od propagandowej papki, jaką Sowietom karmili zagranicznych reporterów i turystów odwiedzających Taszkient, nim miasto odzyskało status stolicy niepodległego państwa.

Oxby dowiedział się, że republiki, które się odłączyły od Związku Sowieckiego w 1991, były obecnie znane pod nazwą Azji Środkowej lub Turkiestanu. Uzbekistan, trzeci co do wielkości z całej piątki, posiadał jednak największą populację. Oxby zrozumiał też, że trzeba zapomnieć o rozkoszach podniebienia czy luksusowych hotelach.

Ale przecież właśnie w Taszkiencie mieli odnaleźć Wasyla Karsałowa i zrobić gigantyczny krok do przodu w rozwikłaniu tajemniczej historii cesarskiego jajka.

6.32 Taszkient, Uzbekistan

Podmuchał gorące powietrze owionął pasażerów jeszcze przed wylądowaniem. Samolot usiadł i wolno dokołował do miejsca znajdującego się jakieś dziewięćdziesiąt metrów od terminalu. Mijały długie minuty oczekiwania. Nic się nie działo poza tym, że temperatura wewnątrz samolotu rosła w zastraszającym tempie. Wreszcie - co za ulga! - drzwi się otworzyły i pasażerowie gromadnie udali się do wyjścia, by zejść po podstawionych schodkach. Detektyw objął zmęczonym wzrokiem poranne niebo, zasnuwane pyłem i mgłą. Poczł bijący od cementowej powierzchni pasa intensywny żar. Chwycił Jakowa za ramię i stanęli w kolejce przy wejściu do żółtego pudła na kółkach, które dowiózł tutaj mały ciągnik.

Wewnątrz czekała ich męka odprawy paszportowej. Młody oficer o beznamiętnej twarzy, w poplamionej białej koszuli i ze zwisającym smętnie czarnym krawatem, nie miał zastrzeżeń do paszportu Oxby 'ego, jednak wzię oglądał ze wszystkich stron. Mamrotał przy tym coś tak, że nawet Jakow nie rozumiał, o co mu chodzi. Sytuacja była patowa, ale się odwróciła, kiedy Oxby przypomniał sobie o cudownej mocy dwudziestodolarowego banknotu. Przystemplowana wiza natychmiast wróciła do udreżonego właściciela.

- *Spasibo* - rzucił z wahaniem Oxby. Podziękowanie mogło zostać

uznane za nadmierny przejaw dobrego wychowania.

- *Niezaszto* - brzmiała zaskakująca odpowiedź. Gestem dłoni odprawiono ich do następnego pomieszczenia, gdzie można było odebrać z taśmociągu bagaże. Następnie szybko przeszli przez cło i znaleźli się w surowym, kiepsko oświetlonym holu terminalu. Na wprost znajdował się szereg drzwi wyjściowych. Nad jednymi z nich zawisł czerwony neon taxi.

Jakow, przypatrzwszy się samochodom, wybrał taksówkę z najstarszym kierowcą, zakładając, iż ten może mówić po rosyjsku równie biegle, jak po uzbecku i zgodzi się być nie tylko kierowcą, ale i przewodnikiem. Taksówkarz, nazywał się Hoja, powiedział, że musi się zastanowić nad ceną za swoje usługi. Miał jakieś pięćdziesiąt pięć lat, zahartowaną klimatem skórę i błyszczące oczy. Nosił ciemne spodnie i mocno wyciętą koszulkę bez rękawów. Na głowie miał zniszczoną haftowaną czapkę; był zapewne uzbeckim muzułmaninem.

Samochód Hoi, stara łada z przetartymi oponami, nie miał klimatyzacji - tak jak i wszystkie taszkienckie taksówki. Londyńskie taksówki też nie są klimatyzowane, pomyślał Oxby, aie nawet upalny czerwcowy dzień w Londynie nie może się równać z piekielnym gorącym Taszkientu. Hoja w końcu podał cenę i zażądał zapłaty w dolarach. Przy okazji zaproponował, że może wymienić dolary na sumy - miejscową walutę - bo jego brat pracuje w kantorze. Nie ukrywał, że będzie problem z planem miasta - ten, który mają, jest w strzępach, a nowy, aktualny plan trudno zdobyć - ale spróbuje. Twierdził za to, iż zna stare sowieckie obiekty wojskowe.

- Po odzyskaniu niepodległości - klarował w zrozumiałym dla Jakowa łamanym rosyjskim - kiedy rosyjscy żołnierze wyjechali, okazało się, że mamy tego samego prezydenta, co kiedyś, a KGB nazywa się Narodowy Komitet Bezpieczeństwa. - Odwrócił się do nich z uśmiechem, demonstrując garnitur złotych zębów. - Mówi się, że nie lubimy Rosji, ale tutaj nic się nie zmieniło.

Jakow pokazał Hoi adres mieszkania, które cudem udało mu się wynająć za pośrednictwem przyjaciół z Uniwersytetu Petersburskiego. Przypomnił sobie ogłaszane każdej wiosny listy nauczycieli z obecnych i byłych republik, którzy wynajmowali swoje domy, wyjeżdżając na wakacje, lub podejmowali letnią pracę, by dorobić do skromnych pensyjek. Małżeństwo rosyjskich emigrantów, wykładających na uniwersytecie zajmowało mieszkanie na Frunzeńskim Targowym - wbrew nazwie będącym głównie dzielnicą mieszkalną. Jakow miał pójść do mieszkania właścicieli po klucze i zostawić kopertę z pieniędzmi za czynsz.

O dziewiątej rano słoneczna aureola przybrała barwę bursztynu, samo słońce zmieniło się w złoty krąg żaru. Temperatura już wzrosła do prawie czterdziestu stopni i nic nie wskazywało na to, że na tym się skończy. Było za to sucho i Oxby znosił upał lepiej niż dwadzieścia pięć stopni w wilgotnym Londynie. Wjechali do gęsto zaludnionej części miasta, w szeroką aleję wysadzaną platanami. Pobelone pnie wyrastały wprost z cementu i cegieł. Hoja pochylił się nad kierownicą, aby lepiej widzieć tabliczki z nazwami ulic - często po rosyjsku, nierzadko na ostatnim z budynków. Ostro skręcił w wąską uliczkę po prawej, przejechał kilka przecznic, po czym skręcił ponownie w alejkę szeroką na jeden samochód. Zatrzymali się, a kierowca wskazał wejście do budynku. Koło drzwi zalegał przerdzewiały szkielet maski i kabiny ciężarówki.

Oxby wysiadł z samochodu i rozglądał się wkoło. Jakow, widząc jego minę, powiedział:

- Pamiętaj, Jack, nie sądź po pozorach.

Mieszkanie numer 2 było jeszcze mniejsze niż petersburska klitka Jakowa. Profesorska para umeblowała je za swe skromne pensje ze smakiem i wyobraźnią. Koberzec z Bukhary zajmował prawie całą ścianę. W oszklonej szafce stały porcelanowe cacka, obok dzieł sztuki ozdobnej z Kazachstanu i Afganistanu. Na ścianach wisiały zdjęcia, dużo było też obrazów, przedstawiających meczety oraz inne budowle sakralne, oszałamiające kolorami i wzornictwem. Telefon co prawda działał, ale połączenie z angielskim konsulem przerywały jakieś głosy. Pomogło dopiero powołanie się na Scotland Yard.

- Sądzę, że lepiej udać się od razu do bazy wojskowej - zasugerował Jakow. - Telefoniczna prośba o spotkanie da tylko komuś powód do uruchomienia maszyny biurokratycznej, która nas zablokuje.

Hoja pomógł im wnieść bagaże i zaproponował, że kupi jedzenie w którymś z okolicznych sklepików. Upał sprawił, że Oxby nawet nie myślał o jedzeniu. Pora była wczesna, ale w powietrzu już się unosiły egzotyczne zapachy; smażono mięso na rusztach przed domami. W kącie jednego z czterech pokoiów znajdował się segment z miniaturową lodówką i zlewem. Starczy na śniadanie, zawyrokował Oxby. Nie kwapił się jednak do przyrządzania posiłków w kraju, gdzie jagnięcina może się okazać mięsem starego capa.

Hoja wrócił z zakupami - przyniósł owoce, chleb i kilka jajek. Tryumfował - znalazł plan miasta! Sądząc po wyglądzie, używany, ale aktualny, z nowymi nazwami ulic.

- Jest tutaj. Nazywamy to uzbeckim Pentagonem. - Uśmiechnął się znacząco, jakby opowiedział dowcip. - Znam te budynki.

Sowiecka architektura słynie z monotonii i braku oryginalności.

W Taszkencie, po strasliwym trzęsieniu ziemi w 1966, stary kompleks wojskowy uzupełniono nowymi budowlami. Niestety, zignorowano przy tym wpływ pięknych meczetów i szkół koranicznych, jakich pełno w Azji Środkowej. Mniej więcej czterysta osiemdziesiąt kilometrów stąd, w Samarkandzie, można było znaleźć arcydzieła sztuki architektonicznej z czasów Tamerlana. Jednak gmachy te nie miały wpływu na odstręczającą konstrukcję ponurego budynku administracyjnego, do którego miał wkroczyć Jack Oxby.

Żołnierze w mundurach polowych, niedbale trzymając karabiny, schronili się w cieniu przed popołudniowym słońcem. Ani w głowie im było sprawowanie warty. Patrzyli tylko ponuro, jak Oxby i Jakow otwierają ciężkie drzwi. Wewnątrz natknęli się na kobietę, też w mundurze, która przypinała notki na tablicy informacyjnej.

Jakow powitał ją szerokim uśmiechem, który jednak nie został odwzajemniony.

- Przyjechaliśmy z Sankt Petersburga. Szukamy kogoś, kogo wyślano tu wiele lat temu.

Kobieta była młoda. Najpewniej porucznik, ocenił Oxby.

- Mów do niej „pani kapitan” - doradził szeptem.

Jakow ponownie wyjaśnił cel wizyty. Gdy powiedział do kobiety „pani kapitan”, odwróciła się prędko, protestując przeciw nagłemu awansowi, jednak nagły rumieniec świadczył, że pochlebiali to jej ambicji.

- Nie jestem w stopniu kapitana - wyjaśniła, ciągnąc za naszywkę na kołnierzu. - Jeśli macie pytania dotyczące przydziałów i jesteście uprawnieni do ich zadawania, to musicie się udać na trzecie piętro. Winda jest na końcu korytarza.

Podziękowali i ruszyli we wskazanym kierunku, opuszczając nową znajomą. Po wyjściu z windy znaleźli się w kiepsko oświetlonym holu. Dalej znajdowała się duża sala z mnóstwem okien po obu stronach. Rzędy biurki zwrócone były ku przeciwległej ścianie, z ogromnym zegarem i jeszcze większym obrazem w imponujących ramach, przedstawiającym Islama Kadmowa, niegdyś pierwszego sekretarza Komunistycznej Partii Uzbekistanu, a obecnie pierwszego elekcyjnego prezydenta. Na socrealistycznym portrecie Karimow był w quasi-wojskowym mundurze.

Pospieszył ku nim krępy mężczyzna o oczach szeroko otwartych ze zdziwienia. Po karku spływał mu pot, plamiąc kołnierzyk bohaterko zapiętej na torsie ciężarowca koszuli. Był oficerem średniej rangi o wyglądzie człowieka, który nigdy się nie dochrapie generalskich szlifów.

- Czego chcecie? Upoważnienie macie? Czemu mnie nie poinformujecie?

mowano?

Zadałby jeszcze więcej pytań, ale wtrącił się czarujący jak zwykle Jakow. Oznajmił, iż przychodzą z polecenia kogoś, kogo imię właśnie wyleciało mu z pamięci...

-...generała... Wy na pewno znacie jego nazwisko...
Przepraszam, ale jak właściwie się nazywacie?

- Jestem zastępcą do spraw kadrowych. Moje nazwisko jest nie istotne. - Chwycił ich pod ramiona i siłą pociągnął w stronę windy.

Oxby się wyrwał i zaczął swoim nieporadnym rosyjskim:

- Musimy kogoś znaleźć. Tu są pieniądze. -Wyciągnął rękę, pocierając kciukiem o palec wskazujący i środkowy.

- Jakie pieniądze? - chciał wiedzieć oficer.

- Wyjaśnij mu - rzucił Oxby.

Jakowowi zajęło to nie więcej niż minutę. Wojskowy puścił jego ramię i zaprosił gości - tak ich teraz traktował - do swego biura. Z oprawionych dyplomów na ścianach wynikało, że nazywa się J. Sergiw. Niewielki wentylator miał bezskutecznie powietrze.

- Znowu wysiadła klima. Mówią, że jutro naprawią. Jak zwykle.

Jakow położył na biurku kartkę.

- Chodzi o niejakiego Karsałowa. Przeniesiono go do Taszkientu w 1973. Dokładnej daty nie znamy. Wcześniej służył w marynarce.

Sergiw przyglądał się nazwisku przez kilka sekund, jakby usiłując je sobie przypomnieć. Wreszcie chwycił za słuchawkę telefonu i wydał jakiś rozkaz. Oxby zrozumiał tylko nazwisko Karsałowa, jednak z łatwością poznał uniwersalny władczy ton.

Sergiw rozparł się wygodniej w fotelu. Wydawał się zadowolony z siebie, pewny pozytywnego wyniku rozmowy. W pokoju znajdowało się jeszcze jedno siedzisko - Oxby nalegał, by zajął je Jakow. Czekali w milczeniu. Było niemiłosiernie gorąco.

Zadzwoił telefon. Sergiw podniósł słuchawkę. Słuchał i notował, od czasu do czasu mruzczał coś i kiwał głową. Wreszcie odłożył słuchawkę.

- Wasyla Karsałowa przeniesiono do szpitala wojskowego w grudniu 1990. Zgodnie z naszymi danymi pozostawał na oddziale psychiatrycznym do 1997. Nie mamy pełnej dokumentacji z okresu po zmianie rządów.

- Żyje? - spytał Jakow.

-Nie potrafię powiedzieć. Uzbeckie dowództwo wydało nowe rozporządzenia dotyczące rosyjskiego personelu. Nie sposób uzyskać informacji, co się stało z Karsałowem. Może jest w szpitalu, może odesłano go do domu - zerknął w notatki - do Sankt Petersburga. Oxby klepnął ramię Jakowa.

- Spytaj go, gdzie jest ten szpital.

Sergiw uniósł dłoń i wstał zza biurka.

- Rozumiem wasze pytanie - zwrócił się do Oxby'ego płynną angielszczyzną. - Pokażę wam.

Oxby z podziwem patrzył na spoconego oficera, który teraz uśmiechał się szeroko. Niczego nie zakładaj z góry, upomniał siebie.

-Po pierwsze, potrzebujecie tego - powiedział Sergiw. - Raczej nie zażądają przepustek, ale dobrze je mieć na wypadek, gdyby ktoś okazał się służbistą. - Podstemplował dwa świstki i podał Oxby'emu.

Następnie poprowadził ich do dużej sali przepelnionej hałasem maszyn do pisania i dzwoniących telefonów. Przesycone zapachem potu powietrze cięły ostrza wentylatorów wielkie niczym wirniki śmigłowca. Sergiw podszedł do okien.

- Tam właśnie - wskazał brzydki budynek - wysłano Wasyla Karśałowa.

Oxby zerknął przez niedomyte szyby na klockowaty czteropiętrowy gmach z ciemnoczerwonej cegły i szarego kamienia. Miał duże, wąskie okna. Wszystkie okratowane. Platany rzucały cień na kręte ścieżki, a całość okalało wysokie żelazne ogrodzenie. Z płaskiego dachu wyrastał las anten - najwyraźniej niezbędny element każdego wojskowego obiektu.

Nawet zakładu dla obłąkanych, bo tutaj właśnie się mieścił.

ROZDZIAŁ 18

Leonid Balecki mieszkał w budynku z betonowej płyty, przypominającym domek z klocków lego. Kiedy jego żona i syn pracowali, mimo niewielkich dochodów rodzinie żyło się całkiem znośnie. Potem sytuacja się skomplikowała. Żona zachorowała na gruźlicę, trafiła do szpitala i wkrótce zmarła. Synowi los sprzyjał - ożenił się i przeprowadził na ulicę Czajkowskiego, dostępną tylko dla bogatych. Baleckiemu natomiast nie wiodło się dobrze. Przez ostatnie pół roku dostał tylko trzy wypłaty emerytury.

Mimo spartańskich warunków Balecki znalazł w mieszkaniu takie miejsce, które pozwalało zapomnieć o ponurej rzeczywistości. Tym miejscem był balkon, dwa na dwa metry, otoczony żeliwną barierką. Stały tam wygodne krzesło i stolik, na którym stawał szklanki i kładł papierosy; paleniem i alkoholem koił nerwy i rozpraszał smutki. Z piątego piętra Balecki miał rozległy widok na centrum Sankt

Petersburga. Przesiadawał więc na balkonie godzinami, przywołując dawne wspomnienia lub obmyślał plany wyjścia z finansowego dołka.

Minęły dwa dni, od kiedy śledził Jakowa Iljuszyna w Ermitażu. Dwa dni, od momentu, gdy wziął sto dolarów od Anglika. Opróżnił kieszenie, układając osobno dolary i ruble. Na godzinę przed północą niebo było jasne jak w pochmurne popołudnie. W ciągu trzynastu kolejnych dób noce polarne będą najjaśniejsze, ale już teraz w Sankt Petersburgu nie zapadał mrok. Półksiężyc wisiał nisko nad katedrą Świętej Trójcy. W środku zimy taki sam księżyc świeciłby jak latarnia, ale ósmego czerwca trudno było go dostrzec. Przeliczył pieniądze. Zmarszczył brwi i zaczął liczyć od nowa. Wystarczy na trzytygodniowy zapas jedzenia, kilka butelek wódki i papierosy. Schował pieniądze z powrotem do kieszeni.

Samochód posuwał się wolno. Podjechał do krawężnika i się zatrzymał.

- Na piątym piętrze - przypomniała Galina.

Wiktor popatrzył przez lornetkę na balkon, gdzie siedział Balecki.

- Jest; i to sam.

Wysiedli z auta. Odeszli od bloku Baleckiego, mijając sąsiedni budynek, następnie skręcili w aleję biegnącą za wszystkimi domami stojącymi wzdłuż ulicy. Podmuchy wiatru na terenie osiedla wzbijały w powietrze biały puch pyłającej trawy, osiadający na włosach i ubraniu niczym wielkie płatki śniegu.

Wiktor przewidywał, że brama budynku Baleckiego będzie zabezpieczona wielkim, lecz przestarzałym zamkiem. Kiedy stanęli pod drzwiami, miał już w ręku pęk kluczy. W ciągu kilkudziesięciu sekund dopasował odpowiedni do zamka. Fluorescencyjna lampa buczała i migotała, oświetlając pozbawioną okien klatkę schodową. Wsiedli do windy.

Rozchodził się smród gotowanej kapusty i cebuli. Kiedy dojechali na piąte piętro, Galina wysiadła pierwsza i ruszyła wprost do drzwi mieszkania Baleckiego. Oboje ubrani byli w szare spodnie i swetry - tylko blond peruka i makijaż odróżniały Galinę od Wiktora.

Delikatnie zapukała do drzwi, nasłuchując odgłosów z wnętrza. Było cicho, przytłumione dźwięki pochodziły z włączonego w innym mieszkaniu telewizora. Wiktor zapalił kieszonkową latarkę i przyjrzał się uważnie dwóm zamkom. Miał narzędzia i klucze, którymi mógł otworzyć oba; pierwszy zajmie kilka sekund, drugi może pół minuty.

Galina znów zapukała. I jeszcze raz.

- Kto tam? - spytał głos zza drzwi.

- Nie mogłam przyjść wcześniej. Mam dla was paczkę od profesora Iljuszyna.

- Nic o tym nie wiem.

- Byliście z nim w Ermitażu. Przyszedł z Anglikiem.

Cisza. Po chwili zgrzytnęły zamki i w progu mieszkania stanął właściciel.

Galina zrećnie wśliznęła się do środka. Wiktor podążył za nią, zamykając za sobą drzwi. Kobieta wyciągnęła z torby owiniętą w jasnozielony papier paczkę. Podała ją Baleckiemu.

- To dla was.

Starszy pan rzucił okiem na paczkę, potem na Galinę. Nie przywykł do gości, a tu naraz w jego mieszkaniu zjawia się dwoje młodych, atrakcyjnych ludzi. Przynieśli mu prezent od człowieka, z którym, poza przelotnym spotkaniem, nic go przecież nie łączyło. Obrócił się do Wiktora. W jego oczach widać było strach.

Podszedł do drzwi, jakby chciał je otworzyć i pogonić doręczycieli.

- Nie oczekiwałem żadnego prezentu - tłumaczył.

- Otworzycie go? - zapytała Galina.

- Tak, ale później. - Poklepał paczkę. - Książka?

Wiktor przytaknął.

- Profesor Iljuszyn jest waszym starym znajomym? -

Nie.

-Ale w muzeum zachowywaliście się jak dobrzy znajomi. O czym rozmawialiście?

- O niczym... To jest... o muzeum. A tak, o muzeum. Malują ele wację.

- Rozmawialiście o zieleniach i żółciach? Chyba o czymś jeszcze?

- Wiktor położył prawą dłoń na skórzanej pochwie przy pasku spodni. Jednym ruchem wyciągnął nóż. - Może to ci przypomni, o czym rozmawialiście?

Balecki cofnął się o krok, spoglądając z przerażeniem na nóż, Wiktora i Galinę.

- Chodziło o artykuł, który dał do gazety. Miałem dla niego informacje. Potrzebowałem pieniędzy, poprosiłem więc, żeby mi za wiadomości zapłacił.

- Jakie informacje? - dociekał cierpliwie Wiktor.

- Chodziło o... Nic takiego, co mogłoby was zainteresować.

Wiktor podniósł nóż, pozwalając Baleckiemu przyjrzeć się broni.

Nóż był krótki, z solidną, karbowaną rękojeścią, zapewniającą dobry uchwyt. Spiczaste ostrze, z jednej strony ostre niczym brzytwa, z

drugiej ząbkowane, miało dziewięć centymetrów długości i dwa centymetry szerokości.

- Jakie informacje? - powtórzył Wiktor.

- O jajku Fabergégo. - Balecki przerwał, kamieniejąc na widok noża. - Carskiej pisance.

- Ile ci zapłacił? - wtrąciła Galina.

- Sto dolarów - odrzekł wystraszony Balecki.

- Co mu jeszcze powiedziałaś? - Wiktor machnął nożem.

- Że więcej się dowie od osoby, która...

- Nazwisko?

- Karsałow. Wasyl Karsałow. -1

co z tym Karsałowem?

- Powiedziałem, że był w Taszkencie.

- Co jeszcze gadałeś Iljuszynowi?

- To wszystko. Mówię prawdę! Wiktor wykręcił mu lewy nadgarstek. -Nieprawda! Co jeszcze powiedziałaś profesorowi? -Proszę, nie...

Wiktor schował nóż i stanął za staruszką. Złapał go za oba nadgarstki i pociągnął do tyłu. Balecki wrzasnął. Galina uderzyła go otwartą dłonią w twarz.

- Zamknij się - warknęła. - Opowiedz nam wszystko.

- Nie ma o czym mówić.

Galina szybkim ruchem uderzyła go kolaniem w pachwinę. Siła ciosu sprawiła, że mężczyzna zgiął się w pół. Jęknął.

- Dostyc - wyszeptał. - Dajcie mi spokój.

-Wystarczająco dużo usłyszeliśmy - stwierdziła Galina. - Nie mamy czasu.

Wiktor podniósł Baleckiego i wepchnął go do maleńkiej kuchni.

- Zobaczymy teraz, jaki masz widok z balkonu.

Mężczyzna próbował się wyrwać.

- Bierzcie, co chcecie. Ale idźcie już sobie.

Galina otworzyła wąskie drzwi prowadzące na balkon. Balecki rozpaczliwie próbował wyrwać się Wiktorowi. Potknął się o próg i stolik stojący obok krzesła, na którym siedział zaledwie kilka minut wcześniej.

- Dlaczego to robicie? - pytał słabnącym głosem.

- Dla pięknego widoku - drwił Wiktor. - Może uda nam się dojrzeć z twojego małego wieżowca wieżę admiralicii.

Balecki próbował wstać, jednak nie zrobił ani kroku; Wiktor uderzył go kantem dłoni w kark. Balecki osunął się na ziemię, wciąż trzymając w dłoniach paczkę. Galina schyliła się po nią. Wiktor

wyciągnął z kieszeni kawałek płótna i przedał na pół. Jedną częścią owinał lewą dłoń Baleckiego, pomijając mały palec, który fachowo odciął, po czym zawinął całą dłoń. Odcięty palec położył na pozostałym skrawku. Galina zawinęła go w papier od prezentu, którego Balecki miał nigdy nie zobaczyć.

- To będzie wypadek czy samobójstwo? - zapytała.

- To już zadanie dla policji - odparł Wiktor. - Niech się pogłowią nad zaginionym palcem.

Wepchnął zabandażowaną rękę Baleckiego do kieszeni spodni i przesunął nieprzytomnego pod balustradę. Uważnie przyjrzeni się oknom i balkonom pobliskiego bloku, sprawdzając, czy nikt nie zobaczy spadającego ciała. Wiktor wiedział, że samobójcy ani wypadki nie czekają, aż reszta świata pograży się we śnie.

Podnieśli Baleckiego i przerzucili go przez barierkę. Po około trzech sekundach usłyszeli głuchy, donośny huk.

Pospiesznie usunęli plamy krwi i wszelkie ślady swojej wizyty. Zeszli schodami na parter. Jakiś nocny marek wracał z zakrapianej imprezy. Zaczekali, aż wsiądzie do windy. Po drodze do samochodu spotkali jedynie staruszkę płacząco nawołującą swojego kota czy psa.

- Kazaliście dzwonić, niezależnie od godziny - powiedział Wiktor do telefonu. - Leonid Balecki wypadł jakieś piętnaście minut temu ze swojego balkonu. Prawdopodobnie popełnił samobójstwo, ale, jak już wspominałem Galinie, to już ustali policja.

ROZDZIAŁ 19

Kamiennyj Ostrów, odległy o dwa kilometry od centrum miasta, uchodził za najpiękniejszą dzielnicę mieszkaniową Sankt Petersburga. Było tu dużo zieleni, zwłaszcza brzoź i wiązów oceniających sadzawki przy eleganckich posesjach ogrodzonych murami lub parkanami. W luksusowych domach mieszkali zagraniczni dygnitarze, obcokrajowcy rozkochani w lokalnej kulturze i wielu tych, których można by nazwać nowoczesnymi przedsiębiorcami. Do tej ostatniej grupy należeli dawni urzędnicy państwowi i wysokiej rangi agenci KGB, którzy teraz stali się biznesmenami. Gospodarze prowadzili działalność w kraju pozbawionym ustawodawstwa antymonopolowego, i przy braku przepisów dotyczących zasady funkcjonowania oraz regulacji rynku. Obowiązujące, mimo że ułomne, prawo było natomiast sprytnie omijane i

bezkarnie łamane.

W przeciwieństwie do Stanów rosyjską mafię tworzyli niezwiązani ze sobą biznesmeni. Każdy miał własną działkę. Zarówno w Sankt Petersburgu, jak i w innych większych miastach, pojawiły się kartele z jednym właścicielem, kontrolujące nawet dystrybucję artykułów pierwszej potrzeby.

W alei Bokawaja na Kamiennym Ostrowie, niedaleko domu Olega Dieriabina, stała imponująca budowla z drewna i kamienia. Jej właścicielem był Jurij Rjabow, prezes firmy handlującej drobiem, która miała monopol na import i dystrybucję dziewięćdziesięciu pięciu procent kurczaków i indyków zjadanych w promieniu stu sześćdziesięciu kilometrów od Petersburga. Interes rozkwitł. Dwustu chłopa nakłaniało do kupowania północnorosyjskiego drobiu, pałac opornym sklepy i restauracje. Każdemu nowemu klientowi sprzedawano „pakiet ubezpieczeniowy” zapewniający ochronę przed ofertami konkurencji. Kamiennyj Ostrów zamieszkiwało wielu innych majątnych biznesmenów, na przykład zajmujący się kwiatami Worotnikow; Zorkin, kontrolujący import alkoholi czy Ałmasow, potentat w branży elektronicznej, handlujący sprzętem gospodarstwa domowego. Posesje bossów narko- i pornobiznesu wyróżniały się spośród innych wyższym ogrodzeniem.

Dom Dieriabina był mieszaniną stylów. Zewnętrzną stronę budynku zdobiły wiktoriańskie wieżyczki i wimpergi, otaczające cebulastą kopułę. Wnętrze wypełniały rzeczy najnowocześniejsze, jeżeli chodzi o armaturę i sprzęty. Widoczne wszędzie dzieła sztuki i artefakty wyraźnie kontrastowały z resztą- wiekowe prawosławne ikony pomieszane ze srebrnymi i emaliowanymi precjozami od Sałtykowa, Ruckerta i oczywiście Fabergégo. Ścianę salonu zdobiło kilka obrazów pędzla sławnych rosyjskich malarzy. Dom otaczał żelazny płot. Każdy jego centymetr był pod nieustanną obserwacją kamer zainstalowanych na wieżyczkach odpornych nawet na strzał z broni myśliwskiej. Podwójnie wzmocnionej bramy strzeżono całą dobę.

Oprócz czterech sypialni na pierwszym piętrze, kilka znajdowało się na drugim i nad garażem. Część z tych pomieszczeń zajmowało dwunastu ludzi, chroniących Dieriabina przez całą dobę.

Podczas służby wojskowej w Waszyngtonie Dieriabin zapoznał się z metodami działania cosa nostry dzięki kontaktom, które jego współpracownicy nawiązali w Ministerstwie Sprawiedliwości. Brał udział w wykładach i seminariach, między innymi w trzydniowej konferencji na temat zorganizowanej przestępczości w Ameryce. Dowiedział się, jak wygląda struktura mafii i jak werbuje się członków, a także tego, iż funkcjonują pewne niepisane zasady, zgodnie z którymi

każdego z nich można nagrodzić lub zlikwidować. Przebywał w Waszyngtonie, kiedy upadł mur berliński i zmniejszyło się napięcie w relacjach amerykańsko-sowieckich, co umożliwiło współpracę między FSB i FBI.

Gdy było już jasne, że wkrótce Rosję zaleje fala demokratycznych przemian za sprawą nowej kadry biznesmenów, prowadzenie interesów nader często łączyło się z lekceważeniem prawa, co dało impuls do rozwoju przestępczości zorganizowanej. Wyszukanie wojskowe nauczyło Dieriabina, że należy szukać słabych punktów wroga, i pod tym kątem analizował mafię, starając się adaptować jedynie jej mocne strony.

Przywiózł kilkanaście kaset wideo z amerykańskimi filmami, w których mafia jawiła się jako organizacja o wielkiej sile i prestiżu. Nauczył się nawet na pamięć fragmentów z *Ojca chrestnego*. Dużo czytał, co zaowocowało lepszym opanowaniem języka angielskiego. Mimo silnego akcentu i ograniczonego jednak słownictwa, mógł porozumieć się swobodnie. Coś w środku mówiło mu, że nadejdą czasy, kiedy zyska wyjątkową przewagę nad konkurencją i przeciwnikami, jeśli nikt nie będzie wiedział, że zna angielski. Po powrocie do Sankt Petersburga pielęgnował ten obraz. Przepraszał, że tak słabo idzie mu nauka języka. Tylko Estończyk znał prawdę.

Zdaniem Dieriabina struktura amerykańskiej mafii była zbyt rozbudowana. Zbyt wielu tych wszystkich przybocznych, consiglieri, capo i żołnierzy. Oznaczało to długą listę płac, skomplikowany i często zawodny system komunikacji. W jego organizacji hierarchia była prosta: prezes Dieriabin, Trivimi Laar - doradca. Podlegali im personel biurowy i nieodzowni pracownicy ochrony. Każdy oddział miał swego kierownika.

Dieriabin stał samotnie przy otwartym oknie na parterze. Rześka poranna bryza owiewała go i rozpraszała dym z papierosa. Kilka minut wcześniej dostał kopertę od kierownika Neva Specjalty, nowego, obiecującego oddziału. Zadaniem placówki było podrabianie drogich perfum, wysyłanie ich w przemysłowych butlach do Moskwy, gdzie przelewano je do odpowiednich flakonów i pakowano identycznie z autentycznym produktem. Koperta, którą trzymał, zawierała notatkę opisującą najnowszy zapach opracowany przez Neva Specjalty. Kiedy ją otworzył, powietrze wypełnił najśłodszy kwiatowy zapach perfum Giorgio.

Rzekomo produkujące tylko perfumy laboratoria Neva Specjalty można było łatwo zaadaptować do produkcji różnego rodzaju chemikaliów, i głównie toksyn, a towar upłynnić za pośrednictwem handlarza bronią z Nikozji, z którym Dieriabin prowadził negocjacje.

Placówką kierował szwajcarski biochemik z doświadczeniem w przemyśle kosmetycznym w laboratoriach badawczych Hoffmann-La Roche. Znano go tylko z imienia - Maurice.

Produkcja perfum wydawała się przedsięwzięciem z perspektywami zbytu i rosnących zysków. Gdzieś w systemie doszło jednak do serii kardynalnych pomyłek; błąd w pisowni nazwy Shalimar był fatalną wpadką, która zdradziła, że perfumy to lipa. Perfumy Chanel Nr 5 we flakonach przeznaczonych ewidentnie na Joy ściągnęły z powrotem do sklepów wzburzonych klientów. Odkrycie przekreśliło przyniosło lawinę reklamacji wraz z dziesiątkami żądań zwrotu pieniędzy.

Straty rosły nieustannie, a w bieżącym miesiącu koszty błędów wyniosły w sumie dwadzieścia tysięcy dolarów. New Century nie mogło sobie pozwolić na dalsze wykrwawianie. Dieriabin jednak naciskał.

Jego wizja kolosalnych zysków z nowych produktów Neva Specjalty spychała na bok wszelkie przejściowe problemy, z jakimi borykała się mała wytwórnia perfum.

Estończyk jeździł dwuletnim volvo - jedyna ekstrawagancja, na jaką sobie pozwalał. Samochód nie był duży, ale wygodny i niezawodny. Sto metrów przed ogrodzeniem wsunął swój identyfikator w bezprzewodowy przekaźnik. Kiedy dotarł do bramy, ta otworzyła się automatycznie. Estończyk zatrzymał auto dopiero przed domem.

Dieriabin siedział przy oknie. Zapalił kolejnego papierosa, włożył plik papierów do teczki, którą odłożył na stolik obok krzesła. Minutę później dołączył do niego Estończyk.

- Co mówi raport bliźniąt?

- Wiktor zadzwonił, by przekazać, że Leonid Balecki popełnił samobójstwo.

- Szczegóły?

- Sąsiedzi Baleckiego znaleźli zwłoki wczoraj, parę minut po północy. Wezwali policję. W raporcie stwierdzono samobójstwo.

- Jak to zrobił?

Trivimi dokładnie przytoczył sprawozdanie Wiktora.

- Wykonali instrukcje. Nie wzbudziły podejrzeń. Zrobili to szybko.

- Sam osądzę, czy Łysenkowie się dobrze spisali. Czego dowiedzieli się na temat rozmowy Baleckiego z Iljuszynem?

- Balecki twierdził, że widział artykuł Iljuszyna i potrzebował pieniędzy. Chciał zapłaty za swoje informacje. Nadmienił Iljuszynowi, że Wasyl Karsałow mógłby powiedzieć coś o jajku Fabergégo.

- To wszystko, czego się od niego dowiedzieli?

- Powiedział Iljuszynowi, że Karsałowa wysłano do Taszkientu dwadzieścia pięć lat temu.

- Co Balecki mówił o mnie?

- Nic, Oleszka. Twoje imię nie padło ani razu.

- *Gawnuk!* To gnój! Nagadał kłamstw Wiktorowi. Co to za kłamstwa? Muszę wiedzieć!

- Co za różnica? Facet nie żyje. Wiktor mu groził, ale Balecki tylko bełkotał.

- Odpowiadasz za to, że wiemy tak mało o rozmowie Baleckiego z Iljuszynem! - wybuchł Dieriabin. - Nie panujesz nad Wiktorem i emocje znów wzięły nad nim górę.

- Posłuchaj głosu rozsądku, Oleszka. Wiktor się dowiedział wszystkiego, co potrzebne. Dziś rano byłem w biurze Aeroflotu i opowiedziałem, jak mój drogi przyjaciel Jakow Iljuszyn niespodziewanie opuścił Sankt Petersburg. Uraczyłem ich smutną historyjką, osłodzoną gotówką. Kierowniczką pomogła mi ustalić, dokąd się udał. Wyszukała listy pasażerów z ostatnich trzech dni. Okazało się, że siódmego lipca Jakow Iljuszyn wyleciał do Moskwy, a stamtąd do Taszkientu. Doleciał wczoraj, ósmego. Towarzyszył mu jego angielski przyjaciel, Jack Oxby.

Dieriabin natychmiast zaczął szacować szanse powodzenia zadania, które czekało Iljuszyna i Oxby'ego. Próbował ocenić możliwości odnalezienia nieznanego człowieka w obcym mieście, wśród blisko dwóch i pół miliona Uzbeków, Kazachów, Tatarów i Rosjan.

- Odnalezienie Karsałowa zajmie im co najmniej trzy dni - powiedział.

- Zakładając, że jeszcze żyje. - Trivimi się uśmiechnął. - Dobrze, by się okazało, że jest inaczej.

- Musimy przyjąć, że Wasyl żyje. Ten Anglik z pewnością wychodzi z takiego założenia. - Dieriabin zapalił papierosa. - Siedem czy osiem lat temu Wasyla umieszczono w szpitalu wojskowym. Tu jest problem. - Dieriabin postukał palcem w skroń.

- Jeśli Wasyl jest na tyle zdrowy, żeby mówić i pamiętać...

- To właśnie jest nasz problem. Trzeba ich powstrzymać. Wyślij Wiktora. Galina zostaje. Niech nic go nie rozprasza.

Estończyk odsunął się od stołu. Przyglądał się swoim dłoniom, pocierając je o siebie.

- Źle oceniasz Łysenków. Ich zadanie w Nowym Jorku było tylko o włos łatwiejsze niż dokonanie cudu. Wymagasz perfekcji i nie mam nic przeciwko temu, ale nie wyrażasz uznania, kiedy się należy. Zlikwidowali Akimowa. Co prawda nie tak szybko, jak sobie życzyłeś, ale zrobili, co było możliwe w skrajnych okolicznościach. Później, w

czasie krótszym niż wyznaczony, uciszyli na zawsze Baleckiego.

- Masz jakąś słabość do bliźniąt?

- Oni są twoim odkryciem, nie moim. Ja tylko nimi kieruję. Przez ciebie jednak przestają mi ufać. To nie bliźnięta, to mąż i żona, i...

- To bliźnięta! - krzyknął Oleg. - Cholerne Gemini? Czy Wiktor jest na w pół kobietą, czy Galina bardziej facetem niż laską? Czymkolwiek są, wyszkolono ich, żeby wykonywali moje rozkazy i dokładnie tego oczekuję!

- Istnieje granica traktowania ich jak swoich służących. Charaktery mają anie słabsze niż ty.

Dieriabin wpatrywał się w Trivimiego lodowatym wzrokiem. Poruszył ustami, jakby przygotowywał się do kolejnego wybuchu. Powiedział jednak spokojnie:

- Masz swoje instrukcje. Natychmiast wyślij Wiktora do Taszkientu.

- Może być za późno.

- Lepiej niech nie będzie! - krzyknął Dieriabin. Zgasił papierosa i przypalił następnego. - Każ Wiktorowi jechać prosto do szpitala wojskowego. Jest tam oddział dla umysłowo chorych. Ma się z nami skontaktować, kiedy tylko dotrze do Taszkientu.

- Wyobraź sobie, Oleszka, że Wiktor nie znajdzie Karsałowa na czas. Że Karsałow ma doskonałą pamięć i opowie Oxby'emu wszystko, co wie na twój temat. Nie wydaje mi się, żeby Oxby wiedział na pewno, że istnieje jajko zamówione przez Rasputina, ale Wasyl może to potwierdzić. Może też powiedzieć, że przegrał jajko i trafiło ono do ciebie, i że prawdopodobnie wciąż je masz. Może wreszcie wygadać, Oleszka, że zabiłeś Artura Preknera.

Trivimi uważnie obserwował reakcję Dieriabina. Zupełnie jakby z każdą informacją wbijał wyimaginowane gwoździe do nieistniejącej trumny przyjaciela.

- Jakie są w takim razie instrukcje dla Wiktora? - spytał wreszcie.

Dieriabin wziął głęboki wdech.

- Kolejny wypadek. Przykre to, ale tak już musi być.

- Jaki wypadek?

- Wszystko jedno. Zależy, co podsuną okoliczności. Jeżeli Oxby usłyszy, co pamięta Wasyl, też będzie musiał umrzeć.

Estończyk wstał i podszedł do okna. Obrócił się do Dieriabina.

- Zarządzasz zlikwidowanie Karsałowa, żeby nie dopuścić do jego rozmowy z Iljuszynem i Oxbym. Jeśli Wiktor nie zdoła powstrzymać go od mówienia, wtedy rozkażesz ich też zabić! To jest szaleństwo, Oleszka.

Dieriabin wpatrywał się przez chwilę w rosnącego mężczyznę, po

czym odwrócił się na pięcie.

- Przekaż rozkazy Wiktorowi.

Po krótkim wahaniu Estończyk podszedł do telefonu i wybrał numer. Mówił, słuchał, odpowiedział coś bardzo cicho, tonem proszącym,

gestykulując. Potem jego głos brzmiał coraz ostrzej i bardziej stanowczo. W końcu skinął głową i odłożył słuchawkę.

- Nie było łatwo przekonać Wiktora, żeby poszedł na to zadanie sam. Powiedział, iż nie zapomni ci, że rozdzielasz go z Galiną.

- Przypomniałeś mi, że sam tego chciałem?

- Nie, bo tu nie masz racji.

- Zobaczymy, kto ma rację, a kto nie. Kiedy wyrusza?

- Dziś wieczorem.

- W takim razie załatwione. Świetnie.

Po spełnieniu niemiłego obowiązku zlecenia likwidacji Wasyla Karsałowa nastroj Dieriabina poprawił się, a na twarz powrócił uśmiešek.

- Chcę ci coś pokazać - oznajmił.

Na podłodze obok krzesła stało tekturowe pudło. Położył je sobie na kolanach, otworzył i wyjął akumulator samochodowy z napisem „Delco”. Amerykańska marka, produkt stosowany w samochodach General Motors. Według Dieriabina wymontowano go z rocznego cadillaca.

- W tym jest skrytka? - zapytał Trivimi.

Dieriabin wsunął ostrze noża w niewielkie wgłębienie u dołu akumulatora. Ostrożnie podważył kilkucentymetrowy fragment zewnętrznej obudowy, odsłaniając wnękę wielkości paczki papierosów.

- Niczym jajko Fabergégo. - Zarechotał. - Drzwiczki, których nie widać, i skrytka na niespodziankę.

Trivimi oglądał akumulator, zachwycając się precyzją, z jaką przerobiono jego wnętrze, by pomieściło schowek. Zamknął drzwiczki, mówiąc, że po nałożeniu rocznej warstwy kurzu i oleju akumulator pomyślnie przejdzie nawet najdokładniejsze oględziny.

- Będzie działał tak jak przedtem?

- Nie tak długo, ale zachowa ładunek przez kilka miesięcy.

- Ile zostało przerobionych?

- Tylko ten. Przy ściąganiu aut z Ameryki będziemy podmieniać akumulatory.

- Jestem pod wrażeniem - rzekł Trivimi. Odchylił głowę i pociągnął nosem. - Zdaje się, że był tu Maurice.

- Przesyła mi próbki wszystkich nowych kompozycji. To Giorgio.

Podoba ci się?

Estończyk znów pochylił się do przodu, opierając swobodnie ręce o uda.

- Nie chcę gasić twojego optymizmu, ale raz jeszcze spojrzałem na liczby. Neva Specjalty wyciąga kapitał z bardzo słabych zasobów i, jeśli pozostałe komórki nie zrobią porządnego obrotu, będziesz musiał natychmiast wstrzymać jej działalność.

Dieriabin zeszywniał.

- Obetnij wydatki, zrób, co będzie konieczne, ale nie zamkniemy Neva Specjalty.

Trivimi rozłożył kartkę i położył przed Dieriabinem.

- Pod koniec tego miesiąca straty New Century na pierwszą połowę roku wyniosą blisko dwa miliony dolarów. Będziemy zadłużeni łącznie na nieco tylko mniej niż pięć milionów.

- Wyjdziemy z tego. Jak zawsze.

-Niekoniecznie. Rok temu byłeś zmuszony sprzedać swoją najbardziej obiecującą komórkę. Tak się składa, że jedyną, która działała zgodnie z prawem.

- Prawo, prawo. Pieprzyć prawo! - wykrzyknął Dieriabin. Złapał papiery Estończyka i zgniół je w kulkę. - W tym kraju nie da się robić interesów zgodnie z prawem - dodał ponurym tonem. - Kiedy próbuję, dostaję od kogoś w dupę. - Cisnął kulką w podłogę.

- Prawo to jedno - mówił Trivimi - ale jeśli chodzi o pieniądze, to tylko udajesz, że masz. Nie zapłacisz rachunków, mówiąc jakimś biednemu frajerowi „pieprzyć prawo”.

- Płacimy rachunki.

- To nieprawda i dobrze o tym wiesz.

- Nie mów mi, co wiem, a czego nie! - wrzasnął Dieriabin z twarzą purpurową ze złości i strachu. - Przychodzisz tu, pokazujesz mi, że jestem winien pieniądze, i każesz zamknąć Neva Specjalty, w której największa nadzieja na rentowność i spłacenie długów. Nie zrzucaj problemów na mnie. Daj mi odpowiedzi na tych swoich papierkach.

- Próbuję, Oleszka, ale ty słuchasz tylko siebie. Pokazałem ci liczby tydzień temu. Wtedy nie wyglądały tak źle.

- Co z wszystkimi pozostałymi operacjami? One nie przynoszą zysków?

- Dochody rosną, ale wydatki również. Pożyczanie pieniędzy kosztuje coraz więcej. Co gorsza, nie możemy już pożyczać. Wykorzystaliśmy cały limit.

- Jaki limit?

- Limit nałożony na nas przez banki. Żaden bank nie pożyczy już

nam pieniędzy.

- Zuganow pożyczcy. Dał słowo.
- Nie. Ani Zuganow, ani Łobow, ani Soskowiec. -
Amerykanie...

- Oni odcięli nas pierwsi.

Usta Dieriabina poruszały się w milczącej furii.

- Jak bardzo jest źle? - wydusił wreszcie.
- Jeśli ostro obetniemy wydatki, pociągniemy jakoś przez trzy mie
siące.

Dieriabin skinął głową.

-Przez ten czas możemy ściągnąć auta, przerobić akumulatory...

-Będą potrzebne dodatkowe pieniądze na kupno samochodów

- zauważył Trivimi.

- Jak bardzo jest źle? - powtórzył pytanie Dieriabin.

Estończyk podniósł papierową kulkę. Rozwinął ją i wygładził kart
ki. Ponownie położył sprawozdanie finansowe przed Dieriabinem.

- Objasnię ci wszystkie wartości, jeśli chcesz, ale ważne liczby są
tutaj. - Postukał palcem w rzędy cyfr.

Dieriabin wpatrywał się w staranne odręczne notatki Trivimiego
Laara.

- Nie widziałem tego tydzień temu - powiedział stłumionym gło
sem.

-Nie miałem wszystkich liczb. Teraz wszystko jest tutaj.

- Pięć milionów dolarów? - Dieriabin nie dowierzał.

- Mógłbyś zniwelować tę kwotę o połowę, gdybyś znalazł kupca.

- Trivimi pokręcił głową. - Ale założę się, że nie znajdziesz.

- Co robić?

- Jest pewne rozwiązanie. Potrzebujesz kwoty równej, jeśli moje
obliczenia są poprawne, cenie sprzedaży jajka Fabergégo.

Dieriabin zareagował tak, jakby się tego spodziewał. Mięśnie mu
zmiotczały, siedział całkiem oklapnięty. Wstał jednak po chwili i
wyszedł z pokoju. Wrócił z niewielkim pudełkiem.

- Przywiozłem je do domu parę dni temu. Tu będzie bezpieczniej
sze. - Otworzył pudełko i wyjął pisanek Fabergégo. Przypatrując się
jej, rzekł wyniośle: - Żaden człowiek nie oglądał tego przez ostatnich
trzydzieści pięć lat. - Podał jajko Trivimiemu.

Ten, obracając je w dłoniach, patrzył łakomie na emaliowaną
powierzchnię, diamenty, szafiry i podziwiał kunszt wykonania.

- Nadal się boisz, że jest przeklęte? - zagadnął.

- Myślałem o tym, ale wierzę, że szczęście mi sprzyja.

- Wybadam po cichu możliwości sprzedaży. Zorganizowanie
aukcji może być trudne. Prywatna transakcja będzie chyba najlepszym

rozwiązaniem.

Dieriabin skinął głową, po czym podsunął Estończykowi folder. Na okładce ozdobną czcionką wydrukowano wyraz „Koleso”. Poniżej: „Propozycja Joint Venture”.

- Jedź do Nowego Jorku i pokaż to Michałowi Karsałowowi. Trivimi wertował folder.
- Kiedy?
- Kiedy tylko się dowiesz, że Wiktor jest w drodze do Taszkientu.

ROZDZIAŁ 20

Odstęczający budynek, zidentyfikowany przez Jacka Oxby'ego jako zakład zamknięty, oficjalnie znany był jako Numer 7. Ściany i wysokie sufity pokryto cienką warstwą kremowej farby, spod której prześwitywały smugi tej kładzionej poprzednio. Drzwi, wentylatory, lampy miały jasny odcień zieleni przemysłowej. Niepomalowana i niewypolerowana drewniana podłoga trzeszczała pod stopami. Standardowa konstrukcja - wielofunkcyjny budynek, zapewne pochodzący z połowy lat trzydziestych, jeden z wielu w kompleksie budynków, które niegdyś należały do Akademii Wojskowej.

Do niedawna Numer 7 był częścią szpitala wojskowego. Teraz skoszarowano tu pacjentów oddziału psychiatrycznego, zapewniając dach nad głową, skromne racje żywnościowe i okazjonalne wizyty psychologa klinicznego - często pielęgniarki z oddziału psychiatrycznego szpitala miejskiego.

Oxby i Iljuszyn odnaleźli główne wejście i weszli do środka. Ściany były ozdobione tablicami pamiątkowymi z brązu oraz korkową tablicą wypełnioną starymi ogłoszeniami. Cztery wnęki w ścianie były puste, po stojących tam kiedyś popiersiach zostały tylko tabliczki. Za oszkloną przesuwaną ścianką działową kryła się niewielka recepcja. Wewnątrz znajdowały się staroświecka centralka telefoniczna, biurko, krzesło, trzy wentylatory... I ani żywej duszy.

Iljuszyn znalazł przycisk przyzywania pielęgniarki. Po naciśnięciu rozległ się odległy gong. I tyle. Spróbował ponownie, ale nadal nikt się nie zjawiał.

- Rozejrzyjmy się - powiedział Oxby.

Na parterze znajdowały się dwie duże sale. W jadalni wypełnionej cierpkim zapachem żywności samotna otyła kobieta w poplamionym białym fartuchu i czapce pchała do kuchni wózek z brudnymi

naczyniami. W drugiej sali znajdowały się stoły, na których leżały nieulożone puzzle, papier, kredki oraz magazyny i książki bez okładek. Zastali tu jedynie dwóch mężczyzn pochylonych nad szachownicą przy stole obok otwartego okna.

Oxby podszedł do nich.

- Wasyl Karsałow? - spytał.

Bez odpowiedzi. Spróbował Iljuszyn, ale z takim samym skutkiem.

- Nie wolno niepokoić pacjentów - rozległ się za ich plecami ko biecy głos.

Odwrócili się i ujrzeli stojącą w drzwiach młodą kobietę. Miała ciemną spódniczkę, białą bluzkę z krawatką, czarne pończochy i czarne czółenka na płaskim obcasie. Brązowe włosy z miedzianym odcieniem splecione w warkocz tworzyły koczek.

- Nikt nie odpowiadał na dzwonek - odezwał się pojednawczo Iljuszyn. - Szukamy pacjenta.

- Wasyla Karsałowa, dobrze usłyszałam?

Weszła do pokoju, a oni podeszli do niej. Kobieta bez śladu makijażu na twarzy, była piękna. Nie sposób inaczej jej opisać. Odpowiadając, Oxby starannie dobierał słowa.

- Tak, Wasyla Karsałowa. Chcieliśmy z nim porozmawiać.

- A wy kto? - spytała.

- Jestem Jakow Iljuszyn. Mój towarzysz to Jack Oxby. Przyjechaliśmy z Sankt Petersburga, szukamy Karsałowa.

- Nie chcę wiedzieć, jak się nazywacie, tylko kim jesteście. Mamy tu restrykcyjne przepisy dotyczące odwiedzających. Macie zezwolenie?

Zamachali przepustkami.

- Po co szukacie tej osoby?

- Rzecz w tym... - próbował wyjaśnić Oxby. - Jak się mówi „sprawa rodzinna“?

Iljuszyn przetłumaczył.

- Chodźcie ze mną.

Poprowadziła ich z powrotem do recepcji. Zasiadła przy centralce, wykręcając kilka numerów. Uśmiechnięta, rozmawiała chwilę i odłożyła słuchawkę.

- Jestem tu nowa - powiedziała. - Nie znam tego nazwiska, ale mamy na oddziale niejakiego W. Karsałowa. Poprosiłam o jego dane. - Wyjaśniała coś jeszcze Jakowowi przez kolejną minutę, po czym zamilkła i siedziała sztywno, spoglądając to na Jakowa, to na Oxby'ego.

- Mówi, że jest zastępcą nadzorcy, tyle że nadzorcy nie ma. Jest

nowa na tym stanowisku. Nazywa się Tonia. Urodziła się w Rosji, ale mieszka w Taszkencie od trzeciego roku życia.

Oxby zerknął dyskretnie na zegarek.

- Mówi pani po angielsku, Toniu? - zagadnął.

- *Anglijskije?* - podjęła, przeciągając słowo. - *Niet.*

- Wierzysz jej? - zwrócił się do Jakowa.

Iljuszyn wierzył.

- Nie wydaje mi się, by pracowano tu szczególnie efektywnie - rzucił niby od niechcenia Oxby. - Co moglibyśmy zrobić, żeby to jakoś przyspieszyć?

- Tu się nie śpieszą. Zwłaszcza latem.

-Może by jej postawić kolację. Albo podarować kilka tysięcy w miejscowej walucie.

- Chcesz skorumpować tę ślicznotkę okrągłą sumką?

- Za ładna jest, żeby ją korumpować. Ale każdy ma cenę, nawet tutaj.

Jakow zaprzeczył ruchem głowy.

- Mogłaby odmówić współpracy.

Zaterkotał telefon.

- Halo - odezwała się Tonia. Wyrzuciła z siebie potok zdań po rosyjsku z uzbeckimi wtrętami. Za szybko, by Oxby mógł cokolwiek zrozumieć. Niektórych uzbeckich sformułowań nie załapał nawet Jakow.

- Poprosiłam o dane W. Karsałowa - oświadczyła poważnym tonem młoda kobieta. - Nie wiem, kiedy je przyniosą. Ale tymczasem poradzimy sobie bez nich. - Wstając, wskazała na drzwi. - Chodźcie ze mną.

Tym razem poprowadziła ich do windy pamiętającej czasu budowy Numeru 7. Wydając podejrzane odgłosy, dźwig zawiózł ich na najwyższe piętro. Tonia rozsunęła drzwi i stanęła na środku korytarza. Wreszcie podeszła do drzwi z numerem 411. Odwróciła się do Jakowa.

- Nie znam wszystkich pacjentów. Jak mówiłam, jestem tu od nie dawna. Proszę uważać. Może was zszokować to, co tam zastaniecie. Niektórzy pacjenci są bardzo chorzy. Patrzą tylko i nic nie mówią. Inni będą bredzić. Poza tym powinniście wiedzieć, że warunki, w jakich żyją, nie są dobre, po prostu przykre.

Detektyw zrozumiał częściowo przemowę Toni. Resztę objaśnił mu Jakow.

- Przykre - powtórzył rosyjskie słowo Oxby. - Ciekawe sformułowanie.

Tonią skinęła głową i zapukała lekko do drzwi. Usłyszeli szurania, ale drzwi pozostały zamknięte. Zapukała ponownie.

-Wasyłu Karsałow, otwórzcie. Macie gości z Sankt Petersburga - odezwała się.

Szuranie stało się głośniejsze. Zgrzytnął klucz w zamku. Mężczyzna, który powoli otworzył drzwi, cofnął się w głąb pokoju. Był przeraźliwie chudy. Mimo gęstego zarostu dało się zauważyć zapadłe policzki. Grzywa siwych włosów w połączeniu z brodą sprawiały, że jego twarz wydawała się małeńka. Mieszkaniec pokoju, średniego wzrostu i lekko przygarbiony, na pierwszy rzut oka równie dobrze mógł mieć pięćdziesiąt, jak i siedemdziesiąt pięć lat. Oxby zwrócił uwagę na jasne, czyste oczy - nie zaropiałe, jak się obawiał.

Tonią miała rację. Pokój istotnie sprawiał przykre wrażenie - a może po prostu był zaniedbany i niechlujny - w oczy rzucał się bałagan, a nozdrza drażnił odór niedopranych ubrań.

Była to kiedyś duża sala szkolna, z wysoko sklepionym sufitem i okrągłymi lampami osłoniętymi porcelanowymi kloszami. Jedynie połowa z nich miała żarówki, a i te wydawały się przepalone. Wzdłuż wewnętrznej ściany biegł rząd wysokich okien. W jednym ocalała nawet postrzępiona roleta. Umeblowanie obejmowało łóżko, komodę, garderobę, wysokie tapicerowane krzesło i dwa mniejsze drewniane, lampę podłogową i lampkę na stole, półki na książki i inne dziwaczne przybory.

Zaskoczył ich ubiór Karsałowa. Sprane spodnie i koszula, a do tego - w pokoju, gdzie temperatura sięgała trzydziestu siedmiu stopni - marynarka z oficerskimi dystynkcjami. Na granatowych epoletach zwisających z wymizerowanych ramion naszyto dwa długie i jeden krótki złoty pasek oraz pojedynczą złotą gwiazdkę. Oxby nie mógł tego wiedzieć, ale Karsałow awansował się o dwa stopnie, z młodszego lejtnanta na kapitana lejtnanta.

- Oto i wasz Wasył Karsałow - oznajmiła Tonia.

- *Dobryj dien* ' - odezwał się Jakow, wyciągając rękę. Wasył nie odpowiedział ani nie odwzajemnił gestu.

- Niepewny, co robić dalej, Jakow odwrócił się do Oxby'ego. - Co mam...?

-Powiedz mu, że się cieszymy, że go znaleźliśmy. Że wrócimy rano. Spytaj, czy możemy coś dla niego przynieść. Brandy albo papierosy. Albo jedzenie. I powiedz, że możemy pójść jutro do hotelu na kolację.

Oxby poklepał Jakowa po ramieniu, zachęcając, by przetłumaczył. Ale nie było to konieczne.

- Chciałbym dostać brandy i papierosy - odezwał się łamaną angielszczyzną Wasył Karsałow. Skinął Oxby'emu głową. - Pomyślę, co jeszcze, i powiem jutro.

- Mówi pan po angielsku? - Oxby uśmiechnął się szeroko. Mimo gęstej brody widać było, że Karsałow też się uśmiecha.
- Trochę.
- Dobry początek - powiedział Oxby, zamykając drzwi, gdy wyszli z pokoju.

Winda hałaśliwie zjeżdżała na parter.

- Przejechaliśmy taki szmat drogi, żeby go znaleźć, a ty odchodzisz niemal bez słowa? W czym rzecz? - dziwił się Jakow.

- Naszym zadaniem było odnalezienie go. Udało się. Mieliśmy ustalić stan jego zdrowia, zwłaszcza umysłu. Udało się częściowo. Potrafi mówić, co więcej, nauczył się angielskiego.

Wysiedli z windy i poszli z Tonia do recepcji. Na biurku leżało kilka teczek. Przejrzawszy je, podała jedną Jakowowi.

- Tu macie raporty medyczne. Jak widzicie, ostatnie badanie robiono mu trzy lata temu. Nie potrafię powiedzieć, jakie zmiany mogły nastąpić później.

Jakow przekartkował dokumentację.

- Popatrz, Jack. Piszą, dlaczego Karsałow się tu znalazł.
- Diagnoza?
- Na to wygląda. Sprzed czterech lat. Arterioskleroza i otępienie starcze.

- Brzmi paskudnie. Spytaj Tonie, czy możemy pożyczyć dokumenty. Powiedz, że zwrócimy je rano w komplecie.

Uzyskawszy zgodę, opuścili szpital. Hoja zaczynał się już niecierpliwie. Zrugął obu za to, że przez nich stracił rodzinny obiad. Ten chwilowy wybuch gniewu był jednak obliczony na wyciągnięcie kilku dolarów ekstra, a nie na okazanie uczuć rodzinnych. W drodze powrotnej Jakow wyznał, że wciąż nie może wyjść z podziwu, jak Oxby poprowadził pierwsze spotkanie z Karsałowem.

-W mojej branży cierpliwość zazwyczaj popłaca. Wasyl Karsałow od dawna żyje w tej klitce. Nigdzie nam nie ucieknie. Zainwestowałem ten czas, by wzbudzić w nim zaufanie. Może pomyśleć przez noc o brandy i papierosach. Oraz dobrym posiłku. Na pewno brakuje mu takich prostych przyjemności. Pół godziny temu wkroczyliśmy do jego pokoju jako obcy. Był zaskoczony, może przestraszony. Nie chciałem zaczynać rozmów w takiej atmosferze. Jutro spotkamy się jako przyjaciele.

- A dobry z ciebie przyjaciel - rzekł z uśmiechem Jakow.

ROZDZIAŁ 21

Wiktor Łysenko, uporawszy się z byłymi agentami i urzędnikami, pojechał taksówką do hotelu Uzbekistan w centrum miasta. Zamknął drzwi pokoju na klucz i zatelefonował do Trivimiego Laara.

- Jak widzę, przybyłeś o czasie - skwitował Estończyk.
- Przyjemny lot. Mało ludzi na pokładzie.

Umilkli obaj na pół minuty, sprawdzając, czy nie ma podsłuchu. Nadmiar ostrożności nigdy nie zawadzi. Pierwszy odezwał się Wiktor.

- Galina zagroziła, że odejdzie. Oleg za bardzo naciska. Sam mu to powiem, gdy wrócę.

- Takі już jest - tłumaczył Estończyk. - Znęca się, żebyś nie zapomniał, że musi być po jego myśli. Zrezygnuj, jak chcesz. Ale na zdrowie ci to nie wyjdzie.

Chwila ciszy. Wiktor rozważał słowa Trivimiego.

- Gdzie znajdę Wasyla? - spytał wreszcie.

- Oleg miał szczęście. Jeden z naszych starych ludzi nawiązał kontakt w uzbeckich kręgach rządowych. Karsałow jest w szpitalu wojskowym. ..

-Ale gdzie, do ciężkiej cholery? Powiedziano mi, że tam jest dziesięć budynków!

- Numer 7. Wiesz, gdzie to jest? Na północy miasta?

- Tak - uciął zniecierpliwiony Wiktor.

- Niech cię tak nie ponosi tylko dlatego, że Oleg wysłał cię bez Galiny. Zrób swoje, a przestanie narzekać.

Wiktor zrobił listę zakupów i zadań. W holu wymienił dolary na sumy. Powiedziano mu, że ubranie kupi w domu towarowym GUM, kilka przecznic od hotelu. Nabył parę dzinsów, koszulkę z krótkim rękawem, skarpetki, czarne tenisówki i pasek. Znalazł też papierosy i zapalki.

Po powrocie do pokoju przebrał się w kupione ciuchy. Dobrze wpasuje się w tłum młodych Rosjan na ulicy.

Dwadzieścia minut jazdy tramwajem i stanął przed bramą, która nigdy nie prowadziła na tereny wojskowe. Motorniczy objaśnił mu drogę do szpitala. Była jedenasta trzydzieści. Słońce stało niemal w zenicie. Temperatura wkrótce znów wzrośnie prawie do czterdziestu stopni. Minął go samochód, który się zatrzymał przed odległym o mniej więcej dziewięćdziesiąt metrów budynkiem. Wysiadło z niego dwóch

mężczyzn i podażyło ku wejściu.

Wiktor szedł swoją drogą. Kiedy zbliżył się do samochodu, zauważył stary znak, zwisający smętnie z pokruszonego betonowego palika.

„Zdanie 7”.

Oxby i Jakow poszli prosto do windy i pojechali na trzecie piętro. Zanim zdążyli dojść do drzwi pokoju, sam Wasyl Karsałow otworzył je i wyszedł na korytarz.

- Bałem się, że zmienicie zdanie.

- Bez obaw - uspokoił go Oxby. - Byliśmy na zakupach.

Faktycznie, nie przyszli z pustymi rękoma. Jakow dał gospodarzowi bukietik żółtych róż z pojedynczą białą peonią. Wasyl gapił się na kwiatki, riie wiedząc, co z nimi począć.

- A to na wypadek, gdybyście nie mieli własnego. - Jakow podał mu plastikowy wazonik. Kwiaty powędrowały do wazonika, zaś ten zajął honorowe miejsce na biurku.

- To niezła brandy - skomentował swój prezent Oxby. - Nie śpiesz się z nią.

Wasyl wyjął trunek i kilka paczek papierosów. Otworzył jedną z nich, wyciągnął papierosa i zapalił. Zakrzuszył się dymem, ale z uśmiechem zaciągnął się głębiej.

Wiktor zatrzymał się na ścieżce wiodącej do budynku Numer 7. Wprawnym okiem otaksował budowlę i jej otoczenie. Samochód, z którego wysiedli dwaj mężczyźni, okazał się taksówką. Podeszedł do niej. Wszystkie okna były opuszczone, a taksówkarz rozparł się na siedzeniu, z głową na poduszce koloru burgunda.

- Czy to szpital? - zagadnął Wiktor.

Hoja otworzył jedno oko i łypnął na nieznanomego.

- Może tak, może nie. Wszystko się zmienia.

- Czy to doktor wysiadł z waszej taksówki?

Kierowca otworzył drugie oko.

- A kto pyta?

- Szukam doktora Stołowa. Ojciec był jego pacjentem.

Taksówkarz wyprostował się i oparł ręce na kierownicy. Przyjrzał się uważnie Wiktorowi.

- Nikogo takiego nie znam.

- Był jeszcze jeden człowiek - rzucił Wiktor, przeszukując kiesze nie. - Mam tu gdzieś jego nazwisko, tylko znaleźć nie mogę. Ale może

wy mi pomożecie? - Uśmiechnął się. - Mielicie dwóch pasażerów. Wiecie, jak się nazywają?

Hoja patrzył, jak Wiktor zapala i gasi swój uśmiech. Pokręcił głową i przekręcił kluczyk w stacyjce. Rzucił tylko *niet* i odjechał.

Wiktor nie spuszczał z oka taksówki, która już znikwała za rogiem. Minęła się z autobusem w kolorach maskujących. Głośno pracujący diesel wypluwał kłęby czarnego dymu. Autobus zatrzymał się przed Wiktoorem, otworzyły się drzwi i zaczęli powoli wychodzić starsi ludzie. Wiktor dołączył do białowłosego weterana z kikutem ramienia wystającym z krótkiego rękawa koszuli.

Z jednej reklamówki Oxby wydobył ser, krakersy i puszki niemieckiego piwa. Z drugiej świeże owoce, które ułożył na stole. W delikatnym świetle padającym przez okno owoce na wyblakłym brązowym ręczniku wyglądały niczym martwa natura Cezanne'a. Wasyl Karsałow przyglądał się w osłupieniu. Nie miał dziś na sobie góry od munduru. Marynarka wisiała udrapowana na oparciu zajmowanego przezeń krzesła. Jakow usiadł na łóżku, Oxby zaś przysunął sobie krzesło bliżej Wasyla.

Inspektor rozsiadł się wygodnie, zrelaksowany, ze skrzyżowanymi nogami i z nieodłącznym notatnikiem na podolku.

- Jeżeli będę mówił za szybko - odezwał się po angielsku - unieś proszę rękę. I przerwij mi, jeśli użyję słowa, którego nie znasz.

- Ładny dzień - rzekł Wasyl, wskazując okno.

- Pierwszorzędny, jak mawiamy w Londynie.

- Jesteś z Anglii?

Oxby skinął głową.

-Ale teraz odwiedzam Jakowa Stiepanowicza, mojego starego przyjaciela. Mieszkał w Petersburgu podczas wojny.

- Wtedy to był Leningrad. - Wasyl zaprzeczył ruchem głowy. - Dzisiaj też powinien się tak nazywać. - Upił trochę piwa, delektując się smakiem. - O co ci chodzi? Zrobiłem coś złego?

- Nie - rzekł Oxby. - Chcemy sprawdzić twoją pamięć.

- Znów będzie gorąco. Wczoraj było bardzo gorąco.

-Na zewnątrz jest chłodniej. Może pójdziemy na spacer?

- Nie lubię wychodzić. Mogą nie pozwolić mi wrócić do mojego pokoju.

- Wasyl, służyłeś w marynarce, kiedy byłeś młody?

- Tak - odparł. W wytrzeszczonych ze zdumienia oczach czaił się też strach. - Było źle. Powiedzieli, że kogoś zabiłem. - Pociągnął łyk piwa.

- Ja tak nie myślę.

- Powiedzieli tak, naprawdę.
- Właśnie dlatego przyjechaliśmy. Żeby ci powiedzieć, że się mylili. Pamiętasz marynarkę?
- Może pamiętam. - Wasyl skinął głową.
- Mógłbyś opowiedzieć nam o rzeczach, które pamiętasz?
Wasyl tępo wpatrywał się w Oxby'ego.
- Brandy. Chcę brandy.
Inspektor milczał chwilę.
- Później - powiedział. - Napij się jeszcze piwa.
Wasyl oddał Oxby'emu pustą puszkę.
- Nie ma tu co pić.
- To szpital - zauważył Oxby.
- Nie jestem chory.
- Powiedz nam, co pamiętasz z marynarki.
- Miałem żonę. Annę.
- Była ładna? Wasyl uniósł dłoń.
- Co to „ładna”?
- *Mila* - odpowiedział Jakow. - *Da*- przytaknął z uśmiechem Wasyl.
- Mielicie dzieci? Dziewczynkę lub chłopca?
- Chłopca. Michaiła Wasiliewicza.
- Gdzie jest teraz twoja żona? Gdzie jest Anna?
Wasyl powoli pokręcił głową. Potem odwrócił wzrok ku oknu. - 1
Michaił. Wiesz, gdzie mieszka? Wasyl ani drgnął, ani się odezwał.

Starzy wojacy szli powoli korytarzem ku jadalni. Wiktor odłączył się od grupy i przystanął obok recepcji. Zapukał w szybę, potem dostrzegł przycisk i nacisnął go. Kilkakrotnie. Coraz bardziej niecierpliwie. Otworzyły się drzwi prowadzące do biura i na chwilę przy okienku stanęła Tonia.

- Wy w jakiej sprawie? - zapytała.
- Szukam pacjenta. Wasyla Karsałowa.

Młoda kobieta łypnęła na niego badawczo, nie potrafiąc ukryć zaskoczenia.

- A wy kto?

- Przyjaciel z Sankt Petersburga. Jestem przejazdem w mieście i chciałem się z nim zobaczyć.

- Nagle Karsałow ma coraz więcej przyjaciół - skwitowała Tonia. - Już dwóch go odwiedziło.

- Są tu? - zainteresował się, wyraźnie podekscytowany.

- Znacie ich?

Skinął głową.

- Moi znajomi mogą być w Taszkencie. - Wiktor uważnie obserwował jej reakcję. - Co za zbieg okoliczności, prawda?

Tonia przytaknęła.

- Musicie się udać do budynku obok po zezwolenie na wizytę. Takie są przepisy.

Napisała coś na karteluszkę i podała mu go przez okienko. Wiktor nawet nie spojrzał na świstek i zacisnął swą silną dłoń na jej nadgarstku.

- Nie mam czasu ubiegać się o przepustkę - warknął, ciągnąc ją ku sobie. - Powiesz mi, gdzie znaleźć Karsałowa.

Poczuła na sobie jego oddech.

- Nie mogę.

Odwrocił jej dłoń i położył na niej kilka banknotów dwudziestodolarowych.

- To w podziękowaniu za przysługę, jaką musisz mi wyświadczyć - powiedział powoli tonem, w którym brzmiała groźba. Wzmocnił uścisk. - Rozumiesz?

Stężała ze strachu. Kiedy wreszcie zdołała wykrztusić z siebie odpowiedź, usta jej drżały, patrzyła gdzieś w dal niewidzącym wzrokiem.

-Tak. Jest w 411.

Zamknął pieniądze w jej ręce i pocałował wierzch dłoni.

- Chcę, żebyś popatrzył na obrazek i powiedział mi, czy go poznajesz - rzekł Oxby. Z kieszeni koszuli wyjął dwa zdjęcia i podał je Wasylowi.

Ten zerknął przelotnie na pierwsze.

- Jajko?

-Ale jakie jajko?

- Pisanka?

- Kiedy byłeś chłopcem, mieliście taką?

Wasył znów spojrzał na zdjęcie.

- Tak. Każdy miał.

- Kolorową? Z kwiatami lub świętym?

- Z kwiatami. Bez świętych. Nie wolno było.

- Ale mieliśmy takie z dawnych czasów - wtrącił Jakow. - Chyba wszystkie rodziny w Petersburgu miały jajka z obrazkami świętych i aniołów. Moja matka je przechowywała.

- Moja matka zmarła podczas oblężenia - odezwał się Wasyl. -

Wiesz o oblężeniu? - zwrócił się do Oxby'ego.

- Czytałem o nim - odparł inspektor. - Wiesz, co to jest? - zagadnął, podając Wasylowi drugą fotografię.

- Kolejna pisanka?

- Tak, ale co jeszcze?

- Góra jest otwarta.

- Wiesz, czemu?

Wasył pokręcił głową.

-To zdjęcie carskiej pisanki. Nazywa się „Pisanka z drzewkiem pomarańczowym”, a zrobił ją w Petersburgu pewien sławny człowiek. Nazywał się Peter Fabergé. Pamiętasz to nazwisko?

Wasył skrzyżował ręce na piersi i kiwał się w przód i w tył. Najpierw powoli, potem coraz szybciej. Naraz znieruchomiał i wbił wzrok w okno.

- Fabergé robił specjalne pisanki dla carów - ciągnął Oxby. - Każda miała schowek. Widziałeś kiedyś taką pisankę?

Mężczyzna przechylił głowę i zmrużył oczy, próbując wydobyć wspomnienia z zawodnego umysłu.

- Nazywano je carskimi pisankami - powtórzył Oxby.

Wasył popatrzył na trzymaną w dłoni pustą puszkę.

- Więcej piwa? - zapytał.

- Nie teraz, najpierw zjedz krakersa z serem.

Jakow rozsmarował ser na krakersie i podał Wasylowi. Ten, pochłonawszy łączywie przekąskę, znów poprosił o piwo. Inspektor otworzył kolejną puszkę, przestrzegając go, by pił powoli.

Potem wstał i stanął obok krzesła Wasyla. Pochylił się, by jego twarz znalazła się tuż przy twarzy rozmówcy.

- Słuchaj, co mówię, i spróbuj zapamiętać. - Wolno i wyraźnie wypowiadał każde słowo: - Carska pisanka Fabergégo. Rasputin.

Wasył przymknął oczy. Pokręcił i skinął głową, mamrotał coś, próbując przywołać słowa i wspomnienia.

- Co on mówi? - Oxby spojrzał na Jakowa.

- Bez sensu. Coś o Annie. I o Tallinie.

I naraz...

- Rasputin! - krzyknął Wasył. - Grigorij Rasputin.

Wiktor szybko zlustrował parter, stołówkę i pokój dzienny dla pacjentów. Żadnych strażników, żadnych zabezpieczeń. Jedna winda, jedna klatka schodowa od frontu. Poza głównym, dwa inne wyjścia. Winda była wolna, schodami będzie szybciej. W budynku zainstalowano alarm przeciwpożarowy, sądząc po ogólnym stanie budynku, zapewne nie w pełni sprawny. Okno w najdalszym końcu

każdego korytarza prowadziło na schody przeciwpożarowe.

Obchodząc piętra pierwsze i drugie, ustalił, że pokoje 211 i 311 znajdują się mniej więcej pośrodku, i założył, że 411 będzie bezpośrednio nad nimi. Ucieknie po schodach i opuści szpital przez wyjście najbliższej przyległego budynku. Stamtąd wydostanie się na ulicę.

Była druga po południu. Wiktor ruszył schodami w górę. Na każdym półpiętrze znajdowało się zamknięte okno, uszczelnione starą farbą. Klatka schodowa przypominała rozgrzany do czerwoności komin. Nim dotarł na trzecie piętro, gorąco niemal odebrało mu dech. Wolno ruszył w kierunku pokoju numer 411, sunąc pod ścianą, by podłoga nie skrzypiała mu pod nogami.

Wysłano go, żeby zabił Wasyla Karsałowa. Jednak w pokoju numer 411 było trzech mężczyzn. Ile Karsałow zdążył powiedzieć Iljuszynowi i temu cholernemu Anglikowi? Czy pamiętał i opowiedział wszystko? A jeśli tak, to co?

Stanął u drzwi, zza których dobiegały głosy. Nie rozróżniał słów. Bezgłośnie nacisnął klamkę. Pchnął drzwi. Otworzyły się powoli, z cichutkim skrzypnięciem.

-Pamiętasz Rasputina? - dopytywał się podekscytowany Oxby. - Zachodził jakiś związek między Rasputinem a carską pisanką? Pamiętasz coś takiego?

- Dał mi ją ojciec. Była piękna, ale...

- Tak? Mów dalej - ponaglił inspektor. Jakow zerwał się na równe nogi, prosząc Wasyla, by sobie przypomniał, by powiedział coś więcej o pisance.

- Przegrałem ją- oświadczył stanowczym tonem Wasyl, zatrzymując puste spojrzenie na Oxbym.

- Ale jak do tego doszło?

- Świątowaliśmy. - Otworzył szeroko oczy, jakby dokonał właśnie wielkiego odkrycia. - Wtedy, kiedy zabili Kennedy'ego. W Teksasie. Prawda?

- Tak, tak! - zawołali unisono Oxby i Jakow.

Wiktor ostrożnie uchylił drzwi i wśliznął się do środka. Zamknął je za sobą i przykucnął za komodą. Spodziewał się, że pokój będzie mniejszy, ale większy działał na jego korzyść. Szybko ocenił, że jest jakieś sześć metrów od całej trójki. Łatwo zidentyfikował Karsałowa. Siedział twarzą do okna. Rozpoznał Jakowa Iljuszyna - ten stał po prawicy Karsałowa. Wreszcie policjant. Oxby'ego widział od tyłu.

Wiktor błyskawicznie ocenił sytuację. Może zostać odkryty w każdej chwili, jego strategia zaś opierała się na zaskoczeniu. Musi

wbić nóż w serce Karsałowa i znaleźć czas na drugi cios. Mógłby obezwładnić Iljuszyna i zająć się Karsałowem. Staruszka można obalić na ziemię czy ogłuszyć. Ale z Oxbym to się nie uda. Chcąc przechytrzyć policjanta, musi go całkowicie zaskoczyć. Liczyła się szybkość. Najpierw zabić Karsałowa, potem uporać się z Oxbym. Prosty plan - szybki atak i ucieczka.

- Co świętowaliście, Wasyl? - indagował Oxby.

- Urodził się mój syn. Michaił. Przyszli moi przyjaciele z marynarki i wznosiliśmy toasty za Michaiła. Graliśmy w karty i przegrałem pisanekę, którą dał mi ojciec. To źle?

- Ależ skąd, nie ma w tym nic złego - zapewnił go inspektor. - Wygrał ją jeden z twoich przyjaciół z marynarki?

- Pamiętam, że piliśmy. Niedobrze mi było od wódki. A potem...

- Pomyśl, Wasyl. Dobrze się zastanów. Kto wygrał?

Wasyl odwrócił się od okna. Omiótł wzrokiem pokój i dostrzegł podnoszącego się z podłogi mężczyznę. Przybysz ruszył na niego, sierpowym posłał Jakowa na podłogę. Wasyl zobaczył młodą twarz napastnika, błysk w oku, potem nóż. Krzyknął, gdy ostrze wbiło się w klatkę piersiową. Pokój eksplodował mu przed oczami.

Oxby rzucił się na bandytę. Jednak Wiktor wymknął się i znów pchnął Wasyla w pierś. Uniósł rękę do kolejnego ciosu, ale inspektor odbił ją i oburącz walnął Wiktora w twarz, powalając na podłogę. Nóż, który upadł między nich, detektyw błyskawicznie chwycił. Wiktor przetoczył się na brzuch i zerwał na równe nogi. Oxby stanął w rozkroku, na lekko ugiętych nogach, podniósł gardę; nóż ścisnął w prawej ręce. Wiktor zdecydował się podjąć walkę. Oxby skorygował nieco postawę, tak że gdy przeciwnik runął na niego z pochyloną głową, napotkał na swej drodze nóż. Szarżujący napastnik nadział się na ostrze. Zawył straszliwie, gdy nóż przebił jego prawe oko i utkwił po trzonek w mózgu. Nic więcej nie poczuł. Serce pracowało jeszcze przez kilka sekund, zanim umarło.

Oxby pochylił się nad Wasylem. Krew splamiła koszulę i tapicerkę krzesła. Ranny oddychał ciężko. Oczy miał szeroko otwarte.

- Jakow, sprowadź pomoc!

Rosjanin, bardziej przerażony niż poturbowany, szybko wykuścił z pokoju.

Detektyw próbował zatamować krwotok, ale rany na piersi Wasyla były głębokie. Ostrze nie sięgnęło serca, jednak z pewnością przecięło arterię. Oxby obandażował pokiereszowaną klatkę piersiową kawałkami prześcieradła, przyciskając je do miejsc, z których sączyła się krew.

- Pamiętam karty - odezwał się Wasyl, jakby wcale im nie prze

rwano. Głos miał zadziwiająco silny. - Był tam Prekner i... Akimow, mój stary druh. Sasza znał Annę... oboje pochodzili z... - Tu głos mu zamarł.

- Kto jeszcze tam był? - zapytał Oxby.

Wasył delikatnie pokręcił głową.

- Zimno mi - powiedział, choć pokój przypominał piekarnik.

- Pamiętasz, kto wygrał carską pisankę?

- Kiedy mnie tu wysłali, dowiedziałem się, że nie jest moim przyjacielem.

- Kto nie jest twoim przyjacielem?

- Obwinili mnie za to, co on zrobił.

- Kto, Wasył? Jak się nazywa?

- Zabił kogoś, kto... - Wasył zamrugał. - Powiedz Annie... i Michaiłowi...

- Co im powiedzieć? -

Że... przepraszam.

- Powiem.

Z kącika ust Wasyła spłynęła strużka krwi. Oxby wytarł ją przecieradłem.

- Gdzie pisaneczka, Wasył? Wiesz, gdzie jest?

Wasył znów zamrugał. Więcej krwi. Głos mu osłabł.

- Jesteś tu?

Oxby mocniej przycisnął bandaż.

- Jestem, Wasył. Wkrótce nadejdzie pomoc.

Wasył umarł. Oxby wiedział, że serce tego człowieka uderza po raz ostatni. Wyczuł po prostu, że nadszedł czas. Przeszukał kieszenie mężczyzny, którego zabił. Nie znalazł portfela; młody człowiek miał klucz do pokoju hotelowego, a poza tym pieniądze w trzech różnych walutach, papierosy i szczyryk - w rękach eksperta zabójcza broń.

Detektyw usiadł na brzegu łóżka i objął zmęczonym spojrzeniem miejsce krwawej jatki. Pokój przedstawiał makabryczny widok. Kim był zabójca? Być może wkrótce się dowie. Jak wyglądało życie Wasyła Mikołajewicza Karsałowa? Wcześniej nikt nie zwracał na niego uwagi. Teraz wszystko się zmieni.

ROZDZIAŁ 22

Dwunastego dnia ostatni balon wiszący pod sufitem salonu Carson

Motors spadł na biurko Georgii Gradowski w momencie, w którym kończyła bardzo ważną transakcję sprzedaży cadillaca seville'a STS z systemem On Star.

Nad nią, na antresoli, Mike Carson rozmawiał z dwoma policjantami. Peter Crowley był tak samo obcesowy i bezczelny, jak dziesięć dni temu, kiedy spotkali się w Szpitalu Uniwersyteckim North Shore. Obok niego stał Alexander Tobias, sierżant z wydziału kryminalnego policji nowojorskiej. Tobias patrzył, jak jego kolega robi z siebie głupka, niszcząc jednocześnie reputację z trudem wypracowaną przez lepszych od niego.

- Facet zmarł na skutek przedawkowania jakiegoś świństwa - stwierdził Crowley, jakby odkrył Amerykę. - Nie dziwię się. Ruscy się nie patyczkują. Prawda, Alex?

- Skoro tak mówisz... - odparł starszy detektyw. Alexander Tobias był pięćdziesięcioletnim mężczyzną przy kości, o przyprószonych siwizną włosach i okrągłej twarzy. Miał prawdziwy nowojorski akcent.

Mike spoglądał to na Crowleya, to na Tobiasa.

- Czy któryś z was mi powie, po co tu przyszlście? - zapytał.

- Chcę wreszcie zakończyć sprawę pana rosyjskiego kumpla, Aki-mowa - odparł Crowley. - Tego, którego rozwalili w tym właśnie biurze.

- Jest martwy. O co jeszcze chodzi?

- Chcielibyśmy wiedzieć, kto go zabił. Może usłyszał pan coś nowego na ten temat i ma ochotę podzielić się wiadomością? Poza tym Alex zajmuje się sprawą postrzelenia faceta, który przeprowadzał z panem wywiad. Jak mu tam? Sulzberger?

- Powiedziałem wam wszystko, co wiem. A teraz mam swoje zajęcia...

- Ja też mam swoje zajęcia, panie Carson. To, że jest pan obywatelem amerykańskim, nie daje panu prawa do zatajania informacji przed policją.

Tobias pochylił się do przodu, jego rumiana twarz przybrała odcień głębokiej czerwieni.

- Przecież pan Carson nie odmawia współpracy. Jego przyjaciel zginął, pracownik został dźgnięty nożem, a dziennikarz postrzelony. Niełatwo to przelknąć.

- Wykonuję tylko moją pracę. Chciałeś, żebym tu przyszedł i powiedział ci wszystko, co wiemy o strzelaninie. Więc to robię, jasne?

- Rzucił teczkę na stół. - Tu są kopie raportu. - Crowley spojrział na Tobiasa, przechylił głowę i wskazał kciukiem Carsona. - Chcesz

więcej, gadaj z tym facetem. - Ruszył w kierunku drzwi. - Do zobaczenia

- rzucił, wychodząc.

Tobias doprowadził go drwiącym spojrzaniem.

- Przepraszam za to, co powiem, panie Carson, ale Crowley to istny ośli zadek.

- Zadkowi się nie przyjrzałem, ale osioł to na pewno.

- Wiem, że jest pan zajęty, ale proszę pozwolić mi powiedzieć, dlaczego tu jestem.

Mike lubił słuchać ludzi i podobał mu się chropowaty głos i barwny język Tobiasa.

- Mamy duży problem z Rosjanami - opowiadał Tobias. - Bóg jeden wie, że większość z nich to uczciwi ludzie, chcący zacząć tu wszystko od nowa. Ale są też tacy, którzy upatrują zysk we wszystkim, co nielegalne. FBI stworzyła dwunastoosobową grupę zajmującą się rosyjską przestępczością zorganizowaną. A mowa tu tylko o Nowym Jorku.

Bez wątpienia Mike wolał towarzystwo Aleksandra Tobiasa niż Petera Crowleya. Starszy detektyw był współczujący i kompetentny, a to się liczyło.

- Ciekaw jestem, co pan o tym sądzi? - zagadnął Mike.

- Kiepska sprawa. Ale konkretnie chodzi o Lenny'ego czy Rosja nina?

- Lenny się wylize. Sasza nie żyje. Ma pan jakieś pomysły?

- Nic wartego powtórzenia. Nie znam jeszcze dokładnie sprawy.

Powiem panu, kiedy przyjdzie mi coś do głowy.

Zadzwoił telefon.

-Żadnych rozmów. Będę zajęty przez następne... - Spojrzał na Tobiasa, który wyciągnął rękę z rozczapierzonymi palcami. - ...Pięć minut - dokończył Mike.

- Dziękuję - rzucił detektyw. Wyciągnął papiery z teczki Crowleya. - To raport z departamentu policji w Englewood, który otrzymałem przed dwoma dniami. I kopia raportu z autopsji Akimowa, potwierdzająca wszystko, co zawiera ten sporządzony w Englewood. Crowley napisał kilka akapitów podsumowujących. - Tu Tobias spojrzął na Mike'a.

- Aż tyle? - zapytał Mike.

- Sprawdzę, czy jest tu odpowiedź na pana pytanie. - Starszy detektyw przejrzał raport. - Żadnych wniosków, ale szybki przegląd wydarzeń może pomóc nam obu. Dwanaście dni temu Rosjanin nazwiskiem Akimow został postrzelony w pana biurze przez młodą kobietę. Kilka minut później nieznajomy mężczyzna dźgnął nożem pańskiego pracownika. Oboje mieli na sobie uniformy Carson Motors.

Trzy dni później Lenny Sulzberger został postrzelony przez kobietę mówiącą z rosyjskim akcentem. Zabrano mu notatnik. Dwa dni potem Akimow dostał śmiertelną dawkę pentobarbitalu sodu.

- Proste jak drut - stwierdził Mike. - I sądzę, że te sprawy są ze sobą powiązane. Zgadza się pan?

- Zawsze zostawiam sobie pole manewru, ale w tym wypadku na pewno nie można mówić o zbiegu okoliczności. Ciekawe, że mamy dwóch świadków. Pan widział kobietę, która strzelała do Akimowa, a Sulzberger kobietę, która go postrzeliła. Siedział obok niej w restauracji i pamięta zapach jej perfum. Zaklina się, że ją rozpozna.

- Nie było problemu w trakcie przewożenia Akimowa do szpitala w Englewood - tłumaczył Mike. - Widziałem go piętnaście minut po dotarciu na miejsce. Wszystko wyglądało normalnie. Jednak kilka godzi później już nie żył. Co się w tym czasie stało?

- To akurat proste. Pielęgniarz, który zabrał Akimowa na salę przedoperacyjną, twierdził, że była przy nim pielęgniarka... lub ktoś, kto się za nią podawał. Rozmawiała z Akimowem, jakby była rosyjską Florence Nightingale. Bardzo prawdopodobne, że to ona wstrzyknęła do kroplówki Akimowa pentobarbital sodu. - Pokiwał głową. Wrzucił papiery Crowleya z powrotem do teczki i mówił dalej: - Lata temu pracowałem w wydziale zabójstw, teraz zostawiam takie sprawy młodszym. Obecnie zajmuję się skradzionymi obrazami i fałszerstwami. Ale ktoś pojechał na wakacje i wszystko spadło na mnie. Ponoć nadają się do tej sprawy, bo mam doświadczenie i znajomości w Departamencie Skarbu i biurze szeryfa. - Uśmiechnął się. - Więc wsiadłem w metro, no i jestem. - Wyjął wizytówkę z kieszeni koszuli i podsunął ją Mike'owi.

- Mój numer telefonu i faksu. Proszę dzwonić, jeśli pojawi się coś nowego. Policja z Englewood nie jest zainteresowana pogonią za Rosjaninem, który zabił innego Rosjanina. Sądzą, że to wendeta. Hrabstwo Nassau nie ma nic do tego, bowiem, formalnie rzecz biorąc, Akimowa zabito w New Jersey. Przynajmniej nie musimy już znosić Petera Crowleya. Sprawa ataku na Dennisa LeGrande'a pozostaje otwarta.

- A co z nożem?

Na twarzy Tobiasa pojawił się uśmiech.

- Nóż jest wyjątkowy. Nasi specjaliści twierdzą, że wykonano go w Niemczech. Ręczna robota. Służy tylko do jednego: do zabijania ludzi. Jednak nie znaleziono na nim odcisków palców. Kolejny ślepy zaułek.

- Czyli pozostaje nam tylko Lenny Sulzberger?

- Biedny Lenny nie zdążył na czas z artykułem. Nici z wielkiej kasy od „Playboya”!

- Zajmę się nim.

Zadzwoił telefon. Mike podniósł słuchawkę.

-Mówilem, że pięć minut, a minęło dopiero... - Zmienił mu się wyraz twarzy. - Był umówiony na jedenastą. - Spojrzał na zegarek. - A jest za piętnaście dziesiąta.

Alex Tobias zbliżył się do drzwi, dając znaki Mike'owi, że sam wyjdzie.

- Proszę zostać, sierzancie. - Mike wrócił do przerwanej rozmowy telefonicznej: - Powiedz, żeby poczekał.

- W porządku. Jest pan zajęty.

- Mam spotkanie o jedenastej z mężczyzną, który przyleciał z Sankt Petersburga. Jest godzinę wcześniej. Istnieje niewielka szansa, że znał Saszę Akimowa. Chce go pan poznać?

- Sankt Petersburg to duże miasto, prawda?

- Ponad dwa miliony mieszkańców.

Tobias się uśmiechnął.

- Bywało gorzej. Jest pan pewien, że nie będę przeszkadzał?

- Ani trochę. Ten człowiek szuka amerykańskiego partnera w handlu używanymi samochodami. Chce pan posłuchać?

- Czemu nie.

Trivimi Laar wkroczył do biura Mike'a, błyskawicznie taksując wzrokiem obu znajdujących się tam mężczyzn. Skinął głową Carsonowi.

-Przyjechałem trochę wcześniej. Dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć. Jak pan wie, jestem Trivimi Laar. Rozmawialiśmy przedwczoraj telefonicznie.

Wysoki, szczupły mężczyzna dobrze się prezentował, był uprzejmy, zachowywał się swobodnie. Wyciągnął rękę i przywitał się z gospodarzem.

- Poprosiłem pana Tobiasa, by do nas dołączył - wyjaśnił Mike. - Pracuje dla nowojorskiej policji i prowadzi dochodzenie w pewnej sprawie, która ma związek z tym miejscem.

Trivimi Laar nie dał po sobie nic poznać. Wyglądało, że z przyjemnością ścisną dłoń Aleksandra Tobiasa. Detektyw powitał go serdecznie, po czym wrócił na swoje miejsce przy stole.

Gość nie odpuścił sobie krótkiego wstępu. Zapewnił Mike'a, iż bardzo się cieszy ze spotkania, przekazał też pozdrowienia od przewodniczącego rady nadzorczej Koleso. Rozpływał się w zachwytach nad sukcesem, jaki odniósł Mike w tak krótkim czasie i w tak niesprzyjających warunkach. Oświadczył, kończąc, że Mike Carson jest dumą Rosji.

Mike cierpliwie wysłuchiwał pochlebstw - po części ceremonialnych, po części stanowiących wstęp do transakcji. Wreszcie zajął miejsce u szczytu stołu, gestem zaprosił gościa, aby usiadł obok. Trivimi położył na stole cienką aktówkę i małe pudełko. Z aktówki wyjął jakieś papiery.

- Sapo rosyjsku - powiedział, wskazując na dokumenty. - Przepraszam, ale nie było czasu na tłumaczenie.

- Czytam po rosyjsku lepiej, niż mówię - uspokoił go Mike. Trivimi położył swoje okulary z niebieskimi szklami obok pu delka.

- Jak pan zapewne pamięta z naszej wcześniejszej rozmowy, Ko leso to oddział spółki New Century, którą w Ameryce nazwalibyście minikorporacją. - Z uśmiechem odwrócił się do Tobiasa. - *Koleso* po rosyjsku znaczy koło. Wymyśliliśmy to z myślą o młodych ludziach.

- Detektyw odpowiedział uśmiechem, zadowolony, że może uczestniczyć w rozmowie.

- Amerykańskie samochody - ciągnął Trivimi - zwłaszcza te największe, są u nas bardzo popularne. Mamy nadzieję, że uda się sprowadzić najnowsze modele do Sankt Petersburga. Także na specjalne zamówienia. Na przykład czarnego rocznego cadillaca z szyberdachem.

- Zapewne już tak robicie? - wtrącił Mikę.

- Na małą skalę, ale w całym Sankt Petersburgu nie znajdzie się nawet trzydziestu salonów samochodowych. Są też problemy z naprawą.

- Chcecie zatrudnić mechaników? - zainteresował się Mike. - Dobrych?

- Zatrudnimy tylko najlepszych.

- Proszę mi powiedzieć, jakie jest w tym miejsce dla mojej firmy.

- Macie wiele salonów. Wszystkie na Wschodnim Wybrzeżu, prawda?

- Jesteśmy teraz w salonie numer 24. Mamy placówki od Bostonu po Miami.

- Chyba wiem, gdzie. - Trivimi wyciągnął mapę. Każdy salon należący do Carson Motors zaznaczono na niej czerwoną kropką. - Zgadza się?

Mikę przyjrzał się mapce, wodząc palcem od Bostonu na południe.

- Trafione niemal co do jednego. Tylko salon w Waszyngtonie prze nieśliśmy kilka tygodni temu do Wirginii.

Trivimi naniósł poprawkę.

- O, proszę. Trzy porty na Wschodnim Wybrzeżu, skąd można

wysyłać samochody. Newark, Baltimore i Jacksonville.

- Dostarczamy samochody do Europy z wszystkich trzech. Oraz z Providence.

- Wiemy - uciął Trivimi.

Mike zastanawiał się, co jeszcze Trivimi wie o Carson Motors.

- Kto ma wam dostarczać samochody? - spytał.

- Rozważaliśmy innych dostawców, ale wolelibyśmy handlować tylko z wami.

- Będzie sporo papierkowej roboty. Poza tym każdy samochód trzeba przyszykować.

Co to oznacza?

- Inspekcję. - Mike się uśmiechnął. - Aby mieć pewność, że samochody są w dobrym stanie.

- Jak trzeba, to trzeba - przystał Trivimi. - Przygotujecie też dokumenty dla firmy transportowej i amerykańskich celników.

- Każdy samochód musi mieć tak zwany dowód. Nie można wystawić dokumentów portowych, jeśli numer VIN pojazdu nie odpowiada dowodowi. Celnicy szukają w portach skradzionych samochodów i sprawdzają prawdziwość dokumentów.

- Coś słyszałem o tych VIN. Co to dokładnie jest?

- Każdy samochód sprzedawany w Stanach ma numer identyfikacyjny zawierający siedemnaście znaków. Pierwszy odpowiada krajowi produkcji. Drugi nazwie producenta, trzeci klasyfikacji pojazdu i tak dalej, aż do siedemnastego. Numer jest wygrawerowany na metalowych lub plastikowych tabliczkach, ukrytych w trzech różnych miejscach wewnątrz pojazdu. Jedna znajduje się pod przednią szybą; chcąc ją podmienić, trzeba wyjąć szybę. Kolejna jest gdzieś, gdzie można dostać się tylko za pomocą specjalnych narzędzi. Jeśli celnicy podejrzewają, że eksportowany samochód jest kradziony, sprawdzają wszystkie tabliczki. Z własnego doświadczenia wiem, że samochody wysyłane do Rosji potrafią sprawdzać wyjątkowo wnikliwie.

- Wszystko odbędzie się zgodnie z prawem, mogę pana zapewnić.

- Trivimi zerknął w notatki. - Potem załadujecie samochód na statek?

- Nie. Dostarczymy go do firmy dokerskiej, razem z dowodem i instrukcjami dostawy. Dokerzy przygotowują dokumenty portowe i potwierdzone notarialnie kopie dowodu. Nasz kierowca zaparkuje pojazd za bramą portu zgodnie z instrukcjami od firmy dokerskiej. Potem nie mamy już z nim do czynienia. Dokerzy oznaczą go na potrzeby wysyłki i odstawią statek. Pobierają opłatę od każdego samochodu. Uścimy opłaty, obciążając was fakturą.

Trivimi skinął głową, zdjął okulary w stalowych oprawkach i

założył niebieskie szkła. Znów coś zanotował, po czym uniósł wzrok.

-I tak doszliśmy do kwestii kosztów - powiedział. - Mam nadzieję, że będę dziś mógł złożyć próbne zamówienie. Gdyby wchodziło w grę piętnaście samochodów, ile by to kosztowało?

-Alejakich samochodów? Jaki model, rocznik...?

- Zacniemy od cadillaca. Potem się zobaczy.

- Seville, fleetwood czy najtańszy model?

- Coś pośrodku.

Mike przejrzał leżące przed nim papiery.

-Mogę wam sprzedać rocznego seville'a za jikieś dwadzieścia sześć tysięcy dolarów. Dokładna cena zależy od tego.co mamy na składzie.

- A dwuletniego? - dociekał Trivimi.

Mike zerknął w dane.

- Pięć tysięcy mniej. Może dwadzieścia jeden tysięcy.

- A inne koszty?

- Przyszykowanie, dostawa do portu, papierkowa robota. Kolejne trzysta pięćdziesiąt. Obejmuje to zapłatę dla dokera.

- A za oldsmobila lub pontiaca ile?

- Od jedenastu do piętnastu. Przeciętnie trzynaście i pół. Pozostałe koszty są takie same.

Trivimi wyciągnął kieszonkowy kalkulator. Liczył coś zawzięcie, robiąc miny przy każdej sumie.

-Piętnaście rocznych samochodów, w tym dziesięć cadillaców i pięć oldsmobili, to będzie... - wypisał liczbę dużymi cyframi na kartce - nieco ponad trzysta trzydzieści tysięcy dolarów

-Proszę dodać jeszcze koszty transportu. Samochody popłyną przez Bremerhaven, gdzie zostaną przeładowane na statek do Sankt Petersburga. Powinno wypaść po tysiąc na samochód.

- Trzysta pięćdziesiąt tysięcy. Wychodzi średnio dwadzieścia trzy tysiące za samochód.

- Za ile je sprzedajecie?

- Za więcej niż dwadzieścia trzy tysiące - odpail z uśmiechem Trivimi.

- Składa pan zamówienie na piętnaście samochodów?

-Przyjmijmy, że zanim wyjdę, powiem panu,ile i jakie modele zamówimy.

- Musi pan opłacić wszystkie koszty z góry.

- Wszystkie koszty, powiada pan?

- Wcześniej nie robiliśmy interesów. Nie mogę więc was kredytować. W grę wchodzi tylko zapłata całości. Możepotem, gdy

podpiszemy umowę na stałe dostawy, będziemy mogli zwrócić też umowę kredytową za pośrednictwem któregoś z naszych banków.

- Ile wam zajmie wyszukanie samochodów i przygotowanie ich do wysyłki?

- Parę dni, mniej niż tydzień.

Trivimi znów skinął głową, nieco zaskoczony. W Rosji taka transakcja zajęłaby kilka miesięcy i wymagałaby wypełnienia tony papierów.

Mike miał jeszcze pytania dotyczące szczegółów technicznych ewentualnej współpracy z Koleso - o ubezpieczenia, zakres odpowiedzialności oraz gwarancję zabezpieczającą przed fałszerstwem i handlem kradzionymi samochodami.

-Gwarantujemy legalność każdego sprzedawanego wam samochodu. Musi pan jednak zrozumieć, że kiedy kupuje pan drogie modele samochodów na wolnym rynku, jeden na dwadzieścia jest kradziony. Tak to już jest w tej branży.

- Rozumiem - przytaknął Trivimi. - Może pan być pewien, że w Koleso wszystko załatwimy. Sam tego dopilnuję.

- Macie prawnika? Amerykańskiego prawnika?

Trivimi przeszukał kieszenie.

- Tak, z Brooklynu. Nowy Jork, prawda? To młody Rosjanin, który osiągnął wielki sukces w tym kraju, tak jak pan - powiedział z przymilnym uśmiechem Trivimi, wręczając Mike'owi wizytówkę.

-Nasz prawnik się z nim skontaktuje - odparł Mike. Na kartce zapisał nazwisko oraz numer telefonu i podał ją Trivimiemu.

- Załatwię wszystko jeszcze dziś. - Estończyk ponownie zmienił okulary. Potem zwrócił się do Tobiasa.

-I co pan sądzi, detektywie Tobias? To dobry interes?

- Nie moja liga. Mój samochód to chevy prizm.

- Każdy będzie mieć wielkie zyski.

- Co znaczy „wielkie”? - włączył się Mike. - Interesuje mnie piętnaście procent zwrotu z inwestycji przy minimalnym ryzyku. Kiedy stawiam nowy salon, wiem dokładnie, ile przyniesie zysku za dwa, a ile za pięć lat.

- Pewnego dnia Rosja będzie najbogatszym krajem na świecie.

- Tymczasem Stany już są najbogatsze.

Trivimi nie oponował.

- Potrzebne panu jeszcze jakieś informacje? - spytał.

- Nie. Gdyby coś mi przyszło do głowy, zadzwonię do pana.

Negocjator spakował papiery do teczki, zostawiając tylko ofertę.

- Skoro już skończyliśmy rozmawiać o interesach - podjął - pozwolę sobie przekazać panu dar od naszej firmy. - Otworzył pudełko,

które było na stole. Wyjął paczuszkę w złożonym papierze i wręczył Mike'owi.

Ten wiedział, że Rosjanie uwielbiają podarki. Odmowa przyjęcia byłaby afrontem. Wziął prezent i położył na stercie papierów.

- Proszę otworzyć - nalegał Trivimi. - Myślę, że się panu spodoba.

Mike rozwinął pakunek. W środku znajdowała się srebrna emaliowana czarka wysadzana rubinami i przyozdobiona miniaturowymi ikonami. Obracał ją z zachwytem w dłoniach. Musiała być warta kilka tysięcy dolarów.

- Podoba się? - dopytywał się Trivimi.

- To zbyt hojny dar.

Alex Tobias przyglądał się temu z rozbawieniem.

- Piękny podarek - rzekł. - Czy to może dzieło Petera Fabergégo?

- Skąd pan wie? - zdumiał się Mike. - Proszę spojrzeć na inskrypcję. - Podał mu czarkę. - Na spodzie.

Tobias okiem fachowca przyjrzał się arcydziełu.

- Widziałem już kiepskie imitacje dzieł Fabergégo. Trzymać w rękach autentyk to całkiem co innego!

Detektyw oddał pucharek Mike'owi, potem zwrócił się do gościa.

- Trivimi Laar nie brzmi z rosyjska. Jest pan Rosjaninem?

Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

- Nazwisko mam estońskie - rzekł z dumą. - Po dziadku, Estonia była okupowana przez wiele krajów. Ostatnio przez Związek Sowiecki. Chronimy się, ucząc się języków najeźdźców. Nauczyłem się rosyjskiego za młodu.

- Po angielsku też pan dobrze mówi - ocenił Tobias.

- Angielski to język międzynarodowy.

- Mogę zadać jeszcze jedno pytanie?

- Oczywiście. Odpowiem, jeśli tylko będę potrafił.

- Niecałe dwa tygodnie temu przez te drzwi weszła młoda kobieta i postrzeliła mężczyznę, który stał dokładnie tu, gdzie pan. Nie wiemy, kim była, wiemy jednak, że mężczyzna nazywał się Sasza Akimow. Przyjechał do Ameryki, by odwiedzić pana Carsona. Przeżył postrzał, ale nie przedawkowanie substancji, którą podano mu podstępnie cztery dni później.

Alex Tobias mówił wolno, robił długie pauzy między zdaniami; śledząc reakcję Trivimiego.

- Czy znał pan może Saszę Akimowa?

Estończyk popatrywał to na jednego, to na drugiego. Wreszcie skupił wzrok na Aleksie.

- Nie, nie znam tego pana - rzekł bez mrugnięcia okiem.

ROZDZIAŁ 23

Choć samolot nabierał wysokości, powietrze uchodzące ze świstem z otworów wentylacyjnych nie przynosiło ulgi w niemiłosiernie gorącej kabinie. Dopiero gdy wznieśli się na wysokość przelotową, gorące uzbeckie powietrze zastąpił chłodny i suchy podmuch. Lecieli na wysokości ponad dziewięć tysięcy metrów. Jakow przysypiał. Głowa mu się przechylała, aż wreszcie spoczęła na ramieniu Oxby'ego.

Jack nie miał czasu na zanotowanie szczegółów wydarzeń ostatnich trzydziestu sześciu godzin. Dopiero teraz odtwarzał wszystko, co zaszło. Po godzinie lotu odłożył pióro i siedział zapatrzony w ciągnące się pod nimi pustkowia. W powietrzu ani jednej chmurki. Poniżej kazachska pustynia.

Zamknął notatnik. Myślami powrócił do pokoju, który stał się przystanią, domem i więzieniem Wasyla Karsałowa. Sceny, które tam się rozegrały, wciąż miał przed oczami, pojawiały się, niczym odtwarzane z taśmy filmowej obrazy.

Dziwnym zrzędzeniem losu eskalacja przemocy w pokoju numer 411 skończyła się nie tylko śmiercią Wasyla Karsałowa, ale i człowieka, który go zasztyletował.

Kiedy Jakow Iljuszyn wreszcie powrócił, towarzyszyli mu Tonia i obdarzony gęstą czarną brodą nieznajomy. Bezradni i przerażeni patrzyli na skulone, nieco zsunięte z krzesła, zalane krwią ciało Wasyla. Na podłodze, z głową zwróconą ku wejściu, jakby spozierając na gości, leżał ciemnowłosy intruz. Jedno oko miał szeroko rozwarte, z drugiego wystawała rękojeść noża.

Od biedy można by powiedzieć, że człowiek, którego przywiódł Jakow, to lekarz. Jakakolwiek byłaby jednak jego specjalność, nie obejmowała ona obrażeń pourazowych. Na widok zwłok zdębiał, pobladł, powiedział coś do Toni i pędem wybiegł z pokoju.

- Nikitin jest pomocnikiem dentysty - wyjaśniła Tonia. - Nikogo innego nie było. Zajmie się zabranie ciała.

Oxby podszedł do rozciągniętego na podłodze mężczyzny.

- Kto to jest? Kto go nasłał?

Nie mogąc dłużej znieść okropnego widoku, przyklęknął i powoli zacisnął dłoń na masywnej, porowatej rękojeści noża. Opanował gwałtowną falę mdłości, jednym ruchem wyciągnął ostrze. Plamiąca gałkę oczną krew pociemniała. Oxby zamknął zmarłemu drugie oko.

Wstał, nie spuszczać wzroku z twarzy trupa. Pomyślał, że napastnik był za życia przystojnym mężczyzną.

Spytał Tonie, czy zgłoszą zajście policji.

-To szpital wojskowy. Decyzja należy do generalicji - odparła zdawkowo.

Oxby nie czekał, by się przekonać, czy przestrzegają tu jeszcze protokołu.

- Przejrzemy rzeczy Wasyla. Może miał jakieś kosztowności czy pamiątki rodzinne, które trzeba zwrócić żonie albo synowi.

- Zmarli weterani zazwyczaj nie mają rodzin. Nie posiadają dobytku. Nic po sobie nie zostawiają.

- Będzie miał godny pochówek? - spytał Jakow.

- Czasami mają. Czasami... - urwała w pół zdania Tonia.

Faktycznie, Oxby i Jakow wiele nie znaleźli w małym królestwie Wasyla Karsałowa. Ściany zdobiły grafiki w cienkich czarnych ramkach oraz dwie małe ikony, które tylko dla świętej pamięci gospodarza przedstawiały jakąś wartość. Stare meble były całkiem bezwartościowe, zaś ubrania wiszące w zapleśniałej garderobie - podarte i brudne. W komodzie natrafili na coś, co można by nazwać resztkami żalostnej bielizny gospodarza. Oxby przeszukał kieszenie zmarłego. Znalazł szmatkę służącą za chusteczkę, starannie złożone skrawki papieru z nagryzmulonymi notatkami, parę ołówków. Żadnych pieniędzy.

Na stoliku przy łóżku stała mosiężna lampa z podartym abażurem i radio z lat sześćdziesiątych. Wydawało się zepsute, jednak Oxby odkrył, że działa, choć nie bez zakłóceń. Obok radia leżał kalendarz. Dni aż do dziewiątego czerwca wykreślono - najwyraźniej był to wieczorny rytuał. Oxby wykreślił dziesiąty, ostatni dzień życia Wasyla Karsałowa.

Poza tym w pokoju piętrzył się też stosik książek: słownik rosyjsko-angielski, kilka powieści w miękkich okładkach, cienki tomik poezji i zaczytana antologia dzieł Marka Twaina, w którym paskami papieru zaznaczono ulubione fragmenty *Przygód Hucka Finna*.

Pod blatem stołu znajdowała się pojedyncza głęboka szuflada, podzielona na przegródki tekturowymi pudełkami różnej wielkości - ze starannością godną muzealnej ekspozycji. Jedno z pudełek zawierało biżuterię: broszki, kolczyki, sygnety, znalazła się też para spinek do mankietów. W kolejnej przegródce były fajki i niezbędniaki, zapalniczki i puste pudełka po zapalniczkach. W jeszcze innej narzędzia - pilniki, wkrętaki, klucze różnej wielkości. Dwa pudełka wypełniały fotografie. Również dwa - stare notatniki, spięte kartki papieru oraz pocztówki i listy związane grubym brązowym sznurkiem. W małym pudełku

leżał zegarek. Oxby rozpoznał markę. Bure. Wart więcej niż cała reszta dobytku Wasyla. Obie wskazówki stały na dwunastej. W południe czy o północy? Oxby się zadumał.

Inspektor opróżnił jedno z pudełek. Wybrał przepasany cienką gumką notatnik, który według Jakowa mógł pochodzić z czasów szkolnych. Strony były wypačkane, niektóre podarte, inne z oślimi uszami, a wszystkie niemożliwe do odcyfrowania.

Przynajmniej dla Anglika. Jakow zdołał odczytać kilka wpisów z innego notatnika.

- To jego pamiętnik, choć prowadzony nieregularnie. Ostatnia data pochodzi sprzed sześciu lat. Ale spójrz tutaj; to napisano wczoraj.

Jakow z trudem odczytywał odręczne zapiski: „Wczoraj przyszło dwóch mężczyzn. Wrócą jutro z brandy i papierosami. Czemu chcą mnie widzieć?”

- Wreszcie miał na co czekać - podsumował Oxby.

Rozsupłał sznurek, którym były związane pocztówki i listy. Razem z Jakowem szukali stempli i dat, aby jakoś datować korespondencję. Pakiecik zawierał cztery listy od Saszy Akimowa. Choć Oxby nie mógł się doczekać poznania ich treści, musiał uzbroić się w cierpliwość. Dopiero gdy zasiądą przy lepszym świetle, Jakow zdoła je odczytać.

Tymczasem przejrzeni zdjęcia, które Wasyl ułożył w porządku chronologicznym, opisując każde na marginesie lub na odwrocie. Tak jak w pamiętnikach, pismem drobnym i trudnym do odczytania. Wszystkie starsze fotografie były czarno-białe, kilka najnowszych w kolorze. Dokumentowały czasy, gdy Wasyl miał jeszcze rodzinę.

- Jakow, spójrz tutaj.

Oxby pokazał fotografię wykonaną w sepia. Przedstawiała młodą kobietę w towarzystwie Wasyla i starszego mężczyzny - zdaniem inspektora, miał co najmniej siedemdziesiąt pięć lat. Kobieta trzymała coś w dłoni w upozowanym geście. Choć przedmiot był nieduży, Oxby dostrzegł metalowe wstęgi i małe klejnoty oraz jajowaty kształt.

Jakow, wpatrując się w pisane maczkiem podpisy, wyjaśnił, że staruszek był ojcem Wasyla, młoda kobieta zaś miała na imię Anna. Trzymała w dłoni pisanek Fabergégo. Odczytywał z wysiłkiem kolejne słowa.

- Wasyl pisze, że jego ojciec dostał pisanek od księcia Jusupowa, swego pracodawcy... I jeszcze, że przykro mu, iż na fotografii nie ma Niny. To ona robiła zdjęcie.

-Kim jest Nina? Jakow
pokręcił głową.

- Nic tu nie ma. Może w dzienniku?

Oxby przyglądał się twarzom na fotografii. Wasyl z ojcem i żoną.

Nieśmiałe uśmiechy. Takie normalne. Długo wpatrywał się w jajko, prawie pewien, że widzi pisanekę, którą Fabergé wykonał na zlecenie Rasputina. Ale brał też pod uwagę, iż może to być tylko tania imitacja.

Przypomniał sobie teraz dwa trupy, zakrzepłą krew, tragiczną postać Karsałowa. Pamiętał kolory i zapachy Taszkientu, a zwłaszcza słodzonej miodem herbaty i ryżu z gotowanym mięsem.

Jakow pochrapywał sobie błogo. Oxby delikatnie przesunął mu głowę na poduszkę. Wysączył duszkiem przyniesione przez stewardesę zimne piwo. Z notesu wyjął zdjęcie rodziny Karsałowów. Teraz znał już ich imiona: Wasyl, Anna i Michaił. Kiedy zrobiono zdjęcie, synek musiał mieć sześć lat. Jakow znalazł jeszcze jedną fotografię chłopczyka, z podpisem: „Michaił”.

Michaił, mój mały, powiedział do siebie Oxby, przykro mi, ale twój tata nie żyje.

Otworzył dziennik i zapisał:

Musi minąć co najmniej dzień, nim uwolnię się od tych obrazów i strachu, którego doświadczyłem, będąc świadkiem i uczestnikiem zdarzenia w pokoju 411. Jeszcze czuję ten przeraźliwy odór. Obaj mężczyźni przeżyli chwile grozy.

W momencie śmierci opróżniły się jelita i nerki. Zdumiewa mnie, jakich niesamowitych cudów dokonuje wówczas organizm.

Jakowowi było ciężko, ale dobry z niego wojak, choć czasem żołądek odmawia mu posłuszeństwa.

Wiktor Łysenko. Choć popełnił fatalny błąd, wykonał misję - uśmiercił Wasyla. Podjął walkę, ale był bez szans, gdy zdobyłem nóż. Nie na darmo od dwudziestu lat uczę walki wręcz.

Hoja zawiózł nas do hotelu Uzbekistan. Miałem klucz do pokoju Wiktora. Znalazłem tam portfel, bilet lotniczy, dwa paszporty, profesjonalny zestaw do makijażu i plan podróży.

Czeski paszport wystawiono na Gustawa Cernika. Na zdjęciu był mężczyzna po pięćdziesiątce. Kwestia makijażu. Wystarczy dziesięć minut na zrobienie sobie twarzy.

Rosyjski paszport najpewniej zawierał prawdziwe dane. Wiktor J. Łysenko, dwadzieścia dziewięć lat, student... Nie za stary on na studenta?

Najdziwniejsze było jednak to, że paszport podstemplowano w Nowym Jorku piątego czerwca. Właściciel wrócił do Sankt Petersburga szóstego czerwca. Cóż takiego studiował w Stanach?

Zapowiedziano turbulencje. Zaświecił się napis „Zapiąć pasy”. Oxy zacisnął pas Jakowa, potem swój i ułożył głowę na przytulonej do okna poduszce. Próbował zasnąć, ale szybko zrozumiał, że to niemożliwe, dziś jeszcze nie uwolni się od wspomnień z pokoju numer 411.

Trzy godziny po wylocie z Taszkientu wciąż znajdowali się nad kazachskimi pustyniami. Wysokie chmury przysłaniały ziemię. Gdyby nie one, mógłby dojrzeć wysychające Jezioro Aralskie otoczone niekończącą się bezdrzewną równiną.

Gapił się w stalowoblękitne niebo, wracając pamięcią do spraw sprzed dwóch tygodni. Skończył notowanie taszkienckich wydarzeń. Kolejny rozdział książki, której pewnie nigdy nie napisze. Tragiczny rozdział. Zerknął na kartkę z trzema liczbami, przepisanyymi z notatki mistrza z warsztatu Fabergégo. Ciągłe do niej wracał, choć potrafił wyrecytować liczby z pamięci niczym własną datę urodzin.

- Dwa. Jedenaście. Dziewięć - wyszeptał w skupieniu, jakby chcąc zmusić umysł do odgadnięcia znaczenia liczb. Po kilku minutach schował notatnik wraz z piórem do kieszeni koszuli.

Przypomniał sobie Kipa Forbesa. Musi napisać do niego list z Sankt Petersburga; poinformować o pojawieniu się nowych dowodów poszlakowych, świadczących, iż Fabergé wykonał w swej pracowni carską pisanekę, lecz nie wiadomo, gdzie się znajduje. Napisze, że kolejnym krokiem będzie znalezienie dowodu na jej istnienie. A potem odszukanie kosztownego przedmiotu.

Działy jednak siły, które z wściekłą determinacją blokowały poczynania inspektora. Zaczęła się ostra gra. Bez odwrotu.

ROZDZIAŁ 24

Kiedy Wiktor nie zgłosił się ani dziesiątego, ani jedenastego czerwca, Estończyk powiadomił Olega Dieriabina. Ten spędził większość ranka, wisząc na telefonie; uruchomił stare kontakty z wywiadu marynarki wojennej i KGB. Poszukiwania objęły tereny od Sankt Petersburga, przez Moskwę, aż po Taszkient. Dziwna to była obława. Szefowie wydziałów MSW rozmawiali przez bezpieczne telefony z szefami gangów siedzącymi w swych limuzynach. Wreszcie w południe trzynastego czerwca do centrum komunikacyjnego New Century przyszedł faks. Wiadomość była krótka. Ciało Wiktora Łysenki zidentyfikował lekarz ze szpitala wojskowego w Taszkencie. Spoczywało w lodówce od trzech dni. Jeśli nie będzie natychmiast

odebrane, pogrzebią je na cmentarzu komunalnym.

- Sprowadź tu to cholerne ciało! - wrzasnął Dieriabin. - Jeśli mu sisz komuś zapłacić, to, kurwa, zapłać. Chcę je mieć w dwadzieścia cztery godziny!

Według miary zaburzonej osobowości Dieriabina był to akt współczucia.

O pierwszej po południu tego samego dnia Estończyk powiadomił Galinę Łysenko o śmierci męża. Przyjęła wiadomość z dziwnym dystansem.

- Jak zginął? - spytała tylko.

- Nie znamy szczegółów. Może to był wypadek.

- On nie miewał wypadków - wydusiła Galina przez zaciśnięte usta.

- Aż dziw - uciął Trivimi. - Zdarzało mu się działać zbyt brawurowo. Obawiam się, że nie uważał tej misji za niebezpieczną. Był aż nazbyt pewny siebie.

- Wiktor był najlepszy - odparła, gniewnie ocierając łzy, które napływały jednak do oczu, chociaż postanowiła nie okazywać słabości.

- Może i tak, ale to nie zmienia faktu, że nie żyje.

- Żyłby, gdyby Oleg wysłał mnie z nim.

- Radzę ci nie wszczynać wojny z Olegiem. On też jest wściekły.

- Wściekły? - wycedziła pogardliwie. - Oleg się przejmuje tylko tym, że stracił człowieka od brudnej roboty.

Estończyk nie skomentował. Siedzieli w jego małym biurze. Nie było tu biurka, tylko kilka krzeseł, stół i urządzenia do komunikacji. Gołe ściany nie miały okien.

-Gdzie ciało? - spytała Galina ostrym, stanowczym tonem, nie mogąc jednak opanować łez. - Chcę wiedzieć, jak zginął.

- Zobaczysz je jutro.

- Czemu Wiktor pojechał zabić ojca mężczyzny, z którym Akimow spotkał się w Nowym Jorku?

- Ponieważ Wasyl Karsałow za dużo wiedział - odparł Oleg Dieriabin, wchodząc do pokoju. Stał za plecami Galiny.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

- Stanowiliśmy zespół. Powinieneś być wysłać mnie razem z Wiktorem.

Dieriabin podszedł bliżej.

- Stanowiliście zespół w Nowym Jorku, a jednak nie udało wam się wykonać zadania. - Pokiwał głową, czemu towarzyszył charakterystyczny uśmiezek. - Przynajmniej nie bez komplikacji. Wygląda na to, że Wiktor popełnił kolejny błąd. I musiał zań zapłacić.

- Wiesz, ilu ludzi chroniło Karsałowa? To ty popełniłeś błąd.

- Coś wiem o błędach. I o braku przygotowania. - Dieriabin wyprostował się, wiedząc, że ledwo dorównuje wzrostem Galinie. Przyglądał się jej uważnie. Już się nie uśmiechał. Spoglądając na unoszone ciężkim oddechem piersi, położył ręce na ramionach kobiety i mocno ją przytrzymał.

Nie potrafiła dłużej wstrzymać potoku łez.

- Ty draniu! Nie wiesz, jak zginął. - Spróbowała mu się wyrwać.

- To nie był wypadek. Zabito go i chcę wiedzieć, kto to zrobił.

- Jutro się dowiemy.

Kiedy spróbował przyciągnąć Galinę do siebie, wówczas coś w niej eksplodowało. Wyśliznęła się z jego objęć i zamachnęła, uderzając go z nieoczekiwaną siłą. Dieriabin usiłował ją powstrzymać, ale niesamowicie zręczna dziewczyna znów się wymknęła. Jedną ręką uderzyła go w klatkę piersiową, drugą wzięła zamach i przeorała mu twarz paznokciami od ucha przez policzek aż po szyję; krew płynęła czterema równymi struzkami.

- *Szalowa!* - wrzasnął Dieriabin. To tylko podsyciło jej wściekłość. Przeciągnął palcami po szramach. Były mokre od krwi. Kiedy znów na niego ruszyła, nie popełnił już błędu. Uderzył Galinę otwartą dłonią w twarz, zostawiając na policzku smugi własnej krwi. Uderzył ponownie... i jeszcze raz; któryś z ciosów rozciął jej wargę. Dziewczyna płakała, łzy rozmazały makijaż wokół oczu, w połączeniu ze strugami krwi tworząc maskę niczym z greckiej tragedii. Skuliła się i cofnęła przed Dieriabinem.

Wreszcie powoli wyprostowała się, odzyskując rezon. Otarła oczy wierzchem dłoni. Wpatrywali się w siebie złowrogo, dysząc ciężko.

I naraz - zupełnie nieoczekiwanie - Galina zwróciła się do niego, używając zdrobnienia.

- Oleszka-powiedziała drżącym głosem. - Nazwałam cię draniem, bo nim się stałeś. - Trzęsła się cała, ale patrzyła mu prosto w oczy. - Zostanę z tobą, jeśli obiecasz pomóc mi pomścić Wiktora. To jest mój warunek.

- Zemsta bywa niebezpieczna - orzekł Dieriabin. Przyłożył do policzka chusteczkę. - Jeżeli będziesz pamiętać, że to ja wydaję rozkazy, możesz zostać.

ROZDZIAŁ 25

Po dziesięciu dniach pożywiania się ryżem i rozgotowaną wołowiną Oxby zatęsknił za prostym śniadaniem, które właśnie przyrządził

Jakow. Jogurt, płatki na mleku i lekko czerstwy chleb z konfiturami truskawkowymi. Obaj przyjaciele spali do późna - zmęczenie po tym, co przeżyli w Taszkencie, dało o sobie znać.

Oxy posprzątał ze stołu i rozłożył na nim swoje notesy, słowniki, przewodnik po Sankt Petersburgu, dwa artykuły o petersburskich dziełach sztuki, szczegółowy plan miasta, na którym zaznaczono metro i linie autobusowe, oraz - wcale nieprzypadkowo - kopertę z rozliczeniem zaliczki od Christophera Forbesa.

-Wyobraź sobie - zaczął poważnie inspektor - że ta kuchnia, w której teraz siedzimy, to odpowiednik centrum operacyjnego Scotland Yardu. Tutaj przynosimy wszystkie akta i informacje o sprawach i tu zespół specjalistów rozpracowuje najpoważniejsze przestępstwa. Pokój wyposażony jest w kilka linii telefonicznych, faksy i komputery z dostępem do bazy danych Interpolu. Mamy zapewnioną pomoc ekspertów od daktyloskopii, naukowców z laboratoriów kryminalistycznych, lekarza sądowego i tak dalej. Potrafisz sobie wyobrazić taki pokój?

- Spróbuję. - Jakow przystał pokornie.

- Postaraj się, bo zamierzam prowadzić dochodzenie w sprawie cesarskiej pisanki właśnie z twojej kuchni. Mianuję cię, oczywiście jeśli wyrazisz zgodę, swoim asystentem i przydzielę pewne zadania. - Popatrzył Jakowowi w oczy. - Nim się zdecydujesz, muszę przypomnieć ci o dwóch przedmiotach, które mogą mieć ogromny wpływ na nasze dochodzenie. Po pierwsze o tym... - Oxy położył na stole uszkodzoną matrioszkę. -Apo drugie... -Obok lalki znalazł się nóż, który uśmiercił Wasyla Karsałowa, a potem Wiktora Łysenkę. - Na twoich oczach, w krótkim czasie, zginęło dwóch ludzi. Nie wiem, dlaczego, nie mam pojęcia, kto za tym stoi. Oczywiście jest jednak, że komuś bardzo przeszkadza nasze zainteresowanie tą sprawą. Zatem dobrze się zastanów nad odpowiedzią. Jesteś ze mną czy chcesz się wycofać?

- Oczywiście, że jestem z tobą. Mam dwakroć więcej chęci niż nóg.

- Nawet w obcym kraju byliśmy świetnym zespołem. Tu, w twoim rodzinnym mieście, przede wszystkim dzięki tobie, będziemy niepokonani.

- Znam Petersburg, jak nikt inny - powiedział Jakow. - Mogę służyć za przewodnika i tłumacza. Poza tym bez mojej pomocy nie dowiesz się, co jest w pamiętnikach Wasyla czy listach od Saszy Akimowa.

- Ile ci zajmie ich przepisanie?

- Kiedy już to rozgryzę, pójdzie jak z płatka.

-A więc w porządku. Uściśnijmy sobie ręce.

Jakow odpowiedział uśmiechem i energicznym uściskiem dłoni.

- Nie za wiele mamy atutów, jak na początek - podjął Oxby. - Do naszego wątlego arsenału dodam jeszcze pamiętniki i zdjęcia Wasyla Karsałowa. Oraz jego korespondencję. No i dwa paszporty, których użyczył nam Wiktor Łysenko. - Wyciągnął pojedynczą kartkę. - Oto nasze zadanie. Już je przedstawiłem, ale nie zaszkodzi powtórzyć. I starannymi drukowanymi literami napisał:

Założenie: Na polecenie Grigorija Rasputina Peter Carl Fabergé zaprojektował i wykonał carską pisanekę, która miała być darem dla carycy Aleksandry.

Cel: Dowieść prawdziwości założenia, ustalić, czy pisanaka jeszcze istnieje. Znaleźć ją.

-Wasyl Karsałow powiedział, że ojciec dał mu carską pisanekę Fabergégo - mówił dalej Oxby. - Mamy zdjęcia przedstawiające ich obu z jajkiem. Leonid Balecki powiedział nam, że on też je widział. Obaj mówili o wydarzeniach z 1963 roku, po zabójstwie JFK. Grali w karty, Wasyl przegrał jajko. Może za kolejne sto dolarów Balecki powie więcej.

- Uważasz, że udowodnilibyśmy powiązanie z Rasputinem? - zaoponował Jakow.

- Bezpośrednio nie. Ale Wasyl o nim mówił. Być może nie zdołamy udowodnić, że mnich zlecił wykonanie pisaneki, zanim jej nie znajdziemy. Podejrzewam, że będzie miała inskrypcje z datą i inicjałami mistrza. Idę o zakład, że Fabergé dodał jakieś oznaczenie dla podkreślenia udziału Rasputina.

Oxby zerwał się na równe nogi. Powoli przeszedł przez mieszkanko, oglądając każdy pokój, starannie odnotowując rozmieszczenie drzwi, okien i gniazdek elektrycznych. W miarę jak to robił, widać było na jego twarzy coraz większe zatroskanie.

- Mamy problem - odezwał się wreszcie - naprawdę poważny. Myślałem o tym w samolocie i martwiłem się zeszłej nocy przed zaśnięciem.

- O co chodzi? - Jakow spojrzał zaskoczony na przyjaciela.

- O mieszkanie. To jest problem. Oni, kimkolwiek są, wiedzą, gdzie nas szukać. Do tej pory domyślili się na pewno, kim jestem, a przynajmniej mają informację, że pracowałem w Scotland Yardzie. Kiedy damy im do zrozumienia, że nie rezygnujemy z poszukiwań jajka, wystawimy się na cios. Jakow, mój drogi przyjacielu, tu są tylko

jedne drzwi. Nimi wchodzimy, nimi wychodzimy. Do tego trzy małe okna, przez które żaden z nas się nie wydostanie, ale idealnie nadają się, żeby coś przez nie wrzucić, na przykład koktajl Mołotowa czy pojemnik z gazem, który sprawi, że będziemy śmiać się albo płakać, albo padniemy trupem. - Oxby okrążył stół i wrócił na miejsce. - Nie jestem pewien czy gdziekolwiek możemy się czuć bezpieczni. Szczerze mówiąc, sami się nie obronimy. Potrzebujemy pomocy. Ochrony. Rozumiesz?

- Owszem. U nas mówi się na to *krysha*. W gazetach piszą o tym w kontekście mafii...

- Masz może jakichś przyjaciół, którzy zajmują się importem żywności? Mówię serio. Na przykład kogoś, kto przywozi do Petersburga mrożone kurczaki lub owoce?

- Szukasz czegoś szczególnego do jedzenia?

- Nie. Firmy, które importują żywność; prawdę powiedziawszy, w grę wchodzi każdy inny towar. Muszą chronić się przed szefami gangów, którzy chcą złamać ich monopol. Rozumiesz?

-No tak. Wspomniałeś o kurczakach? Czekaj, coś sobie przypomniałem. - Zaśmiał się, kręcąc głową. - Znam kogoś, kto chyba mógłby się przydać. Niejaki Kinski. Razem z synem sprowadza żywność dla zwierząt domowych.

- Nieźle! Dużo tu macie zwierząt.

- Kiedy Walentyna żyła, był u nas w domu kot. Miałem na niego alergię. Kinskiego znam przez rodzinę żony. - Westchnął cicho. - Teraz mieszka on w luksusowym apartamencie, jeździ limuzyną. Nie wiem, czy będzie mnie pamiętał. Czasem pieniądze sprawiają, że się zapomina o starych znajomych. U was jest tak samo, Jack?

- Jak wszędzie - przytaknął Oxby. - Zadzwoń do Kinskiego. Wyjaśnij mu, że potrzebujemy tej, jak to mówisz, *kryszy*. Spytaj o ludzi, którzy opiekują się jego firmą.

Jakow odnalazł numer telefonu. Ku jego zaskoczeniu, połączono go bezpośrednio z Kinskim. Rozmawiali kilka minut. Jakow mówił do niego per „Misza”, najwyraźniej zachwycony, że stary kumpel o nim nie zapomniał. Kiwając głową, notował pilnie.

- *Spasibo, spasibo* - dziękował wylewnie Miszy. Wreszcie odłożył słuchawkę i odwrócił się do Oxby'ego z tryumfalnym uśmiechem.

- Mam informacje - oznajmił, pokazując kartkę.

- Zadzwoń do nich i powiedz, że mamy niecierpiący zwłoki problem. Poproś, żeby przyjechali jeszcze dzisiaj.

Jakow szybko się przekonał, że przestępczy syndykat wykazuje się tyleż znakomitą efektywnością, co otepiającą bezosobowością. Spotkanie umówiono na drugą po południu. Szczegóły podadzą przez

telefon tuż przedtem. Jakow nie usłyszał żadnych imion czy nazwisk.

Oxby dopracowywał swój plan działania, szczególną wagę przywiązując do zadań, które Jakow mógł wykonać bez jego nadzoru. Po pierwsze, chciał, aby przyjaciel przedarł się przez biurokratyczną dżunglę kadr Floty Bałtyckiej. Miał znaleźć i skopiować akta Wasyla Kar-sałowa. Ten wspomniał, że kolejnym graczem był Sasza Akimow. Jego też warto sprawdzić.

- Karsałowa zesłano do Uzbekistanu za morderstwo, którego, jak mówił, nie popełnił - przypomniał Oxby. - Problematyczne. Większość przestępców do ostatniej chwili upiera się przy swojej niewinności. Postaraj się coś znaleźć w dokumentach trybunału wojskowego. Natrafisz z pewnością na biurokratyczne przeszkody, ale może ci się poszczęści.

- Mógłbym napisać powieść o biurokracji. U nas to normalka. Pracowałem w tym systemie wiele lat.

- Potrzeba mi też listy wszystkich Leonidów Baleckich i Wiktorów Łysenków w Sankt Petersburgu. Chciałbym spotkać się ponownie z Leonidem. W normalnych warunkach sięgnąłbym po książkę telefoniczną, ale takiej nie mam. Od czego zacząć?

- Informacja telefoniczna ma wszystkie nazwiska. Zacznij od nich. Ale będzie cię to kosztować.

- Jakoś mnie to nie dziwi - podsumował Oxby. - Ty przeszukaj akta marynarki, ja zajmę się informacją.

Pracowali aż do południa, pożywiając się owocami i serem. Podczas gdy Jakow ustalał przez telefon szczegóły wizyty w archiwum marynarki, Oxby napisał liścik do Christophera Forbesa.

Sankt Petersburg 13 czerwca Drogi Kipie,

nie chcę, aby ten list dostał się w niepowołane ręce, dlatego korzystam z prywatnej poczty przez Helsinki. Minione tygodnie były pełne wrażeń. I to w niejednym miejscu. Szczegółami podzielę się z Tobą osobiście. Tymczasem mogę stwierdzić, że na podstawie dwóch dowodów nabyłem pewności, iż Fabergé wykonał carską pisanekę, na której temat brak oficjalnych zapisków. Nie potrafię stwierdzić z całą pewnością, że wykonanie jajka zlecił Rasputin, choć poszlaki na to wskazują. Uważam, że wszystkie te kwestie zostaną wyjaśnione, kiedy zlokalizuję pisanekę. O swoich postępach będę Cię informować.

Pozdrawiam serdecznie, J.

Oxby

Za pięć pierwsza zadzwonił telefon. Jakow wsłuchiwał się przez chwilę w głos po drugiej stronie, po czym odłożył słuchawkę.

- Nasza *krysha* - oznajmił, nie wiedząc, jak inaczej określić rozmówcę. - Już są. Najpierw obejrzą budynek, potem zadzwonią, żebyśmy im otworzyli.

- Dobry znak - ocenił Oxby.

Dziesięć minut później telefon zadzwonił ponownie. Byli pod drzwiami do mieszkania.

- Już tu są - oznajmił Jakow. Odpiął łańcuch, odsunął zasu węgę i otworzył drzwi. Do mieszkania wkroczyło trzech mężczyzn. Ostatni zamknął za sobą drzwi, obejrzawszy przedtem łańcuch oraz zamki.

Ten, który wszedł ostatni, i jeszcze jeden, mieli podkoszulki i granatowe dzinsy. Byli potężnie zbudowani, tuż po dwudziestce. Obaj krótko ostrzyżeni, o twarzach jakby chirurgicznie pozbawionych wyrazu. Jeden smagły, z małymi bliznami nad okiem, drugi, złotowłosy, miał jasną cerę i błękitne oczy. Co ciekawe, z nich dwóch to on sprawiał bardziej przerażające wrażenie. Oxby przyjrzał się obu i skinął nieznacznie głową z uznaniem. Obserwował, jak beznamiętnym wzrokiem lustrują pomieszczenie, odnotowując wszystkie szczegóły. Wreszcie wyszli, by obejrzeć resztę mieszkania.

- Wy jesteście Iljuszyn? - Mężczyzna, który zadał pytanie, był ubrany elegancko: nienagannie skrojony garnitur, krawat i błyszczące spinki przy mankietach. W ręce trzymał komórkę, przez którą dopiero co się zapowiedział. Miał może trzydzieści lat i twarz wyrażającą tylko nieco więcej uczuć niż kamienne oblicza jego goryli.

Jakow potwierdził. -A wy?

- Iwan. - Wręczył im po wizytówce.

Iwan chciał wiedzieć wszystko o sąsiadach Jakowa, o liniach telefonicznych i elektrycznych, o bezpiecznikach i oknach. Odpytywał Jakowa przez kilka minut. Tymczasem powróciły mięśniaki. Jeden stanął u drzwi, drugi u boku Iwana.

- Iwan zna mego przyjaciela, Misze Kinskiego - tłumaczył Oxby'emu Jakow.

- To dobrze. Spytaj, czyjego ludzie będą na służbie przez całą dobę i ilu ich będzie.

Jakow powtórzył pytanie.

- Iwan pyta, na ile ich potrzebujesz i ile zapłacisz.

Zawsze chodzi o czas i pieniądze, pomyślał Oxby.

- Sądzę, że nie więcej niż tydzień. Powiedz, proszę, że nigdy nie wynajmowałem ochrony, czy to w Sankt Petersburgu, czy to w Londynie. Ile chce?

Po wielu pytaniach i odpowiedziach wyjaśniono niemal wszystkie

kwestie. Oxby się dowiedział, że Iwan reprezentuje stowarzyszenie małych przedsiębiorstw zajmujących się mieszaniem i dostawą cementu, przewozami, przeprowadzkami i magazynowaniem oraz - jak zrozumiał z tłumaczenia Jakowa - ubezpieczeniami. Iwan określał się mianem ubezpieczyciela. Sprzedawał ubezpieczenia, ale bez polis czy odszkodowań. Były za to składki, płatne z góry, w twardej walucie. Ubezpieczenie Oxby'ego, Jakowa i jego mieszkania będzie kosztować sześć tysięcy dolarów za tydzień. W zamian dostaną czterech ludzi przez całą dobę. Każdy będzie miał telefon.

-Jeśli chcecie, żeby któryś poszedł z wami, mieszkania będzie strzec trzech. Jeśli obaj wyjdziecie w towarzystwie jednego, zostanie dwóch.

- Czy w razie potrzeby Iwan może zapewnić więcej ludzi? - za gadał Oxby.

Jakow przetłumaczył pytanie.

- Oczywiście. Za dodatkową opłatą- odparł z uśmiechem Iwan.

Zakończyli negocjacje. Oxby odliczył pieniądze, połowę w funtach, połowę w dolarach. Poprosił Jakowa o powtórzenie instrukcji, aby uniknąć nieporozumień. Jakow posrakał w szybką zegarka i oznajmił, że ubezpieczenie wchodzi w życie o godzinie trzeciej trzynastego czerwca i będzie obowiązywać do trzeciej, dwudziestego czerwca.

ROZDZIAŁ 26

W zamienionym w fortecę mieszkanku poczuli się znacznie bezpieczniej. Po drugiej stronie ulicy zaparkował mercedes kombi. Za kierownicą siedział zgarbiony młody byczek. Grube ramiona oparł na kółku. Obserwował ruch uliczny i przechodniów, szczególnie uważą obdarzając włóczęgów. Utrzymywał łączność telefoniczną ze swoimi trzema współpracownikami. Przekazywał informacje o każdej osobie - mężczyźnie kobiecie czy dziecku - która weszła do budynku. Zajęcie było nudne, stanowiło jednak pierwszy szczebel kariery. Dzięki niemu, mimo braku wykształcenia, mógł się stać dobrze opłacanym pracownikiem, jeśli tylko wiedział, jak posługiwać się bronią, i nie wahał się jej używać.

Kolejny ochroniarz zajmował stanowisko na tyłach budynku, grabiąc od niechcienia zarośnięty chwastami trawniczek. Na noc przenosił się do kabiny pikapa z arsenałem broni palnej. Dwóch pozostałych mężczyzn patrolowało sąsiedztwo. Na zmianę wchodziłi do budynku i wspinali się na najwyższe piętro, by z góry popatrywać

na ulicę.

Dowódcą dziennej zmiany był ten o groźnym spojrzeniu jasnoniebieskich oczu i złocistych włosach. Za każdym razem, gdy przeprowadzał inspekcję w budynku, przystawał, by zamienić słowo z Oxby i Jakowem. Prawie nie mrugał, za to wciąż przeżył grubo ciosane ramiona, jakby chciał strząsnąć z nich nadmiar energii. U nasady grubego karku miał bliznę po strzelaninie, w której dostał trzy kule - może i małe, ale całkiem prawdziwe, Bóg mu świadkiem. Dwie wyjęto, jedna wciąż tkwiła głęboko pod blizną. Miał ksywę Pulia, czyli Kula.

O dziewiątej czasu nowojorskiego Oxby zadzwonił do Aleksandra Tobiasa. Zaprzyjaźnili się, pracując wspólnie nad sprawami w Nowym Jorku i Londynie, tropili fałszywe manuskrypty Leonarda da Vinci i szalonego aptekarza, który miał paskudny zwyczaj: niszczył autoportrety Cezanne'a. Powiedziano mu, że Tobias wyjechał na długi weekend w góry Adirondack. Jego dokładnego miejsca pobytu ani numeru telefonu nie wolno było podawać nikomu, z wyjątkiem burmistrza Nowego Jorku, a i jemu tylko w wyjątkowych okolicznościach.

- Tak powiedział? - zdziwił się Oxby.

- Nie, ale to w jego stylu. - Oficer, który odebrał telefon, się roześmiał. - Może pan zostawić mu wiadomość. Poczta głosowa, e-mail lub faks. Co pan woli?

- Mówi Jack Oxby, detektyw nadinspektor Scotland Yardu. Co pan na to?

- Przykro mi, inspektorze. Alex zostawił listę osób, którym możemy podawać jego numer telefonu. Nie ma na niej pana nazwiska.

- Poproszę o numer poczty głosowej - zdecydował Oxby.

Oxby pomyślał o Aleksie Tobiasie i jego chatce nad jeziorem Big Moose, gdzie obiecał go kiedyś zabrać. Z pewnością tam właśnie był. Wykręcił więc numer z nadzieją, że Alex odsłucha wiadomość, nim całkiem się zatraci w opróżnianiu zbiornika z okoni.

-Aleksander, tu Jack Oxby. Wiem, że jesteś nad jeziorem, a nie chcę mi podać twojego telefonu. Zaufam więc, że twoja autodyscyplina zmusi cię, byś odsłuchał, co mam do powiedzenia. Jestem na urlopie, porządkuję swoje sprawy osobiste. Tak się składa, że zaangażowałem się w fascynujące zlecenie, które zupełnie nagle przybrało nieoczekiwany obrót. Krótko mówiąc, wpadłem w o wiele większe kłopoty, niż się spodziewałem. Tak wielkie, że musiałem zatrudnić kilku ochroniarzy. Nigdy nie sądziłem, że sprzymierzę się z rosyjską mafią, ale muszę powiedzieć, że jestem z tego nawet zadowolony.

Następnie w krótkich żołnierskich słowach inspektor opowiedział

Tobiasowi o zleceniu, które otrzymał od Christophera Forbesa, o Sankt Petersburgu i Taszkencie, o Jakowie i o tajemnicy otaczającej carską pisanekę Rasputina.

- Początkowo nie wierzyłem w plotki o tym jajku. Teraz jednak sądzę, że to całkiem możliwe. Poza tym, kto by popełniał morderstwo z powodu plotek. Chcę cię prosić o przysługę, Alex. Powiedziałeś mi kiedyś, że chciałbyś się dowiedzieć więcej o dziełach Fabergého. Te raz masz szansę. Umów się na spotkanie z Christopherem Forbesem. Mieszka przy Piątej Alei i tam trzyma swoją kolekcję cacek Fabergého. Mów mu Kip. Znając was, świetnie się dogadacie. Przekaż Kipowi moje pozdrowienia. Możesz też złożyć wizytę Gerardowi Hillowi. To ekspert Sotheby od rosyjskich ikon i sztuki dekoracyjnej. Spytaj go, co wie o jajku Rasputina. Albo cię zabije śmiechem, albo pokaże jakieś materiały. Bóg jeden wie. A, jeszcze jedno. Znasz tę nowojorską dzielnicę, gdzie gromadzą się Rosjanie? Nie pamiętam teraz nazwy, wiem natomiast, że mieszkają tam nawet emigranci z czasów rewolucji. Może ktoś słyszał jakieś historie o Rasputinie. Mało prawdopodobne, ale kto wie? Może ci się poszczęści. Alex, mam nadzieję, że nie przeszkadza ci, że tak plotę. Wszystko to tylko domysły, ale tak to jest z nowymi sprawami. Zadzwoń jeszcze, gdy wrócisz do miasta. We wtorek rano twojego czasu. Bywaj.

ROZDZIAŁ 27

Z zachodu ciągnęły chmury, a z nimi lekka poranna mżawka. Oleg Dieriabin stał przy oknie w swoim biurze. Rozmawiał przez telefon. Zadrapania na policzku pokryły się cienkimi strupami, a skóra wokół czterech równych kresek była podrażniona i czerwona. Trivimi Laar siedział pochylony nad biurkiem i coś notował. Dieriabin trzymał telefon i słuchał. Kimkolwiek był rozmówca, całkowicie zdominował ostatnią minutę konwersacji. To zdecydowanie dłużej, niż Dieriabin zwykle pozwalał mówić podwładnym bez przerwy. Nim rozmowa wreszcie dobiegła końca, zdążył spocić się ze złości. Wreszcie rozłączył się bez pożegnania.

- Zastrany gnojek - prychnął, jakby to miał być cały komentarz na temat nieszczęsnej rozmowy, którą właśnie odbył z rosyjsko-amerykańskim prawnikiem reprezentującym Koleso w Nowym Jorku. Prawnikiem złożył w Carson Motors zamówienie na piętnaście samochodów.

Dieriabin odsunął krzesło i usiadł. Machając telefonem, przyglądał

się Estończykowi.

- Nie powiedziałeś mi, że Michaił chce zaliczkę. Nie jakąś drobną kwotę, ale dwadzieścia procent całkowitej wartości transakcji. Wiesz, ile to jest?

- Mówiłem ci, że musimy wpłacić poważną zaliczkę. Nie mówiłem ci ile, bo nie wiedziałem, ile zażąda Michaił. Jeśli pogrzebiesz w tej swojej wybiórczej pamięci, przypomnisz sobie, że uprzedzałem, iż kwota będzie poważna.

- Dwadzieścia procent zaliczki to suma trochę zbyt, kurwa, poważna.

- Siedemdziesiąt tysięcy dolarów - skwitował Trivimi.

- I prawisz mi kazania, że to ja szastam pieniędzmi.

- Wyjaśniłem ci, że jeśli mocno ograniczymy wydatki, pociągniemy do października. Wtedy, tydzień po tygodniu, wyprostujemy nasze sprawy. Jest jeszcze zadłużenie, które musimy zacząć spłacać przed końcem roku. Inaczej zwali się nam gromadka komorników łasych na twój dom i wszystko inne, czego jeszcze nie wywoziłeś za granicę. W takim wypadku tylko cud utrzyma New Century przy życiu. Dieriabin popatrzył na niego smętnie.

- Wystarczy nam na tę przekłętą zaliczkę?

- Wkalkulowałem to. Niech ci jednak nie wypadnie z głowy, że Michaił będzie chciał reszty należności, zanim wyda samochody.

- Powiedz mi coś więcej o Michaile. Jaki on jest? Jakie pytania zadawał?

- Jest konkretny i zadawał konkretne pytania. Zna się na samochodach i wie jak je sprzedawać. - Trivimi pozbiierał papiery. - Nie mówiłem, że był z nim detektyw. Facet o nazwisku Tobias.

- Najpierw jakiś pieprzony detektyw węszy w naszych sprawach w Sankt Petersburgu, a teraz następny w Nowym Jorku? Co on tam robił?

- Zapomniałeś, że Akimowa zastrzelono u Michaiła w biurze. Jeden z jego pracowników został pchnięty nożem.

- Nie zapomniałem - warknął Dieriabin z błyskawicami w oczach.

- Policja chętnie dowiedziałyby się, kto postrzelił pisarza. Tego, któremu Galina zabrała notatnik.

- Te dziwaczne zapiski okazały się nie tak trudne do rozszyfrowania. Mam tłumaczenie. Nie pada tam moje nazwisko.

- Chciałbym to przeczytać - powiedział Trivimi. - Co jeszcze tam było?

- Akimow rozmawiał z Michaiłem o starych czasach; o popijawie z okazji jego przyjścia na świat, o tym, jak wszyscy wznosili toasty za zabójstwo Kennedy'ego... Michaił opisywał

kobietę, która strzelała do Akimowa. Pomijając kolor włosów, świetnie odtworzył wygląd Galiny. Powiedział reporterowi, że Akimow prawdopodobnie nie przeżyje.

- Czy Akimow mówił coś o grze w pokera, o pisance?

Dieriabin zaprzeczył.

- Poczytaj sobie do poduszki. - Podsunął tłumaczenie Estończykowi.

Trivimi wpatrywał się przez chwilę w raport, potem schował go do kieszeni.

- Podczas spotkania z Michaiłem ani razu nie użyłem twojego nazwiska - podjął. - Mówiłem o tobie tylko per „prezes New Century”.

- Do czego zmierzasz?

- Do ważnej rzeczy. Michaił nie ma pojęcia, kim jesteś. Mam silne przeczucie, że Akimow nigdy nie wymienił twojego nazwiska.

- Jesteś pewien?

- Nie. Pamiętaj jednak, że Akimow był starszym, który opowiadał dawne dzieje i wznosił toasty za rodzinę Michaiła. Jeśli zamierzał mu powiedzieć o tobie, to czekał zbyt długo. Widzisz, Oleszka? Okoliczności ułożyły się dokładnie po twojej myśli. Michaił Karsałow nigdy nie skontaktował się z ojcem, a teraz i ojciec, i Akimow nie żyją.

Słuchając, Dieriabin otwierał i zatrząskiwiał papierośnicę rytmicznie niczym metronom.

- Skoro jednak się obawiasz, że Michaił znajdzie jakiś powód, żeby się wycofać z negocjacji - ciągnął Trivimi - zawrzyj umowę z inną firmą. We wschodnich stanach są setki dealerów samochodowych.

Dieriabin pochylił się i skrzyżował ręce na piersiach.

- Tam, gdzie Michaił ma swoje salony, nie ma innych dealerów.

- To jedź do Nowego Jorku. Możesz się spotkać z Michaiłem i spróbować się z nim zaprzyjaźnić. Niewykluczone, że zainwestuje w Koleso. W ten sposób zdobędziesz pieniądze na budowę pierwszego salonu.

- Pomyślę o tym - rzucił Dieriabin. Wstał i się przeciągnął. Wyglądał mizernie. Na pewno stracił na wadze. Z zadrapaną i zaczerwienioną twarzą sprawiał wrażenie, jakby nie spał od kilku dni. Otworzył butelkę wody mineralnej, nalał trochę do szklanki i wypił jednym haustem. Stał obok swojego krzesła.

- Ten detektyw, Tobias czy jak mu tam... Pytał o coś?

- Tak, czy jestem Rosjaninem. Wytłumaczyłem mu. Pytał też o czarke, czy to dzieło Fabergégo. Potwierdziłem. Gdy Michaił opowiedział o strzelaninie, Tobias zwrócił się do mnie, czy znałem Akimowa. Odparłem, że nie.

- Coś jeszcze?
- Powiedziałem, że to musi być okropne widzieć na własne oczy, jak ktoś ginie od kuli. I się pożegnałem.

- Jeśli pojedę do Nowego Jorku, będę mógł powiedzieć Michaiłowi, kim jestem. - Przyglądał się Trivimiemu badawczo. - O to ci chodzi?

Estończyk skinął głową.

Uśmiezek Dieriabina stał się jakby wyraźniejszy.

- Kiedy się z nim spotkam, powiem, że znałem jego rodziców, że pierwszy raz go zobaczyłem, kiedy był małym chłopcem. Powiem jeszcze, że Akimow pracował w naszej firmie, ale się zestarzał i przestał sobie radzić z obowiązkami.

- Powiesz mu, że Sasza Akimow widział, jak wygrywasz jajko Fabergégo od jego ojca? - Estończyk pochylił się ku niemu. - I że odpowiadasz za jego wygnanie? Że zleciłeś jego egzekucję?

- Co ty gadasz, zaszary Estończyku? Ale z ciebie kutas! - Trivimi do perfekcji opanował wplatanie do ich rozmów wątków, które niezawodnie wyprowadzały go z równowagi. - Nie pozwalaj sobie. - Sięgnął ponad biurkiem, chwycił Trivimiego za ramię i przyciągnął go, aż ich twarze dzieliły zaledwie centymetry. - Wyślę cię z powrotem na ulicę, słyszysz? Na ulicę. I znowu będziesz nikiem!

Estończyk uwolnił się z uchwytu.

- Nie rzucaj gróźb, których nie jesteś w stanie spełnić, Oleg. - Za pomniął o poufałym „Oleszce”. Oczami miotał pioruny jeszcze bardziej ogniste niż rozwścieczony facet po drugiej stronie biurka. - Najlepiej, jeśli uda ci się zaprzyjaźnić z Michaiłem tak jak z jego ojcem. Zbyt często kroczysz przez życie sam i nie dopuszczasz innych. - Wstał i pochylił się nad Dieriabinem. - Nigdy nie zapomniałem, czego się nauczyłem za młodu. Zmuszano mnie do chodzenia do kościoła. Nie znosiłem uczestniczenia w liturgii, ale dzięki niej poznałem potężną moc. Moc, jaką nigdy nie będę władał. Moc, która daje siłę i odpędza strach. Żyłeś w Związku Sowietkim, gdzie siłę stanowiła partia. Nie Bóg, nie wiara, ale państwo. Wydaje ci się, że posiadasz jakąś nadprzyrodzoną moc i jesteś nieomylny. Dobrze jednak wiesz, że to nie tak. Wszystkie popełnione przez ciebie grzechy i zbrodnie prześladowają cię, aż pewnego dnia, kiedy nie będziesz przygotowany, kiedy najmniej będziesz się tego spodziewał, zniszczą cię.

Dieriabin nigdy nie słyszał, żeby Trivimi mówił z taką pasją. Patrzył na wysoką sylwetkę Estończyka. Poruszył ustami, ale nie wypowiedział żadnego słowa. Milczał przez całą minutę. Otworzył zapalniczkę i drżącą ręką przypalił papierosa.

- Co za świętojebliwie bzdety - wydusił wreszcie. - Od kiedy to jesteś taki pobożny?

- Robię, co muszę - odparował Trivimi - aie mam nadzieję, że kiedyś to się zmieni, i dzielę się tym, czego się nauczyłem.

Estończyk podszedł do okna. Zapatrzył się na szare niebo i wciąż padający deszcz.

- Wieczorem zabieram Galinę na lotnisko. Samolot z ciałem Wiktora ląduje o siódmej. Pojedziesz z nami?

Dieriabin skinął głową na znak zgody.

Dieriabin czekał w limuzynie, gdy Galina i Estończyk poszli szukać tragarzy, by przynieśli trumnę. Galinie zależało na szybkim zorganizowaniu pogrzebu; czarna furgonetka już czekała za bramą. Deszcz wzmógł się, a podmuchy wiatru tworzyły miniaturowe fale w kałużach na asfalcie. Ryk silników dał się słyszeć, jeszcze zanim samolot przebił się przez chmury, wylądował i dokołował do terminalu. Galina podeszła do maszyny i stała w deszczu, czekając, aż wylądują trumnę. Głowę miała owiniętą szalem, ręce schowane w kieszeniach długiego płaszcza przeciwdeszczowego. Ani drgnęła przez dwadzieścia długich minut. Przyglądała się, jak z luku wylaniały się walizki, paczki, kartony z meblami i wreszcie trumna.

Podeszła do niej, wraz z Estończykiem. Zgodnie z tradycją, trumnę pokrywała warstewka cynku, a dokładnie na wysokości głowy zmarłego było nieduże okienko, dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Pod grubą szybą - twarz Wiktora. Galina starła deszczówkę ze szkła. Światło, choć jasne, nie docierało do wnętrza trumny i widziała tylko niewyraźny, ciemny zarys. Opuściła głowę i zaczęła szeptać.

- Nie wiem, co się stało, ale nie byłeś przygotowany. Dlaczego się śpieszyłeś? Jak zwykle mówiłeś, że nie może ci się nie udać. - Zatkąła.
- Gdybym tylko była z tobą...

Obróciła się do Trivimiego.

- Dowiedziałeś się czegoś jeszcze? Jak zginął?

- Nie zebrałem wszystkich fragmentów układanki, ale zdaje się, że Anglik i Iljuszyn byli w pokoju z Karsałowem, kiedy Wiktor przyjechał do szpitala.

- Zatem to policjant zabił Wiktora?

- Mówiłem, brakuje mi pewnych elementów, ale to możliwe.

- Nazywa się Oxby?

- Tak - potwierdził Estończyk. -

Gdzie on jest?

- W Sankt Petersburgu. Z Iljuszynem. Mamy adres.

Dieriabin przyniósł parasol.

- Co mogę dla ciebie zrobić?
 - Wskrzesić Wiktora? - syknęła Galina. - Dasz radę?
 - Kiepski żart, Galino. Pomogę ci w miarę swoich możliwości.
- Potrzebujesz pieniędzy?
- Tak, mnóstwo pieniędzy i wszystkiego innego, co mi się przyda do zemsty na tym bydlaku Oxbym.
 - Zbieram brakujące informacje - powiedział Dieriabin. - Nie podejmuj żadnych działań, dopóki nie poznamy wszystkich faktów. Nawet jeśli twoja chęć zemsty na Oxbym jest słuszna, zrobisz to, kiedy wydam odpowiedni rozkaz.
- Zanim tragarze zamknęli drzwi, Galina wdrapała się do karawanu. Usiadła na mokrej podłodze i oparła głowę o trumnę. Furgonetka odjechała.
- Dieriabin nadal trzymał parasol. Miejsce osobliwego uśmiešku zajął teraz grymas zniesmaczenia. Ciało Wiktora nie balsamowano ani nie konserwowano. Chociaż trumna była hermetycznie zamknięta, w wilgotnym powietrzu pozostał nieznośny odór śmierci.
- Została nam połowa bliźniąt - odezwał się Trivimi.
 - Ta o wiele lepsza połowa - uściślił Dieriabin.

ROZDZIAŁ 28

Minęły dwa tygodnie od niechlubnego unieruchomienia Lenny'ego Sulzbergera. Nie odzyskał jeszcze pełni formy; nadal nosił nadmuchiwaną poduszkę z otworem w środku, bo lewy pośladek nie zagoił się tak dobrze, jak prawe udo. Jako płodny żartowniś wymyślił mnóstwo „półdupkowych” dowcipów, które powtarzał do obrzydzenia. „Playboy” przedłużył mu termin na przygotowanie profilu Mike'a Carsona. W poniedziałek czternastego wypadał Dzień Flagi. Był to też dzień, w którym Lenny miał przeprowadzić wywiad z Carsonem i odtworzyć notatki utracone w tamten bolesny i godny pożałowania wieczór. Tak naprawdę tego dnia Lenny miał umówione dwa wywiady. W niedzielę zadzwonił Alex Tobias i nalegał na spotkanie. Mówił, że to ważne i że nie zajmie dużo czasu. Prosił, żeby poczekać na niego po wywiadzie z Carsonem. Przylatywał na La Guardia z północy i obiecał stawić się o drugiej trzydzieści.

Lenny spotkał się z Carsonem o wpół do drugiej. Zadawał takie same pytania, jak za pierwszym razem. Dołożył też kilka nowych; uważał, że zasłużył sobie po tym, co go spotkało. Siedział na swojej

opon-ce, wstając od czasu do czasu, jeśli tak było mu wygodniej.

- Dalej boli, cholera. Chętnie bym przyłał tej ruskiej dziwce. Tyle tylko, że raczej ona spuściłaby mi niezły wpierdol.

Mike'a bawiło, że Lenny tak swobodnie mówi, co myśli, niezależnie od tematu i rozmówcy.

- Jeszcze tydzień i niemiły incydent będzie wspomnieniem - powiedział w nadziei, że to choć trochę ukoji cierpienia dziennikarza.

- Taa... Leżąc na brzuchu, mogłem czytać przez dziesięć minut bez przerwy - narzekał Lenny. - Nie miałem co robić przez cały tydzień, więc oglądałem seriale i próbowałem sobie przypomnieć te rewelacje warte dwóch kul w tyłku. - Umościł się na poduszce. - Ale dlaczego, do cholery, strzelała do mnie? Dlaczego?

Opowieść o nieszczęściu Lenny'ego wywołała u Mike'a, obok współczucia, serdeczny śmiech.

- Mogę się tylko domyślać, że ktokolwiek cię postrzelił i ukradł notes, wychodził z założenia, że zawiera on ważne informacje. Albo o firmie, albo o mnie. Jaki może być inny powód?

- Akimow. Przywiózł jakieś tajemnice, poufne informacje?

- Kto by się przejmował Saszą? Któż by przypuszczał, że jest w Ameryce, a co dopiero w jednym z moich salonów? Niezbyt wiele się od niego dowiedziałem i trzymam to dla siebie.

- Powiesz mi teraz?

-Może później.

Alex Tobias przybył na czas.

- Dziękuję panom za zmianę swoich planów - zaczął. - Zadzwonił do mnie zaprzyjaźniony funkcjonariusz, stary znajomy ze Scotland Yardu. To on poradził mi, żeby spotkać się z wami raz jeszcze. - Zajął miejsce przy stole konferencyjnym.

Mike usiadł naprzeciwko. Lenny stał, skrzyżowanymi rękami przyciskając poduszkę do brzucha niczym ukochaną przytulankę.

- No dobra - zaczął Tobias. - Kiedy byłem ostatnio w pańskim biurze, pojawił się tu facet o nazwisku Laar. Składał ofertę współpracy między swoją firmą w Sankt Petersburgu a Carson Motors. - Popatrzył na Mike'a. - Jakies nowe wiadomości w tej sprawie?

- Zbieramy prawników do kupy - odparł Mike.

-Pomysł sprowadzania używanych amerykańskich samochodów do Rosji wygląda na rozsądną propozycję biznesową. To nie jest interes, w którym zabija się ludzi, tak przynajmniej wywnioskowałem, słuchając rozmowy pana z tym Estończykiem. Do tego płaci pan prawnikom, żeby mieli oko na szczegóły i trzymali pana z dala od

kłopotów. Najpierw tak właśnie myślałem - ciągnął - ale potem mówię: chwila, coś tu nie gra. Starszy człowiek pada ofiarą mordu. A pan, panie Sulzberger, pan zostaje postrzelony i kradną panu notatnik. Zadaję więc sobie pytanie: O co tu chodzi, do cholery?

- Tak, o co tu chodzi, do cholery? - niczym echo powtórzył Lenny.

- W moich notatkach nie było nic szczególnego. Tylko opowieść o tym, jak młody Rosjanin przyjeżdża do Stanów i osiąga sukces.

- Myśleli, że tam jest coś jeszcze - odparł Tobias. - Co pan na to.

- Spojrzał na Mike'a. - Stary przyjaciel pańskiej rodziny, pan Akimow, składa panu niespodziewaną wizytę. Nie przyjechał porannym pociągiem z Filadelfii, lecz przyleciał z Sankt Petersburga. Może to i zbieg okoliczności, może nie, ale facet pojawia się właśnie wtedy, kiedy załatwia pan duży kontrakt z firmą z Sankt Petersburga. - Tobias przysunął się na krześle. - Dowiedziałem się od pana Sulzbergera, że pan i Akimow byliście sami przez prawie dziesięć minut, nim go postrzelono. Wtedy właśnie opowiedział panu, że znał pańskich rodziców i że ostatnim razem widział pana, kiedy miał pan dziesięć lat.

- Zgadza się - potwierdził Mikę.

- Myślę, że powiedział coś jeszcze. Przekazał jakieś wieści lub informacje, których nie ujawnił pan w wywiadzie dla pana Sulzbergera. Mam rację?

Mikę obrócił się do Lenny'ego.

- Nie pamiętam dokładnie, o czym mówił.

- Nie chcę wtykać nosa w pańskie życie osobiste, panie Carson, ale byłbym wdzięczny, gdyby powiedział pan wszystko, co mówił Akimow; wydaje mi się, że pomogłoby nam to w ujęciu jego mordercy.

- Mówił przede wszystkim o moim ojcu, którego tak naprawdę nie znałem. Zniknął z mojego życia, kiedy byłem dzieckiem.

- Mieszkał pan z matką?

- I z ciotką. Do jedenastego roku życia albo coś koło tego.

- Czy pana matka żyje?

- To sprawy osobiste i nie chciałem o tym rozmawiać przy Lennym. Wydaje mi się, że tak, i jest mi niezręcznie jak cholera przyznać, że tak naprawdę nie wiem.

- Ciotka?

- To samo.

- Co Akimow mówił o pana ojcu?

- Powiedział, że ojciec zorganizował przyjęcie z okazji moich narodzin... W listopadzie 1963 roku. Po imprezie przegrał w karty coś, co można nazwać rodzinnym dziedzictwem; coś, co dostał od

mojego dziadka. Akimow mówił, że była to pisanek Fabergégo, warta daleko więcej niż przegrana kwota.

- Chwila. - Tobias zeszywniał. - Czy powiedział, że chodziło o carską pisanek?

- Rozmawialiśmy po rosyjsku. Nie władam już nim tak biegle. Przypominam sobie, że mówił coś o wysadzonym klejnotami jajku wykonanym przez Fabergégo, wartym mnóstwo pieniędzy. Tak to mniej więcej ujął.

- Proszę wybaczyć, ale to niezwykła historia. - Tobias pokręcił głową, jakby uwolniło mu się za dużo endorfin. - Jak pan myśli, dlaczego zadał sobie tyle trudu, żeby przyjechać do Nowego Jorku i opowiedzieć panu o jajku Fabergégo?

- Miał więcej do powiedzenia na tematy osobiste, których nie chcę poruszać. - Mike uśmiechnął się, a może to był raczej grymas zakłopotania. - Powiedziałem mu, że mój ojciec głupio pozbył się jajka i, co za tym idzie, nie należy już ono do mnie.

- Co on na to?

- Chyba się do tego nie ustosunkował.

- Jak się panu wydaje, po co ktoś go tu wytropił i zamordował? Musiało być coś oprócz tego, że wiedział, iż pański ojciec przegrał jajko w karty. Zgadza się pan?

- Nie chodziło tylko o jajko - odparł Mike. - Powiedział mi parę innych rzeczy o ojcu. - Przerwał. Był wyraźnie zakłopotany. - Tu dochodzimy do nieprzyjemnej części...

- Czy obecność dziennikarza nie utrudni nam tej części rozmowy?

- Nie mam nic przeciwko panu Sulzbergerowi, ale niech nie robi notatek. I żadna z tych rzeczy nie może ukazać się w druku.

Tobias spojrzał na Lenny'ego.

- Słyszał pan?

- Tak. To się nie wydostanie poza ten pokój.

Mike patrzył to na jednego, to na drugiego i chwilę zbierał się w sobie.

- Mówił, że mój ojciec był oskarżony o morderstwo. Na początku lat siedemdziesiątych. Mogłem mieć wtedy z dziesięć lat.

- Proszę nam powiedzieć tyle, ile pan chce - wtrącił Tobias - albo nie mówić nic.

- Nie ma wiele do opowiadania. Kiedy ojciec służył jeszcze w marynarce, przemycał mięso i wódkę. Jego wspólnik magazynował towar i sprzedawał na ulicy. Akimow twierdził, że wspólnik oszukiwał

i że znaleziono go z poderżniętym gardłem. O morderstwo oskarżono ojca. Proces odbył się przy drzwiach zamkniętych. Plotka mówi, że przyznał się do winy i zesłano go gdzieś do Azji Środkowej. Sasza utrzymywał, że nadal tam jest.

- Po diabła facet przyjeżdża z tym całym ładunkiem gówna i opowiada takie rzeczy o pańskim ojcu? - obruszył się Lenny.

- Chyba miał zamiar to wyjaśnić, kiedy pojawiła się kobieta, która posłała mu kulkę w gardło.

- Pamięta pan coś jeszcze? - zapytał Tobias - Nazwiska, miejsca, daty... cokolwiek?

- Nie powiedział tego, ale chyba był pewny, że ktoś go śledzi. Kilka razy podchodził do okien i przyglądał się ludziom w salonie.

- Jeśli mamy rozwiązać tę zagadkę - rzekł Tobias - musi pan sobie przypomnieć każde słowo, każdy szczegół, każdy gest, każdą zmianę wyrazu twarzy Akimowa. Wszystko, co zauważył pan przez ten czas, kiedy siedzieliście razem. Oczywiście nigdy się nie dowiemy, co chciał panu powiedzieć, ale będziemy mogli się zastanowić, dlaczego uznał, że powinien pan o tym wiedzieć, i zadał sobie tyle trudu, pragnąc przekazać, ważnego zdaniem, informację.

Lenny otworzył notatnik.

- Czy to znaczy, że mogę...

- Przykro mi, panie Sulzberger. Od teraz to jest sprawa wyłącznie między panem Carsonem a mną.

-

ROZDZIAŁ 29

Do momentu sprowadzenia zastępu ochroniarzy Oxby, wiedząc, że nie może wystawiać się na cel, przechodził klaustrofobiczne męki w ciasnym mieszkaniu Jakowa. Dopiero w niedzielę, po tym, jak zostawił wiadomość na poczcie głosowej Tobiasa, a Pulia zapewnił, że okolica jest czysta, Oxby i Jakow w towarzystwie dwóch goryli pojechali do ukraińskiej restauracji.

Nadszedł poniedziałek, dla inspektora pierwsza okazja do rozpoczęcia śledztwa. Jakow, wraz z Mikkim, przydzielonym mu ochroniarzem, tym o najbardziej posępnej aparycji, został wysłany do archiwum marynarki, by znaleźć akta Wasyla Karsałowa. Oxby wziął na siebie uciążliwy obowiązek zdobycia adresów wszystkich Leonidów Balez-kich w Sankt Petersburgu. Ponieważ miał paszport Wiktora Łysenki, a wraz z nim jego adres, sporządzanie listy wszystkich Łysenków wydawało się zbędne. Czy aby jednak na

pewno? Znalazł przecież drugi paszport i było bardzo możliwe, że gość pokroju Łysenki może mieć takich nawet tuzin, a żaden z nich nie będzie zawierał wiarygodnych informacji o miejscu zamieszkania właściciela.

Niezależnie od tego, jak zręcznie i bystrze potrafił reagować Pulia w sytuacji zagrożenia życia, było mało prawdopodobne, że w pojedynkę uda mu się odeprzeć zorganizowany atak na ulicach miasta. Wspólnie z inspektorem mieli spędzić większość dnia, krążąc po mieście, jeżdżąc Bóg wie gdzie w poszukiwaniu domów Baleckiego i Łysenki. Oxby wyjątkowo sprawnie posługiwał się pistoletem, ale nie miał żadnego ze sobą. Pulia dał mu do wyboru półautomatycznego glocka siedemnastkę i kompaktowy automat CZ-75. Oba dziewięćmilimetrowe, oba mieściły po dziesięć naboí. Polimerowy glock był lżejszy o trzydzieści dekagramów. Oxby wziął glocka i kaburę mocowaną do pasa.

Zamiast udać się prosto do biura adresów, inspektor najpierw kazał Pulii zawieźć się do cerkwi Świętego Izaaka. Potrzebował wyciszenia. Choć symbolika różniła się od tej charakteryzującej jego ulubione miejsca w Londynie, rozpoczął swój dzień w pełnej majestatycznego spokoju świątyni. Stał przed witrażem przedstawiającym trzymetrowego Chrystusa w szkarłatnej szacie obszytej złotym galonem. Nad głową Oxby'ego, wysoko na centralnym sklepieniu kościoła, rozpościerał się gigantyczny fresk przedstawiający Królową Dziewicę. Po prawicy i lewicy detektywa wznosiły się olbrzymie filary z brązu zdobionego idealnie dopasowanymi kawałkami malachitu. Cerkiew Świętego Izaaka mogła pomieścić czternaście tysięcy wiernych, oczywiście na stojąco. Przez siedem dekad komuniści popisywali się nią jako muzeum. Teraz w kościele wzniesionym przez Piotra Wielkiego znowu odprawiano nabożeństwa.

Tu, pod ścianą z ikonami w jednej z najsłynniejszych świątyń na świecie, Jack Oxby pochylił głowę w cichej modlitwie. Nie było to demonstracyjne okazywanie pobożności. Nigdy się nie identyfikował z żadną religią. W taki sposób uznawał jednak istnienie Najwyższej Istoty, która stworzyła człowieka, dając mu tak wiele, w tym piękną, nieśmiertelną sztukę w najróżniejszych jej formach. Teraz już mógł dodać cerkiew Świętego Izaaka do długiej listy świątyń, które, jak to określał, użyczały mu miejsca, by mógł z Istotą Najwyższą porozmawiać.

Powiedziawszy, co miał do powiedzenia, Oxby odnalazł w tłumie Pulię i pomachał do niego. Spotkali się przy wrotach południowych, olbrzymiej bramie z dwudziestu ton brązu i dębu, która wyprowadziła

ich na zalany słońcem dziedziniec. Pulia miał samochód, malutkiego, wiekowego peugeota, najpewniej kupionego od dawno już nieżyjącego pracownika francuskiego konsulatu. Mężczyźni robili postępy. Nie można było mówić o zażyłej znajomości, jednak dogadywali się jakoś dzięki podstawowej znajomości obcych dla siebie języków. Ich rozmowy były przeplatane chrząknięciami, mruknięciami i dziwnymi zbitkami słów. Od czasu do czasu Oxby pokazywał Pulii jakieś słowo w swoim wyświechtanym słowniku.

W mieście bez książek telefonicznych adres mieszkańca można uzyskać w biurach adresowych, pozostałościach po Związku Sowieckim. Anachronicznych, działających opieszale i nie zawsze wiarygodnych. Takie biuro znajdowało się w każdej z dwunastu dzielnic Sankt Petersburga i zwykle mieściło się trzy stopnie poniżej poziomu ulicy, w pozbawionym okien pokoju z zieloną farbą na ścianach i czerwonym linoleum na podłodze. W okienku przypominającym kantor wymiany walut babuszka odbierała podanie, żeby rozpocząć żmudne poszukiwania w opasłej księdze. Niewykluczone, że autorem scenerii i procedury był sam Franz Kafka.

Chwała Bogu, istniał inny sposób. W zmieniających się realiach chęć zarobienia pieniędzy przyczyniła się do stworzenia nowocześniejszej metody, chociaż wciąż w żadnej mierze nie tak praktycznej,

skutecznej, dokładnej i banalnie prozaicznej, jak książka telefoniczna. Dla Oxby'ego niepojęte było, że w kraju, w którym rząd przez trzy pokolenia przeznaczał ogromne środki na zbieranie informacji o obywatelach - od preferencji seksualnych po skrywane poglądy religijne - tylko marne ochłapy danych dopuszczono do wiadomości publicznej.

W swojej kolekcji przewodników inspektor wyszukał nazwy dwóch prywatnych firm, które, za odpowiednią opłatą, odnajdywały adres osoby o nazwisku podanym przez klienta. Najszybszym i najpewniejszym sposobem otrzymania właściwego adresu było podanie pełnych danych: imienia, otczestwa i nazwiska. Bardzo starzy oraz bardzo młodzi ludzie mogli też mieć nadane imię patrona. Podając dodatkowo numer telefonu, uzyskiwało się niemal stuprocentową trafność. Chociaż Rosjanie szczylic się wyjątkowościami swych nazwisk, w pięciomilionowym mieście z całą pewnością mogło mieszkać wielu Leonidów Baleckich.

Sugerując się prestiżową lokalizacją firmy, Jakow wybrał biuro przy Litejnym Prospekcie 6. Pulia zaparkował blisko budynku. Profesjonalnie osłaniając Oxby'ego, poprowadził go do drzwi. Biuro mieściło się na trzecim piętrze, a jego okna wychodziły na ulicę. Odpowiadało to Pulii, mógł bowiem mieć oko na samochód.

Wzdłuż ściany ciągnął się rząd okienek, przypominający Oxby'emu bank. Trzy były czynne. Oxby wybrał to, przy którym kolejka oczekujących zdawała się zmniejszać najszybciej. Próżne nadzieje - rychło przypomniał sobie, że w Rosji nie znają pośpiechu. Po trzydziestu minutach dotarł do okienka. Na szklanym kontuarze położył starannie napisane przez Jakowa nazwiska. Kartkę chwyciły palce o pomalowanych paznokciach. Młoda kobieta posłała Oxby'emu znudzony, lecz prawie przyjazny uśmiech, wprowadzając nazwiska do komputera.

Poinformowała, że siedem osób nosi imię i nazwisko: Leonid Ba-lecki. Do każdego nazwiska przypisane było otczestwo - informacja ciekawa, choć o wątpliwej wartości.

Wyszukiwanie potwierdziło, że Wiktor J. Łysenko mieszka przy ulicy Kubańskiej 9. Oxby poprosił o informacje o pozostałych Wiktorach J. Łysenkach. Pięć trafień. Wykupił wszystkie. Kosztowały go to pięćset pięćdziesiąt rubli lub, w przeliczeniu, około dwa dolary za adres.

- Najpierw znajdziemy Baleckiego - zdecydował Oxby, wręczając adresy Pulii. Zasugerował rozpoczęcie poszukiwań od punktu najbardziej oddalonego od Pałacu Zimowego, uważanego przez miejscowych za centrum Sankt Petersburga.

Pulia przestudiował nazwy ulic. Stwierdził, że nie zna dwóch, ale w samochodzie ma plan miasta. Chociaż uważnie obserwował auto, podszedł do niego ostrożnie. Oxby uśmiechał się z podziwem, gdy ochroniarz sprawdzał kawałki przezroczystej taśmy klejącej, które umieścił na obu przednich drzwiach. Gdyby ktoś je otworzył, rozerwałby taśmę. Paski były nienaruszone, zatem Pulia gestem wskazał Oxby'emu fotel pasażera.

Pojechali na południe od centrum, do długiego rzędu bloków wybudowanych w latach sześćdziesiątych. Architekturę charakteryzowała wszechobecna jednakowość. Fasady były albo lekko zakrzywione, albo surowe w swej prostocie. Gmachy wzdłuż ulicy Warszawskiej sięgały piętnastu pięter, a elewacje wszystkich, czy otynkowane, czy świecące gołą cegłą, były nużąco podobne. Odróżniały je od siebie wyłącznie kolory: bladeżółty lub bladoszary. Każde mieszkanie miało jeden lub dwa niewielkie balkony. Na niektórych z nich stały kwiaty doniczkowe, na innych wisiało pranie, co dodawało chociaż trochę tak brakującego tu koloru.

Zatrzymali się po raz pierwszy. Pulia przejął dowodzenie i zarządził, że poczekają, aż ktoś będzie wchodził lub wychodził przez chronione zamkiem drzwi. Po dziesięciu minutach do bramy podeszła starsza pani. W obu rękach trzymała reklamówki z zakupami. Pulia błyskawicznie skorzystał z okazji udzielenia pomocy i, chwyciwszy

torby, zaprosił staruszkę do środka. Oxby wszedł za nimi.

Nazwisko Leonida S. Baleckiego znaleźli na skrzynce pocztowej numer 66. Babuszka trzymała drzwi windy, czekając na nich. Razem wjechali na szóste piętro i mężczyźni wysiedli, żegnani przyjaznym *do swidanija*.

Pulia nacisnął guzik przy drzwiach. Rozległ się gong i po chwili drzwi otworzyła zadbana kobieta po czterdziestce. Schludnie uczesana, ubrana w dżinsy i białe adidasy, mocno trzymała drzwi. Chciała wiedzieć, kto pyta o Leonida Baleckiego.

Oxby nie rozumiał, co mówiła, choć bardzo się starał. Po niecałej minucie wyczuł, że rozmowa dobiega końca i drzwi zaraz się zamkną.

- Poczekaj. Co ci powiedziała? - zapytał Pulię.
- Leonid Balecki to jej ojciec. Bardzo stary człowiek.
- Ile ma lat?

Pulia machnął ręką, wzruszył ramionami, bezradnie próbując odgadnąć wiek staruszka.

- Nie wiem. Siedemdziesiąt? Cały czas siedzi przed telewizorem.

Inspektor uznał, że to nie wystarczy.

- Zapytaj, czy możemy zobaczyć jej ojca. Zajmiemy tylko kilka sekund.

Pulia odwrócił się do kobiety i coś mówił do niej. Wskazywał na Oxby'ego, ten zaś zastanawiał się, które rosyjskie słowo oznaczające „proszę” będzie najbardziej odpowiednie. Postanowił w razie potrzeby wypróbować wszystkie, których się nauczył. Jednak nie musiał, kobieta bowiem otworzyła szerzej drzwi i gestem zaprosiła Oxby'ego do mieszkania. Pomijając widoczny wpływ damskiej ręki, bardzo przypominało ono lokum Jakowa. Drzwi wejściowe prowadziły do małego przedpokoju z drzwiami do sypialni, kuchni i pokoju, gdzie w dużym fotelu siedział staruszek z rozwianymi siwymi włosami. Gapił się tępo w wyciszony telewizor. Po ekranie biegali *Jaskiniowcy*.

Oxby spojrzął na młodą kobietę, odwrócił się do jego córki i podziękował. Skinął głową na Pulię i poszli do windy.

Ochroniarz zerknął na mapę i powiedział, że następny przystanek zrobią przy Obwodnym Kanale. Ruch na ulicach wzmógł się, kiedy przejeżdżali wzdłuż rzędów kiosków, by wreszcie wjechać pomiędzy małe fabryczki. Pod następnym adresem mieścił się stary budynek, wzniesiony jakieś sto lat temu jako prywatna rezydencja. Z kanału zionęło ostrym smrodem spalin i zastalej wody. Nieprzerwany łańcuch małych łódek przewożących kobiety z zakupami i turystów z aparatami fotograficznymi posuwał się hałaśliwie.

Dostanie się do budynku wymagało od Pulii wykorzystania wielu

umiejętności. Kiedy już byli w środku, nie mogli znaleźć mieszkania Leonida Baleckiego. Kroki na korytarzu zwabiły sąsiada, który zdradził, że Balecki zwykle wraca do domu na lunch między pięć a dziesięć po dwunastej. Oznaczało to godzinną bezczynność, lecz inspektor postanowił zaczekać.

Mężczyzna, który wrócił na lunch, uprzejmie i cierpliwie odpowiadał na wszystkie pytania. Pulia jednak, nauczony dokładności Oxby'ego, domagał się dowodów. Facet wyjął prawo jazdy na potwierdzenie, że jest Leonidem Baleckim. Był niemal oburzony, że mają jakieś wątpliwości.

Nawet gdyby w Sankt Petersburgu mieszkało stu Leonidów Baleckich, tylko jeden z nich śledził Jakowa i Oxby'ego w Ermitażu. To nie był ten człowiek. Detektyw ponownie wyraził podziękowanie znanymi mu już słowami. Pulia znowu sprawdził samochód, zanim doń wsiedli. W domu trzeciego Leonida Baleckiego identyfikacja przebiegła szybko i sprawnie. Leonid miał czternaście lat, uczył się w technikum i aktualnie tam przebywał. Jego matka pokazała Oxby'emu rodzinny album i, wskazując na zdjęcia syna, dumnie komentowała: „Leonid na nartach... Urodziny Leonida*... Była śliczna i Oxby nie mógł się powstrzymać przed użyciem swojego ulubionego słowa na każdą okazję, wzmacniając je dodatkowo superlatywem: *Spasibo. Bolszoje spasibo.*

Czwarte miejsce wypadło na Zagorodnym Prospekcie. Przybyli tam o drugiej po południu, po przerwie na posiłek Pulii. Był to kolejny wieżowiec w kolorze smutnej, wyblakłej żółci.

Podobnie jak na pierwszym postoju, Pulia wyczekał, aż otworzy się główne wejście. Wśliznął się do środka, podając się za mieszkańca, który zapomniał klucza. Niespodzianka czekała na nich, gdy dotarli do skrzynek pocztowych i zaczęli szukać nazwiska Leonida Baleckiego. Nie było go tam.

Otworzyły się drzwi windy, wysiedli z niej mężczyzna i kobieta. Szli do wyjścia, kiedy zatrzymał ich Pulia.

- Nie widzimy tu nazwiska Leonida Baleckiego - zagaił po rosyjsku. - Znacie go?

- Nie żyje - odparł mężczyzna. - Popełnił samobójstwo.

- Co jest, Pulia? - zagadnął Oxby.

Ochroniarz przetłumaczył.

- Zapytaj, jak i kiedy to się stało. Była tu milicja?

Pulia przepytał parę, która nie była specjalnie zainteresowana opowiadaniem o zajściu. Bez entuzjazmu odpowiedzieli na kilka pytań, wreszcie go zbyli. Oxby patrzył, jak odchodzą.

- Mówią, że wyskoczył z balkonu.

- Nie został wypchnięty?
- Mówią, że sam skoczył.
- Milicja?
- Była tu.
- Które piętro?
- Piąte.
- Idziemy.

Na każdym piętrze mieściły się trzy mieszkania. Do każdego wchodziło się przez prostokątny hol, rozjaśniony światłem padającym z okna i samotną lampą pod sufitem. Otwarte drzwi prowadziły na klatkę schodową. Przed jednym z mieszkań stał trójkołowy rowerek. Przed drzwiami leżały grube, plecione wycieraczki. Na każdych drzwiach był numer, ale żadnych nazwisk.

Oxby zadzwonił do drzwi, gdzie był rowerek. Cisza. Nacisnął guzik ponownie, ale nikt się nie odezwał. Spróbował przy następnych drzwiach.

- *Da?* - odpowiedział zza drzwi męski głos.
- Szukamy Leonida Baleckiego - powiedział Pulia.

Drzwi otworzył facet, który w oczach Oxby'ego wyglądał jak olimpijski zapaśnik wagi ciężkiej. Dosłownie wypełniał futrynę.

- Tam - wskazał. - On nie żyje, wicie.
- Zrozumiałeś? - Pulia odwrócił się do Oxby'ego.
- Tak - odparł inspektor. - Czy on może opisać nam Baleckiego?

Oczekiwał, że Pulia przetłumaczy pytanie na rosyjski. Ku ich zdziwieniu zapaśnik odpowiedział mieszaniną rosyjskiego i angielskiego. Opis zgadzał się z wyglądem mężczyzny, z którym Oxby i Jakow widzieli się w muzeum.

Detektyw zlustrował zamki w drzwiach mieszkania Baleckiego. Zdawał sobie sprawę, że ani on, ani Pulia nie dadzą im rady. Pomijając fakt, że naprzeciwko mieszkał facet wielkości małej lokomotywy, nie miał zamiaru pakować się w sprawę o włamanie. Być może nadszedł czas, żeby przedstawić się lokalnym władzom.

- Gdzie jest najbliższy posterunek milicji? - spytał.

Pulie zaskoczył wyraz „milicja”. Olbrzym ponownie odpowiedział. Słowa brzmiały dziwacznie, ale Oxby doskonale rozumiał, że komisariat znajduje się niecały kilometr stąd, przy Moskiewskim Prospekcie.

Reakcja ochroniarza na myśl o wizycie na komendzie zwróciła uwagę Oxby'ego. Pulia żarliwie zapewniał, że nie pozostaje w konflikcie z prawem i przekonywał, że wielu milicjantów to świnię. Wiadomo przecież, że kierują największymi gangami

wymuszającymi haracze w Sankt Petersburgu.

- Oni ochraniają tych z wielką kasą - gderał - polityków też.

- Zostań w samochodzie i pal te śmierdzące papierosy- uciął Oxby. -

Sam to załatwię.

Na służbie na pewno będzie jakiś oficer, który mówi po angielsku, rozmyślał. Pieniądze to najlepszy przewodnik, zawsze uda się znaleźć kogoś, kto zna język. Miał rację. Już pięć minut później siedział w towarzystwie zastępcy komendanta, ze zmrózoną coca-colą w ręce.

Biurokracja zmienia się powoli, a w Rosji postęp dostrzegą tylko ci o wprawnym oku i ogromnej cierpliwości. W Sankt Petersburgu każda dzielnica miała swój komisariat. Rejonowe organy władzy nazywano milicją. Była też inna służba porządkowa, znana jako prokuratura. Jej funkcjonariusze również nosili mundury, a początki ich działalności sięgały czasów Piotra Wielkiego. Zajmowali się wyjaśnianiem poważniejszych przestępstw, wszystko inne pozostawiając milicji.

- Jest pan ze Scotland Yardu? - zapytał z szacunkiem komendant.

- Dużo czytałem o waszym systemie. Jest bardzo dobry, prawda?

- Rzeczywiście, bardzo dobry. - Oxby przychylił się do tej opinii mimo niechęci do tego systemu. Z przyjemnością rozmawiał o Scotland Yardzie, ale postanowił nie wyjawiać prawdziwego celu swojego śledztwa w sprawie śmierci Leonida Baleckiego. Komendant, jak zauważył Oxby, nazywał się Jurij Safarow. Tak informowały tabliczka z brązu na drzwiach oraz eleganckie wizytówki na biurku.

W biurze Safarowa było sporo ciemnego drewna. Wysoki pokój miał wielkie okna o grubych ramach, na podłodze wysłużony parkiet. Na wysłużonych meblach powstały ślady po papierosach. Komisarz też był wysłużony. Miał pięćdziesiąt lat, na nosie okulary, na głowie zmierzwione siwe włosy, a na grzbiecie białą koszulę, która po trzech dniach bez prania znacznie straciła na białości.

- Ten Leonid Balecki - zaczął Safarow - spadł z balkonu. Nie mogliśmy ustalić, czy to był wypadek, czy samobójstwo, czy też został wypchnięty... Przepuszczamy, że nie wypadł ani przez przypadek, ani przez zielonego węża, który popycha starszych ludzi do samobójstwa.

„Zielony wąż”, jak wyjaśnił Jakow, to eufemistyczne określenie na wódkę. Jeśli Balecki nie popełnił samobójstwa i nie zdarzył się wypadek, mężczyzna został zamordowany. Oxby zapytał komendanta, czy też tak uważa.

- Sądzimy, że ktoś go wypchnął z balkonu, ale nie mamy dowodów. Jest też coś dziwnego - ciągnął Safarow, poruszając małym palcem uniesionej lewej ręki. - Zauważyliśmy brak tego przy oględzinach zwłok. Może zahaczył ręką o fasadę budynku albo upadł na nią, kiedy uderzył o chodnik... Szukaliśmy tego palca i nie udało się nam go zna

leżć. - Pokręcił z niedowierzaniem głową.

Oxby zgodził się, że brakujący palec to dziwaczna okoliczność.

- Czy nawiązuje to do jakiegoś przesądu? - spytał.

- Nic o tym nie wiem - odparł komendant.

- Miał jakąś rodzinę?

- Był wdowcem. - Safarow przewertował papiery. - Syn zgłosił się do kostnicy po ciało.

- Chciałbym porozmawiać z synem. Ma pan jego numer telefonu?

- Proszę mi wyjaśnić, dlaczego bada pan okoliczności śmierci tego człowieka i chce się widzieć z synem. Czy to sprawa oficjalna?

Oxby się uśmiechnął. Tym szerokim, ciepłym uśmiechem, który łamał lody skuwające serca nawet najbardziej zaciętych urzędników.

- Leonida dopiero co poznałem. Chciałem się z nim jeszcze zobażyć. Wspólni przyjaciele, te same zainteresowania... Rozumie pan. Chciałbym przekazać kondolencje jego synowi.

Safarow słuchał. Miał twarz pokerzysty. Z głębokim namysłem rozważał prośbę Oxby'ego.

- Udzielę panu tych informacji - powiedział wreszcie, skinąwszy głową.

Inspektor postawił kilka pytań nasuwających się naturalnie przy śledztwie dotyczącym domniemanego morderstwa, chociaż każde zadawał z punktu widzenia przyjaciela denata. W jakim stanie było mieszkanie Baleckiego? Jak wyglądał balkon, z którego wypadł lub został wypchnięty? Czy przeprowadzono sekcję zwłok? Co mówią świadkowie? O której godzinie to się stało? I tak dalej. Komendantowi podobał się profesjonalizm Anglika. Kilka razy musiał przyznać, że jego ludziom nie udało się ustalić oczywistych faktów. Oxby zapisywał odpowiedzi w swoim nieodłącznym notesie. Gdy rozmowa dobiegła końca, wręczył Safarowowi wizytówkę i nalegał, aby ten odezwał się przy okazji wizyty w Londynie.

- Pokażę panu, jak u nas łapiemy przestępców - zapraszał Oxby, wyciągając rękę - a potem pójdziemy do jednego z najlepszych pułów.

Gonitwa po wielkim mieście w poszukiwaniu mieszkania Wiktora Łysenki nie wróżyła raczej sukcesu, jednak, niezależnie od okoliczności, właśnie to zaplanował Oxby na resztę popołudnia. Pulia twierdził, że nie są śledzeni. Oxby wiedział, że to bardziej jego opinia niż fakt. Groziło im niebezpieczeństwo, mnożyły się też pytania, na które należało znaleźć odpowiedzi. Kto zlecił Wiktorowi zabicie Wasyla? Czy mieszkał sam? Z innym najemnikiem? Czy miał drugie życie, z rodziną i normalną pracą?

Gdyby Oxby dostał się do jego mieszkania, mógłby znaleźć jakieś wskazówki. Coś, co naprowadziłoby go na trop pisanki Fabergégo.

Możliwością było niezliczenie wiele. Sprawy zaczęły się komplikować, gdy zatrzymali się przy Kubańskiej 9. Pod pierwszym z adresów kupionych przez Oxby'ego mieściła się piekarnia.

Nie mieli też szczęścia przy drugim, trzecim i czwartym. Oxby gotów był uznać, że Wiktor Łysenko był fantomem, tak jak inni znani mu płatni mordercy.

Piąty adres znajdował się niedaleko Uniwersytetu Petersburskiego, na Wasilewskim Ostrowie, największej wyspie w mieście. Stojące w rzędzie bloki nosiły jeszcze ślady ostrzału z niemieckiej ciężkiej artylerii z czasów wojny. Co trzeci budynek został zburzony i odbudowany zgodnie z pierwotnym projektem. Na każdym piętrze były dwa mieszkania. Według listy Oxby'ego lokal Wiktora Łysenki, *kwartira* 2, mieścił się na drugim piętrze. Pulia oparł się o futrynę i nacisnął przycisk. Podskoczyli obaj, gdy równocześnie z gongiem rozległ się głośny strzał gaźnika przejeżdżającej ciężarówki. Pulia zadzwonił ponownie. Oxby rzucił okiem na zegarek. Było wpół do ósmej i odczuwał już zmęczenie. Nacisnął guzik, odczekał pół minuty i poszedł zasięgnąć języka u mieszkańców sąsiedniego lokalu. Po naciśnięciu dzwonka nie rozległ się żaden dźwięk, pukali więc natarczywie w ciężkie drewniane drzwi, ale bez powodzenia.

- Wystarczy na dzisiaj - stwierdził Oxby. Wyprzedziwszy Pulię, wyszedł na ulicę. Gdy ochroniarz sprawdzał paski taśmy na drzwiach samochodu, oparty o drzewo Oxby wpatrywał się w okna mieszkania, w którym miał mieszkać Wiktor Łysenko.

Młoda kobieta w swetrze i czarnych spodniach spoglądała z góry na Oxby'ego zza ciężkich, ręcznie dzierganych firan. Włosy miała zaczesane do tyłu, związane czarną kokardą. Była wysoka i szczupła, o bladej twarzy, bez makijażu. Jej ładne rysy szpeciła lekka opuchlizna wokół załzawionych oczu. Galina Łysenko przedtem też stała przy oknie i cierpliwie czekała, aż dzwonek umilknie. Teraz sięgnęła po telefon.

- Opisz go - zażądała.

- Nigdy go nie widziałem - odparł Trivimi. - Słyszałem, że jest średniego wzrostu, po czterdziestce i ma jasnobrażowe włosy. Nic więcej nie mamy.

- Wiem, że to Oxby - skwitowała. - Był przy drzwiach. Dzwonił i dzwonił. Czego szukał?

- Informacji - wyjaśnił Trivimi.

- Czy Oleg już wie, jak zginął Wiktor?

- Niczego jeszcze się nie dowiedzieliśmy.

- Nieważne. - Galina powiedziała za cicho, żeby Estończyk mógł usłyszeć. - Wiem, kto zabił Wiktora.
- Nie słyszę cię.
- Wsiadają do samochodu. Peugeot odkleił się od krawężnika.
- Odjeżdżają- oznajmiła Galina.

ROZDZIAŁ 30

Wiatr przegonił chmury. Wieczorne niebo, jaśniejsze niż przez cały mokry i szary dzień, rozświetlały okazjonalne rozbłyski fajerwerków, zwiastujące odległe o sześć dni letnie przesilenie i oficjalny początek białych nocy. Sztuczne ognie były zapewne dziełem przedwczesnych imprezowiczów, jadących już na wysokoprocentowej wódce.

Po posiłku kuchnia Jakowa znów się zamieniła w centrum operacyjne.

- Co jest? Przycichłeś tak... - zagadnął Jakow. - Zaczynam wyczuwać twoje nastroje. Nie powiedziałeś mi, jakie masz wieści o Ba-leckim.

- Obawiam się, że to kiepskie wieści. Znaleźliśmy mieszkanie, ale nie jego właściciela. Leonid nie żyje. Milicja podejrzewa, że to morderstwo.

Jakow na chwilę oniemiał.

- Mamy trzy trupy.

-Niezbyt miła liczba. Rzecz jasna, nawet jeden to nazbyt dużo.

- Co się stało? - dociekał Jakow.

Oxby zrelacjonował mu rozmowę z komendantem.

- Brak śladów włamania. Przypuszczają, że ktoś zepchnął go z bal konu. Oczywiście mógł też sam wyskoczyć. Nie zostawił listu, a syn Leonida powiedział milicji, że ojciec nie popełniłby samobójstwa. Co prawda synowie i ojcowie bardzo się starają źle o sobie nie myśleć. Tak czy inaczej upadek z czwartego piętra na beton to beznadziejna sprawa.

- Rozmawiałeś z synem?

-Nie, ale zamierzam. Milicja dała mi jego numer telefonu. Mimo wszystkich negatywnych opinii są niezwykle skorzy do współpracy.

- Może z tobą. Jesteś jak brat.

Wróciwszy z archiwum marynarki, Jakow pracował dalej nad tłumaczeniem pamiętnika Karsałowa oraz listów otrzymanych od Saszy Akimowa.

- Pod lupą widzę, jak Wasyl stawiał litery. Dzięki temu mogłem odczytać jego pismo i przepisać niemal wszystko. Na szczęście Sasza Akimow pisał bardzo starannie. Był w moim wieku; uczyliśmy się pisać w tym samym czasie. To robi różnicę, jeśli piszesz cyrylicą.

- Zaczynij od Wasyla. Czytając jego pamiętnik i notatki, masz wrażenie, że był zdrowy na umyśle, czy też plótł bez sensu?

- Uważam, że jego przemyślenia są bardzo racjonalne. Zupełnie nie tego się spodziewałem po takim czasie z dala od domu i latach pobytu w domu wariatów. Choć pod koniec zdawał się tracić zainteresowanie i wypełniał kolejne strony bezładną pisaniną. Kiedy poukładałem zapiski datami, stało się jasne, że brakuje wielu stron, może całych notatników. Wymienia kilka nazwisk ludzi, którzy ponoć go okradali. Kilka lat temu prowadził dziennik, notował po trosze każdego dnia. Ostatnio jednak nie miał już o czym pisać. Dodawał zapiski od czasu do czasu, czasem wpisywał datę.

- Uderzyło cię coś niezwykłego?

- O tak.

- Cóż takiego?

- Otóż najwcześniejsza data, którą znalazłem, pochodzi sprzed dziesięciu lat. Myślę, że skradzione notatniki odnoszą się do wcześniejszego okresu. Wielokrotnie wspomina o procesie przed sądem wojskowym, zwłaszcza o tym, że nigdy nie dano mu dowieść swojej niewinności.

- Skazańcy kładą się do grobu, głosząc swą niewinność - zaopowiadał Oxby. - Choć niektórzy mówią prawdę. Jeśli twierdził, że jest niewinny, musiał mieć pojęcie, kto był winny. Pisze o tym?

- Nie bezpośrednio. - Jakow sięgnął po zapiski z tłumaczeniem. - Miał obsesję na punkcie niemożności apelacji. Wielokrotnie to powtarza. I zawsze oskarża. O, tu mamy taki typowy wpis. Bez daty, na pisał tylko, że to niedziela.

Znów odrzucili prośbę o apelację. Tchórze. Durni skurwiele.

Sasza mi pisze, że Dieriabin zyskuje coraz większy wpływ na komitet. Że muszę nadal apelować. Ale to strata czasu.

Powinienem zabić Dieriabina.

- Chwileczkę, przyjacielu! - zainteresował się Oxby. - Pokaż mi, gdzie to napisał. I tłumaczenie.

- O tutaj, u góry dziesiątej strony. - Podał mu kartki. Inspektor, przeczytawszy większy fragment, spojrzął na Jakowa.

- Dobrze się zastanów. Słyszeliśmy już nazwisko Dieriabin? -
- Nie, to pierwszy raz - odparł przyjaciel po chwili namysłu.
- Wasyl wspomina znów o Dieriabinie?
- O tak, kilkakrotnie.
- Ile razy? Dziesięć? Piętnaście?
- Bez przesady. Ze cztery lub pięć.
- I tak starczy. Dieriabin był jego nemezis. Cholernie chciałbym wiedzieć, co napisał na tych brakujących stronach.
- Nie jestem psychologiem - dodał Jakow - ale dostrzegam w Kar-sałowie ogromny gniew i poczucie winy. Widać to jeszcze wyraźniej w najnowszych zapiskach, jakby wiedział, że wkrótce umrze, i chciał odkupić grzechy, oczyścić się, pisząc o swych przewinach i niepowo-dzeniach. Widać to w dziwnym sposobie pisania, jakby stłoczone li-terki miały skryć jego wyznania. Czasami wydaje się też zadowolony, że wyrzucił z siebie nękające go myśli. Bardzo wyraźnie stwierdza, że głęboko żałuje tego, jak traktował żonę i syna.
- Taki wniosek wynika jasno z tego, co napisał, czy też niejaki Jakow Iljuszyn posłużył się własną interpretacją?
- Kiedy przeczytasz tłumaczenie, sam się przekonasz, że to prawda. Oxby przejrzał kilka stron.
- Widzę, że wiele razy pisze o Saszy Akimowie.
- Byli przyjaciółmi. Najwyraźniej pracowali kiedyś razem. Podejrzewam, że służyli razem w marynarce.
- Jakie inne nazwiska i imiona się powtarzają?
- Często wspomina syna, Michaiła. Także żonę, Annę, i siostrę, Ninę. Rzadko pisze razem imię i nazwisko, no ale to przecież bardzo osobiste zapiski o ludziach, których dobrze znał. Pisze na przykład o Leonidzie, Preknerze i Arturze, ale nie potrafię stwierdzić, czy to dwie, czy trzy różne osoby. Od czasu do czasu wspomina też swojego ojca, Mikołaja.
- Prekner - powtórzył Oxby. - Jak to się wymawia?
- Wszystko znajdziesz w moim tłumaczeniu.
- Wspomina Baleckiego? - zagadnął detektyw.
- Tak. A także sędziego, któremu jednak poświęcił tylko trzy słowa: *job twoju mat!*. Chyba polubił swojego lekarza, bo często o nim wspomina.
- Oxby przestał kartkować strony.
- Lektura do poduszki - rzekł z uśmiechem. - Dobra robota!
- Dziękuję, ale to jeszcze nie wszystko. Mam listy Saszy Akimowa.
- Podał przyjacielowi cztery strony z podsumowaniem korespondencji.
- Z jakiego pochodzą okresu? - dopytywał się Oxby.
- Niestety, mają swoje lata. Oceniam, że najnowszy napisano

ponad cztery lata temu. Ponumerowałem je zgodnie z chronologią. Chyba bez omyłki.

Inspektor ułożył strony obok siebie i bacznie im się przyglądał.

- Jak widzę, Akimow wiele razy pisał do Wasyla.

- Tak, ale większość z tych listów wyrzucono lub skradziono. Ale po co kraść list?

-Taa... - wymamrotał z roztargnieniem Oxby, nie odpowiadając na pytanie. - Pisz tu o Annie. Powiadasz, że była chora, ale nie rozumiem tego słowa, którego tu użyłeś.

- To jak zapalenie płuc, ale nie przechodzi. Nie znam angielskiego słowa.

- Gruźlica? Suchoty? Tuberkuloza?

Jakow wzruszył ramionami.

- Chyba coś w tym guście

- W każdym razie chora. Wiemy, czy jeszcze żyje?

- Wasyl odnotował w dzienniku, iż ma nadzieję, że wszystko u niej w porządku. Mógł to napisać jakieś dwa lata temu. Wówczas żyła.

- Możesz poprosić twoich przyjaciół, żeby ją odszukali?

- Trudno będzie, ale spróbuję.

- W tym liście - ciągnął Oxby, odkładając go na bok - Akimow pisze o apelacji. „Jest nowy sędzia. Musisz do niego napisać”. Wymienia też jego nazwisko.

- Tu mamy list, w którym wspomina Dieriabina - włączył się Jakow - ale nie do końca rozumiem, o co mu chodzi.

- „Spotkałem się z Dieriabinem - zacytował Oxby - i być może zdobyłem stanowisko w jego firmie. Jeśli tak, to będę miał szansę poznać prawdę”.

-I nic więcej. Potem nie było już żadnych listów - wyjaśnił Jakow.

Inspektor raz jeszcze przeczytał ostatni list.

- Pisz o polityce i Jelcynie. Cytuję: „Demokracja znaczy, że kilku się wzbogaci, a reszta nie dostanie emerytury”. I jeszcze pisze *mudowon*. Co to takiego?

Jakow zaśmiał się serdecznie.

- Nie potrafię tego dokładnie przetłumaczyć. Chodzi mu o polityków, którzy pieprzą głupoty. Dużo mamy takich słów. Obawiam się, że niektóre znacznie mocniejsze.

Oxby zebrał listy i odłożył na bok.

- Dobra robota. A teraz powiedz mi, co odkryłeś w archiwach ma rynarki.

Jakow okazał się skorym do współpracy i pilnym śledczym. Posiadał naturalny talent, za który wielu policjantów dałoby się

pokroić. Tego dnia zapuścił się w labirynty wydziału bałtyckiego Rosyjskiego Urzędu Marynarki i przez dwie godziny czarował personel, aż dotarł do biura urzędnika odpowiedzialnego za akta osobowe. Dopiero przed południem przydzielono mu urzędnika, który zaprowadził go do pokoju z kilkoma komputerami. Przed jednym posadzono Jakowa i pokazano, jak przeszukiwać pliki po nazwiskach i wyświetlać kompletne akta, a następnie wydrukować informacje.

- Kiedy nadeszło południe, niemal już dotarłem do danych Wasyla, ale powiedziano mi, że jest przerwa obiadowa i muszę wrócić o wpół do drugiej. Zjadłem sobie jabłko i poczekałem. Za kwadrans druga zasiadłem znów przed komputerem i coś udało mi się znaleźć. - Wyglądził pogniecioną kopię wydruku i własne notatki.

- Skoro już poznałem Wasyla i widziałem, jak zginął w tym okropnym miejscu, byłem osobiście zainteresowany odnalezieniem jego danych. Wpisałem jego imię i nazwisko, ale w tych aktach są dziesiątki tysięcy danych sowieckich i rosyjskich marynarzy. Udało mi się wreszcie oddzielić go od jego imienników. W tamtych czasach akta były niewiarygodnie rozbudowane. Można się z nich dowiedzieć, że

Wasył uczęszczał do Liceum Marynarskiego imienia Nakimowa i Kolegium Marynarki w Sankt Petersburgu. Można przeczytać, że oceny miał przeciętne. Krytykowano go za brak dyscypliny i słabe wyniki.

- Czego się dowiedziałeś o jego procesie?

- Że oskarżono go o morderstwo cywila nazwiskiem Prekner, który dostarczał racje żywnościowe do bazy, gdzie stacjonował Wasył, pełniący funkcję starszego oficera zaopatrzeniowego. Karsałowa oskarżono też o kradzież mienia państwowego i branie od Preknera łapówek. Uznano go za winnego przekupstwa i kradzieży, ale oskarżenie o morderstwo zamieniono na zabójstwo w obronie własnej.

- Nim umarł, Wasył powiedział mi, że nie zabił Preknera - wtrącił Oxby.

Jakow odłożył papiery.

- Musisz wiedzieć, że w czasach, gdy Związek Sowiecki stwarzał pozory państwa nowoczesnego mającego na względzie dobro obywateli, sprawiedliwość nie była wymierzana tak surową ręką, jak wcześniej. Za Stalina Wasyla by powieszono albo stanąłby przed plutonem egzekucyjnym. A tak, przeniesiono go tylko na placówkę w Uzbekistanie.

Oxby na próżno próbował odcyfrować kopię akt. Wojskowy i prawny żargon go przerastał.

- Powiedz mi, Jakow, Wasył przyznał się do winy?

- Nie przyznał się do żadnego z zarzutów. Zeznał, że zaproszono go

do mieszkania Preknera razem z... tu wymazano nazwisko... i że wypił za dużo, poszedł do sypialni i zasnął. Kiedy się obudził, kilka godzin później, leżał już obok ciała Preknera z nożem w dłoni. Przysięgał, że Preknera nie zabił. Upierał się, że mordercą jest... tu znów wykreślono nazwisko... który upozorował winę Wasyla. „Czemu miałbym zabijać Artura Preknera? - pisze. - Był moim dobrym znajomym”.

- Kiedy odbył się proces?

-W listopadzie 1972 roku. Z dwudziestego piątego na dwudziesty szósty.

- A kiedy zesłano go do Taszkientu? Jakow zerknął na ostatnią stronę transkryptu.

- Siódmego stycznia 1973.

- Powiedziałaś, że z zeznania Wasyla wymazano jakieś nazwisko. Jak to możliwe?

-Nie potrafię ci na to odpowiedzieć, ale, jak widzisz, w transkrypcie zostało tylko puste miejsce. - Jakow postukał ołówkiem w białe plamy. - Wymazano je z pierwotnej wersji akt i w takiej postaci przeniesiono na komputer.

Oxby ze zmarszczonym czołem przyglądał się raportowi, próbując odczytać słowa, które poprzedzały wymazane nazwisko i te następujące bezpośrednio po nim.

- Ile liter usunięto?

Jakow przyjrzał się wydrukowi.

- Proszę - powiedział, wskazując pierwsze z wymazanych słów - dwanaście spacji. Ale potem odstępów są krótsze, na siedem spacji.

- Dwanaście, potem siedem. - Oxby zadumał się nad liczbami. Zapisał je. - Dwanaście... siedem. Przypuśćmy, że początkowo zapisano imię i nazwisko, a przy każdym kolejnym przywołaniu już tylko nazwisko. W angielskim to zwyczajowa praktyka. W rosyjskim tak samo?

-A wiadomo, co u nich zwyczajowe? - Jakow pokręcił głową.

- My, Rosjanie, przywiązujemy dużą wagę i do imion, i do nazwisk. Przed nazwiskiem powinno być imię i otczestwo. Ale w zapiskach wojskowych? Kto wie, jaka jest konwencja? Chociaż, skoro mamy tylko dwanaście liter, można by sądzić, że pominięto otczestwo i zapisano tylko imię i nazwisko, jak sugerujesz.

Oxby zafrasował się jeszcze bardziej.

- Jeśli to prawda, czego się obawiam, moje podejrzenie, że brakujące nazwisko brzmi Dieriabin, szlag trafił.

- Dieriabin? Niby skąd ci to przyszło do głowy? - Jakow nie mógł wyjść ze zdumienia.

- Skorzystałem z czegoś, co nazywamy brzytwą Ockhama -

wyjaśniał z niewyraźnym uśmiechem Oxby. - To zasada, w tym wypadku umożliwiająca zidentyfikowanie osoby, której nazwisko usunięto z transkryptu procesu Wasyla. Wystarczy wyciągnąć wnioski ze znanych nam faktów i wybrać najprostszą odpowiedź. Wiemy, że Wasyl Karsałow był sądzony za morderstwo, ale twierdził, że jest niewinny. Pisze też, że osoba o nazwisku Dieriabin miała wpływ na komitet, który mógł przyznać mu prawo do apelacji. Odnotowuje wreszcie w swym pamiętniku: „Powiniennem zabić Dieriabina”.

-I te fakty zadecydowały o twoim przekonaniu, że to nazwisko Dieriabina usunięto z transkryptu?

-Tak, ale tylko dopóty, dopóki nie wyliczyłeś, że w pierwszym wypadku usunięto ogółem dwanaście znaków, a w pozostałych siedem. Jeśli mam rację, to nasza tajemnicza postać ma imię składające się z czterech liter i nazwisko siedmioliterowe, zakładając, że między imieniem a nazwiskiem jest odstęp.

- No tak - przytaknął niepewnie Jakow.

- Ale zanotowałem tu sobie nazwisko: Deryabin. I widzę: ma osiem liter.

Jakow wziął od przyjaciela notatnik i spojrział na zapis.

- Po angielsku - owszem - wyjaśnił. - Ale używając alfabetu rosyjskiego, liter będzie siedem. O proszę:

Dieriabin

-Widzisz? Mamy jedną literę, która spełnia funkcję dwóch angielskich znaków.

Oxby klasnął w dłoń.

-A niech cię, Jakow! Dobrze dedukujesz. Jednak moje przeczucie mnie nie zawiodło. Teraz sprawdźmy, czy to wszystko pasuje do siebie.

- Niby jak to zrobisz?

- Zrobimy, Jakow. Po pierwsze, wrócimy do archiwum marynarki. Trzeba znaleźć akta człowieka nazwiskiem Dieriabin, który służył z Wasylem Karsałowem i ma imię składające się z czterech liter.

ROZDZIAŁ 31

Toksyny te wytwarzane są przez bakterie glebowe. - Brodaty, niski mężczyzna mówił mentorskim tonem, jakby właśnie prowadził wykład z biologii lub chemii. W dłoniach trzymał dwie butelki - pięć

centymetrów na dwa, z grubego szkła. Zamknięte były masywnymi kapslami, zalanymi bezbarwnym plastikiem. Tę, która zawierała niewielką ilość szarego proszku, mężczyzna podał Olegowi Dieriabinowi.

- Wąglik - oznajmił uroczyście. - Produkcja na granicy możliwości naszego laboratorium, ale znacznie przekracza podane nam specyfikacje. Odkryliśmy doskonale źródło bakterii, w gospodarstwie rolnym nad rzeką Wołchow, na południe stąd. Trzy butelki, podobne do tej, którą trzymasz, mogą, w zależności od metody rozprzestrzenienia i gęstości zaludnienia, zabić do dziesięciu tysięcy ludzi.

Oleg przyjrzał się zawartości, po czym ostrożnie postawił butelkę obok drugiej na stole, rozstawionym pośrodku sterylnego pokoju. Było to jedno z czterech pomieszczeń stanowiących siedzibę Neva Specjalty, małego przedsiębiorstwa, produkującego podróbki najbardziej znanych perfum świata. Oddział zatrudniał dwóch laborantów, którymi kierował biochemik Maurice, wyspecjalizowany w odtwarzaniu *haut parfum*.

Pokój nie miał okien, zaś sufit, ściany i podłogę wyłożono lśniącym winylem. Pomimo że powietrze było oczyszczane, z otworów wentylacyjnych w suficie napływał wyczuwalny zapach. Dieriabin usiadł. Machnął dłonią, przywołując Maurice'a i Trivimiego Laara. Cała trójka miała na sobie jasnoniebieskie kombinezony, kaptury i okulary ochronne. Buty zastąpili ochraniaczami, dokładnie zawiązanymi pod kolanami.

- Dieriabin wiercił się niespokojnie, czekając, aż będzie mógł za palić papierosa.

- Liczy się czas i czystość toksyny - poinformował.

Estończyk patrzył na butelki. Nie był pewien, którą wybrać. Po chwili namysłu wskazał palcem tę obok naczynia z wąglikiem.

- W tej są toksyny *Clostridii!*

Maurice pchnął pojemnik w kierunku Trivimiego.

- Ta butelka zawiera dziesięć gramów, inaczej trzecią część uncji *Clostridium botulinum*, toksyn typu A i B. Ostrzegam cię, to potężna dawka.

- Ile możesz tego wytworzyć w ciągu tygodnia? - zagadnął Dieriabin.

-1 tu mamy problem - odparł Maurice. - Nasz sprzęt przystosowany jest do produkcji niewielkich dawek. Wytworzenie dużej ilości to powolna i niebezpieczna praca.

- Pytałem, ile możesz wyprodukować w ciągu tygodnia - powtórzył zniecierpliwiony Dieriabin.

- Jedną całą butelkę tych rozmiarów, czyli trzydzieści gramów.

- Tylko tyle? - Dieriabin nie krył zdziwienia.

- To laboratorium służy do produkcji niewielkich ilości perfum, a nie zabójczych toksyn. - Maurice podniósł dumnie głowę. - Produkcja tego rodzaju toksyn, niezależnie od ilości, to duże osiągnięcie.

- Możesz wytwarzać trzydzieści gramów tygodniowo aż do pierwszego października? To będzie piętnaście tygodni, czyli czterysta pięćdziesiąt gramów. Niecałe pół kilo.

- Nie mogę obiecać. Ryzykowna sprawa. W tym czasie nie będziemy mogli produkować perfum.

- Ile możesz zagwarantować? - Dieriabin nalegał.

- Zrobimy wszystko, żeby produkować trzydzieści gramów tygodniowo. Ale czy tydzień w tydzień? Tego nie mogę obiecać. Będziemy robić, co się da.

Dieriabin zdjął swój kaptur i pacnął nim o udo.

- Możesz chyba sprowadzić tu większy sprzęt? Taki, który pozwoliłby wytworzyć pięć kilo do pierwszego października?

- Nie ma funduszy na nowy sprzęt - wtrącił Trivimi.

Dieriabin osadził Estończyka spojrzeniem.

- Ile ci potrzeba? - zwrócił się do Maurice'a.

- Dużo. Potem muszą go dostarczyć i zamontować.

- No to ile czasu i pieniędzy? - Dieriabin wyraźnie poirytowany domagał się konkretów.

- Jest takie miejsce w Zurychu, gdzie możemy znaleźć wszystko, czego potrzebujemy. To będzie kosztować jakieś sto tysięcy franków szwajcarskich. Dostawa i montaż potrwa sześć tygodni.

- Zostanie wam dziewięć tygodni na wyprodukowanie pięciu kilo toksyn *Clostridii*. Dacie radę?

- Przecież to nie kwas borny. - Maurice podniósł butelkę i podsunął ją niebezpiecznie blisko twarzy Dieriabina-Nie potrafię nawet opisać ryzyka, jakie to ze sobą niesie. Najmniejszy wdech substancji, która jest w tym naczyniu, może oznaczać potworną chorobę lub śmierć.

Dieriabin spojrział na chemika.

- Płacę ci za rozwiązywanie problemów, a nie za marudzenie. Pytam po raz kolejny: czy nowy sprzęt pozwoli ci wyprodukować pięć kilo w dziewięć tygodni?

Maurice uniósł dłonie w geście poddania.

- Prawdopodobnie uda się wyprodukować pół kilo tygodniowo.

Odpowiedź, z której wynikało, że zdołają wytworzyć cztery i pół kilograma, usatysfakcjonowała Dieriabina. Odprężył się i już miał

zakończyć spotkanie, kiedy głos zabrał Trivimi. Estończyk przysłuchiwał się rozmowie i zwrócił uwagę na ograniczenia, o których Maurice'owi nie wolno było wspominać.

-Nie mamy nawet tysiąca franków szwajcarskich na nowy sprzęt, a co dopiero mówić o stu tysiącach - zauważył.

-To znajdź te pieprzone pieniądze! - wrzasnął Dieriabin. - Nie mam zamiaru zaprzepaścić takiej szansy.

- Nie przeginaj, Oleszka - rzucił Trivimi. - Nie ustaliliśmy ceny za toksyny, zgodziliśmy się tylko dostarczyć próbkę. Pięć kilo to już twój wymysł. Pół kilo to ponad funt. Więcej niż potrzeba. Zgadza się, Maurice?

Chemik potaknął ruchem głowy.

- Jeśli zaakceptują próbkę, dostaniemy większe zlecenie - ciągnął Estończyk. - Wtedy zażądamy zaliczki, a Maurice będzie mógł zamówić nowy sprzęt.

Dieriabin nerwowo bawił się zapalniczką, zapalając i gasząc ogień kciukiem. Nim ją wreszcie zamknął, powtórzył czynność kilkunastokrotnie.

- Maurice mówi, że przy użyciu sprzętu, którym teraz dysponuje, da się wyprodukować trzydzieści gramów tygodniowo. Może troszkę mniej, ale sądzę, że i to wystarczy - przekonywał Trivimi.

Dieriabin powstrzymał się od komentarzy.

- Bierzcie się do roboty.

Maurice spojrział na Trivimiego, potem na Dieriabina

- Musicie wiedzieć, monsieurs, że choć powiedziałem, iż możliwe jest wyprodukowanie pół kilograma toksyn *Clostridii*, użycie do tego jedynie sprzętu laboratoryjnego wiąże się z wielkim ryzykiem.

Dieriabin podniósł się z krzesła.

- Powtarzasz się. Twoim obowiązkiem jest niedopuszczenie do po spełnienia nawet najmniejszego błędu.

Maurice bez entuzjazmu skinął głową.

- Nic nie mogę obiecać. Pamiętajcie, że do października nie wyprodukujemy żadnych perfum.

- Jakoś to przeżyjemy - skwitował Dieriabin.

- Prosiłeś o pustą butelkę - przypomniał Maurice, podsuwając mu ją.

- Na pewno jest czysta? - Dieriabin obejrzał dokładnie naczynie, nawet go nie dotykając. Kiedy Maurice zapewnił go, że została wysterylizowana, podniósł wreszcie butelkę i wyszedł bez słowa z pokoju, pozostawiając zaskoczonego naukowca, by w spokoju zastanawiał się, z jak bardzo szaloną osobą ma do czynienia.

Estończyk dołączył do Dieriabina. Obaj pozbyli się już kombinezonów i ochraniaczy.

Dieriabin wręczył butelkę Trivimiemu.

- Popatrz na wielkość i kształt. Będzie pasowała do akumulatora.

Długie palce Estończyka owinęły się wokół butelki.

- Idealna - stwierdził. - Dałeś Maurice'owi trudne zadanie. Jeśli to dla niego zbyt wiele, możemy mieć kłopoty - dodał.

Dieriabin włożył buty.

- Ja tu jestem od wydawania Maurice'owi rozkazów. Ty masz tylko dopilnować, żeby je wykonał.

ROZDZIAŁ 32

Oxby zdecydował się zadzwonić do Aleksa Tobiasa z telefonu w hotelu Grand Europe, nie chcąc ryzykować dzwonienia z mieszkania Jakowa. Istniało całkiem spore prawdopodobieństwo, że telefon jego rosyjskiego przyjaciela jest na podsłuchu. Inspektor czuł się pewniej, podejmując wszelkie możliwe środki ostrożności.

Widział jeszcze inne korzyści: w Grand Europe serwowali wspaniałą afrykańską kawę, można też było zjeść na lunch wędzonego łososia w Brasserie - lepszego nawet niż w londyńskim Connaught Hotel. No i w miejscu tym honorowano karty kredytowe.

Jakow w towarzystwie Mikkiego udał się rano do biura okręgowego - swego rodzaju instytucji samorządowej, reliktu z dawnych czasów. Nowe pokolenie urzędników państwowych uprawiało swe rzemiosło, wykazując opór materii taki sami, jak za Sowietów. Jakow ubiegał się o wypłatę zaległych emerytur oraz pozwolenie na rejestrację w poliklinice. Niezbędna była też wymiana protezy. Z biura Jakow miał się udać do archiwum marynarki, by dołączyć tam do inspektora.

Oxby zadzwonił o siódmej czasu nowojorskiego, przekonany, że zastanie Tobiasa przy goleniu czy też nad pierwszą filiżanką kawy. Nic bardziej mylnego.

- Nie śpię od ponad godziny. Zdążyłem już przeczytać gazetę i zdecydowałem się iść do pracy niezależnie od tego, czy zadzwonisz, czy nie.

- Jak tam rybki?

- Mój Boże, cały weekend spędziłem ze spinningiem w ręce. Lepiej powiedz, co u ciebie, Jack. Napędziłeś mi stracha.

- Przepraszam, może nieco przesadziłem. Problem w tym, że tak naprawdę nie wiem, przeciw komu lub czemu występuję. Rozważam nawet skontaktowanie się z miejscową policją.

- Czemu jeszcze tego nie zrobiłeś?

- W tym kraju są, można powiedzieć, dwa rodzaje policji. Nie jestem pewien, gdzie zostałbym lepiej przyjęty. Mają tu milicję i prokuraturę. Jeśli nie znasz układów, nie wiesz, dokąd się udać.

- Nie możesz uzyskać pomocy z konsulatu brytyjskiego?

- Powiedzą mi, żebym się stamtąd czym prędzej zabrał.

- Nie mieszkasz czasem u rodowitego Rosjanina?

- Tak, Jakow to rosyjski intelektualista, wobec czego również nie ufa policji.

- Myślałem, że imperium zła doczekało końca swych dni.

- I owszem, zastąpione przez coś, co określają mianem wolnego rynku. A bardziej wygląda na wolnoamerykankę. Staram się nie narażać zbyt.

- Wiesz, jestem w mieście od poniedziałku. Miałem spotkanie, którego wynik może cię zainteresować.

- Widziałeś się z Kipem Forbesem?

- Niestety nie. Jest w Colorado. Ale mam coś znacznie lepszego niż stare wieści o jajku Fabergégo.

- Jak to?

- To twoja działka. Słuchaj uważnie. Zanim wyjechałem nad jezioro, poproszono mnie o pomoc w takiej jednej zwariowanej sprawie z facetem postrzelonym na Manhattanie. To pisarz. Trochę szurnięty, ale już go polubiłem. Nieźle się przeraził, postrzelono go dwukrotnie. Dostał w udo i w prawy pośladek. Boli jak skurwysyn. Teraz liże rany. Tak czy siak, myślałem, że już się nie będę zajmować takimi sprawami, ale przez te urlopy wszystko się popieprzyło. Co miałem robić, zgodziłem się pomóc. Ledwo się obejrzałem, a już byłem w nowym salonie cadillaca i rozmawiałem z młodym Rosjaninem. Ma więcej oleju w głowie niż dziesięciu innych dealerów samochodów.

- Młody Rosjanin, powiadasz?

- Sam widzisz. Powiedział mi, że wyjechał z Sankt Petersburga jako dzieciak. Najpierw do Londynu, gdzie nauczył się angielskiego, a stamtąd do Nowego Jorku. Tu uczęszczał do szkoły i tutaj zaczął sprzedawać samochody. Teraz ma ze dwa tuziny salonów wzdłuż całego Wschodniego Wybrzeża.

- Jak się nazywa?

- Zmienił nazwisko na typowo amerykańskie. Uwierzysz w to? Mike Carson! Nieźle, jak na sprzedawcę samochodów, nie sądzisz?

- Dokładnie tak, Alex. Aie kontynuuj.

- Cóż, wygląda na to, że firma z Sankt Petersburga chce, żeby Carson kupił i wyszykował najnowsze modele używanych amerykańskich samochodów. Luksusowych samochodów: głównie cadillaców i oldsmobili. I wysłał je do Sankt Petersburga.

- Coraz lepiej. Co dalej?

- Facet, który negocjuje dla petersburżan, to Estończyk. Przeliteruję ci nazwisko: L-a-a-r. Firma nazywa się Koleso. Jakbyś nie wiedział, po rosyjsku znaczy to „koło”.

Bezpłatna lekcja języka od przyjaciela z Nowego Jorku. Oxby uśmiechnął się pod nosem.

- Daruj sobie, Alex, to też moja działka.

- Dwa i pół tygodnia temu Carsonowi złożył niezapowiedzianą wizytę pewien staruszek, niejaki Sasza Akimow. Ów Akimow...

- Momencik! - przerwał mu Oxby. - Mówisz, że jak się nazywał?

- Sasza Akimow.

- No dobra, Akimow złożył wizytę Carsonowi. Mój dalej.

- Rozmawiali sobie, kiedy do biura wpadła kobieta i wpakowała w gardło Akimowa dziewięć milimetrów ołowiu.

- Zabiła go?

- Nie, to go jeszcze nie zabiło. Zmarł kilka dni później, w szpitalu, po tym jak pielęgniarka z rosyjskim akcentem podała mu pentobarbital sodu.

- Rosyjska pielęgniarka? Żarty sobie robisz?

- Sądzę, że to ta sama kobieta, która go postrzeliła, ale nie mam dowodów. A nawet gdybym miał, to i tak byśmy jej nie znaleźli. Kimkolwiek jednak była, cholernie się postarała, by dokończyć robotę, tyle ci powiem.

- Czemu Akimow jechał taki szmat drogi, by spotkać się z Carsonem?

- Znał rodzinę Mike'a. Twierdził, że widział go w dzień po narodzinach. Pytował o rodzinie, o starym kraju... aż tu nagle: bum!

- Jakie nazwisko nosił Carson, zanim je zmienił?

- Zaraz, gdzie tutaj mam... Karsałow. Michaił Karsałow.

- Nie do wiary. - Oxby'emu aż dech zaparło. - Nie do uwierzenia - powtórzył. - A co to ma wspólnego z tą strzelaniną na Manhattanie?

Alex opowiedział skróconą wersję sagi o Lennym Sulzbergerze.

- Wiesz, czy matka Carsona jeszcze żyje?

- Mike nie był pewien, ale sądził, że raczej tak.

- Co jeszcze miał do powiedzenia Akimow?

Tobias zrelacjonował historię Akimowa o grze w karty, zakończonej przegraną ojca Mike'a i utratą drogiego jajka

Fabergégo, a także jeszcze bardziej tragiczną opowieść o oskarżeniu Wasyła Karsałowa o morderstwo, prawdopodobnym przyznaniu się do winy i zesłaniu do Azji Środkowej.

Oxby nie odpowiadał. Robił notatki i przetrawiał otrzymane od przyjaciela informacje. Wreszcie Tobiasz przerwał milczenie.

- Hej, Jack, jesteś tam jeszcze?

- I owszem. Trochę mnie zatkało. Usiłuję spojrzeć na to wszystko z odpowiedniej perspektywy. To, o czym mi opowiedziałeś, zakrawa na jakiś cholerny cud.

- Aż taki jestem dobry? - Alex się zaśmiał.

Zaraz po zakończeniu rozmowy z Alekssem Tobiaszem Oxby wraz z Pulią pojechali do archiwum marynarki. Czekał już na nich Jakow, siedząc samotnie w samochodzie.

- Gdzie Mikki? - Oxby spytał zdziwiony nieobecnością ochroniarza.

- Pański kolega - zwrócił się Jakow do Pulii - spytał, czy może pójść do sklepu przy stacji metra. W pobliżu tych wszystkich wojskowych budynków czuję się bezpiecznie, więc mu pozwoliłem.

- Od jak dawna go nie ma? - Pulia się wściekł. Z trudem panował nad sobą. Mikki pogwałcił wszystkie dane mu instrukcje.

- Od dwudziestu minut.

Ochroniarz zaparkował obok łady. Starannie obejrzał antyczny wóz Jakowa i okleił taśmą oba auta.

Jakow rozmawiał z oficerem w recepcji, wskazywał na Oxby'ego i Pulię, zalewając go potokiem słów i, o ile Oxby dobrze rozumiał, mówił o krewnych drogiego zmarłego. Miał w dłoni banknot dziesięciodolarowy - jeden z kilku otrzymanych od Oxby'ego. Nie zmieniając znużonego wyrazu twarzy, oficer skinął na całą trójkę, by udała się do windy. Jakow poprowadził ich przez pomieszczenia na drugim piętrze, aż do kontuaru, przy którym szybko wypełnił dwustronicowy formularz. Spytał o jedną z pracownic, a gdy się zjawiała, wręczył jej formularz wraz z kolejnym banknotem.

Kilka minut później zasiedli przed komputerem, a Jakow wprowadził kryteria wyszukiwania, jak nauczył się podczas poprzedniej wizyty.

Oxby wręczył mu stronę z dziennika Karsałowa i wskazał interesujące ich nazwisko.

Nazwisko Dieriabina napisał Jakow cyrylicą.

Komputer rozpoczął wyszukiwanie. Po trzydziestu sekundach pojawiło się pierwsze z szesnastu nazwisk. Wszystkie opatrzone były pierwszym i drugim imieniem lub inicjałem. Nazwiska i imiona zostały

wyświetlone w przypadkowej kolejności; ani według dat, ani według czasu służby, ani nawet alfabetycznie. Jakow sprawdził każdy wpis w kolejności wyświetlania, szukając osoby pozostającej na służbie od 1961 do 1973 roku.

Oxby usiłował odczytać choć kilka pierwszych wierszy z każdego akt, nie mógł jednak nadażyć za przyjacielem, który przebiegał wzrokiem przez informacje, jakby czytał nagłówki w gazecie. Zerkał tylko, usuwał dane i wyświetlał kolejne. Po dwudziestu minutach takiego przeszukiwania przywołał gestem Oxby'ego.

- Spójrz na tutaj, Jack. To może być to.

Inspektor przysunął się do monitora i wpatrzył w rosyjskie litery.

- Jak najbardziej! Cholera, to nasz człowiek. Jak to się wymawia, Jakow?

- Oleg Władimirowicz Dieriabin.

- Gdzie stacjonował w 1963?

Jakow odczytał kluczowe daty.

- W czerwcu tego roku przeniesiono go do bazy marynarki wojennej w Tallinie.

- Chyba go mamy - rzekł Oxby. Mimo to przezornie polecił Jakowowi sprawdzić wszystkich Dieriabinów z listy. - Nie możemy sobie pozwolić na błędy - pouczył.

Oxby patrzył, jak przyjaciel wyświetla kolejne dane weteranów marynarki o nazwisku Dieriabin. Żaden z nich nie miał czteroliterowe- go imienia i żaden nie służył w interesującym ich czasie.

- Dobra robota. - Oxby się rozpromienił. - Wydrukujmy te akta.

Zrobili to i ruszyli w drogę powrotną. Mikki rozplynął się w powietrzu. W pobliżu miejsca, gdzie zaparkowali samochody, zgromadził się spory tłumek. Pulia pobiegł przodem, odpychając gapiów, zaglądających przez rozbite okno po stronie kierowcy do wnętrza łady Jakowa. Oxby dołączył do niego, by przyjrzeć się odłamkom szkła i sporej kostce brukowej, którą wybito szybę. Obok leżącego na przednim siedzeniu kamienia, w otoczeniu niezliczonych szklanych drzazg, dostrzegł zielone pudełko przewiązane jasnozieloną wstążką.

W końcu zjawił się Jakow. Skamieniał na widok swego pocziwego stareńkiego auta uszkodzonego w tak brutalny sposób. Zaklął soczyście, rzucając gromy na głowy sprawców, i sięgnął ku klamce.

- Czekaj - powstrzymał go Oxby. - Mieliśmy gości, którzy nie odznaczają się dobrymi manierami. Rozejrzyjmy się i upewnijmy, czy nie ma jeszcze innych niespodzianek.

Razem z Pulią sprawdzili taśmę i starannie obejrzelili oba pojazdy. Ochroniarz zajrzał pod samochód Jakowa, używając tyczki z

przymocowanym lusterkiem. Dla pewności sprawdził też podwozie swojego wozu. Dopiero wówczas inspektor otworzył drzwi, pozwalając, by uprzątnął szkło i wyciągnął zielone pudełko.

- Co przysłali tym razem? - zastanawiał się Jakow.

- Otworzę - powiedział Oxby, biorąc od niego podejrzanie ciężkie pudełko. Zawartość mogła być niebezpieczna. Rozwiązał wstążkę, postawił pudełko na chodniku i kijem podważył wieko. Wewnątrz zobaczyli ścinki papieru i ułożony na nich kolejny pakiecik.

- Powiadam ci, Jack, tym ludziom brak wyobraźni. Całkiem jak pierwsza wysłana paczka, nawet płótno identyczne. Pamiętasz?

-A jakże, pamiętam, ale tym razem to nie lalka - odparł Oxby. Wziął zawiniątko do ręki i lekko ścisnął, chcąc wymacać zawartość.
- Obawiam się, że wiem, co to takiego.

Zaczął odwijać płótno.

- Przygotuj się - rzucił. - Ostrzegam, widok nie będzie przyjemny.

Kiedy już odpakował, w ręce pozostał mu zwitek papieru oraz... ludzki palec. Jakow wzdygnął się z obrzydzenia na widok trupio białej skóry i sinego paznokcia. Palec odcięto jednym czystym cięciem, choć wokół kości zakrzepła czarna już teraz krew.

Pulia przyglądał się palcowi z zawodową ciekawością. O ile Oxby dobrze zrozumiał, wyraził nadzieję, że biedny skurczybyk był już nieprzytomny lub martwy, gdy oderżnięto mu palec od dłoni.

Inspektor rozwinął zwitek papieru i podał karteczkę Jakowowi. Odzyskawszy już panowanie nad sobą, odczytał tekst i przełożył na angielski.

Natychmiast przerwijcie poszukiwania. Możemy wyeliminować waszą ochronę w kilka minut. To ostatnie ostrzeżenie.

Oxby pokazał notkę Pulii.

- Mogą wam przeszkodzić nas chronić? O to im chodzi?

- To gra. Wy mnie wynajęliście, żeby was chronić, oni wynajmują kogoś, żeby mnie zabił. - Tu Pulia wyszczerzył zęby. - Ale my wynajmiemy więcej ludzi do ochrony mnie.

Jak system argentyński, pomyślał Oxby, tyle że stawka jest nieporównanie wyższa.

Oxby pomógł Jakowowi oczyścić samochód ze szkła. Wreszcie mogli wsiąść do środka.

- Jedźcie za mną - poinstruował ich Pulia. - Kiedy zamacham, skróćcie w prawo na następnym skrzyżowaniu. Zróbcie kółko wokół bloku i wróćcie na miejsce, gdzie skręciliście. Chcę sprawdzić, czy was

śledzą.

Strategia zyskała aprobatę inspektora. Na oko - nawet fachowe oko detektywa - wydawało się oczywiste, że nikt ich nie śledzi. Jednak Oxby zdążył się już przekonać, że w Rosji nic nie było tak oczywiste, jak się wydawało.

Wrócili do mieszkania wieczorem. Jasno było niczym w dzień.

- Zdziwiony jestem, ale nikt was nie śledził - zameldował Pulia Oxby'emu.

- Jesteś zdziwiony, a ja zadowolony. Zastanawiałem się, czy nie jedzie za nami Mikki. Wiesz może, gdzie się podziewa?

- W mieście go nie ma. Nie wróci, aż nie wyda całej kasy. - Pokręcił z dezaprobata głową. - Więcej już dla nas nie popracuje.

- Zastąpicie go?

- Jutro będziecie mieć nowego człowieka.

Oxby zastanawiał się, czy to faktycznie tak proste, jak w wersji Pulii. Dla niego była to gra.

- Każdy z każdym - tłumaczył. - Nawet jeśli przegrasz, nie odpadasz z rozgrywek.

Po kolacji Jakow wyjął kartki z zebranymi tego dnia informacjami i rozłożył je na stole. Zabrał się do tłumaczenia akt Olega Dieriabina z czasów służby w marynarce. Odczytywał na głos fragmenty, komentując je od czasu do czasu na własny użytek. Oxby przeglądał swoje notatki, czasem coś dopisując. Przez godzinę pracowali, nic nie mówiąc, oddani całkowicie swoim zajęciom. Wreszcie Oxby odsunął krzesło od stołu. Rozmyślał nad czymś, wpatrując się w przyjaciela nie to z rozbawieniem, nie to z głębokim zatroskaniem.

-Dzielnie się zachowałeś w sytuacji naprawdę niebezpiecznej

- odezwał się. - Zresztą tak, jak i przez całe te dwa tygodnie, które spędziliśmy razem. Teraz jednak twoje życie może być poważnie zagrożone. Nie mogę dalej narażać cię na takie ryzyko.

- Chcesz opuścić moje mieszkanie?

- Nie tylko to. Pokażę aż nazbyt dobitnie wszystkim, którzy mogliby się przyglądać, że to ja szukam pisanki Rasputina. Nie ty.

-Jeśli przejmujesz się moim bezpieczeństwem, to daruj sobie. Ożywiłeś moje smutne życie. Nie chcę znów nudy. Nie chcę się czuć beużyteczny.

- Chyba mamy tu problem z komunikacją - zaproponował Oxby.

- Słuchaj mnie uważnie. Grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo. Mogą cię zabić, a przynajmniej poważnie zranić. Jaśniej już nie potrafię tego wyrazić.

- Nie mam problemów z angielskim. Dzięki tobie, zresztą. Chcę przez to powiedzieć, że w pełni rozumiem niebezpieczeństwo i w jakiś

perwersyjny sposób to mi się podoba. Zawrzyjmy mały układ. Zapłać za nową szybę w moim kochanym autku, a ja będę dalej pełnić funkcję twego asystenta w prowadzeniu dochodzenia. - Jakow podniósł się z miejsca, znalazł butelkę, dwie szklanki i kilka kromek ciemnego chleba. Wrócił do stołu i napełnił obie szklanki bursztynowym płynem. - To tutowka, koniak z Karabachu. - Rozpromienił się. - Z gór Kaukazu - wyjaśnił. - Zobaczysz, posmakuje ci.

Podał Oxby'emu szklankę i uniósł swoją.

- Zgoda między nami? Nie będziesz już wspominał o wyjeździe?

- Zgoda. Aleja też chciałbym zawrzeć z tobą pewien układ - odparł Oxby. - Nigdy, przenigdy, nie zejdziesz mi z oczu bez pozwolenia.

- *Dawaj, czokniemsia* - podsumował Jakow, zapraszając Oxby'ego do toastu. Koniak był mocny, palił w gardle żywym płomieniem. Detektyw wypił duszkiem, po czym odłamał kawałek chleba i przeżuwał powoli, zastanawiając się, czy decyzja, by pozostać z Jakowem, była słuszna. Patrzył, jak ten powrócił do swych zadań. Po piętnastu minutach ogłosił, że skończył tłumaczenie wszystkich dokumentów z akt Dieriabina.

- Poza czterema stronami z zapisem służby, było jeszcze dziewięć kolejnych - meldował Jakow. - Trzy strony listów, pięć kopii transkryptów odnoszących się do jego obowiązków i jedna strona z zapisem postępowania sądowego. Z tego co widzę, Dieriabin zrobił karierę.

- Co przez to rozumiesz? - spytał Oxby.

- Odchodząc ze służby, był *kapitanem trzietiego ranga*. Odpowiednik komandora w waszej flocie. Bardzo wysoka ranga, jak na kogoś tak młodego. Chcę przez to powiedzieć, iż dali mu tyle odznaczeń, że ledwo mu się na piersi mieściły. Co jest tym dziwniejsze, że w czasach jego służby nie mógł walczyć w żadnej wojnie.

- Ile lat służby?

- Wiele. Chyba z siedemnaście. A tak, wstąpił do wojska w 1961, a zwolniono go w maju 1978. Co ważniejsze, został przeniesiony do Tallina w lipcu 1963. Potem kolejno do Teheranu i Kairu. Następnie do Sankt Petersburga w 1971. Wreszcie wysłano go do Waszyngtonu. W czerwcu 1973 został mianowany adiutantem starszego attaché wojskowego ambasady Związku Sowieckiego.

Oxby zamyślił się nad tym przydziałem do Waszyngtonu. Doszedł do wniosku, że to właśnie wtedy Dieriabin zaczął robić prawdziwą karierę. Miał wówczas trzydzieści cztery lata.

-Jack, to cię może zainteresować - ciągnął Jakow, wręczając mu kolejną kartkę. - To podsumowanie zeznania Dieriabina w sprawie Wasyla Karsałowa o morderstwo.

Oxby przeczytał tłumaczenie.

- Masz rację, niezwykle cenna informacja. To potwierdza, że Dieriabin i Karsałow służyli razem w marynarce i że według Dieriabina łączyła ich przyjaźń. Mówił, że Wasyl był poczciwcem, ale wiecznie miał problemy z alkoholem.

- Skąd ta strona wzięła się w jego aktach? - zastanawiał się głośno Jakow.

- Chciał, by wyglądało, że był lojalnym przyjacielem. Niech no zerknę na akta Wasyla i twoje tłumaczenie jego pamiętników. Dodaję dwa do dwóch i wychodzi mi... pięć.

Oxby przebijał się przez górę papierów, które podał mu Jakow, układając je starannie w stosiki.

- Szukam tego transkryptu, który znalazłeś w aktach osobowych Wasyla. Oryginału, nie tłumaczenia.

Jakow przekartkował inną stertę papierów, wybrał z niej kilka arkuszy i podał Oxby'emu.

- Chodź, zobacz - odezwał się detektyw. - Czy imię i nazwisko Olega Dieriabina pasuje do pierwszego pustego miejsca?

Jakow potwierdził.

-A samo nazwisko do wszystkich innych pustych miejsc.

- Do sądu z tym nie pójde, ale to, co tu widzę, podpowiada mi, że Wasyl Karsałow nie popełnił morderstwa. Ale Oleg Dieriabin owszem.

- Widzisz, Jack. W Związku Sowieckim do takiego manipulowania oficjalnymi dokumentami mogło dochodzić jedynie za sprawą rozkazu z góry. Za nowej władzy źle opłacany urzędnik dokona tego samego cudu, jeśli dostanie paczkę cameli. Ale nawet nazwiska by nie wymazano, mielibyśmy tylko słowo Wasyla przeciw słowu Dieriabina.

-A taki pojedynek Dieriabin by wygrał. - Oxby rozsiadł się, by przeczytać wszystkie strony tłumaczenia. - Każdy zapis w jego aktach dodaje tylko blasku nienagannemu przebiegowi służby. Frapująca lektura. Nikt nie jest aż tak idealny - podsumował. - Za każdym razem otrzymywał maksymalne noty. Przyznano mu kilkadziesiąt wyróżnień. Wraz z każdym wyróżnieniem dostawał kolejny medal i baretkę. Aż do zwolnienia ze służby, ale z wyróżnieniem!

- Jest jeszcze coś - rzekł Jakow, podając przyjacielowi list. - To kopia listu, jaki Dieriabin wysłał do biura komendanta, w którym potwierdza otrzymanie emerytury. Widać, że mimo tych wszystkich nagród, nie dostanie dużo. Ale ważniejsze, że list jest sprzed pięciu miesięcy i mamy tu adresy Dieriabina: prywatny i służbowy, oraz numery telefonów.

- Wspaniale! - wykrzyknął Oxby. - Założę się, że skądinąd nie dostalibyśmy tej informacji, bo Dieriabin zapłacił za usunięcie swego nazwiska ze wszystkich rejestrów.

- Ale po co? - zdziwił się Jakow. - Nie można żyć, że tak powiem, w sekrecie. Widzisz? - Wskazał list. - Mieszka na Kamiennym Ostrowie, tam gdzie przyjeżdżają wycieczki, by obejrzeć domy najzamożniejszych ludzi.

- Ludzie w typie Dieriabina są jak dzieci bawiące się w chowanego - powiedział Oxby. - Uważają, że jeśli nie widzą nas, to my również nie widzimy ich.

ROZDZIAŁ 33

Ristorante u Gino, z jej dziwnymi włosko-rosyjskimi specjałami, nie była turystyczną mekką. Lokal usytuowany był na nabrzeżu Fontanki, po niewłaściwej stronie Prospektu Newskiego, półtora kilometra na zachód od wielkiego bulwaru. Ciemne pomieszczenie oświetlały jedynie świece wetknięte w opase butelki po chianti - które jednak nigdy nie zawierały wina. I butelki, i ich słomianą owijkę wyprodukowano w Tajlandii. Trzeba jednak przyznać, że w powietrzu unosił się prawdziwy zapach czosnku i oregano. W niewielkiej jadalni panowała senna atmosfera. Ale cóż w tym dziwnego? Było pusto, goście zajęli dwa stoliki.

Przy oknie siedzieli chyba rodzice z córką. Rozmawiano po niemiecku. Galina Łysenko wybrała miejsce pod ścianą, przyozdobioną plakatem linii lotniczych Alitalia. Przez ciemne okulary obserwowała wejście. Czekala. Kelner nalał wodę do szklanki, pozostawiając butelkę na stole. Podał Galinie menu, po czym się oddalił. Kobieta spojrzała na zegarek, na siedzącą obok rodzinę i znów na wejście. Otworzyły się drzwi. Do pomieszczenia wszedł mężczyzna, wypatrzył Galinę i podszedł do jej stolika.

To był Pulia. Ubrany tak samo jak wówczas, kiedy towarzyszył Oxby'emu w archiwum marynarki. Przy zielonkawożółtym oświetleniu jego jasnoniebieskie oczy wydawały się wylupiate, a skóra przybrała kolor ciemnej oliwki. Miał wilgotną koszulę i śmierdział potem. W jego oddechu wyczuwała tanie słodkie wino. Widać powetował sobie pracowity dzień.

- Spóźniłeś się - ofuknęła go zniecierpliwiona Galina.

- Poszedłem na dworzec Moskwa i wmiszałem się w tłum. Dopiero potem przyszedłem tutaj. - Przywołał kelnera i zamówił butelkę włoskiego wina.

Galina zdjęła okulary, pochylając się ku Pulii.

- Oxby mówił coś o Taszkencie? Przyznał się, że zabił Wiktora?

- Nie rozmawiają o tym przy mnie. A jeśli zapytałbym, jak zginął Wiktor, zdziwiliby się, skąd wiem, że nie żyje.

- Zawsze możesz powiedzieć, że pół miasta wie o Wiktorze. I że zabito go w Taszkencie. Powiedz im tak.

Zaśmiał się.

- Tą połową jesteśmy ty i ja. Oxby i Iljuszyn wiedzą, bo byli wtedy w Taszkencie.

Galina zeszywniała.

- Tracimy tylko czas, czekając na dowód, że Oxby zabił Wiktora. Mam dowody, których mi potrzeba.

- Jakie dowody?

- O, tutaj. - Przyłożyła dłonie do piersi i przesunęła je aż na brzuch.

- Czuję to całym ciałem. - Uniosła twarz do światła, demonstrując Pulii blizny na policzkach. - Widzisz? Dieriabin mi to zrobił. Mówi, że Wiktor sam się przyczynił do swojej śmierci. Kłamca.

- Pojechał do Taszkientu dla Dieriabina - odparł Pulia. - Równie dobrze można powiedzieć, że to on jest winny.

- Powiedziałam Dieriabinowi, że stanowimy zespół.

- Więc dlaczego tylko jemu zlecił zadanie?

-To był sposób, żeby nas rozdzielić. Mieliśmy wykonywać jego rozkazy bez zmużenia oka. Bezbłędnie.

Przyniesiono wino Pulii. Ten nalał kieliszek Galinie, a sam pociągnął wprost z butelki.

- Mówiłem już to i powtarzam, że bardzo mi przykro z powodu Wiktora. Był dobrym przyjacielem - stwierdził po kilku głębszych.

- Oxby'emu i staruszkowi podobał się prezent od nas? - zapytała.

- Iljuszyn był wściekły jak osa z powodu rozbitej szyby. Ale nie przeraził ich widok palca. Oxby zniszczył wiadomość.

-To jakaś głupia gra, na którą nalegał Oleg. - Upiła nieco wina i się skrzywiła. Podsunęła kieliszek Pulii.

- Możesz powiedzieć Dieriabinowi, że Oxby ma kopie jego akt z archiwum marynarki - rzucił jej rozmówca.

-Jak...?

- W archiwum marynarki wojennej podajesz imię i komputer je wyszukuje. Każdy może to zrobić - tłumaczył.

- Czym jeszcze się interesowali? - chciała widzieć Galina.

- Oxby dzwonił dziś rano do Nowego Jorku. Nie wiem, do kogo ani o czym mówił.

- Założono już podsłuch?

- Powiedzieli mi, że linie są stare i splątane z setką innych. Powinien być gotowy na jutro. Ale Oxby coś podejrzewa. Korzysta z telefonów w hotelach.

Galina podała Pulii kopertę.

- To połowa tego, co miałeś dostać. Drugą dostaniesz, kiedy Oxby zapłaci za swoje grzechy.

Skromny uśmiech na twarzy Galiny zastąpiło chłodne spojrzenie.

- Zapamiętaj dobrze. - Pochyliła się ku mężczyźnie. - Rozmawiaj z Oxbym, jakby był dawno niewidzianym bratem. Zapytaj go o Londyn, o Scotland Yard. Trzymaj się zawsze blisko niego. Kiedy dostaniesz się do ich mieszkania, słuchaj, co mówią. Potem powiesz mi wszystko. Takie jest twoje zadanie.

- Sobota to nasz ostatni dzień.

- Nie mówiłeś, że kończycie robotę. Jakie mają plany?

Pulia odchylił się na oparcie, opróżniając kieliszek.

- Nie chcę o tym mówić.

- Porozmawiaj z Oxbym. Dowiedz się, co zamierzają.

- Spróbuję. - Osuszył kieliszek Galiny. - Kto zastąpi Mikkiego?

- Wybrałam Borysa. Iwan zadzwoni do Oxby'ego dziś wieczorem i powie mu, że Borys pojawi się u niego jutro rano.

- Nie ufam Borysowi. - Pulia dokończył butelkę. - Wybierz kogoś innego. On nie potrafi grać w drużynie.

- Wybrałam właśnie jego - odparła twardo. - I zaczyna jutro rano.

- To błąd. Borys robi tylko to, co dobre dla niego samego.

ROZDZIAŁ 34

Za kwadrans dziesiąta, w środę rano, Oxby zadzwonił na komórkę Pulii i polecił mu, by postawił samochód przed wejście do budynku. Usiedli z tyłu i kazali się zawieźć do Ermitażu.

Z nadejściem białych nocy ruch na ulicach Sankt Petersburga wzmożł się znacznie. W każdym rzędzie autokarów zaparkowanych na placu za Pałacem Zimowym stało ich ponad trzydzieści. Razem było na pewno ponad sto, niektóre przyjechały z bardzo daleka, nawet z Madrytu.

W poszukiwaniu miejsca do zaparkowania minęli znajdujący się na

tyłach muzeum budynek sztabu generalnego.

- Dzisiaj kultura - zagał Pulia. - Schodzimy sobie stopy, ale mózgi nam zmańdrzeją, tak?

- Nie tak - uciał Oxby. - Dzisiaj my, pan Iljuszyn i ja, skorzystamy z dóbr kultury. Ty zostaniesz z ekipą i będziesz miał baczenie na mieszkanie.

- Co to jest „baczenie”? - zapytał Pulia.

Jakow wyjaśnił, ale Pulia tego nie kupił.

-Znajdę tylko miejsce do zaparkowania i idę z wami. Płacą mi, żeby was ochraniał.

- Nie dziś, Pulia - zbył go Oxby. - Podwieź nas do wejścia.

Pulia grymasił, ale poprowadził peugeota za szpalerem samochodów ciągnącym się aż za narożnik muzeum. Skręcił w nabrzeże i zatrzymał się przy głównym wejściu, rzut kamieniem od Newy.

- Przyjedź tu po nas o czwartej - polecił Oxby. Weszli do środka. Inspektor zatrzymał się przy drzwiach i zaczekał, aż peugeot zniknie z pola widzenia. Wziął Jakowa pod rękę i przeszli do taksówek przy południowej ścianie budynku. Kilku kierowców podbiegło do nich, licząc na kurs. Oxby wybrał jednak samochód z przodu. Ubrany w skórzaną czapkę kierowca w średnim wieku uśmiechnął się szeroko. Zauważywszy, że Jakow utyka, chwycił go pod rękę i pomógł wsiąść do samochodu. Drobnym gestem, obliczonym na większy napiwek.

- Zagorodnyj Prospekt 86 - podał adres taksówkarzowi. Przejazdka zajęła pół godziny. Gdy dojechali, było prawie południe.

- Każ mu zaczekać - rzekł Oxby. - Zapłacę za fatywę.

Jakow porozmawiał z kierowcą. Ten spytał, ile chcą zapłacić, by zaraz przyjąć ofertę. Jakow stał się tyleż wprawny, co hojny w dysponowaniu amerykańskimi dolarami powierzonymi mu przez przyjaciela.

Inspektor od razu rozpoznał okolicę. Szpaler wysokich bloków, przed każdym łąta zieleni zarośniętej wełnianką. Gdzieś przędzy krzewy i żałośnie wyglądające przywiedle kwiaty. Przed wejściem do numeru 86 rosła olcha, rozcięta wzdłuż od czubka po korzenie.

Ocalała połowa pochylała się, niby pchana nieustannym wiatrem. Wreszcie wysoki, bladoszary budynek z balkonami; były one miejscem szczególnym dla mieszkańców klitek w środku, tutaj doświadczali wrażenia nieograniczonej przestrzeni. Przy wejściu stał mężczyzna po trzydziestce, z przędzy ciemnymi włosami. Ubrany był w ciężki wełniany garnitur i białą koszulę z jasnobrązowym krawatem.

Wyglądało na to, że jest mu nieznośnie gorąco mimo delikatnej, chłodnej bryzy i suchego niczym stara kość powietrza.

- To pewnie nasz facet - stwierdził Oxby.

Jakow podszedł do mężczyzny.

- Jestem Jakow Iljuszyn - przedstawił się. - Czy pan Paweł Balecki?

Mężczyzna uśmiechnął się nieśmiało.

- *Da* - odparł krótko.

Jakow podał mu rękę i przedstawił Oxby'ego. Ten spróbował przywitać się po rosyjsku, na co Paweł odpowiedział po angielsku. Oxby był rusycystycznym neofitą, ale po mistrzowsku rozpoznawał odmiany i dialekty języka angielskiego.

- Doskonale mówi pan po angielsku - pochwalił Rosjanina. - Poznają londyńską szkołę. Która to?

- London School of Economies. Czy to takie oczywiste? - Balecki się uśmiechnął.

- Tylko dla kogoś, kto kocha swój język. Ja kocham. To jak hobby. Gratuluję wyboru doskonałej uczelni.

Paweł przekreślił klucz w drzwiach i weszli do budynku. Trzeszcząca winda wyniosła ich na piąte piętro. Gospodarz wyjął dwa kolejne klucze i otworzył drzwi mieszkania. Cofnął się i zaprosił gości do środka, dopiero potem sam wszedł i zamknął drzwi.

- O ile się nie mylę, kiedyś mieszkał tu pan z ojcem - zaczął Oxby.

- Po śmierci mamy zostaliśmy tylko my dwaj - powiedział młody człowiek.

Oxby przypomniał sobie spotkanie ze starym Baleckim w Ermitażu. Był pod wrażeniem ich podobieństwa. Te same rysy twarzy, identyczny brązowy kolor włosów. Wzrostem chyba też się nie różnili i mieli uderzająco podobne głosy.

Siedzieli w małym zagraconym pokoju. Każdy mebel był z innej parafii. Sofa, krzesło, nieodzowny telewizor na stoliku wciśniętym w kąt,

drugi stolik. Na ścianach wisiały reprodukcje krajobrazów i zdjęcia w cienkich czarnych ramkach. Druciane stelaże przykręcone do ściany przytrzymały kolorowe klosze z rozrastającymi się chaotycznie filodendronami. Drzwi z barwioną szybą prowadziły do sypialni, dalej dwoje drzwi do łazienki i toalety. Na końcu korytarza kuchnia z oknem i drzwiami na balkon.

- Bardzo się cieszę, że zgodził się pan na to spotkanie - ciągnął Oxby. - Wiem, że to dla pana ciężkie dni, ale być może ma pan informacje, które pomogą nam wyjaśnić, co przydarzyło się pańskiemu ojcu.

- Dziękuję - odparł Paweł. - Pan pozwoli, że nastawię wodę. Możemy porozmawiać przy herbacie.

Perspektywa picia herbaty była dla Oxby'ego, jak zwykle, anatemą. Skrzywił się, ale natychmiast zamarkował entuzjazm.

- Wyborny pomysł. W rosyjskiej herbacie jest coś takiego, o czym muszę koniecznie opowiedzieć znajomym po powrocie do Londynu.

Woda się gotowała, Oxby niespiesznie przeszedł do kuchni, a stamtąd na balkon. Bariereki były wysokie i stanowiły raczej dobre zabezpieczenie. Nie wisiały na nich żadne doniczki, do których sięgając, Balecki mógłby stracić równowagę. Balkon służył również jako magazyn na rozmaite pudła i nieużyteczne w gospodarstwie domowym rzeczy, jak para wiekowych nart z butami, walizka, czy skrzynka pełna starych garnków, wyszczerbionych talerzy i filiżanek. Bluszcz w doniczce domagał się wody. Balkon był azylem Baleckiego. Samotne krzesło i popielniczka zapraszały do drzemki lub spędzenia kilku godzin z książką. Idealne miejsce na drinka i papierosa z widokiem na panoramę Sankt Petersburga.

Balkon mimo nagromadzonych rzeczy wydawał się uporządkowany i nie rzucało się w oczy nic, co mogłoby sugerować ślady walki. Oxby nie wiedział jednak, jak wyglądał w poranek po znalezieniu ciała Baleckiego. Dokładnie obejrzał podłogę - płytę ze zbrojonego betonu przytwierdzoną podporami do budynku. Gładka powierzchnia była poplamiona tłuszczem i resztkami jedzenia przyniesionego w celu spożycia na świeżym powietrzu. Kopnął kawałek chleba, może ciasta i kostkę pochodzącą najpewniej z kurzego udka. Ukłęknął na jedno kolano i przesunął palcem po trzech rozmazanych plamach wielkości starej sześciopensówki. Miały wyraźny kolor zaschniętej krwi. Detektyw bezbłędnie rozpoznawał krew, czy to świeżą i błyszczącą, czy to starą, o barwie zaschniętego błota.

-Nie sposób stwierdzić, jak długo tu jest - mamrotał do siebie - ani skąd pochodzi. Może z kawałka mięsa, może z nosa. A może z

obciętego palca.

Dołączył do mężczyzn siedzących w kuchni. Czekala na niego herbata podana w kubku ozdobionym kołami olimpijskimi. Wsywał nieodzwonnych sześć łyżeczek cukru i usiadł przy okrągłym stole, między Jakowem i Pawłem.

Oxby gawędził swobodnie z Pawłem. Wskazał na kubek i zapytał młodego gospodarza, czy był na olimpiadzie w 1980. Paweł odpowiedział, że zabrał go tam ojciec. Kilkunastoletniego chłopca, który marzył o karierze sprinterskiej. Oxby miał talent do przesłuchiwania, wzmocniony dodatkowo przez naturalny dar zjednywania sobie ludzi. Jego otwarta twarz nie ukrywała niczego, uśmiech miał szczery, a spojrzenie zawsze ciepłe i przyjazne. Nigdy jednak nic mu nie umykało. Czytał z każdego jak z książki - z intonacji głosu, mowy ciała i z oczu, które rozmówca zawsze odwracał w momentach zawahania czy wypowiedzenia nawet małego kłamstwa.

- Proszę mi wybaczyć, jeśli zadaję pytania, na które już musiał pan odpowiadać. Czy to prawda, że do niedawna mieszkał pan z ojcem?

-Tak.

- Kiedy się pan wyprowadził?

- W styczniu, kiedy się ożeniłem.

- W takim razie gratulacje będą na miejscu. - Oxby się rozpromienił. - Przez ten czas, od stycznia, często widywał się pan z ojcem?

Paweł zapalił papierosa.

- Nie, nie tak często, jak bym chciał. Moja żona też ma rodzinę.

- Trudno jest znaleźć czas dla wszystkich, prawda?

- Tak.

- Widywał go pan raz w miesiącu czy rzadziej?

- Nie rzadziej niż co miesiąc.

-Zauważył pan jakieś zmiany u ojca? W jego zdrowiu, samopoczuciu?

- Źle mu się mieszkowało samotnie. Nie odżywał się regularnie.

- Niefortunne następstwo - skomentował Oxby - aie nietrudne do przewidzenia. Czy ojciec pracował? Choćby dorywczo? Czy był na emeryturze?

- Chciał pracować, ale narzekał, że bardzo mu dokuczają artretyzm. Miał emeryturę, lecz zawsze dostawał ją z opóźnieniem.

Jakow chrząknął znacząco, gdy była mowa o spóźnionych wypłatach emerytury.

- Wspomagał pan ojca?

- Miał silne poczucie dumny, ale pod koniec przyjmował

pieniądze, które mu dawałem.

- Utrzymywał jakieś kontakty towarzyskie? Przyjaciele?

- Większość z nich zmarła lub się wyprowadziła. Niektórzy leżeli w szpitalach.

- Jacyś znajomi?

- Kilku. Spotykał się z nimi co miesiąc czy dwa.

- Przychodzi panu na myśl ktoś, kogo ojciec nie lubił?

- Był taki jeden. - Paweł uśmiechnął się ironicznie.

- Kto taki?

- Najstarszych przyjaciół poznał w marynarce. Za jednym z nich nie przepadał.

- Poznał pan któregoś z jego kolegów z wojska?

- Zdaje się, że było ich czterech - skinął głową - i znałem ich wszystkich. - Wstał. - Mam takie zdjęcie... - Jego głos przycichł, gdy przeszedł do drugiego pokoju. Wrócił i położył na stole otwarty album.

- Jest nawet data: dziesiąty maja 1964.

Oxby uważnie przyglądał się czterem młodym oficerom. Choć zdjęcie miało format siedem i pół centymetra na siedem i pół i nieco wyblakło, wszystkie twarze były ostre i wyraźne.

- Jak się nazywają?

- Ojciec zapisał nazwiska na odwrocie. - Wyjął zdjęcie z plastikowej koszulki. - To jest Karsałow - wskazał. - Na imię miał Wasyl. Podobno zabił człowieka, ale ojciec twierdził, że to był wypadek. Nigdy nie usłyszałem całej historii. Zesłano go do Kazachstanu czy Uzbekistanu, nie jestem pewien, gdzie.

Paweł podał zdjęcie Oxby'emu i pokazał palcem następną twarz. - To Sasza Akimow. Najstarszy z nich, mój ulubiony. Mówiłem do niego wujku.

- Ma pan miłe wspomnienia związane z Akimowem?

- Był zabawny i zawsze przywoził mi prezent. - Paweł z uśmiechem skinął głową.

- Często go pan widuje?

- Tak, przyjechał na moje wesele. I jeszcze raz potem. Dobrze się bawiliśmy, kiedy nas odwiedził.

Detektyw uważnie przypatrywał się twarzom na zdjęciu.

- Razem z pańskim ojcem mamy już trzech. A ten ostatni mężczyzna?

- Nie jestem przekonany czy ojciec go nie lubił, czy się go bał.

- Zamyślił się nad tym, co właśnie powiedział. - Chyba jedno i drugie - zdecydował po chwili.

- Kto to jest? - ponaglił Oxby.

- Oleg Dieriabin.
- Dlaczego pan sądzi, że ojciec mógł się go bać?
- To jemu najbardziej się powiodło. Po służbie w marynarce poszedł do KGB.

- Dlatego ojciec go nie lubił?
- Ojciec uważał, że starzy przyjaciele powinni sobie pomagać. KGB zmieniło Dieriabina. Ojciec nie chciał jałmużny, tylko szansę. Poprosił go o pomoc i powiedział, że będzie robił wszystko, na co pozwolą mu nogi. Dieriabin niemalże go wyśmiał. Wcisnął mu do kieszeni dwieście dolarów i odszedł.

- Kiedy to było?
- Niedawno. Jakies dwa tygodnie temu.
- Przypomina pan sobie, żeby ojciec wspominał coś o jajku Faber-gégo?

Młody Balecki dumał przez chwilę, wreszcie pokręcił głową. -
Nie.

- Kiedy ostatni raz widział pan się z ojcem?
- Dziesięć dni przed jego śmiercią. Przyszedł na urodziny mojej żony.

- Dobrze się bawił?

- Wyglądało na to, że tak.

-Komendant mówił, że pan zdecydowanie wykluczył samobójstwo. Czy to prawda?

Paweł patrzył na Oxby'ego jakby w poszukiwaniu odpowiedzi. Zamrugał, jak nieświadomie mruga się, gdy w oczach stają łzy.

- Po jego śmierci wiele razy zadawałem sobie to pytanie. Zmienił się i był nieszczęśliwy. Nie wierzę jednak, że się zabił. - Wytrzeł oczy.

- Nie dopuszczam też do siebie myśli, że ktoś był na tyle okrutny, żeby go zabić.

- Obawiam się - odpowiedział Oxby ściszym głosem - że ktoś był na tyle okrutny.

Na twarzy Pawła smutek mieszał się z zaskoczeniem.

- Wie pan, kto to zrobił?
- Jestem niemal pewien.
- Zgłosi pan to milicji?
- Zabójca pańskiego ojca nie żyje.
- Mam nadzieję, że skołał w cierpieniach.

Oxby przygryzł wargę i skinał głową.

- Dlaczego komuś zależało na śmierci mojego ojca?

- Dlatego właśnie zadaję te wszystkie pytania. Kiedy już będę znał odpowiedź, powiem panu. Daję słowo.

Jechali taksówką w kierunku centrum. Oxby notował, a Jakow obserwował go w milczeniu. Detektyw zamknął notes i wsunął do kieszeni koszuli.

- Co sądzisz o Pawle?

- Że to bardzo nieszczęśliwy człowiek. I nie ma dobrego zdania o Olegu Dieriabinie.

- Jak na razie, nikt nie ma. Chciałbym wyrobić sobie własne.

- Zamierzasz spotkać się z nim? - zapytał Jakow drżącym z podniecenia głosem - Pojadę z tobą.

- Nie. Nie wydaje mi się, żeby niezapowiedziana wizyta mogła spowodować jakieś problemy, zawsze jednak istnieje pewne ryzyko.

- Nie, Jack. Nalegam.

Oxby posłał mu karcące spojrzenie.

- Ja też.

Pulia, odstawivszy Oxby'ego i Jakowa pod wejście do Pałacu Zimowego, jechał wzdłuż bulwaru i przyległych doń budynków. Wszystkie cztery gmachy świat znał jako Ermitaż. Na wysokości czwartego i ostatniego budynku nagle dotarło do niego, że dał się nabrać. Otumaniony przez nadmiar wina wypitego poprzedniego wieczoru, uwierzył, że przez większą część dnia będzie razem z Oxby'm i Iljuszynem włóczyć się po korytarzach i galeriach muzeum. Uradował się nawet, gdy zwolniono go z tej tortury. Tymczasem dał się usunąć z drogi, żeby Oxby mógł nieobserwowany spokojnie buszować po mieście.

Pulia zawrócił przy pierwszej nadarzającej się okazji. Po kłótni z jakimś kierowcą i jego pasażerami zaparkował w cieniu

gigantycznego

wozu meblowego, czekającego na swoją kolejkę do strefy wyładunku. Pobiegł do głównego wejścia z nikłą nadzieją, że jeszcze ich znajdzie. Oxby'ego i Iljuszyna nie zapamiętała jednak babuszka w budce z biletami. Nie było też po nich śladu w księgarni ani w sklepie z pamiątkami. Ochroniarz wrócił na ulicę. Zauważył znudzonych taksówkarzy, kręcących się koło swoich samochodów. Podbiegł do nich i opisał mężczyzn, których szuka.

- Lipkin ich zabrał dziesięć minut temu - powiedział jeden z kierowców.

- Pojechali na zachód - dodał drugi, chcąc pomóc.

- Na wschód, idioto! - wtrącił się trzeci.

- Dokąd?! - wypytywał Pulia taksówkarza, który wydał mu się najbardziej wiarygodny z całej zgrai. - Jaki samochód? Jakiego koloru?

Dowiedział się, że Oxby odjechał czarną wołgą. Fatalny samochód, pocieszał się Pulia, często się psuje. Miał nadzieję, że go znajdzie, zobaczy, jak stoi z podniesioną maską gdzieś przy krawężniku. Po godzinie daremnych poszukiwań doszedł jednak do wniosku, iż jego podopieczni zostali dowiezieni do celu. Zatrzymał się przy monopolowym obok wejścia na stację metra. Kupił dwie butelki piwa i natychmiast je wypił. Pomyślał, że zadzwoni do Galiny, ale zapalił tylko papierosa.

- W dupie mam Galinę - powiedział na głos i beknął, ściągając na siebie karcące, pogardliwe spojrzenia kobiet ustawionych w kolejce do budki z piczywem. - Was wszystkie też mam w dupie. - Odwzajemnił ich spojrzenia.

Wrócił do Ermitażu i znalazł miejsce na parking. Przez kilka następnych godzin błąkał się między ulicą a salami blisko wejścia, spodziewając się, że z nadejściem czwartej Oxby i Iljuszyn podjadą inną taksówką. Pulia nie wiedział, że o drugiej Jakow zaprowadził przyjaciela do biur zarządu muzeum, znajdujących się przecnicę dalej, do których można było się dostać również od strony bulwaru. Gdy Jakow dawał odpocząć nodze, Oxby miał czas na wycieczkę po muzeum. O umówionej godzinie obaj mężczyźni pojawili się przed wejściem.

- Podobało się? - zapytał Pulia.

- Bardzo - odparł Oxby.

- Byliście tu przez cały czas?
Oxby posłał mu jeden ze swoich rozbrajających uśmiechów.
-Ajak ci się wydaje, gdzieś indziej moglibyśmy być. -Nie zapytał, lecz stwierdził.

ROZDZIAŁ 35

Boże, to miejsce przyprawia mnie o dreszcze - powiedział Lenny Sulzberger. Stał na szklanej podłodze w biurze Mike'a Carsona i patrzył w dół na lśniące nowością cadillaki i Georgię Gradowski, próbującą sprzedać jeden z samochodów. Spojrzał z ukosa na Patsy Abro-mowitz. - Ciebie też?

- Nie, uwielbiam je. Tak jak każdy z salonów Mike'a.

- Może „przyprawia o dreszcze” to niewłaściwe słowa. Gdziekolwiek spojrzę, nachodzą mnie jakieś popieprzone wspomnienia.

- Ej, ja tu byłam, kiedy strzelano do Akimowa. Więcej, jestem jedyną osobą, która usłyszała wystrzał. Nie wiedziałam, co to takiego, ale słyszałam. Potem zobaczyłam Dennisa. Jezu, ile tu było krwi...!

Lenny powłókł się do stołu i usadowił w fotelu obok Patsy, krzywiąc się z bólu. Otworzył przewieszoną przez ramię torbę i wyciągnął furę papierów, które położył na stole.

- Zrobiłem kopie artykułu. Jedną dla ciebie i jedną dla Mike'a. Jest cholernie dobry.

- Skoro sam tak twierdzisz...

-Tak twierdzą. Czytaj i chwal. Mam nadzieję, że nie będziemy sprawdzać go linijka po linijce. Dokonam zmian w granicach zdrowego rozsądku, ale nie zniosę pisania go po raz kolejny.

- Jeśli jest tak dobry, jak twierdzisz, nie będziesz musiał. Powiem Mike'owi, żeby zabrał go do domu i poświęcił mu trochę czasu.

- To mi się podoba. - Wręczył Patsy jedną kopię. Drugą położył na biurku, naprzeciwko krzesła Mike'a. - Mówiłaś, że może miałabyś dla mnie nowe zadanie. Co konkretnie?

-Mike wchodzi w spółkę z Rosjanami. Słyszałaś, jak o tym mówił.

- Nie wiedziałem, czy mówi poważnie. Czy to już sfinalizowane?
- Tak daleko sprawy jeszcze nie zaszły. Mike chce ich wypróbować. Jeśli wszystko będzie w porządku, podpisze kontrakt.
- Wątek rosyjski to materiał na niesamowitą historię.
- Tylko aspekt biznesowy. Osobisty jest nadal poufny.

Lenny otworzył notatnik.

- Wiesz, jaka historia naprawdę mnie fascynuje: jak dziadek Mike'a wszedł w posiadanie carskiej pisanki Fabergégo i jak ojciec Mike'a przegrał jajko w karty. Potem pojawia się Sasza Akimow. Staruszek nie zna ni w żąb angielskiego. Opowiada Mike'owi o jego rodzinie i radzi mu odzyskać jajko. Patsy, musisz przyznać, to cholernie dobry materiał.

-Widać, że bardzo chciałbyś napisać sagę rodzinną. Zapomnij. - Spojrzała na niego surowo. - To cholerny rozkaz.

-Jaki rozkaz? - Mike wszedł do pomieszczenia niezauważony. Stał teraz przy swoim biurku, przeglądając wiadomości.

-Lenny uważa, że pochodzisz z ciekawej rodziny, i chce o niej napisać. Kazałam mu o tym zapomnieć.

- Masz rację - potwierdził Mike. Rzucił notatki na biurko i zajął miejsce przy stole. - Co to jest?

- Artykuł, który Lenny o tobie napisał. Nie czytałam jeszcze ostatecznej wersji, ale robocza była świetna.

- Powinienem to przeczytać?

- Nie teraz, chyba że masz ochotę. Zabierz go do domu, posiedź trochę nad nim. Jeśli zauważysz błąd, zanotuj go. Ja zrobię to samo. Potem Lenny złoży wszystko do kupy i wyśle do redakcji.

-Coś jeszcze?

- Świat chce wiedzieć, co działo się w Carson Motors w ciągu ostatnich kilku tygodni.

- Mam dużo pracy, to się działo.

- Ludzie sądzą, że coś więcej.

- Jacy ludzie?

- Codziennie na maila przychodzi mi supermarketowy tabloid. Dostaję pytania na pocztę głosową i faks. Od czasu do czasu ktoś nawet do mnie po staremu dzwoni. Wszyscy węższą skandal, a im częściej mówię, że nic nie wiem, tym więcej wiadomości dostaję.

- Może niedługo będziemy coś wiedzieć - pocieszył ją Mike. - Prezes Koleso przyjeżdża do Nowego Jorku za kilka dni. Co oznacza,

droga Patsy, że jeśli wszystko pójdzie gładko, będziesz mogła zwołać konferencję prasową. Jesteś w tym świetna.

ROZDZIAŁ 36

Borys zrobił na Oxby dokładnie takie samo pierwsze wrażenie jak pozostali - napakowanego i praktycznie niemego osiłka. Zarówno Jakow, jak i Oxby odkryli jednak, że podobieństwo kończyło się na wyglądzie. Młodzieńcza twarz Borysa klóciła się z jego wiekiem. Miał ponad trzydzieści lat i był najstarszy z nich. Skończył jeden z instytutów, gdzie szkolił się na członka osobistej ochrony Gorbaczowa. Pizeżył pucz w sierpniu 1991. Wszystko szło jak po maśle do dwudziestego piątego grudnia 1991, kiedy człowiek, którego przysiągł chronić, ogłosił koniec Związku Sowieckiego.

Borysowi brakowało podstawowej znajomości angielskiego, którą mógł się pochwalić Pulia. Rozumiał jednak Oxby'ego, gdy ten mówił powoli. Jakow przepytывał Borysa. Gdy wywiad dobiegł końca, wzruszył ramionami i stwierdził, że Borys wygląda na godnego zaufania. Przyznał jednak, że tak samo ocenił Mikkiego, a potem został z ludzkim palcem w samochodzie.

Jakow dostał skierowanie do szpitala, gdzie mieli mu wymienić protezę. Znał całą procedurę i wiedział, że czekają go długie, ślimaczące się kolejki. Zaraz po odpytaniu Borysa Jakow i jego nowy ochroniarz odjechali ładą. Szybę w oknie wstawił sąsiad-złota rączka, który słynął z umiejętności naprawienia wszystkiego, co robi hałas lub ma silnik. Jakow włożył do siatki termos z herbatą, kilka jabłek i książkę dla zabicia czasu.

- Wpadnę zobaczyć, jak ci idzie - obiecał Oxby.

- Nie spodoba ci się to, co ujrzysz - ostrzegł Jakow - ale przyjdź, jeśli masz ochotę. Szpital Kujbyszew.

Zaraz potem Oxby podniósł słuchawkę. Miał zadzwonić do Pulii, gdy usłyszał ciche, ale wyraźne trzaski - dźwięk przestarzałego urządzenia podsłuchowego. Nacisnął widelki i zaczął czekać na nowy sygnał, trzaski jednak pozostały. Spróbował trzeci raz, nic się nie zmieniło. Zadzwonił do Pulii i zarządził spotkanie za trzydzieści minut.

- Wysadź mnie tam. - Oxby wskazał wejście do hotelu Astoria.

Pulia z rozmachem zawinął do krawężnika i zatrzymał samochód.

- Idziesz do tego hotelu? - zapytał.

- To jedno z miejsc, które chcę dzisiaj odwiedzić. Potrzebuję dwóch godzin. - Spojrzał na zegarek - Przyjedź tu po mnie o pierwszej.

- Ale jesteś sam - odparł Pulia, nie kryjąc irytacji. Oxby nie wyjawiał mu dzisiejszych planów. Teraz, tak jak dzień wcześniej, dawał mu do zrozumienia, że będzie chodził sam.

Oxby stanął na chodniku. Zatrzasnął drzwi samochodu i zajrzał do Pulii przez otwarte okno.

- Tak właśnie ma być - powiedział. Obrócił się na pięcie i żwawo wszedł do hotelu.

Sfrustrowany Pulia uderzył w kierownicę i gwałtownie zawrócił, spychając z drogi autobus i taksówkę. Przed nim, w bezpośrednim sąsiedztwie Astorii, stał pięciopiętrowy budynek mieszczący biura IBM i New Century. Pulia chwycił komórkę, ale wyłączył ją i odłożył, nie zadzwoniwszy pod ostatnio wybierany numer. Naraz spłynęło na niego objawienie. Spojrzenie jasnoniebieskich oczu, ciągle jeszcze mętnych od nadmiaru wina z poprzedniego wieczoru, teraz zdawało się przytomnieć. Znowu uderzył w kierownicę, tym razem jednak uśmiechał się, jak gdyby właśnie rozwiązał jakiś palący problem. Oderwał samochód od chodnika i włączył się do ruchu.

We wnętrzu hotelu huczało niczym w ulu. Turyści i biznesmeni w turbanach paradowali tam i z powrotem po długim, wąskim holu. Kierownicy wycieczek zbierali swoje grupy, a zaniepokojone matki rozglądały się za nastolatkami; chowane bezstresowo pociechy, z alergią na dyscyplinę, same udały się na zwiedzanie. Oxby kupił angielskie wydanie „St. Petersburg Timesa”. Poszedł do restauracji, gdzie zamówił przyzwoitą reprodukcję angielskiego śniadania. Poprosił, żeby jajka gotować cztery minuty. Korzystając z wolnej chwili, podszedł do telefonu w holu i wykręcił numer znaleziony przez Jakowa w aktach Dieriabina.

- New Century - zgłosił się damski głos.

- Mówi pani po angielsku?

Mówiła, chociaż niezbyt biegle.

- W czym mogę pomóc?

- Proszę przekazać wiadomość panu Dieriabinowi. Jack Oxby przyjdzie do jego biura dzisiaj o jedenastej trzydzieści.

- Proszę powtórzyć...?

Inspektor powtórzył i poprosił sekretarkę o odczytanie wiadomości. Przekonawszy się, że nie zrobiła błędów, odłożył słuchawkę.

Śniadanie nie spełniało standardów hotelu Stafford w Londynie, ale kawa była miłą odmianą po silnie aromatyzowanej herbacie Jakowa.

O jedenastej trzydzieści Oxby wysiadł z windy. Przystanął przed emblematem firmy i przejrzał listę oddziałów. Wszedł do recepcji, gdzie, otoczony dziesiątkami swoich własnych odbić, poczuł się niczym w sali luster na Brighton Pier, moło znanym jako miejsce rozrywek. Przed lustrem stał nieruchomy strażnik. Bez mrugnięcia okiem mówił do prawej ręki, którą trzymał przy ustach. Lewą miał wciśniętą w kieszeń garnituru. Między zwierciadłami detektyw wypatrzył damską twarz.

- Nazywam się Oxby - przedstawił się - Jack Oxby. Nie jestem umówiony, ale dzwoniłem wcześniej i poinformowałem, że będę tu o tej godzinie. Czy pan Dieriabin jest u siebie?

Ładna recepcjonistka, o ustach umalowanych ciemnoczerwoną szminką, patrzyła na niego w milczeniu. Jednak z tyłu dobiegł go głos wysokiego mężczyzny, stojącego obok lustrzanych drzwi.

- Pana Dieriabina nie ma dzisiaj w biurze - poinformował Trivimi Laar - ale może ja mogę panu w czymś pomóc?

Oxby obrócił się i podszedł do Estończyka.

- Przepraszam za wizytę z tak krótkim wyprzedzeniem. Bardzo mi zależy, by zapytać pana Dieriabina, czy nie mógłby mi pomóc w odnalezieniu cennego dzieła sztuki wykonanego przez Fabergégo. Mam podstawy przypuszczać, że wie coś na ten temat.

- Fabergé? - Trivimi pokręcił głową. - My nie zajmujemy się sztuką.

- Moje pytania do pana Dieriabina nie dotyczą interesów. To sprawy osobiste.

- Interesy czy sprawy osobiste, Oleg Dieriabin nie jest osiągalny.

- Zaczekam - powiedział Oxby i skierował się w stronę stolika z czasopismami.

- Pan mnie źle zrozumiał. Oleg Dieriabin nigdy nie jest dostępny, jeśli spotkanie ma dotyczyć spraw osobistych.

- Być może uda mi się go przekonać, żeby zrobił wyjątek.

- Nie ma wyjątków - odparł Trivimi twardo i z naciskiem.

Oxby zmierzył wzrokiem wysokiego mężczyznę, którego angielski był, jak dla jego osłuchanego ucha, całkiem przyzwoity. Chociaż nie mógł się pochwalić znajomością rosyjskiej intonacji, rozpoznał dziwny akcent. Stwierdził, że jego rozmówca mówi inaczej niż Jakow, wykształcony rodowity petersburżanin.

- Czy mogę spytać, jak się pan nazywa? - Oxby odezwał się uprzejmie. - Zdaje się, że pan się nie przedstawił.

- Trivimi Laar - odparł niechętnie Estończyk. Sprawiał wrażenie, jakby nagle poczuł się zagrożony.

Inspektor ozdobił twarz jednym ze swoich ciepłych uśmiechów.

- Jestem zaszczycony, panie Laar. - Wyciągnął rękę.

Trivimi był zbity z tropu zachowaniem Oxby'ego. Wyraźnie usztywniony odwzajemnił gest, by przekonać się, iż ręka niższego mężczyzny jest duża i silna.

- Panie Laar - detektyw ściszył głos do konspiracyjnego szeptu - czy mówi coś panu nazwisko Wasyl Karsałow?

Uśmiech i silny uścisk Oxby'ego na ułamek sekundy odwróciły uwagę Estończyka od wypowiedzianego nazwiska. To wystarczyło. Usta Trivimiego drgnęły nerwowo. Natychmiast przejechał po nich palcami, zdając sobie sprawę, że się zdrygnął.

- Karsałow? - powtórzył Trivimi. - Chyba znam kogoś o tym nazwisku, ale...

- Wasyl Karsałow.

- Raczej nie - odparł z kamienną twarzą Trivimi.

- Pan Dieriabın znał przecież Wasyla Karsałowa - naciskał Oxby. - Zdaje się, że razem służyli w marynarce.

- Chodźmy do mojego biura - rzekł Trivimi i skinął na strażnika, który odsunął się od drzwi. - Mamy dziesięć minut.

Oxby nieufnie zmierzył strażnika wzrokiem i podążył za Estończykiem do jego małego, pozbawionego biurka i okien pokoju.

- Dziesięć minut - powtórzył Trivimi i zamknął drzwi. - Czego pan chce?

- Wydaje mi się, że zna pan odpowiedź - powiedział Oxby. - Przyjechałem do miasta w poszukiwaniu prawdy kryjącej się za osiemdziesięcioletnią legendą. Z przyczyn, których nie potrafię wyjaśnić, nagle ginie trzech ludzi. Ma pan pojęcie, dlaczego?

- Nie - odrzekł stanowczo Estończyk.

- Nie wie pan? A może, jak by to powiedzieć, wyjawienie tego nie byłoby korzystne?

- Powtarzam, nie znam odpowiedzi.

Wyjął okulary z niebieskimi szklami i założył je na nos w miejsce tych w stalowych oprawkach. Oxby nie mógł wiedzieć, że niebieskie okulary to chwyt, z którego Trivimi Laar korzysta podczas poważnych negocjacji. Świetnie zdawał sobie jednak sprawę, że nieprzejrzyste szkła są kryjówką dla oczu. Skutecznym wybiegiem, który uniemożliwi mu czytanie z oczu człowieka siedzącego zaledwie dwa metry od niego.

- Dlaczego interesuje się pan tym jajkiem? - zapytał Trivimi.

- Pewnie pan wie, że jestem na urlopie... Mam rację?

- Skoro pan tak twierdzi...

- Wynajęto mnie, żebym zbadał, czy to prawda, iż Grigorij Rasputin zamówił u Fabergégo pisanekę dla carycy Aleksandry. Intrygująca spekulacja, nieprawdaz?

- Może i tak.

- Podczas dochodzenia odkryłem informację, która łączy nazwisko Olega Dieriabina z pisaneką.

- Nigdy o tym nie słyszałem.

- Więc niech pan to przyjmie do wiadomości - powiedział z naciskiem Oxby. - Mam na myśli jajko, które zmieniło właściciela trzydzieści pięć lat temu. Przeszło wtedy na własność pana Dieriabina, który, jeśli go nie sprzedał ani nie oddał, posiada je do dzisiaj.

- Na ten temat może się wypowiedzieć tylko pan Dieriabin.

- Kiedy mogę się z nim spotkać?

- Nie wiem.

- Może jutro? Albo pojutrze?

- Aktualnie wybiera się w podróż do Nowego Jorku.

Wiadomość zaskoczyła Oxby'ego, ukrył jednak radość.

- Może będę mógł złożyć mu wizytę, kiedy wróci. Kiedy leci do Nowego Jorku?

- W sobotę. - Trivimi wstał, wyraźnie sugerując, że rozmowa zbliża się ku końcowi. - Jeśli zostawi pan swój numer telefonu, być może uda nam się umówić spotkanie.

- Przecież już ma pan mój numer, nieprawdaz?

- Nie. - Trivimi pokręcił głową. - Nie dał mi go pan.

Oxby faktycznie nie dał Estończykowi swego telefonu, ale przecież

nie o to mu chodziło. Postanowił jednak nie drążyć tej kwestii.

- Może to zbieg okoliczności, że pan Dieriabın jedzie do Nowego Jorku - stwierdził. - Zdaje się, że pan był tam niedawno.

- Nie byłem. - Trivimi zmienił pozycję na krześle.

- Panie Laar, proszę... - Na twarz Oxby'ego powrócił uśmiech. - Nie przesłuchuję pana, zachęcam jednak do mówienia prawdy. O pana wizycie w Carson Motors wiem od swojego współpracownika. Był obecny przy spotkaniu, w którym pan uczestniczył. Krótko mówiąc, mam świadków i fakt jest niezaprzeczalny.

- Prowadzimy poufne negocjacje i nie chcemy, żeby nasze plany przeciekły do konkurencji.

- Zapewniam pana, że ani ja, ani mój kolega nie mamy bladego pojęcia, kto może być waszą konkurencją.

- Została panu minuta. - Trivimi spojrział na zegarek. - Mam umówione spotkania.

- Oczywiście - odparł uprzejmie Oxby. - Proszę postarać się zrozumieć problem, przed którym stanąłem. Gdybym próbował się umówić, odmówiłby pan. Praca w policji czasem kształtuje złe nawyki.

- Marnuje pan czas.

Oxby zlustrował biuro Trivimiego w poszukiwaniu mikrofonów czy ukrytej miniaturowej kamery. Miał nadzieję, że w pokoju jest podsłuch. Dałoby to gwarancję, że nie będzie żadnych rozbieżności między tym, co mówi, a tym, co zapamięta Trivimi. Najbardziej prawdopodobnym miejscem ukrycia mikrofonu był modernistyczny telefon podobny do miniaturowego latającego spodka. Stał na środku dzielącego ich stołu.

- Człowiek nazwiskiem Akimow został zastrzelony w biurze Michaela Carsona. O tym też doniósł mi mój współpracownik. Pytał pana, czy znał pan denata.

- Tak, i powiedziałem, że nie.

- Oleg Dieriabın go znał. W istocie Akimow był kiedyś pracownikiem New Century. Obstaje pan przy tym, co pan powiedział? Nie znał go pan?

- Możliwe, że spotkałem go wieki temu i zapomniałem nazwiska. Mamy wielu pracowników. Przychodzą i odchodzą.

- Akimow przyszedł, odszedł i został zabity.

Oxby poczuł na sobie groźne spojrzenie zza okularów Trivimiego.

- Czy pana firma już przygotowała umowę z Carson Motors? -

spróbował jeszcze.

-Musi pan już iść.

Oxby pochylił się na krzesło, niby wstając. Zamiast tego podniósł wzrok i spojrzał na Estończyka.

- Możliwe, że mój klient zechce kupić jajko - oznajmił. - To liczący się kolekcjoner ze sporym kapitałem. Prywatna sprzedaż będzie szybka, a należność zostanie przelana natychmiast.

- Zapewne wie pan, że w wypadku tak rzadkiego dzieła sztuki najkorzystniejsza jest publiczna aukcja. - Trivimi był już przy drzwiach.

- Słuszna uwaga, ale aukcje dzieł sztuki zdobniczej takiej klasy trafiają się dosyć rzadko. Aukcja w Sotheby odbyła się na początku czerwca, a następna będzie miała miejsce nie wcześniej niż za rok. Do tego należy pamiętać o wydatkach: wysokich prowizjach i honorariach.

- Rozważałem czysto teoretycznie.

- Muszę spytać raz jeszcze. - Oxby uparcie nie wstawał z krzesła.

- Potwierdza pan, że carska pisanka Fabergégo jest w posiadaniu Olega Dieriabina?

- Pana czas dobiegł końca. - Trivimi otworzył drzwi na oścież.

- Zabiera ją ze sobą do Nowego Jorku?

- Powtarzam, nie mamy już więcej czasu. Proszę wyjść, zanim zostanie pan wyprowadzony siłą.

Estończyk sprawiał wrażenie spokojnego, jednak Oxby, specjalista od wykrywania niezauważalnych dla innych szczegółów, widział, iż Trivimi Laar jest o włos od utraty panowania nad sobą.

- Wynoś się pan! - ryknął Estończyk.

- Chyba mówi pan poważnie - odparł Oxby, jakby zbierając się do wyjścia - zatem skorzystam z pańskiej rady. Tylko jeszcze jedna, ostatnia rzecz. - Odwrócił się szybko i, pochylony nad dziwnym telefonem, rzekł: - Istnieją mocne poszlaki, że morderstwo, o które oskarżono Wasyla Karsałowa, w rzeczywistości popełnił Oleg Dieriabin. Co na to pan i pan Dieriabin?

Wypowiadając ostatnie słowo, był już na nogach. Trzema krokami pokonał dystans do drzwi i wyszedł. Nie czekając, aż zostanie odprowadzony do recepcji, sam minął strażnika ze słuchawką, mikrofonem i wybrzuszeniem pod marynarką.

Oleg Dieriabin siedział za biurkiem i stukał ostrym końcem nożyka do papieru o politurę. Wszystkie światła były zgaszone, a przez zaciągnięte kotary przenikał tylko jeden wąski promyk jasnożółtego światła. Słońce oświetlało dywan, biurko i ścianę tuż za prezesem New Century.

Estończyk wszedł i usiadł na tym samym krześle, co zwykle.

- Słyszałeś?

- Każde jebane słowo.

- Jak mógł się dowiedzieć tak dużo w tak krótkim czasie?

- Bo jest dobry. Za dobry, kurwa.

- Pytał o morderstwo. Chodziło mu o Preknera?

- Błefował. To ich metoda. Scotland Yard wydał o tym książkę.

- Tylko błefował? - Estończyk znów zamienił okulary. - A co, jeśli wie?

Dieriabin chwycił nożyk do listów i trzymając go niczym sztylet, wbił w skórzaną okładzinę biurka. Uderzał raz za razem, jak gdyby zniszczenie pięknego mebla miało obrócić wszystkie niepowodzenia w korzyści.

- Jeśli nawet wie, i tak nie da rady niczego udowodnić.

Wybuch nie poruszył Trivimiego.

- Przynajmniej wiemy, czego chce Oxby - powiedział cicho. - Co z tym zrobimy?

- Zabij go! Zabij skurwiela natychmiast!

- Jak? Zastrzelić go? Wysadzić mieszkanie?

- Nie, głupcze. Trzeba upozorować wypadek.

Trivimi dobrze wiedział, że egzekucję Oxby'ego należy zaplanować bardzo starannie i bardzo ostrożnie ją wykonać. Wiedział też, że planowanie to łatwiejsza część, wykonanie - daleko trudniejsza.

- Wiktor był w tym świetny - rzekł Trivimi - aie nie żyje.

- Załatw to z Galiną. Ma własne powody, żeby chcieć go zabić.

Pulia poszedł do hotelu. Gdy wrócił, jego peugeot stał wciśnięty między dwa autobusy. Z przodu stał piętrowy autokar z Niemiec, z tyłu drugi, ze Szwecji. Młodego przewodnika rozbawił problem Pulii. Chłopak mógłby pozować do plakatu z lat trzydziestych zachęcającego do powiększania szeregów Hitlerjugend. Miał bladeżółte włosy, idealnie niebieskie oczy i mlecznobiałą cerę -

zupełnie jakby właśnie wyszedł z charakterystorni na planie filmowym. Popatrzył wilkiem na Pulię, ten odpowiedział podobnym spojrzeniem. Gdyby doszło do bójki, oplącaloby się postawić na Rosjanina.

Oxby wsiadł do auta.

- Szpital Kujbyszew. Litejny Prospekt 56. Wiesz, gdzie to jest?

Pulia manewrował w ciasnej przestrzeni między autobusami, aż wreszcie udało mu się wydostać na jezdnię.

- Dwa miesiące temu woziłem jakiegoś lekarza do Kujbyszewa. Byłem tam wiele razy.

- Zostanę tam z panem Iljuszynem i z nim wrócę do mieszkania.

- Znowu sami. Niedobrze.

- Będzie z nami Borys.

- On nie ma doświadczenia - odrzekł lekceważąco Pulia. - Nigdy nikogo nie ochraniał.

- Odbędzie szkolenie praktyczne. Takie jest najlepsze.

- Raczej najgorsze. Poza tym jest nieuczciwy.

Oxby'ego rozbawiła ironia sytuacji. Jeden rzezimieszek oskarża drugiego o nieuczciwość.

- Zawieź mnie do szpitala - polecił - a potem jedź z powrotem do mieszkania i trzymaj rękę na pulsie.

Pulia nic nie odpowiedział. Niepocieszony jechał dalej, ćmiąc papierosa przyklejonego do kącika ust.

Koło szpitala nie było garaży ani parkingów mogących pomieścić wciąż rosnącą liczbę samochodów.auta nowe i stare, wszelkich marek i rozmiarów, stały zaparkowane wzdłuż ulicy i na chodnikach. Taksówki z chorymi pacjentami były natychmiast przeganiane klaksonami. Pulia musiał się zatrzymać na środku ulicy. Oxby wyskoczył z auta.

- Czołem! - krzyknął i zniknął w tłumie.

W szpitalu detektyw zdał sobie sprawę, że czekało go prawdziwe wyzwanie. Uzyskanie informacji, gdzie znaleźć Jakowa, byłoby wystarczająco trudne, ale znalezienie kogokolwiek, kogo można by o to spytać, stanowiło nie lada problem. Albo z powodu złych oznaczeń, albo dlatego że źle odczytywał znaki, stracił trochę czasu, szukając czegoś w rodzaju rejestracji. Gdy mu się wreszcie udało, cierpliwie zaczekał na swoją kolej, by zapytać o oddział protetyczny.

Ortopedyczne skrzydło szpitala wypełniali przede wszystkim

pacjenci ambulatorium. Wielu z nich towarzyszył ktoś z rodziny lub znajomi; niektórzy wyglądali mizernie, cierpienie mieli wymalowane na twarzy. Jakow siedział spokojnie w sali pełnej pacjentów, którym brakowało ręki, nogi lub jeszcze gorzej. Sporo osób czytało lub pisało listy. Rosjanin przesunął się na krzesło, oferując połowę Oxby'em, ten jednak nie skorzystał.

Czas płynął i zrobiła się za kwadrans trzecia.

- Jak postępy? Już ci wstawili nogę?

- Miałem szczęście. Właśnie robią odlew, a za cztery godziny skończą nasadę. Mówią, że dostanę nogę, zanim skończy się dzień.

- Kiedy kończy się dzień w takim miejscu jak tutaj? - zastanawiał się głośno Oxby.

-Mają skończyć do dziewiątej. Nie najgorzej, ale zjadłem już wszystkie jabłka i znowu jestem głodny.

- Zabiorę cię na kolację i uczymy twoją nową nogę - obiecał Oxby

i przykucnął. - Gdzie jest Borys? Nie mów, że następny nam nawiał.

-Nic nie jadł i wysłałem go, żeby sobie coś kupił. Pulia mówił, że to jego pierwsze zadanie. Nazwał go dzieckiem.

- Pulii można zaufać nie bardziej niż skazanemu szpiegowi. Masz podsluch w telefonie. Wczoraj wieczorem zapluskwili ci linię.

- Jakow Iljuszyn! - grzmiał głośnik. - Jakow Iljuszyn, proszę zgłosić się do pokoju 14-B.

- Chodź ze mną - poprosił Jakow. - Dzisiaj biją rekordy prędkości.

- Czuję się, jakbym nie miał nic między kolanem a podłogą! - wykrzyknął Jakow. - To nowe tworzywo jest takie lekkie!

- Wygodnie?

- Mam podrażnienie od starej nogi. Za jakiś czas mi przejdzie.

Przespacerował się w kółko i obwieścił, że wszystkie przeguby pracują prawidłowo. Dwóch terapeutów w białych kitlach zbadało go po raz ostatni, poprosili pacjenta o podpisanie wymaganych dokumentów i formularzy. Jakow zerknął na zegarek.

- Dwadzieścia po piątej. Niecałe siedem godzin. Rosyjski cud - skomentował.

Mniej cudowne było zniknięcie Borysa. Pełnił służbę zaledwie od

czterdziestu ośmiu godzin! Skoro nie należało ufać Mikkiemu, a teraz i Borysowi, jaką wiarę mogli pokładać w Pulii i pozostałych ochroniarzach zatrudnionych pierwszego dnia? W tych milczących mięśniakach, snujących się po mieszkaniu z tępych wyrazem twarzy? Zaczekali jeszcze czterdzieści minut. Borys się nie pojawił.

- Gdzie masz auto? - spytał Oxby.

- Już nie parkuję pod szpitalem. Stoi trzy ulice stąd.

- Masz kluczyki?

Jakow potrząsnął kluczykami wyjętymi z kieszeni.

- Może Borys czeka przy samochodzie - rzekł.

- Nawet nie myśl, że dzisiaj go zobaczymy - odparł Oxby. - Wydaje mi się, że gdy ci chłopcy znikają, to znikają na dobre.

Skręcili na ostatnim skrzyżowaniu. Jakow wskazał przeciwną stronę ulicy.

- Tam jest samochód. Miałeś rację - przyznał. - Ani śladu Borysa.

- Obiecałem ci kolację. Jeśli chłopak jeszcze chce z nami pracować, z pewnością znajdzie drogę do mieszkania.

W okolicy dominowały wieżowce i niskie budynki mieszkalne. Na rogu stały dwa sklepy; jeden z chemią i artykułami gospodarstwa domowego, drugi z narzędziami i wyrobami żelaznymi. Ludzie wracali z pracy, niosąc zakupy w reklamówkach, a dzieciaki na rolkach próbowały jeździć po wybojach jezdni pełnej dziur.

Byli na środku ulicy, gdy Oxby ujrzał Pulię. Biegł do nich z przeciwnego końca. Nagle usłyszeli krzyki i huk wystrzału.

Mężczyzna biegł zygzakiem i gorączkowo machał rękami.

- *Dierży! Dierży!*

Inspektor wiedział, że Pulia krzyczy, żeby się zatrzymali. Zorientował się też, że zygzakuje, aby uniknąć trafienia.

Gdy Pulia dobiegał do samochodu Jakowa, usłyszeli głośniejszą eksplozję. Spod ludy wystrzeliły niebieskie i białe płomienie. Wyrzucona w powietrze maska spadła na dach samochodu. Pulię rzuciło na jezdnię. Leżał bez ruchu. Miał krew na ramieniu i twarzy, którą otarł o zwirową nawierzchnię. Oxby podbiegł, uniósł go i przeciągnął na wytartą łatę zieleni.

Jakow stał nieopodal, na tle ognia, który buzował wewnątrz jego drogocennego pojazdu, powoli pożerając jego wspomnienia. Zgarbiony, wyglądał żałośnie. Powoli podszedł do inspektora, który udzielał Pulii pierwszej pomocy.

- Bardzo z nim źle? - zapytał.
- Postrzelono go w plecy - odparł Oxby - aie żyje. Znajdź kogoś, kto zabierze go do szpitala.

Wokół zebrał się wianuszek ludzi. Gdy Jakow poprosił o pomoc, kobieta o szerokiej, dojrzałej twarzy i ciele młodego boksera wagi średniej powiedziała, że ma taksówkę i chętnie pomoże.

Wybuchł zbiornik paliwa. Hałas nie był głośniejszy niż huk petardy. Jakow dolewał benzyny oszczędnie i w baku było więcej oparów niż paliwa.

Przyjechała taksówka. Położyli Pulię płasko na tylnej kanapie, pod krwawiące ramię podłożyli gazetę.

Wnętrze lady nadal płonęło, a z okien wydobywały się czerwone płomienie i kłęby czarnego dymu. Jakow patrzył na swojego starego, niezawodnego druha, dopóki nie zniknęli za rogiem. Jego samochód i wszystko, co zawierał, było już tylko wspomnieniem.

ROZDZIAŁ 37

Pulia leżał wsparty na poduszce niczym ciężko ranny Hindus. Zwoje białej gazy otulały mu głowę na podobieństwo ogromnego turbanu. Kolejne bandaże chroniły plecy i ramię. Głębokie szramy po prawej stronie twarzy posmarowano grubą, lśniąca warstwą przezroczystego żelu. Opuchnięte oko miał przymknięte. Obandażowana ręka spoczywała bezwładnie na podolku.

Była trzecia rano. Mimo że zaciągnięto rolety, światło rozjaśnionego już przedświtem nieba przesączało się do długiego, wąskiego pokoju szpitalnego. Pod ścianami stało po dziesięć łóżek z każdej strony, a przy każdym z nich stolik i pojedyncze krzesło.

Jakow usiadł przy łóżku Pulii. Oxby stanął obok.

- Mimo wszystko masz szczęście - zagaił detektyw.
- Kula była mała - wyszeptał ochroniarz bełkotliwie, oszołomiony jeszcze po narkozie.
- Małe też zabijają - odparł Oxby. - Zależy, gdzie cię trafią. Ta weszła w ramię, ale ją wyjęli. - Pokazał mu kulę. - Możesz ją sobie wziąć na pamiątkę.

- W ciele utkwiły odłamki kości - tłumaczył Jakow. - Dlatego tak cię boli.

- Dali mi coś, ale nie pomaga.

Oxby przysiadł na skrajku łóżka.

- Poprosimy siostrę, żeby podała następną dawkę.

- On może znów spróbować - powiedział nagle ranny.

- Kto niby? - spytał Oxby.

- Borys.

Jakow pochylił się nad ochroniarzem.

- Jest zdrajcą, jak Mikki?

- To tylko biznes. Wszyscy to robimy.

- Co robicie? - wtrącił Oxby.

- Bierzemy pieniądze od obu stron. -

Ty też?

- Tak. Ale popełniłem błąd.

- Co było błędem? - dociekał zdumiony Oxby.

- Szpiegowanie was za pieniądze.

- Chyba zaczynam się przyzwyczajać, że tak to się tutaj robi - skwitował Anglik. - Borysa wynajęto, żeby nas zabił?

- Borysa wynajmuje się, żeby zabijał. Zabił mojego najlepszego przyjaciela. Wypadek, powiedział. Kłamał.

Zabójcy to przeważnie kłamcy, pomyślał Oxby. Niektórzy doskonali. Pulia też?

- To dlatego odciągnąłeś nas od samochodu Jakowa?

- Chciałem, żeby Borys się wygłupił. Jeśli was zabije, znów będzie grubą rybą. - Pokręcił głową. - Niech się wali.

- Jak widać nie jesteś fanem Borysa, ale przypuśćmy, że profesor Iljuszyn albo ja zostalibyśmy ranni. Albo nawet zabici. Przejąłbyś się?

Pulia zamknął zdrowe oko. Milczał.

- Ktoś zapłacił Borysowi, żeby mnie zabił?

Ochroniarz pokiwał głową, lecz nie odpowiedział.

- Gadaj, Pulia, albo dopilnuję, żeby siostra zapomniała ci podać środek przeciwbólowy.

-Da - potwierdził stłumionym głosem.

- Ktoś ci płaci za szpiegowanie nas. Za założenie podsłuchu. Kto?

W odpowiedzi Pulia tylko zamrugał.

- Kto to taki? - nie ustępował Oxby.

- Uratowałem wam życie. - Pulia nadał się z dumy. - Ostrzegłem was.

- Nie opowiadaj bajek, Pulia. Pogrywałeś sobie tylko z Borysem. Guzik cię obchodzę. Martwisz się jedynie o zapłatę.

- Mylisz się - zaprzeczył gwałtownie ochroniarz, kręcąc głową.

- Kto ci zapłacił? - powtórzył detektyw.

Pulia odwrócił głowę.

- Zostanę z Pulią- zwrócił się Oxby do Jakowa, starając się mówić tonem tak władczy, jak tylko potrafił - a ty zadzwonisz na milicję i powiesz, że to twój samochód wysadzono w powietrze. Powiedz im, że mamy osobę, która podłożyła bombę.

Ochroniarz zeszywniał.

- Nie! - Chciał podnieść się z łóżka, ale był słaby jak kociak.

- Nigdzie nie idziesz - odezwał się spokojnie Oxby, powstrzymując go swobodnie położoną na piersi ręką. - Najpierw należą się nam wyjaśnienia. - Pochylił głowę, tak że znalazła się w odległości kilkunastu centymetrów od rozpalonej twarzy Pulii. - Kto ci zapłacił?

- Galina Łysenko.

- Jest krewną Wiktora Łysenki?

- To był jej mąż. Nie żyje.

- Widzieliśmy, jak to się stało - powiedział Oxby.

- Galina mówiła, że go zabiłeś.

- Jestem świadkiem - wtrącił Jakow. - Inspektor Oxby go nie zabił.

Wiktor sam spowodował swoją śmierć.

- Galina nigdy w to nie uwierzy.

- Od jak dawna znasz Galinę?

- Od dwóch lat. Poznałem ją przez Wiktora.

- A jego od kiedy znasz?

- Od dawna. Nie pamiętam dokładnie.

- Był twoim przyjacielem?

- Znajomym. To zabójca.

- A ty niby nie?

Pulia, choć mięśniak z byczym karkiem, wyglądał teraz żałośnie, leżąc tak bezradnie. Podniósł wzrok na Oxby'ego.

- Nie jestem zabójcą - oznajmił głosem, który nagle stał się silny i wyrazisty.

Anglik delikatnie szturchnął Pulię.

- Pozwolimy ci pospać, ale najpierw chcę odpowiedzi.

Pulia odemknął zdrowe oko i począł z trudem łapać powietrze.

Oxby przyglądał mu się w milczeniu, wreszcie odezwał się łagodnym tonem:

- Powiedziałeś, że zapłaciła ci Galina. Kto w takim razie zapłacił Galinie?

- Estończyk. Trivimi Laar.
- A kto opłacił Estończyka?
- Oleg Dieriabin.

ROZDZIAŁ 38

Dieriabin, chodził w tę i we w tę wzdłuż pokoju z wielkimi oknami, swojej rezydencji na Kamiennym Ostrowie. Z wściekłością zaciągał się papierosem. Był w paskudnym nastroju.

- Powiedz mi raz jeszcze, kim jest ten zdradziecki łajdak, Pulia?

Pytanie rzucił w przestrzeń. Mogła na nie odpowiedzieć albo Galina, albo mógł to zrobić Trivimi Laar. Oboje stali w bezpiecznej odległości od ciskającego piorunami Dieriabina. Czekali, aż się uspokoi.

- Jednym z ludzi Iwana - zaryzykowała odpowiedź Galina.

- Iwan ma powiązania z Misza Kinskim - dodał Trivimi.

- Kinski jest z nich najgorszy! To jego śmierdzące żarcie dla psów, które sprowadza do Sankt Petersburga, wykończy wszystkie czworonogi w mieście. Zabraliście mu jednego z goryli?

- Kinski się zgodził - zapewnił Trivimi. - Powiedział, że niewykluczone, iż w przyszłości to on będzie potrzebować naszej pomocy.

- Kolejne kłamstwo. Ile daliście?

- Kinski nie wziął nic. Iwanowi i Pulii daliśmy trzysta dolarów do podziału.

Galina nie dała po sobie poznać zaskoczenia. Pulia oszukał tak samo ją, jak i Estończyka.

- Kto zaplanował wysadzenie samochodu?

- Przyprowadziłem Iwana do naszego biura. Powiedziałem mu, że Oxby jest dla nas problemem, i zapytałem, czy nie ma pomysłu na pozbycie się detektywa - tłumaczył Trivimi.

- Myślisz, że to Iwan podłożył bombę?

- Tak sądzę - potwierdził Trivimi.

- Jesteście bandą amatorów - zagrzmiał Dieriabin. - Dałem wam wyraźne instrukcje. Anglik miał zginąć w wypadku, który nie wzbudziłby podejrzeń. A wy co zrobiliście? Wyszadziliście samochód w powietrze, jakbyśmy byli jakimiś durnymi partyzantami.

- Gdyby Pulia nie zwrócił się przeciw nam... - broniła się Galina.

-Ale to zrobił! - wybuchł Dieriabin. - Policja się w to wgrzyzie. Jeśli Oxby zostałby ranny, nawet lekko, wasza cholerna bomba nadawałaby się już do prokuratury.

- Dlaczego tak się boisz prokuratury? - zapytał Trivimi.

- Bo nie mamy na nią wpływu. Jakiś młody fanatyk uzna, że sprawa dotyczy oficera śledczego. Że Oxby jest jednym z nich. Będą nieugięci.

- Ale inspektor nie został ranny - zauważył Trivimi. - Ostatecznie to całkiem dobra wiadomość.

- Chodź tu i siądź koło mnie - zwrócił się Dieriabin do Galiny.

- To całe zamieszanie z bombą sprawiło, że zacząłem myśleć o naszym inspektorze Oxby. Przyjechał tu, aby odnaleźć cesarskie jajko Fabergégo jako osoba prywatna. Nie przysłał go ani rząd, ani Scotland Yard. Jest wyszkolonym detektywem i dowiedział się więcej, niż po winien. Oxby'ego trzeba się pozbyć - mówił teraz do Estończyka - ale nie za pomocą bomby, która ogłosi całej Rosji, że został zabity. Bez conocnych relacji telewizyjnych i nagłówków gazet, pytających, kto i dlaczego to zrobił. Kula dla Akimowa, w porządku. Był nikim. Niko go nie obesła jego śmierć. Zupełnie inaczej jest z Oxby. Jeśli zginie, znajdzie się wielu zainteresowanych. Zażądają śledztwa.

Spojrzał z powagą na Galinę.

-I tak wracamy do powodu wizyty Oxby'ego w Sankt Petersburgu - podjął, sięgając po pudełko, stojące obok niego na podłodze. Podniósł je, przekręcił mosiężne zamknięcie i otworzył pokrywę. Wydobył jajko. Kazał Galinie wyciągnąć rękę. Położywszy je na dłoni kobiety, nacisnął największe rubiny, które się uniosły, odsłaniając skrytkę. Wyjął z niej maleńkie sztalugi oraz miniaturowe portrety Mikołaja i Aleksandry. Galina dotknęła złotego koszyczka na czubku pisanki, obracając ją po woli, aby lepiej się przyjrzeć diamentom i szafirom. Wreszcie Dieriabin zabrał jajko i zamknął tajemniczy schowek.

- To ono przywiodło Oxby'ego do Sankt Petersburga - kontynuował. - Jeśli cesarskie jajko opuści miasto, on podaży za nim.

- I jaki z tego pożytek? - spytał Trivimi.

- Ja wyjadę z jajkiem. Oxby pojedzie za mną. A tymczasem ty i Galina pojedziecie za Oxbym.

-Będą problemy.

- To wasza praca - przypomniał Dieriabin. - Zbyt wiele błędów popełniliście. Na więcej nie pozwolę - powiedział z naciskiem, wkładając pisanekę do pudełka. - Jedno z was będzie obserwować Oxby'ego. Kiedy przyjdzie czas, spotkam się z nim. - Omawianie własnego planu sprawiało Dieriabinowi ogromną przyjemność. - Jak sądzę, nie będzie marnował swojego cennego czasu i zażąda, abym pokazał mu jajko. A wtedy ja powiem, żeby przedstawił mnie swojemu klientowi.

-A jeśli odmówi?

- Nie odmówi. Ryzykował życie, żeby odnaleźć pisanekę. A jego klient włożył w to sporo kasy. Nie wiem, komu bardziej zależy, żeby ją zobaczyć.

Na twarzy Trivimiego pojawiło się z wątpienie.

- Sprzedasz ją bezpośrednio?

- Możliwe.

- Ale wcześniej mówiłeś, że aukcja przyniesie większe zyski.

- Skąd mam wiedzieć, jaka jest najwyższa cena? Jeśli zażadam pięciu milionów, a on będzie skłonny je zapłacić, nikt nie zagwarantuje mi, że zarobię więcej, wystawiając carskie jajko na aukcji. Na pewno mniej o prowizję i opłaty. - Dieriabin się rozpromienił. - A tu dobijamy targu bez czekania.

- Jeszcze nie tak dawno kazałeś usunąć Oxby'ego. A teraz chcesz, żeby zabrał cię do swojego klienta? - zdziwił się Trivimi.

Dieriabin zaciągnął się głęboko i wypuścił obłok dymu.

- Co o tym myślisz? - zagadnął Galinę.

-Wykorzystuj go, do czego tylko jest ci potrzebny, ale... - przerwała. - On nie może wrócić do Londynu. Musi zapłacić za to, co zrobił Wiktorowi - dodała gniewnie.

Dieriabin spojrzał znacząco na Trivimiego.

- Masz swoją odpowiedź.

- Martwi mnie jedno. Kiedy Oxby był w moim biurze, nie powiedziałem mu, że masz jajko - oświadczył Estończyk. Pokręcił głową. - Skąd ma się dowiedzieć, że zabierasz je do Nowego Jorku?

- Powiedziałeś mu już o moich planach dotyczących podróży. Po prostu dokończ, co zacząłeś. - Dieriabin wstał z krzesła i zmierzał do wyjścia. Przy drzwiach odwrócił się jeszcze.

- Macie jego numer telefonu - zaznaczył dobitnie.

ROZDZIAŁ 39

Aeroflot 003 z Sankt Petersburga do Nowego Jorku przez Shannon miał wylądować na lotnisku Kennedy'ego po południu o trzeciej pięćdziesiąt pięć i prawie się nie spóźnił. Oleg Dieriabin i Galina Łysenko siedzieli w przednim rzędzie pierwszej klasy. Bilety zarezerwowało im World Travel, niegdyś dobrze prosperujące przedsiębiorstwo przynależne do New Century. Usiłowało utrzymać się na powierzchni po tym, jak kierownictwu oznajmiono, że firma musi przynosić dochody, w przeciwnym razie zostanie zamknięta. Kiedy sześć lat temu World Travel zaczynało działalność, jedyną konkurencją były pozostałości po sowieckim przedsiębiorstwie Intourist. Dziś w Sankt Petersburgu biuro podróży znajdowało się niemal na każdym rogu.

Trivimi Laar, który przyleciał tym samym lotem dzień wcześniej, miał na nich czekać w hali przylotów międzynarodowych.

Dla niewtajemniczonego Dieriabin i Galina wyglądali jak dziwnie dobrane małżeństwo. On nieco starszy, z piwnym brzuszkiem, ona niczym męskie trofeum, o powalającej na kolana figurze i pięknej twarzy. To był układ, którego domagał się Dieriabin. Został zaakceptowany przez Galinę, kiedy spełniono jej żądania dotyczące noclegu. Dieriabin dotknął delikatnie zadrapań. Goiły się całkiem nieźle. Chciał porozmawiać z Galiną, zauważył jednak, że ta zasnęła. Przechylona głowa opadła powoli na ramię Olega. Dotknął ustami włosów, wdychając znajomy zapach, który go oszołomił. Podniecony, chciał objąć dziewczynę. Zaprzagnął przyciągnąć ją do siebie i pocałować. Przez krótką chwilę Olegiem Dieriabinem władało prawdziwe uczucie.

Galina przespała godzinę. Kiedy się obudziła, poszła do toalety, by się odświeżyć. Po chwili wróciła. Dieriabin patrzył, jak się sadowi na fotelu.

- Trivimi zabierze nas do hotelu - odezwał się. - Potem wróci na lotnisko i będzie czekał na samolot Oxby'ego. Chciałbym, żebyś z nim

pojechała. Do śledzenia Oxby'ego potrzeba was obojga. Jeśli będziecie potrzebować dodatkowego samochodu, wynajmijcie. Róbcie wszystko, co konieczne, bylebym wiedział, gdzie jest Oxby. To minimum tego, co do was należy.

- Estończyk nie ma przygotowania. - Galina zmarszczyła brew.
- Bez Wiktora to nie to samo. Trivimi będzie przeszkadzał.

- Kazałem ci pracować z Trivimim - oświadczył Dieriabin stanowczo. - Jest bardziej doświadczony, niż myślisz. Podejrzewam, że Oxby spotka się z jednym ze swoich przyjaciół detektywów. Jeśli się zorientują, że są obserwowani, zgubią was w mgnieniu oka. To ich miasto, nie nasze.

Galina milczała, wpatrując się w puste niebo za oknem.

- Dlaczego miejsce pobytu Oxby'ego jest dla ciebie takie ważne?
- spytała w końcu. - Mówiłeś, że cię śledzi i że na pewno się z tobą skontaktuje.

- Nie chcesz wiedzieć, gdzie go znaleźć? Czy oczekujesz, że pojawi się na zawołanie?

- Znajdę go - powiedziała z zawziętością. - Nieważne, jak wielkie jest to miasto i gdzie się ten pies ukryje. Znajdę go.

- Dobrze. - Dieriabin przykrył dłonią dłoń.

- Skąd wiesz, że ktoś ma się spotkać z Oxby?

- Z jakiegoś powodu chce, żebyśmy wiedzieli. Kiedy odkrył, że telefon w mieszkaniu jest na podsłuchu, korzysta z telefonów w hotelu. Kiedy Trivimi powiedział mu, że jadę do Nowego Jorku, poczynił własne plany. Jeszcze tej samej nocy zadzwonił z mieszkania i podał informacje o locie.

Galina zabrała dłoń.

- Tyle czekałeś, żeby mi to powiedzieć?

-A co byś zrobiła, gdybym powiedział ci o tym wcześniej? To niczego nie zmienia, nadal masz pracować z Trivimim. - Jego wymuszony, nieszczerzy uśmiech ukazał rząd pożółkłych zębów. - I musisz to robić.

Steward poinformował ich, że przyjmuje ostatnie zamówienia na napoje. Nie skorzystali.

Oxby spojrzął na zegarek: wpół do ósmej. Jedenaście godzin temu wyleciał z Sankt Petersburga. Zdrzemnął się kilkakrotnie w trakcie lotu. Obudziły go złote promienie słońca, wiszącego nisko na

zachodnim niebie. Miejsce miał przy przejściu. Fotela obok nikt nie zajmował. Przy oknie siedziała z podkurczonymi nogami, oparłszy głowę na poduszce, nastolatka o twarzy słodkiej i niewinnej. Zsunęty koc odsłonił jej ramiona i Oxby przykrył śpiącą dziewczynę, po czym schylił się i zaciągnął roletkę. Lot Air France miał międzylądowanie w Paryżu. Z powodu wakacyjnego ruchu przerwa w podróży przedłużyła się o pół godziny. Jednak przy sprzyjającym wietrze nie tylko nadrobili stracony czas, ale też zyskali dziesięć minut. Wylądują w Nowym Jorku o ósmej pięćdziesiąt pięć. Detektyw spojrzął na zegarek. Do lądowania została godzina i dwadzieścia dwie minuty.

Na pustym siedzeniu obok Oxby'ego leżała jego torba. Miał w niej kilka czasopism, przewodniki, trzydziestopięciomilimetrowego pentaksa, tanie wydanie *Russia House* le Carrégo i notatnik. W trakcie porannego lotu do Paryża zapisał w nim:

20 czerwca, sobota

Jakow radzi sobie całkiem nieźle ze swoją nową nogą. Powinienem się o niego martwić, ale to mądry człowiek. Obiecał mi, że przeniesie się ze swojego mieszkania do dachy przyjaciela, blisko fińskiej granicy.

Udało nam się znaleźć zastępczy samochód, podobny do starej łady Jakowa, którą tak opłakiwał. Był nadzwyczaj tani, niewątpliwie ukradziony wprost z ulicy osiemset kilometrów od Sankt Petersburga. Niemniej jednak wyczerpało to prawie wszystkie moje fundusze.

Pulia szybko dochodzi do siebie. Opuści szpital, gdy tylko znajdzie godnych zaufania przyjaciół, którzy pomogą mu w bezpiecznym wyjściu. Obawiam się, że zaufanie jest rzadkim dobrem wśród znajomych Pulii. Oby mu się powiodło.

Zadzwońm z mieszkania do Aleksa Tobiasa. Nie wiem, czy podsłuch był ciągle aktywny. Podejrzewam, że tak, a właściwie mam taką nadzieję! Jestem ciekaw, kto się na mnie zaczał.

Cieszę się na spotkanie z Alekssem i pobyt w jego domu. Helen jest świetną towarzyszką i cudownie gotuje.

Obroty silnika spadły. Samolot obniżył lot. Oxby poczuł ukłucie lęku.

Wraz z nagłym zastrzykiem adrenaliny opuściło go całe zmęczenie.

Wyjął z kieszeni długopis. Ruchem tym sprawił, że na jego kolana wypadł zapisany cyframi skrawek papieru. Choć jeszcze nie wyniósł trzech cyfr na poziom mistycznej tajemnicy, zaczynały go już frustrować. Wypowiedział liczby w nadziei, że opatrność ześle mu rozwiązanie, jeśli takowe istniało.

- Co za durnota - mruknął do siebie. - Dwa, jedenaście, dziewięć - powtórzył liczby.

Wepchnął kartkę z powrotem do kieszeni i wyciągnął długopis:

Jest ósma wieczorem, czasu wschodniego. Łądujemy za godzinę. Nie powinienem marudzić nad dwunastoma godzinami nudy w czasach podróży ponaddźwiękowych. Wystarczy pomyśleć,

że dziś rano obudziłem się w swoim łóżku w Rosji, a wieczorem tego samego dnia pójde spać w Ameryce. To jak cud.

Kiedy piszę tę notkę, w Sankt Petersburgu jest trzecia, sobota, dwudziesty pierwszy czerwca. To dzień letniego przesilenia, najdłuższy dzień roku, pierwszy oficjalny dzień białych nocy.

Szkoda, że je przegapię.

ROZDZIAŁ 40

Młodziutka współpasażerka Oxby'ego rozprostowała kości, niepewnie spoglądając w dół. Po raz pierwszy widziała Amerykę. Samolot kierował się na południe, nad Boston i Providence. Lecąc ponownie nad wodą, skręcił na zachód, wprost na lotnisko Kennedy'ego.

- Pod nami widać Long Island - powiedział detektyw płynną francuszczyzną. - Za piętnaście minut będziemy na miejscu.

Ognistoczerwona kula słońca chyliła się ku zachodowi, przedzierając się przez fioletowokarmazynowe chmury przysłaniające horyzont. Łąd poniżej tonął w mroku, rozpraszanym milionami światel.

- *C'est beau!* - Głośny szept nastolatki był pełen zachwytu i radosnego oczekiwania.

Oxby nie musiał dodawać nic więcej. Rozsiadł się wygodnie w swoim fotelu, obserwując pogodną twarz dziewczynki.

Ed Parente został gliniarzem po ukończeniu nowojorskiego college'u miejskiego. W perfekcyjnej znajomości prawa upatrywał przepustki do wielkiego świata biznesu i sposobu na zabicie dużych pieniędzy. Kiedy się ożenił i na świat przyszedł syn, wstąpił do straży portowej. Po dwudziestu latach z okładem żył ciągle z tą samą kobietą, miał troje dzieci i awansował do rangi porucznika, co oznaczało, że dowodził ponad połową z przeszło stu detektywów. Wśród tysiąca czterystu nowojorskich policjantów niewielu znało lotnisko Kennedy'ego tak dobrze jak Parente. Co więcej, nikt nie miał tak szerokich kontaktów wśród personelu pokładowego i naziemnego oraz prawie tuzina organizacji policyjnych i ochroniarskich. Mówiono, że Parente wie, co się kryje za każdymi drzwiami olbrzymiego portu lotniczego. Co ważniejsze, potrafił je wszystkie otworzyć!

Ed Parente i Alex Tobiasz poznali się, kiedy Parente był jeszcze żółtodziobem, a Tobiasza mianowano już porucznikiem. Mimo znacznej różnicy wieku zostali bliskimi przyjaciółmi. Przez wiele lat wspólnie zajmowali się sprawami, z czasem jednak każdy z nich poszedł własną drogą. Teraz jednak znów stanowili zespół. Spotkali się w małym biurze w hali przylotów. Alex opisywał okoliczności, które towarzyszyły wizycie Oxby'ego.

- Jack powiedział mi, że w ciągu ostatnich dwóch dni z Sankt Petersburga przyleciało dwóch mężczyzn i kobieta. Twierdzi, że kiedy ich spotkamy, rozpoznam jednego z nich. Facet jest Estończykiem, a nie Rosjaninem... Jakby to miało jakieś znaczenie. Jeśli dzisiejszej nocy będzie w terminalu, oznacza to, że zamierza śledzić Jacka aż do miejsca jego pobytu. Nie cieszy mnie to specjalnie, bo Jack zatrzyma się u mnie i Helen.

Na zewnątrz terminalu, w wynajętym samochodzie stojącym blisko postoju taksówek, siedziała Galina. Przystąpiła na współpracę z Estończykiem, zgodnie z życzeniem Dieriabina. I całe szczęście. Choć teren lotniska nie był dla niej ziemią nieznaną, nowojorski port

lotniczy zaskakiwał wielkością i brakiem możliwości swobodnego poruszania się samochodem. Bez pomocy Trivimiego nie dałaby rady śledzić Oxby'ego od stanowiska odpraw celnych aż na ulicę, by potem odszukać swój samochód i ruszyć za detektywem. Trivimi Laar, choć śmiertelnie nudny i niemiły, potrafił być przebiegły i zaradny. I chociaż zdobyła już pewne doświadczenie w trakcie ostatniego pobytu w Nowym Jorku, obecne okoliczności były zupełnie inne.

Zdjęła z głowy ciemną perukę i przeczesała swoje blond włosy palcami. Zwinęła rozgrzane jeszcze jej ciepłem sztuczne włosy i wepchnęła do torebki. Trivimi będzie wściekły, ale to już jego problem. Sprawdziła swój wygląd w lusterku wstecznym. Starła szary cień z powiek i pomalowała usta ukochaną szminką. Nie potrzebowała niczego więcej. Sięgnęła do torebki, odnajdując semmerlinga. Potarła łufę, po czym ujęła pistolet w dłoń, kładąc palec na spuście. Zamknęła oczy, a na jej ustach pojawił się uśmiech.

Trivimi Laar skulił swoje wielkie ciało za słupem ogłoszeniowym, tak jednak, by móc prowadzić obserwację ponad głowami ludzi oczekujących na przyjaciół i rodziny. Kiedy spostrzegł pierwszych pasażerów lotu Air France 8, cofnął się o krok, skrywając za bezwstydnym ogłoszeniem, wychwalającym zalety niezapomnianego weekendu w kasynie Trump w Atlantic City.

- Jack, poznaj Eda Parente'a. To tutejszy magik od bagaży.

- Słyszałem o panu od Aleksa - powiedział Oxby, wyciągając dłoń na powitanie. - Dziękuję za pomoc.

- Cieszę się, że mogę się na coś przydać - odparł Parente. Stał między Oxby'ym i Tobiasem, ujmując ich pod ramiona. - Ma pan jeszcze jakieś bagaże?

- Tylko ten. - Detektyw podniósł z podłogi torbę podróżną.

- Dobrze. Pójdziemy na skróty.

Inspektor pociągnął Tobiasa za ramię.

- Powiedziałeś Edowi, że możemy napotkać mały komitet powitalny?

- Wszystko jest ustawione specjalnie pod pana - mówił Parente. - Mamy swojego człowieka na stanowisku odpraw celnych, drugi czeka w samochodzie przed wejściem. Teraz idziemy do kogoś, dzięki komu w cudowny sposób ominie pan całą tę biurokrację. Czy mogę prosić o pański paszport?

Przeszli przez drzwi z numerem, potem wąskim korytarzem ruszyli w stronę kolejnych, które prowadziły do niewielkiego biura. Siedziało w nim dwóch mężczyzn wpatrzonych w zajmujące całą ścianę rzędy monitorów. Parente otworzył następne drzwi, za którymi usadowiona za biurkiem umundurowana Murzynka kończyła rozmowę telefoniczną.

Wyglądała na rzeczową i operatywną osobę.

- Cześć, Ed - przywitała ciepło Parente'a. - Co cię tu sprowadza?

- Oto jeden z najlepszych detektywów Scotland Yardu. - Podał jej paszport. - Poznaj starszego inspektora Jacka Oxby'ego.

Kobieta wstała, podając dłoń.

- Kathy Harris. Witam w naszym szalonym kraju. Jest pan w dobrych rękach.

- Wiem. - Oxby uśmiechnął się pogodnie. - Nie ukrywam, że mi się to podoba.

Agentka Harris potrafiła bezbłędnie odczytać intencje każdego człowieka. Przekartkowała paszport inspektora, zatrzymując się na stronie z pieczęciami z Sankt Petersburga i Paryża.

- W czasie, gdy każdy udaje się do Sankt Petersburga, pan z niego wraca? - skomentowała nieco zdumiona.

- Mam pilną sprawę - odparł Oxby. - Bez obrazy dla Nowego Jorku, ale o tej porze roku wolałbym być w Sankt Petersburgu.

- To żadna obraza - zapewniła. Przybiła pieczętkę i oddała paszport Oxby'emu. - Jeśli będę mogła panu w czymś pomóc, proszę do mnie dzwonić.

Oxby uśmiechnął się z wdzięcznością.

- Czy ma pani wizytówkę? Lubię mieć przy sobie wizytówki osób, które oferują mi swoją pomoc.

Wyjęła jedną z wizytownika.

- Proszę bardzo.

- Dziękuję, Kathy. Czy inspektor Oxby może rzucić okiem na wasze monitory? Oczekuje kogoś - wyjaśnił Parente.

Wrócili do pokoju z monitorami. Parente poprosił o obraz z kamer zainstalowanych za stanowiskiem odpraw celnych. Jeden z agentów nacisnął kilka guzików, po czym wskazał siódmy i dziewiąty monitor. Detektyw obejrzał po kolei obrazy. Kamery były nieruchome, wycelowane w miejsce, które zappełniał teraz tłum czekających rodzin, przyjaciół i kierowców, trzymających plansze z odręcznie wypisanymi

imionami. Jedna kamera obserwowała pasażerów opuszczających kontrolę celną, druga wejście do terminalu. Właśnie obraz z tej drugiej zainteresował Oxby'ego.

Pierwszy plan czarno-białego obrazu był blady i prześwietlony, w tle stały ocienione postacie.

- Spójrz tutaj, Alex, zaraz obok słupa ogłoszeniowego. Kogo widzisz?

- Trivimiego Laara.

- Tak sądzicie? - zapytał Parente.

Oxby przytaknął.

Parente podszedł do ekranu. Otworzył telefon komórkowy i wybrał numer sierżanta stojącego na posterunku przed odprawą celną. Był poza zasięgiem kamery, ale Parente opisał postać przy słupie ogłoszeniowym. Wreszcie skinął głową.

- Chodźmy - zdecydował.

Na widok starszej kobiety wlokącej się obok bagażowego Estończyk zaczął się obawiać, że była już ostatnim maruderem opuszczającym samolot Air France. Nowe twarze pojawiały się, aby powitać przybywających. Inne znikwały w towarzystwie przybyłych. Czy Oxby prześliznął się obok niego niezauważony? Wychylił się ostrożnie ze swojej kryjówki. Rozczarowany, zmarszczył brwi. Wtedy wypatrzył idącego szybko Oxby'ego. Pognieciona torba podróżna zwisała mu na ramieniu niczym worek golfowy. Trivimi ruszył za nim przez terminal aż na postój taksówek. Kiedy detektyw czekał na transport, Trivimi rozejrzał się za Galiną. Odnalazł ją w rzędzie samochodów odbierających nowo przybyłych. Podbiegł do auta i wskoczył do środka.

- Zgubiłeś go? - rzuciła ze złością Galina.

- Jest tam, czeka na taksówkę. - Trivimi pokazał palcem.

Podj echala kawalek, aż zobaczyła wsi adaj ącego do taryfy Oxby 'ego. Ruszyła za nim, zachowując bezpieczną odległość. Na pierwszym zjeździe samochód skręcił, a ona za nim.

- Bardzo dobrze - stwierdził Trivimi. - Nie ma przed nami zbyt wiele samochodów, żebyśmy mogli go zgubić, ale jest ich wystarczająco dużo, żeby nas nie zauważył.

- Nie chwał dnia przed zachodem słońca. Do miasta długa droga.

Osiemset metrów przed zjazdem z drogi dojazdowej do lotniska zobaczyli w lusterku migające światła radiowozu. Samochód zrównał

się z nimi, włączył syrenę, a policjant zasygnalizował, żeby zjechać na pobocze.

O co chodzi? - myślała Galina. Ostre, pulsujące światło zaalał samochód, odbijając się od szkła i metalu. Dłonie kobiety zacisnęły się na kierownicy. Nie miała wyboru, musiała zjechać na pobocze i się zatrzymać. Radiowóz zjechał tuż za nią. Wraz z Estończykiem wypatrywała szybko oddalającej się od nich taksówki Oxby'ego.

Oxby obserwował światła przez tylną szybę. Kiedy zniknęły, kazał kierowcy zjechać na pobocze i zatrzymać pojazd. Facet za kierownicą nie był rodowitym Amerykaninem. Na głowie nosił bordowy fez, a szyję obwieszoną miał łańcuchami. Jego znajomość angielskiego ograniczała się do słownictwa niezbędnego przy kupowaniu benzyny i żądaniu zapłaty za kurs. Zgarbił plecy, podnosząc obie dłonie w geście, który sugerował, że nie rozumie prośby Oxby'ego. Jechał dalej.

Detektyw ograniczył się do trzech słów.

Tak też uczynił. Przywołał każde wydarzenie i każdą datę, poczynając od spotkania z Christopherem Forbesem, a kończąc na spotkaniu z Tobiasem na lotnisku Kennedy'ego. Relacja była zwięzła i zdana w charakterystyczny dla Oxby'ego sposób. Kiedy skończył, zrobił krótką pauzę, po czym wskazał coś, co wydało mu się ogromnym wiszącym mostem.

- Niezły most. Skąd się tu wziął?

Tobias nie słyszał pytania, zafrapowany usłyszaną historią. Jechali teraz pod ogromnym podjazdem prowadzącym na most.

- Alex, co to za most? - powtórzył Oxby. - Jest wręcz monstrualny.

ROZDZIAŁ 41

Z tacy pełnej jedzenia Dieriabin tknął tylko kawę. Zapalił papierosa i odepchnął wózek. Usiadł z twarzą zwróconą do telewizora; popularna stacja emitowała niedzielny program dla dzieci. Zegarek na odtwarzaczu wideo wyświetlał siódmą czterdzieści dwie. Dieriabin miał na sobie bokserki i hiltonowski biały szlafrok frotté. Wyglądał jak podstarzały bokser wagi półciężkiej. W pokoju było chłodno, jednak mężczyzna bardzo się pocił. Wraz z dźwiękiem gongu do apartamentu wkroczył Trivimi Laar.

Dieriabin zaraz pośpieszył ku niemu.

- Znalazłeś go?

- Nie szukałem - odrzekł Trivimi. - Mówiłem ci już, że to niemożliwe.

- Do diabła, nie! Rusz dupę i znajdź tego sukinsyna. Obdzwonił każdy pieprzony hotel w tym mieście. Jest w jednym z nich.

- Nie ma go w żadnym hotelu. - W drzwiach pojawiła się Galina. Miała na sobie taki sam szlafrok, jak Dieriabin. Na niej wyglądał jednak jak z reklamy bielizny Victoria's Secret. Czesząc włosy, przechyliła głowę.

- Skąd wiesz? - zapytał Dieriabin.

- Tak mi podpowiada kobieca intuicja. - Naląła sobie kawy i podeszła do okna. Spojrzała na poranny ruch na Szóstej Alei. - Myślałam o wczorajszej nocy. Oxby zaplanował każdy szczegół. Wymyślił też miejsce, w którym nikt go nie znajdzie.

- I dlatego tak zajębiście ważne było, żeby go nie zgubić.

- Widzieliśmy, jak wsiadał do taksówki. Pojechaliśmy za nim. Potem nadjechała policja. Co mieliśmy zrobić? Zastrzelić ich?

- Pstrykali wam zdjęcia. Do diabła z wami! Słuchasz mnie? - Obrócił gwałtownie dziewczynę, wylewając jej kawę na szlafrok. - Mają was na taśmie. - Złapał ją za włosy. - Nie miałaś na głowie peruki. Dlaczego ją zdjęłaś?

- Gorąco mi było - rzuciła, wyrrywając się mu.

Galina i Trivimi spoglądali na siebie czujnie, niepewni, co może jeszcze zrobić Dieriabin.

Dziki spójrznie Olega złagodniało. Powoli opuścił głowę i zwiesił ramiona.

- Przyjąłem do wiadomości, że nie potraficie odszukać Oxby'ego. Ale pozwoliliście śledzić się policji do hotelu i teraz sukinsyny wiedzą, gdzie jesteśmy. - Wbił wzrok w Estończyka. - Wie, że mam ze sobą

jajko, co?

Trivimi przytaknął

- Zadzwońm do niego. Powiedziałem, iż kazałm mi potwierdzić, że bierzesz ze sobajajko do Nowego Jorku.

- Co on na to?

- Odparł, że niepotrzebnie dzwonię, bo już wszystko wie.

Helen Tobias była szefową kuchni i zastępcą kierownika lokalu pod numerem 73 na Osiemdziesiątej Szóstej ulicy brooklińskiego Bay Ridge. Przywitała Oxby'ego przekąską z kurczaka na zimno, sałatką po żydowsku i mrożoną herbata. Przed snem dała mu kawałek murzynka i szklankę mleka.

Ta wspaniała kobieta, wyrozumiała i cierpliwa okazała się idealną partnerką dla policjanta. Tolerowała nocne zmiany męża i cierpliwie wyczekiwała na jego powrót po samotnym weekendzie. Dlatego Helen i Alex byli dla siebie najlepszymi przyjaciółmi i po trzydziestu latach małżeństwa mogli wciąż z głębi serca wyznawać sobie miłość. Ich dom, typowy dla tej okolicy, był wąski i długi, jednopiętrowy, z pokojem do gier w piwnicy. Budynek i podjazd mieściły się na niewielkiej, szerokiej na dziewięć metrów działce. Z tyłu znajdowały się garaż dla jednego samochodu, taras i ogród, w którym Helen hodowała pomidory i róże.

W niedzielę rano wszyscy wstali bardzo wcześnie. Pierwszy był Oxby; jeszcze się nie przyzwyczał do ośmiogodzinnej różnicy czasu. Wziął „Timesa” rzuconego na podjazd i udał się z nim na taras. Czytał dopóty, dopóki z kuchni nie wyszła Helen, niosąc mu szklankę lodowatego soku pomarańczowego. Dziesięć minut później postawiła przed nim tacę z jego ulubionym śniadaniem. Były to gofry z syropem klonowym i wiejskie kielbaski. Tobias przyniósł swoją tacę, tak więc mogli zjeść posiłek razem.

O dziewiątej na podjeździe domu zatrzymał się czarny mercury. Ubrany w szorty i połówkę Ed Parente przywiózł zdjęcia zrobione wczoraj wieczorem.

- Powiedziałem chłopakom, żeby skupili się na kobiecie. - Parente się uśmiechnął. - Rzuć okiem, a zobaczysz, dlaczego nie musiałem im tego powtarzać.

Dwa trzydziestopięciomilimetrowe aparaty z teleobiektywami uchwyciły Trivimiego Laara i jego towarzyszkę stanowczo zapewniających policję o swojej niewinności. Większość fotografii

przedstawiała cudnej urody blondynkę. W złości wydawała się jeszcze piękniejsza. Z pięćdziesięciu zdjęć blisko cztery można było zaliczyć do udanych.

- Nagrali ich na taśmę - dodał Parente. - Wszystkiego jest może z pięć minut, ale kiepskiej jakości. Zdjęcia są lepsze.

Tobias długo się przyglądał blondynce.

- To ta, która cię ściga, Jack? Powinieneś dać się jej złapać.

- Wydrapałaby mu oczy - stwierdziła Helen.

-Nie wyciągnęliśmy od nich zbyt wiele. Nie naruszyli żadnego przepisu. Napędziliśmy im stracha i puściliśmy dopiero wtedy, kiedy wykonano zdjęcia. Mamy ich nazwiska. Pokazali też umowę o wynajem samochodu. Mam kopię sporządzonego przez nas raportu. To wszystko, czym dysponujemy.

Oxby wziął raport i przeczytał długi na dwa akapity opis incydentu, jak to oficjalnie nazwano.

- Widzieliście ich paszporty?

- Twierdzili, że nie mają ich przy sobie, a my nie mogliśmy ich przeszukać bez nakazu.

Oxby przyjrzał się uważnie każdemu zdjęciu. Wiedział, jaki zrobić z nich użytek, szczególnie że miał do dyspozycji wiele ujęć. Na podstawie fotografii potrafił powiedzieć, czy podejrzany był prawoczy leworęczny, czy był krótko- czy dalekowiedzem lub czy kulał.

-Wygląda dokładnie tak, jak opisywał ją mój rosyjski ochroniarz. - Zwrócił się do Helen: - Nazywa się Galina Łysenko. Jak myślisz, ile może mieć lat?

Helen spojrzała uważnie na zdjęcia.

- Jest młoda, ale na tyle dorosła, żeby mieć już niewielkie zmarszczki. Może mieć trzydzieści, trzydzieści dwa lata.

- Nie żeby miało to wielkie znaczenie - dorzucił Oxby. - Chociaż czasem warto wiedzieć, odjakiego czasu tego pokroju ludzie stąpają po ziemi. Ile zdążyli nabyć doświadczenia.

Oxby zerknął na Parente'a.

- Śledziliście ich aż do miasta?

- Do hotelu Hilton. Chcecie numer pokoju? - Parente podał Tobiasowi kartkę.

- Widzę, że nadal masz swoje dojsčia. - Włożył kartkę do kieszeni koszuli. - Grasz dziś w golfa?

- Msza o siódmej, spotkanie z Tobiasem o dziewiątej, golf o

jedenastej dwadzieścia sześć.

- Dobry dzień na grę - stwierdził inspektor.

Parente się rozpromienił.

- Gorąco, ale to nie problem. Gramy na Black Course w parku Bethpage. Musieliśmy się targować o tę godzinę.

- Zazdroszczę ci - wtrącił Oxby.

- Może następnym razem. - Parente uściśnął mężczyznom dłonie, pocałował Helen w policzek i wyszedł.

Helen zabrała tace i za chwilę przyniosła dzbanek gorącej kawy.

- Wiem, że macie zamiar pogadać, więc przyniosłam wam kawę, zanim któryś z was mnie o nią poprosi.

Oxby dolał do kawy mleka, wsypał też kilka łyżeczek cukru. Zamieształ i rozsiadł się wygodnie. Rozbawiony Tobias obserwował swojego gościa, czekając, aż ten się zrelaksuje. Wreszcie się doczekał.

- O czym myślisz, Jack?

- Jestem cholernym głupcem.

- Dlaczego tak mówisz?

-Rosjanin nazwiskiem Dieriabin pragnąłby, żebyśmy dołączył do jego listy ofiar. To nie jest lista, na której chciałbym się znaleźć.

- Teraz jesteś bezpieczny.

Oxby łyknął kawy. Wybrał jedną z fotografii i rzucił ją na stół.

- Galina Łysenko pracuje dla Dieriabina. I zdecydowanie nie jest tylko ozdobą. Dieriabin zatrudnił jej męża w charakterze egzekutora. Płatnego mordercy. Jak myślisz, co nam mówi fakt, że tych dwoje było małżeństwem?

- To było coś więcej niż przypadek. Stanowili zespół?

- Tak myślę - przyznał Oxby. -Niewiele wiemy o Galinie. Jest wysoka, szczupła i na pewno bardzo atrakcyjna. Naturalny kolor włosów to blond. Wiek plus minus trzydzieści lat. Mike Carson widział kobietę, która strzelała do Akimowa. Jak ją opisał?

- W raporcie odnotowano, że była piękna i wysoka.

- Kto jeszcze oberwał od wysokiej kobiety?

- Lenny Sulzberger. Ale twierdzi, że do niego strzelała grubsza i starsza kobieta. Ocenił ją na przynajmniej czterdzieści pięć lat.

- Ale była wysoka?

- Zgadza się.

- Tak jak pielęgniarka, która wstrzyknęła Akimowowi truciznę.
Tobias skinął głową.

- Nick, pielęgniarz, zawiózł Akimowa na oddział intensywnej terapii. Pielęgniarkę, która przyszła na zmianę tamtego wieczoru, opisał jako kobietę „puszystą”. Mówiła z silnym akcentem. Prawdopodobnie rosyjskim, ale nie był pewien. Podobnie jak Lenny, ocenił ją na mniej więcej czterdzieści lat.

- Nieważne, na ile lat wyglądały te babki. Większość kobiet potrafi się malować. A Galina ma doświadczenie, zna zasady makijażu scenicznego. Rzuć okiem na to zdjęcie. Usuń makijaż, poszerz nos, dodaj kilka zmarszczek wokół oczu, potem załóż siwą perukę. Będzie wyglądała jak jej własna matka.

Tobias przytaknął.

- Kilka poduszek pod ubraniem. Banalne.

-Mamy trzech świadków, którzy widzieli trzy wysokie kobiety. Dwie z nich były siwe, jedna ciemnowłosa. Siwowłose miały czterdzieści lub więcej lat, brunetka była młoda. Starsze mówiły z rosyjskim akcentem. Niestety, nic nie wiemy o młodszej.

- Niekoniecznie - zaproponował Tobias. - Dostałem telefon od czło wieka z Englewood. Znalazł sklep z uniformami, który sprzedawał muni dunek pielęgniarski kobiecie, ponoć Rosjance. Data pokrywa się z cza sem śmierci Akimowa.

- Będiesz mógł jutro pokazać zdjęcia sprzedawcom Mike'a? - zapytał Oxby.

- Jeśli nie ja, zrobi to ktoś inny. Chciałbym też, żeby Mike Carson je zobaczył - rzekł Tobias.

- To najważniejsze. Jak szybko możesz zorganizować spotkanie?

- Mam jego prywatny numer telefonu. Mike powiedział, żebym dzwonił, kiedy będę miał coś pilnego.

Oxby zamieszał kawę.

- Wypadła dzwonić do niego w niedzielę rano?

Tobias wstał z krzesła.

- W najgorszym wypadku odezwie się automatyczna sekretarka. Tobias wszedł do domu i wrócił z telefonem. Wybrał numer, prze konany, że odbierze automat. Czekala go jednak niespodzianka.

- Witaj Mike, tu Alex Tobias. Możemy porozmawiać?

Mike właśnie wychodził. Miał się spotkać z grubymi rybami, ludźmi ważnymi dla General Motors. Po obiedzie w restauracji zabierali go na mecz Jankesów. To była ta część negocjacji, którą lubił. Detektywów mógł przyjąć u siebie około siódmej.

- Założmy, Alex, że Mike i jego pracownicy rozpoznają w ko biecie, którą widzieli kilka tygodni temu, Galinę. Co można z tym zrobić?

- Możemy zdobyć nakaz aresztowania. Nie posiedzi jednak długo.

- Nawet jeśli zidentyfikują Galinę podczas konfrontacji?

- Mike mówi, że kobieta, która strzelała do Akimowa, miała ciem ne włosy. Na tych zdjęciach Galina jest blondynką. Nie mamy broni, nie mamy przekonujących świadków ani motywu. Nie wiem, kto miał by się zająć oskarżeniem. Jest jeszcze problem z jurysdykcją. Akimow

został ranny w hrabstwie Nassau w stanie Nowy Jork, a zamordowany

w hrabstwie Bergen w stanie New Jersey. Lenny Sulzberger chętnie pozbyłby się swojego lewego jądra, żeby odnaleźć kobietę, która go postrzeliła. Nie sądzę jednak, że ją rozpozna.

Oxby podrapał się po brodzie, rozmyślając nad niezwykłym dylematem Tobiasa.

- Odpowiedziałem na twoje pytanie, teraz ty odpowiedz na moje. Co zrobisz, jeśli Mike rozpozna Galinę? - zapytał Tobias.

- Po pierwsze, nieważne, czy japońska, czy nie. Z tego co wiem, Galina postrzeliła Akimowa, wbiła igłę do kroplówki, żeby go wykończyć, potem raniła Sulzbergera. Wcale nie muszę jej aresztować czy oskarżać. Zgodnie ze starym porzekadłem, dobrze jest znać swojego wroga. Powinienem przyjąć, że Galina jest tak samo niebezpieczna, jak piękna i młoda.

- Ale ciągle chcesz się zobaczyć z Mikiem Carsonem?

- No pewnie. Czekam na to spotkanie od śmierci jego ojca w Taszkencie.

- Doczekasz się dziś wieczorem.

- Alex, mam kolejne pytanie. Gdzie jest nóż, którym zaatakowano futbolistę?

- Zamknięty i opieczętowany w teczce z aktami.

- Znaleźliście

odciski?

Tobias pokręcił
głową.

- Rękojeść była sękata i nierówna. Trudno na czymś takim znaleźć odciski, ale tego typu rękojeść bardzo dobrze się trzyma.

- Możesz mi powiedzieć, jak wygląda?

Tobias szczegółowo opisał rękojeść.

- Znam się trochę na nożach, a ten wykonano w jednym celu. Gdyby Dennis LeGrande nie był tak gruby, już by nie żył.

- Dennis LeGrande?

- Były futbolista. Pracuje dla Mike'a.

- Rozmawiałeś z
nim?

Tobias przytaknął.

- Biedny człowiek. Pamięta krzyki, potem go raniono. Twierdzi, że pociemniało mu przed oczami. Obudził się dopiero w karetce.

- Takim samym nożem został zabity ojciec Mike'a Carsona - poinformował Oxby. Wstał od stolika i podszedł do balustrady okalającej taras. Oparł się o nią, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. - Czasami wydaje mi się, że to wszystko jest jakimś spletanym snem.

- Uwierz mi, nie śnisz.

- Liczę na twoją pomoc w zrozumieniu kilku spraw. Zacznę od Olega Dieriabina. Kazał zamordować trzech mężczyzn, obawiając się, że doniosą Mike'owi, jak to oszukał jego ojca, zdobywając carskie jajko. I, co gorsza, jaką okropną karę poniósł jego ojciec za przestępstwo popełnione przez Dieriabina.

- Ciekawy początek - zachęcał Tobias.

- Potem Dieriabin pojawia się w tajemniczy sposób w Nowym Jorku, żeby zawrzeć układ z synem człowieka, którego zniszczył.

- Widziałem wiele gówna w tym biznesie, ale to jest wyjątkowo ohydne - stwierdził Tobias.

- To, co zrobił, mówi nam o nim wszystko. Można go określić albo jako osobę pozbawioną sumienia, albo jako posiadającą niemal wszystkie możliwe odrażające wady. Wolę wyliczać mu te wady. Przynajmniej wiem, z kim mam do czynienia.

- Nasuwa się pytanie, gdzie jest twoje miejsce w tym wszystkim.

- Tam, gdzie ja zdecyduję, nie Oleg Dieriabin. Nie planował mojego pojawienia się w swoim życiu, ale przypadek sprawił, że tam

się znalazłem. Teraz obaj ponosimy tego konsekwencje

- Zyskałeś nad nim przewagę. Zupełnie nie wie, gdzie cię szukać. Zamierzasz do niego zadzwonić?

- Mam pewien pomysł, jeśli chodzi o spotkanie z Dieriabinem, i chciałbym, żeby Mike je zorganizował.

- A co z jajkiem Fabergégo?

- Wszystko, co tyczy się jajka, jest bardzo dziwne. Wiem, że mają ze sobą. Kilka godzin przed wylotem z Sankt Petersburga dostałem niby anonimowy telefon. Dieriabin lub jego pomagier, Trivimi Laar, znalazł kogoś, kto mówi świetnie po angielsku, aby przekazał mi, że Dieriabin zabiera pisanekę do Nowego Jorku. Sądzę, że Dieriabin chce wy badać rynek i sprawdzić, ile mogą mu za nią dać. Wie, że mogą mieć kupca.

Oxby spojrział znacząco na Tobiasa.

- Gdyby istniał cień szansy, że odezwało się w nim sumienie, po myślałbym, iż przywiózł pisanekę jako dar pojednania dla Mike'a Car-sona.

ROZDZIAŁ 42

Wybiło południe. Dieriabin nie doczekał się telefonu od Oxby'ego. Wszystkie aparaty - w sypialni, w salonie i w łazience - milczały jak zakłute, mimo gniewnych spojrzeń Rosjanina. Co dwadzieścia minut telefonował do recepcji i domagał się wyjaśnień, dlaczego nie przełączono do niego rozmowy o „najwyższej randze”.

- Wiem, że do mnie dzwonił! - krzyczał na zdumionych operatorów. - Dlaczego kłamiecie?!

- Nie było żadnych telefonów, Oleszka - próbował go uspokoić Trivimi. - Nie ma tu żadnej konspiracji. Galina miała rację, że Oxby zaplanował coś razem z przyjaciółmi. Bądź cierpliwy, a zobaczysz, że telefon zadzwoni.

Dieriabin przeniósł wzrok z telefonu na Trivimiego, niechętnie akceptując opinię Estończyka. Zapalił papierosa i rozgniół poprzedniego, który jeszcze tlił się w popielniczce.

- Niedziele w tym kraju są jak pogrzeby - wściekał się Dieriabin. - Nic się nie dzieje.

- Tak, jak w Sankt Petersburgu - odparł Estończyk. - Pooglądaj telewizję. Mają tu pięćdziesiąt kanałów. Czas ci szybciej zleci.

- Gdzie Galina?

- Nie pozwoliłbyś nikomu dotknąć telefonu. Kazałem jej dzwonić z mojego pokoju.

- Po co jej, kurwa, telefon?

- Nie mówiła.

- Jak jej coś strzeli do głowy, to nic jej nie powstrzyma. - Wpatrywał się w Trivimiego. - Znajdź ją.

Galina, korzystając z telefonu w pokoju Estończyka, zadzwoniła po wypożyczony samochód i zeszła do holu. Kupiła mapę samochodową obszaru w promieniu osiemdziesięciu kilometrów od Columbus Circle na Manhattanie. Mapa obejmowała pobliskie fragmenty stanu Nowy Jork na obu brzegach rzeki Hudson. O dwunastej trzydzieści słońce wisiało dokładnie nad głową i zrobiło się tak duszno, jak może być tylko w Nowym Jorku pierwszego dnia lata. Rozpięła górne guziki koszuli, ale w ubraniu odpowiednim na zimny klimat Zatoki Fińskiej wciąż było jej za gorąco.

Parkingowy skierował ją na zachód od rzeki Hudson, potem na północ, na drogę numer 9, za most Waszyngtona i dalej do mostu Tappan Zee.

Trafiła na most, przekroczyła rzekę i zjechała do miasteczka Nyack, słynącego z antykwariatów oraz społeczności artystów i pisarzy. Osiedle zamieszkiwała jeszcze jedna społeczność, złożona z potomków rosyjskich repatriantów, którzy uciekli z Rosji w drugiej i trzeciej dekadzie XX wieku. Prócz wnuków i prawnuków imigrantów trafiali się też nowo przybyli w pogoni za, jak mówili, amerykańskim snem.

Zatrzymała się przy motelu w centrum miasteczka. Zapytała o drogę, korzystając z notatek z rozmowy telefonicznej. Dowiedziała się, jak dostać się na drogę na północ od Nyack. Jechała przez niskie wzgórza nad rzeką. Po przejechaniu około pięciu kilometrów zobaczyła znak wskazujący drogę do Valley Cottage. Po prawej stronie dostrzegła osiedle białych domów i małych chat. Szukała małego, białego kościółka zwieńczonego złotą, cebulastą kopułą z krzyżem na szczycie.

Oto i on. Nieduży budynek niedaleko drogi. Nie miała wątpliwości, że to rosyjska cerkiew. Przypominała jej ojczyznę i wywołała krótką

falę podniecenia. Galinę zaskoczył fakt, że jest zdolna do jakichkolwiek uczuć. W całym swoim dwudziestodzieciuletnim życiu w świątyni była dwukrotnie: raz w kościele luterzańskim w Sankt Petersburgu, gdzie jako nastolatka poszła popływać w basenie zbudowanym tam przez Sowieców, kiedy ogłosili kościół własnością państwa. Drugi raz, gdy razem z Wiktorem kończyli szkolenie i wysłano ich, żeby śledzili stetryczalego lekarza, który codziennie chodził na nabożeństwa. Skręciła na parking i zatrzymała się obok znaku z napisem „Fundacja Tolstoja”.

Wiedziała, że Tolstoj był słynnym rosyjskim pisarzem, ale nie znała jego książek. Co to za miejsce? Chatki i domki przerobiono na małe mieszkanek. Za kościołem stał duży dom, za nim następne budynki. Między drzewami wiły się ścieżki przecinające osiedle. Na ścieżkach Galina dojrzała kobiety i mężczyzn. Spozrzęła, że wszyscy bez wyjątku są w podeszłym wieku. Spacerowali powoli, wielu z nich o lasce.

Drzwi od strony pasażera otworzyły się i do samochodu wśliznął się Paweł Raków. Widzieli się niecałe trzy tygodnie temu, ale od tego czasu życie Galiny boleśnie wywróciło się do góry nogami i zmieniło na zawsze. Paweł był w okularach przypominających dwa rozświetlone na zielono reflektory. Miał koszulę w błękitno-czerwoną kratę, a jego ciemne, krótko obcięte włosy przyprószyła siwizna. Gdy zdjął okulary, popatrzeli na siebie przyjaźnie.

- Witaj, Galino - pozdrowił ją. - Wyglądasz jak zawsze olśniewająco.

Młoda kobieta przyjęła komplement skinieniem głowy.

- Trafiłaś tu bez problemów?

Milczała, nie przestając mu się przyglądać.

- Jak się ma twój stary przyjaciel, Oleg Władimirowicz? - zapytał chłodno.

- On nie jest moim przyjacielem - syknęła. - Płaci mi za to, czym się zajmuję.

- Ile zapłacił ci za Wiktora?

- Co wiesz o Wiktorze? - spytała ostro.

- Tutaj informacje szybko się rozchodzą. Wieści docierają do nas zewsząd, nawet z Taszkentu. Gdy w tym mieście umiera obcy i nikt nie zapłaci za transport zwłok, ciało trafia do skrzyni i dalej do dziury w ziemi. Ktoś jednak opłacił wszystkich, którzy nadstawili ręce,

wykupił cynkowaną trumnę i miejsce w samolocie do Sankt Petersburga. Moi przyjaciele dowiedzieli się, że w trumnie był Wiktor Łysenko, a wszystkie koszty pokrył Oleg Dieriabin.

- Gdybym z nim była, Wiktor by żył.

- Przykro mi. - Wymusił uśmiech i otworzył drzwi. - Gorąco tu, przejdźmy się. Chcę ci coś pokazać. - Wziął ją pod rękę i poprowadził ścieżką ku cerkwi.

- Nie, Paweł. Nie tam.

- Spokojnie - powiedział cicho - tam nic nie gryzie. - Uśmiechnął się. - Obiecuję, że nikt się nie dowie, że byłeś w środku.

- Dziwnie się czuję...

- Chodź - zachęcił ją i weszli do kościółka.

W środku cerkiew wydawała się większa. Kwadratowe pomieszczenie z kunsztownie wykonanym sklepieniem dziewięć metrów nad ich głowami. Naprzeciwko ściana z ikonami i freskiem w jasnych kolorach przedstawiającym Chrystusa z apostołami. Brodaty mężczyzna przy bocznej ścianie konserwował malowidło uszkodzone wiosną przez wodę.

Galina była przygnębiona. Pochylała głowę, odwracając się do każdej ze ścian. Szarpnęła Pawła za ramię.

- Możemy już wyjść?

Mężczyzna potaknął i wrócili na słońce. Ścieżką podążyli ku ławce schowanej w cieniu brzoź. Usiedli, nie odzywając się ani słowem.

- Jak długo tu zostaniesz? - przerwał milczenie Paweł.

- Dopóki nie wykonam zadania. - Zadrzała. - Może jakieś dwa albo trzy dni.

- Jakie zadanie? - zapytał.

- Moje zadanie? - powtórzyła. - Takie samo, jak ostatnio.

- Kogo masz zabić tym razem?

- Mężczyznę. - Spuściła oczy.

- Jakiego mężczyznę?

Nie odpowiedziała od razu.

- Mężczyznę, który zabił Wiktora - powiedziała po chwili i podniosła wzrok.

- Znasz go?

- Nie. Widziałam go tylko. To Anglik.

- Słyszałem, że Wiktor walczył z jakimś Anglikiem w Taszkencie.

- Wiktor wpadł w zasadzkę. Nie wiem, jak to się stało, ale tamci

mieli przewagę liczebną.

- Ten Anglik jest w Nowym Jorku?

- Nazywa się Oxby. Jest ze Scotland Yardu, ale wykonuje prywatne zlecenie. Oleg się dowiedział, że to on zabił Wiktora. To wszystko, co wiem.

- Kto powiedział Olegowi? - zapytał z powątpiewaniem Paweł.

- Ma przyjaciół w Uzbekistanie?

- Wszędzie ma przyjaciół. Z KGB.

- To zadanie... to prawdziwe zlecenie czy tylko zemsta za śmierć Wiktora?

- Oxby wtyka nos w sprawę Olega. Może ściągnąć kłopoty.

Przyglądała się długiej bliźnie nad lewym okiem Pawła, pamiętce po ranie, którą odniósł rok po ich poznaniu. Widziała zszytą tkankę, pozostałość po cięciu nożem. Omal nie stracił oka, ale skończyło się na ubytku kilku włosków z łuku brwiowego. Pomyślała, że to potworna ironia.

- Wiktor był też moim przyjacielem - przypomniał.

Galina wpatrywała się w jego twarz. Tę twarz znała nie gorzej niż twarz Wiktora. Zakochała się w Pawle, gdy miała osiemnaście lat. On miał dwadzieścia siedem. Była uczennicą, on nauczycielem. Chciała być aktorką, on chciał, żeby Rosja z dnia na dzień stała się kapitalistycznym mocarstwem. Dla Pawła reformy postępowały zbyt wolno. Znalazł się w firmie prowadzonej przez komunistów w nowych wcieleniach. Zastraszenia i morderstwa były wypróbowanym sposobem trzymania i umacniania władzy. Przedsięwzięcie to kosztowało życie jego bliskiego przyjaciela. Przyjaciel ów miał młodszego brata, Wiktora Łysenkę.

Pewnego feralnego dnia Paweł przedstawił Wiktora Dieriabinowi. Rok później Wiktor poznał Galinę. Po pięciu latach sukcesów Pawła spotkała seria niepowodzeń, przez co wyleciał z firmy. Dzięki starym koneksjom w kręgach rządowych wreszcie dostał wizę i wyjechał do Ameryki.

- Co to za miejsce? - chciała wiedzieć Galina. - Ta cerkiew...

- Cerkiew jest pod wezwaniem świętego Sergiusza z Radoneża i, jak widać, jest schronieniem dla starych ludzi. Starych Rosjan, którzy uciekli ze Związku Sowieckiego.

- Nie ma Związku Sowieckiego - przerwała Galina - teraz jest Rosja.

-A oni wciąż się zjeżdżają. Mam tu przyjaciół. To starzy, ale dobrzy ludzie.

- Twoi przyjaciele są tutaj?

- Nie ma w tym nic dziwnego, Galino. Mam tu wielu przyjaciół, a jeszcze więcej w mieście, gdzie mieszkam. Dobrze mi się wiedzie.

Obróciła się i popatrzyła na niego.

- Ożeniłeś się?

- Tak - skinął głową z uśmiechem - i mam syna.

Powoli odwróciła wzrok. Odpowiedziała milczeniem. Paweł obserwował ją uważnie i czekał, aż przemówi.

- Masz syna. - Zabrzmiało to ciepło, ale z wyczuwalną nutką goryczy. Obróciła się, miotając oczami błyskawice. - Ja nie mam nikogo.

Paweł objął ją ramieniem i przytulił mocno.

- Masz przyjaciół - mówił, całując ją w czoło. - Ja nim jestem.

Wtulona w niego płakała, ale tylko przez moment. Odsunęła się. Łzawe chwile słabości zdarzały się jej bardzo rzadko. Patrzyła teraz na znajomą twarz Pawła, na bliznę nad okiem, na usta, które ją całowały tyle razy. Pomyślała, że to pocziwa twarz.

- Wiesz, że Wiktor i ja... - Przesuwała palcami po wargach, jakby chciała zetrzeć resztę zdania.

- Jak długo jeszcze masz zamiar być najemniczką Dieriabina?

- Dopóki będzie mnie potrzebował. I płacił.

- Może dojść do wniosku, że bez Wiktora już cię nie potrzebuje.

- Istnieje taka możliwość.

- Jeśli postanowi się z tobą rozstać, każe cię zabić.

- Nie zrobiłby tego. - Odetchnęła głęboko.

- Mógłby też postawić ci warunek, że zostaniesz, jeśli się z nim prześpisz.

- Prędzej dałabym się zerznąć psu.

-Więc wyjedź. Poleć do Moskwy, załatw sobie wizę. Przyjedź tu i zacznij od nowa.

- Nie mogę - powiedziała cicho i objęła Pawła przeraźliwie smutnym spojrzeniem. - Nie mogę.

Obsługa podstawiała nowy wózek śniadaniowy. Na talerzach leżały smakowicie wyglądające plasty mięsa, sery i sałatki. Była też misa

świeżych owoców. Ale tak jak poprzednio jedzenia z niego jakoś nie ubywało. Dieriabin był sam, jeszcze w szlafroku, nieogolony, czerwony ze złości. Mamrotał pod nosem. W niezrozumiałym bełkocie wyraźnie dało się słyszeć tylko soczyste przekleństwa. Otworzył nową paczkę papierosów, wyciągnął jednego i zapalił. Podeszedł do okna i spojrzał na szeroką aleję. Odwrócił się, gdy w otwartych drzwiach stanął Trivimi Laar.

- Gdzie ona jest, do kurwy nędzy? - ryknął Dieriabin.

- Pojechała gdzieś samochodem. Mówią, że pytała o drogę do mostu Tappan Zee. Byłeś tam kiedyś?

Dieriabin odparł, że owszem, że to na północ od miasta. Most na rzece Hudson.

- Masz jakieś pojęcie, po co tam pojechała?

- Skąd mam wiedzieć? - Dieriabin wypuścił wstęgę dymu. - Może szuka Oxby'ego.

ROZDZIAŁ 43

Cięgła i pylony mostu Jerzego Waszyngtona odcinały się ostrymi sylwetkami w pomarańczowym świetle gorącego słońca. Za półtorej godziny zachód. Było minutę po północy. Kończył się pierwszy dzień lata.

Tobias skręcił na prawy pas.

- Jedziemy tam - oznajmił, wskazując rząd wysokościowców na wzgórzach Palisades. - W jednym z nich mieszka Mike Carson.

Oxby poprawił się na siedzeniu, by mieć lepszy widok na zachodni brzeg Hudson. Myślami błądził wokół zbliżającego się spotkania z Mikiem Carsonem vel Michailem Wasiliewiczem Karsałowem. Był podekscytowany. Zdażył już poznać bardzo intymne szczegóły z życia Mike'a. Oczami duszy widział pokój w zakładzie dla obłąkanych w Taszkencie, gdzie w jego ramionach skonał ojciec Mike'a. Głęboko tragiczne wydarzenie związało Oxby'ego z synem Karsałowa, nim jeszcze obaj mężczyźni mieli okazję się spotkać.

- Pamiętaj, że jesteś fanem mostów - podjął Tobias. - Jeśli brać

pod uwagę ruch, ten tu to prawdziwy wół roboczy. Za to Verrazano, most, o który mnie pytałeś po drodze z lotniska, to prawdziwa piękność.

Most to po angielsku mężczyzna czy kobieta? - pytał siebie w duchu Oxby. Doszedł do wniosku, że, podobnie jak po francusku, mosty są rodzaju męskiego. Choć Alex uważał Verrazano za damę, most Waszyngtona zdecydowanie był facetem.

Kiedy już znaleźli się po stronie Jersey, po serii objazdów i skrętów, Tobias wreszcie wjechał w Palisades Avenue. Zwolnił i wypatrywał Atrium Palace. Wreszcie dostrzegł znak przed wejściem. Punkt siódma portier zadzwonił do apartamentu Mike'a Carsona i obaj goście udali się na górę.

- Mike, to detektyw nadinspektor Jack Oxby, duma Scotland Yardu i mój stary przyjaciel. Jack, przedstawiam ci Mike'a Carsona.

Uścisnęli sobie ręce, mierząc się nawzajem wzrokiem.

- Czekałem na to spotkanie - oświadczył Oxby. - Darujmy sobie formalności. Mów mi Jack.

- Mike - rzucił z uśmiechem gospodarz. - Wejdźcie, proszę. Wreszcie pozbyłem się malarzy i tych śmiesznych dekoratorów wnętrz. Co za ludzie! Ale mam nadzieję, że podoba wam się efekt ich pracy.

Co się mogło nie podobać! Wkroczyli do ogromnego pokojuumeblowanego nowoczesnymi sofami, fotelami i stolikami. Kolory mebli były stonowane, kształty delikatne i opływowe. Ostry kontrast stanowiły trzy wielkie obrazy w jaskrawych kolorach. Wewnętrzna ścianę zajmował krajobraz pędzla Stuarta Davisa, utrzymany w turkusach i błękitach, z niebem żółtym od zachodzącego słońca. Oxby podszedł do okien, podziwiając widok, potem odwrócił się, by z kolei zachwycić się pokojem, wciąż pachnącym świeżą farbą i poliuretanem.

- Naprawdę pięknie - powiedział Oxby.

- Za dodatkową opłatą - skwitował Mike. Stał we wnęce z barem.

- Jeśli chcecie coś do picia, częstujcie się.

I tak w kilka minut później rozsiedli się ze szklankami w dłoniach.

- Jak tam mecz? - zagadnął Alex.

- Nudny - stwierdził Mike.

- Jankesi wygrali?

- Byłem ze sprzedawcą cadillaca. - Mike się uśmiechnął. - Pocho dzi z Detroit. Mieszka w Chicago, ale i tak...

Oxby opadł na miękkie poduszki, przysłuchując się, jak Mike i Alex - zagorzały wielbiciel Jankesów - konwersują o baseballu. Co prawda Mike nie zamerykanizował się na tyle, by pokochać narodowy sport, ale przynajmniej oglądał rozgrywki futbolowe. Jego ulubioną drużyną byli oczywiście New York Giants. Oxby uważnie obserwował gospodarza i przysłuchiwał się jego wymowie, wyraźnie świadczącej, że angielskiego nauczył się w Londynie, dopiero potem opanowując do perfekcji amerykańskie idiomy. Mike nie wdał się całkiem w ojca, były jednak pewne podobieństwa. Detektyw doszedł do wniosku, że Rosjanin odznaczał się naturalną zdolnością zjednywania sobie zupełnie obcych ludzi. Cała jego osoba emanowała szczerością i ufnością.

- .. i tak Jankesi wygrali, a mój znajomy jakoś tak przycichł.

- Detroit wygrali serię. Dwa na trzy mecze - zaproponował Tobias.

- Nie ma powodów do narzekania.

-A więc jesteś ze Scotland Yardu - zwrócił się Mike do Oxby'ego.

- Udaję, że jestem na wakacjach - odrzekł z uśmiechem inspektor.

- Byłeś w Rosji. - To było stwierdzenie, nie pytanie. - W jakich miastach?

- W Rosji tylko w jednym, w Sankt Petersburgu - sprecyzował detektyw. Uważnie obserwował reakcję Mike'a na swe kolejne słowa:

- Trzy dni spędziłem w Uzbekistanie. W Taszkencie.

Mike zamyślił się nad tym.

-W Taszkencie - powtórzył. - Coś mówili w wiadomościach... o ropie i gazie ziemnym. Są też znaczącym producentem bawełny, zgadza się?

- Sana nią chyba skazani - skwitował Oxby. - Prawdę powiedziawszy, mówi się tam nawet, żeby robić z niej samochody. Gdzieś czytałem, że chcą przetwarzać olej z ziaren bawełny w twarde polimer.

- Już ja coś wiem o samochodach. - Mike pokiwał głową. - Niech się lepiej dwa razy zastanowią, zanim wejdą w ten biznes. No dobra, ale czemu Taszkient? Co cię tam pogało?

- Chcę się z tobą podzielić moimi doświadczeniami z Sankt Petersburga i Taszkientu. Ale muszę cię wpierv ostrzec, że to, co powiem, może być dla ciebie trudne.

Mike zerknął na Aleksa, potem znów na Oxby'ego.

-Mów.

- Mike, nie było to moim zamiarem, ale kiedy udałem się na urlop, by przeprowadzić dochodzenie, które miało być tyleż skomplikowane, co przyjemne, natrafiłem na nadzwyczaj poufne informacje o tobie i twojej rodzinie. Chcę, żeby to było jasne: wszystko, czego się dowiedziałem, zachowałem w sekrecie. Podzieliłem się tym tylko z Alekssem i Jakowem Iljuszynem, starym przyjacielem, u którego mieszkałem podczas pobytu w Sankt Petersburgu. To dobry człowiek i w pełni mu ufam.

- Chwileczkę. Czy to, co masz mi zamiar powiedzieć, ma jakiś związek ze śmiercią Saszy Akimowa?

- O tak - potwierdził Oxby. Odczekał, aż Mike przyswoi sobie odpowiedź. Gospodarz podszedł do okien i zapatrzył się na samochody przemykające przez most. Wreszcie odwrócił się do rozmówcy.

- Zatem czego się dowiedziałeś?

Inspektor starannie przygotował się na tę chwilę. Zaczął od opisu zadania, którego się podjął. Opowiedział, jak nadarzyła się okazja, kiedy akurat chciał odpocząć od swych obowiązków w Scotland Yardzie.

- Uznałem to za doskonałą sposobność do odwiedzenia Sankt Petersburga. Zafascynowała mnie też zdumiewająca hipoteza, jakoby Grigorij Rasputin zlecił Fabergému wykonanie carskiej pisanki dla carycy Aleksandry.

Zrelacjonował swoją odyseję. Za plecami Mike'a widział pylony mostu na tle łagodnego światła zachodzącego słońca. Ciągnął swą opowieść, słońce opadało w dół, a cienie wspinały się na pylony. Nim skończył, było już ciemno.

Zapadła długa cisza, którą wreszcie przerwał Mike.

-Powiedziałeś, że ojciec nie cierpiał. Faktycznie tak było czy chciałeś mi oszczędzić prawdy?

-Jego rana była śmiertelna i myślę, że towarzyszył mu ból, ale jedynie przez moment. Szybko doznał szoku.

-A jego pamiętniki, zdjęcia i inne szpargały, które po sobie zostawił. .. Są w jakimś miejscu, skąd mogę je zabrać?

- Zabrałem wszystkie pamiętniki i pudełko pełne zdjęć. Prześlę ci je. Pozostałe rzeczy złożono w depozycie.

-A moja matka? Dowiedzieliście się czegoś o niej?

- Chciałbym dać inną odpowiedź, ale nie. Czytaliśmy o niej w pa miętnikach twojego ojca i listach Saszy Akimowa. Poprosiłem Jakowa Iljuszyna, aby spróbował ją odnaleźć.

- Sasza dał mi jej adres. Przekazałem informację przyjacielowi z Brighton Beach, który prowadzi serwis internetowy i komunikuje się drogą elektroniczną ze znajomymi w wielu rosyjskich miastach. Jak dotąd nie odnalazł jednak nikogo, kto znałby moją matkę. - Uśmiechnął się z zażenowaniem. - Czas, żeby syn marnotrawny wrócił do domu.

- Skontaktuję cię z Jakowem. On cię przygarnie jak syna.

- Planowałem podróż do Sankt Petersburga w interesach. A teraz okazuje się, że jadę w sprawach osobistych.

- Masz z Dieriabinem kilka spraw do załatwienia.

-Ach tak? Jakich to?

- Po pierwsze, propozycja spółki. Będzie chciał ją sfinalizować.

- Wysłałem samochody o wartości niemal pół miliona dolarów do Port Newark. Planowałem wysłanie ich do Sankt Petersburga, kiedy tylko dostanę zapłatę. Ale to już nieaktualne.

- A samochody?

- Zabierzemy je - oświadczył Mike, wpychając ręce głęboko do kieszeni. - A inne kwestie?

- Jajko Fabergégo. Należy do ciebie.

- Już mówiłem, że skoro mój ojciec był na tyle głupi, by je przegrać, to już do mnie nie należy.

-Ależ nic podobnego, Mike. Tamtej nocy w karty grało pięciu mężczyzn. Wszyscy z wyjątkiem Dieriabina nie żyją. Czy to nic ci nie mówi?

- Mówi, że Dieriabin jest skurwysynem, ale to nie dowodzi, że jestem właścicielem jajka.

- Może nie oficjalnie. Ale istnieje niepisane prawo zadośćuczynienia, które można przywołać w takich sytuacjach. - Oxby podszedł do Mike'a. - Słuchaj - powiedział twardo. - Zapomnij o tym pokerze, choć możesz być pewien, że twego ojca oszukano. Jajko należy do twojej rodziny.

- I co ja mam z tym zrobić?

-Po pierwsze, zajmijmy się innymi sprawami, które moim zdaniem musisz wyczyścić. Przede wszystkim tym, że twój ojciec zapłacił straszliwą karę za zbrodnię, której nie popełnił.

- Masz co do tego całkowitą pewność?
- Kiedy twój ojciec służył w marynarce, prowadził też interes wspólnie z Arturem Preknerem. Wyjaśniłem ci już, jak się w to wmieszał Dieriabin i jak zrzucił odpowiedzialność za zamordowanie Preknera na twojego ojca.
- Jest gdzieś tam, prawda? - zagadnął Mike, wskazując wieżowce Manhattanu.
- W Hiltonie. Razem z Trivimim Laarem. I z kobietą, która, jak podejrzewam, postrzeliła Saszę Akimowa w twoim biurze.
- Dobra kompania.
- Zgadza się, warte jedno drugiego. Trzeba być naprawdę chorym na umyśle, żeby chcieć się spotkać twarzą w twarz z synem człowieka, którego się zniszczyło.
- Spytam jeszcze raz: co mogę z tym zrobić?
- Powiedziałeś Aleksowi, że masz z nim spotkanie jutro rano w twoim biurze. To wciąż aktualne?
- Tak. Umówiłem się na dziesiątą.
- Chciałbym, żebyś spotkał się z nim poza biurem. Na otwartej przestrzeni, na przykład w parku. Wyczuwasz, o co mi idzie, Alex?
- Mike mówi, że ma samochody w Port Newark. Znam to miejsce. Może spotkać się tam? To co prawda nie park, ale za to otwarta przestrzeń.
- Co myślisz, Mike? - chciał wiedzieć Oxby.
- Sporo miejsca na spotkanie - skwitował Mike. - No i będzie gorąco.
- A co ze strażami, zamkniętymi przejściami i tym podobnymi sprawami?
- Są bramy, są strażę i patrole celne - wyjaśnił Tobias - ale znamy kogo trzeba. Nie będzie problemu.
- Dobra, zróbmy tak. Jaka godzinę sugerujesz, Alex?
- Rano jest tłoczno. Myślę, że najlepsze będzie późne popołudnie.
- Czwarta. Pasuje?
- Kto powie Dieriabinowi? - zagadnął Mike.
- Ty. Powiedz mu, że masz samochody, które zamówił, i może je sobie obejrzeć przed wysyłką.

Przez całe popołudnie i wieczór Dieriabin zerkał na każdy zegar i zegarek w zasięgu swojego wzroku. Kiedy minęła dziewiąta, nabrał

pewności, że Oxby się nie odezwie. Zgasła też nadzieja na telefon od Mikę'a Carsona. Jednak dziesięć po dziewiątej telefon wreszcie zadzwonił.

Odebrał Trivimi Laar. Dieriabin pośpieszył, by podsłuchiwać rozmowę z aparatu w sypialni.

- Miło cię słyszeć, Michael - rzekł na powitanie Trivimi. - Wszystko w porządku? Coś się wydarzyło, odkąd się widzieliśmy?

Mikę zapewnił Estończyka, że i owszem, w porządku, dodając, że ma wiadomość dla Olega Dieriabina.

- Proszę mu przekazać, że wypadło mi coś pilnego i mogę się spotkać dopiero po południu.

- O której?

- O czwartej. Ale nie w moim biurze. Udało mi się już sprowadzić zamówione samochody. Chcę, żebyście je zobaczyli.

-Co za miła niespodzianka! - skomentował uprzejmie Trivimi. - Gdzież one są?

- W New Jersey, w Port Newark. To niedaleko, nie więcej niż czterdzieści minut drogi z waszego hotelu. Prześlę wam wskazówki.

Mikę się pożegnał i rozłączył.

Dieriabin powrócił do saloniku. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i weszła Galina.

- Gdzie się podziewałaś? - zaatakował ją Dieriabin. W jego głosie dźwięczała stal.

Galina podeszła do wózka i położyła na tacy buleczkę i owoce.

- Pojechałam na niedzielną przejażdżkę - oznajmiła, nie odwracając się nawet. - Ponoć tak tu mają w zwyczaju.

ROZDZIAŁ 44

ZManhattanu do Port Newark w New Jersey było szesnaście kilometrów w linii prostej. Samochodem niewiele więcej. Port znajdował się na zachodnim nabrzeżu zatoki Newark, którą z zatoką Upper New York Bay łączył wąski kanał Kill Van Kuli dla statków oceanicznych. Doki i ogromne magazyny znajdowały się w centralnej części obszaru o powierzchni dwudziestu pięciu kilometrów

kwadratowych, gęsto usianego zakładami przemysłowymi oraz przedsiębiorstwami handlowymi i transportowymi. Na zachód od autostrady New Jersey Turnpike usytuowany był Międzynarodowy Port Lotniczy Newark. Na północ i południe od portu były zakłady chemiczne i petrochemiczne oraz place wielkości boisk futbolowych, wypełnione górami sprasowanych samochodów i gigantycznego sprzętu budowlanego. W zależności od kierunku wiatru i harmonogramu pracy fabryk zmieniały się unoszące się w powietrzu wonie, od cierpkich i gryzących wyziewów po aromatyczne mieszanki przypraw i słodko pachnących środków dezynfekcyjnych. Ogromne ciężarówki rzygały trującymi strumieniami dieslowskich spalin.

Przez port przepływały najrozmaitsze ładunki. Między nimi szczególne miejsce zajmowało pół miliona pojazdów, transportowanych w specjalnie z myślą o nich zaprojektowanych oceanicznych frachtowcach; niektóre wznosiły się na wysokość dwunastu pięter nad powierzchnię wody. Większość aut stanowiły samochody pasażerskie -marki Volvo, SAAB czy Hyundai. Każdy zjeżdżający z pokładu statku pojazd był poddawany inspekcji, rejestrowany i parkowany we wcześniej ustalonym miejscu na tak zwanym polu. Pola nie porastało zboże - była to gigantyczna połać asfaltu, pociętego kratownicą białych linii.

Większość pojazdów stanowiły fabrycznie nowe auta ze Skandynawii lub Seulu, które przybywały w „strojach podróżnych” - z maską, dachem i bagażnikiem przykrytymi ochronną warstwą wzmocnionego białego plastiku. Tak samo opakowane fabrycznie nowe samochody amerykańskie parkowano w części pola z autami na eksport.

Na polu stało około dziesięciu tysięcy samochodów i innych pojazdów; ich łączna wartość znacząco przekraczała ćwierć miliarda dolarów. Mimo to żaden nie był zamknięty. Choć ogromne, pole miało tylko dwa wjazdy. Jedna brama była przeznaczona dla ciągników siodłowych z lawetami, wywożących co kilka minut kolejny transport, druga dla dealerów samochodów i osób prywatnych, które odbierały zagraniczne wozy i wysyłały samochody za granicę. Bram strzegły połączone siły straży nabrzeżnej New York-New Jersey i prywatnych ochroniarzy. W godzinach pracy - zazwyczaj od ósmej do szóstej - patrolowali dodatkowo teren uzbrojeni funkcjonariusze służby celnej.

W specjalnie wyznaczonej części pola, kilkaset metrów od bramy

zwanej Doremus Avenue, zaparkowano różnorodne pojazdy przeznaczone na eksport. Były między nimi prywatne samochody wysyłane za granicę rodzinom lub zabierane na użytek własny podczas długich podróży prywatnych czy służbowych. Znajdowała się też niewielka liczba pojazdów przeznaczonych do wysyłki przez prywatnych przedsiębiorców i niezależnych dealerów samochodowych. Do tej ostatniej kategorii należał Mike Carson. Jego piętnaście samochodów czekało tu na wysyłkę do Sankt Petersburga.

Mike wybrał dziewięć cadillaców, cztery oldsmobile i dwa pontiaki. Każdy z samochodów miał nalepki na przedniej szybie i jasnożółtą etykietkę przyklejoną do lusterka. Na jednej z nalepek, pod nazwą portu, Bremerhaven, umieszczono komunikat wypisany jasnoczerwo-nyim markerem: „Nie ładować. Oczekuje na autoryzację Carson Motors, Inc". Na miejscu pasażera spoczywał podręcznik obsługi samochodu wraz z dwoma kompletami kluczyków.

Piętnaście aut Mike'a otaczała eklektyczna zbieranina innych pojazdów, w tym dziesięcioletnia biała limuzyna lincoln continental. Nalepka na jej przedniej szybie świadczyła, że ma się udać w podróż do Southampton. Obok lincolna stały dwa hummery, czarny i granatowy. Nisko zawieszony, z małymi okienkami, hummery wyglądały dziwacznie, niemal złowrogo, lecz królowały pośród pojazdów rekreacyjnych. Sprawdzały się równie dobrze na safari czy imprezie na plaży, jak i w charakterze pojazdów wojskowych. Nic dziwnego, że te dwa stanowiły własność kuwejckiego szejka.

Było coś dziwnego w tym miejscu pełnym samochodów. Panowała tu atmosfera szczególnego napięcia. Te nowoczesne pojazdy miały się poruszać z ogromną szybkością, tymczasem stały nieruchomo w równych rzędach. Niemal wyczuwało się drżącą w nich moc.

W poniedziałek rano pierwszy obudził się Dieriabin. Łóżko obok było puste, pustą. Nikt w nim nie spał.

- Gdzie jesteś, dziwko? - zagderał. - Galina!

Wpadł do saloniku, potem otworzył na przestrzal drzwi do łazienki. Był sam. Na sofie zobaczył koc i poduszkę. Chwycił ją i walnął pięścią. Uderzał raz za razem, jak sfrustrowany, zagniewany chłopczyk. Wreszcie cisnął na podłogę. Wziął telefon i zadzwonił po służbę. Wkrótce dostarczono kolejny wózek z jedzeniem. Tym razem jadł łapczywie. Obejrzał poranny program o wakacjach. Wyłączył telewizor

i próbował wczytać się w strony biznesowe „New York Timesa”. Wtem usłyszał odgłos otwieranych drzwi, co znaczyło, że zjawiała się Galina.

Weszła do pokoju. Przez chwilę bez słowa mierzyli się wzrokiem. Nalała sobie kawy i zasiadła w fotelu naprzeciwko okna. Dieriabın przyglądał się jej z ponurym wyrazem twarzy.

- Może coś zjesz?

Nie patrząc na niego, pokręciła głową. -

Met.

- Kiedy poszłaś spać? Nie słyszałem cię.

Zignorowała pytanie. On podniósł nieco głos.

- Pytałem, kiedy poszłaś spać?

- Czy to takie ważne? Robiłeś tyle hałasu, że przyszedłam spać tutaj.

- Mówiłem ci, żebyś mnie obudziła, gdybym zasnął.

- Czemu miałabym cię budzić?

- Chciałem ciębie.

-Ale ja nie chciałam ciębie, Oleg. Nie taka była umowa. Chcesz się pieprzyć, sprowadź sobie kurwę. Pełno ich w Nowym Jorku. I to dobrych.

- Spałaś tutaj?

- Na sofie. Jest wygodnie. I cicho.

Dolał sobie kawy i zasiadł w fotelu naprzeciwko niej.

- Mówiłaś o przejażdżce. Dokąd się wybrałaś?

- Na północ. To się chyba nazywa Tappan Bridge.

- Tappan Zee.

- O właśnie.

- Po coś tam pojechała?

- Żeby się wyrwać.

- Stąd? Żeby uciec ode mnie?

- Nie zaczynaj kłótni, Oleg. Nudziłam się.

- Masz pracę.

- Siedzenie w pokoju i czekanie na telefon to nie moja praca.

- Rób, co ci mówię.

- Wiem, co mam robić. I zrobię to po swojemu.

Mikę Carson wszedł do kuchni z telefonem przy uchu, z kubkiem w jednej dłoni i plikiem papierów w drugiej. Dolał sobie kawy i wrócił do salonu, kiedy właśnie weszła Patsy.

- Cześć, szefie - odezwała się, kładąc papierową torbę na stoliku do kawy.

Mike przywitał się gestem, rozmawiał jeszcze przez pół minuty zanim się rozłączył. Z torby wyjął drożdżówkę i ugryzł. Spotkania Mike'a i Patsy miały w sobie coś z rytuału - a na pewno te w każdy poniedziałek, o dziewiątej.

- Spotkanie z Rosjanami o jedenastej - przypomniała Patsy. - Wszystko w porządku?

- Przełożyliśmy je na czwartą.

- Ach tak? - W krótkim zdaniu zawarła troskę i co najmniej jedno pytanie. - Jakiś problem?

- Niezupełnie problem. To raczej kwestia strategii.

- Zmiana godziny to kwestia strategii?

Ugryzł kęs drożdżówki, popijając kawą. Nie patrzył na Patsy, próbując najwidoczniej uporządkować myśli, by jasno wyrazić, o co mu chodzi.

- Miałem wczoraj dwóch gości. Jednego znasz, to Alex Tobias. Drugi przybył z Londynu. Interesujący facet. Nazywa się Jack Oxby. Jest ze Scotland Yardu.

- Czego chcieli?

- Oxby był w Rosji. Dzięki niemu dowiedziałem się trochę więcej o mojej rodzinie.

- Mam nadzieję, że przekazał ci dobre wieści?

- Niektóre dobre, niektóre złe. Tyle czasu... - Tu się opamiętał, - Poprosili mnie, żebym przełożył spotkanie z Rosjanami.

- Podali jakiś powód?

- Wszystko ci wytłumaczę... Nie teraz.

Patsy przechyliła głowę i spojrzała na niego wymownie. Wiedziała, że coś się szykuje.

- Mogę coś dla ciebie zrobić?

Pokręcił głową.

- Nie. Chyba że zechcesz mi przynieść jeszcze jedną drożdżówkę.

Robiło się gorąco. Ściślej mówiąc, skwierczało jak na patelni. O jedenastej czterdzieści pięć termometr za oknem kuchni Tobiasa pokazywał trzydzieści sześć stopni. Powietrze było ciężkie, a niebo niemal bezchmurne, tylko na południu pojawiło się kilka groźnie wyglądających chmurzysk, które mogły przynieść burzę. Na ich widok

Alex Tobias włączył kanał z prognozą pogody, by przyjrzeć się zdjęciom satelitarnym. Szybko przemieszczający się front burzowy z południowego zachodu dotrze do Nowego Jorku między drugą a czwartą. Towarzyszyć mu będą obfite opady deszczu i wiatr w porywach dochodzący do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Potem przejaśni się, ale nadal będzie upalnie i parno.

- Niepotrzebna nam burza, Jack.

- Potrafisz jej zapobiec?

- Masz rację. - Tobias się uśmiechnął. - Może potrafimy sprawić, żeby działała na naszą korzyść.

- Popracuję nad tym - obiecał Oxby.

Kopertę z logo Carson Motors dostarczono do apartamentu Dieriabina o jedenastej trzydzieści pięć. Wewnątrz znajdowała się mapka z zaznaczoną żółtym markerem trasą z hotelu do Port Newark. Trivimi ocenił, że droga zajmie im trzydzieści do czterdziestu minut. Oprócz tego w kopercie była wiadomość:

Panie Dieriabin,

załączam mapkę, na której zaznaczono, jak dojechać na miejsce spotkania o godzinie czwartej. Strażnik przy bramie Doremus Avenue wskaże miejsce do zaparkowania na terenie kompleksu. Skieruje Państwa na duży parking, gdzie znajdują się zamówione przez Was samochody. Będzie tam oczekiwać Państwa Mike Carson.

List bez podpisu wydrukowano na firmowej papeterii, z imieniem i nazwiskiem właściciela u góry strony. Trivimi podał Dieriabino-wi mapkę i wiadomość. Ten zerknął na nie pobieżnie, po czym przez kilka długich sekund przyglądał się mapce. Trzymając kartki w dłoni, przymknął oczy, a jego twarz wykrzywił grymas z trudem hamowanej straszliwej wściekłości.

- To Oxby. To on za tym stoi. - Zmiał kartki w kulę i rzucił w kąt.

Galina podniosła je i rozwinęła. Przyjrzała się mapce i wraz z listem podała ją Estończykowi. Następnie podeszła do drzwi i położyła dłoń na klamce.

- Dokąd to się wybierasz? - warknął Dieriabin. Najwyraźniej zawodziły go nerwy.

- Do holu, coś zjeść.

- Mamy tu jedzenie. Wszystko, co zechcesz.
- Chcę być sama.

Mike Carson udał się na przejażdżkę. W samotności. Przejechał most Jerzego Waszyngtona, Cross Bronx Expressway i most Throgs Neck, by wreszcie wyjechać na Long Island Expressway. Gdyby skręcił w lewo, dojechałby do Roslyn i do swego nowego salonu. Jednak bez namysłu skręcił w prawo i podążył znaną mu drogą, by wreszcie wjechać w szeroką aleję w Brighton Beach, na Brooklynie. Można powiedzieć, że był w domu.

Zaparkował, wysiadł z samochodu i ruszył przed siebie. Podwinął rękawy i otarł pot z karku chusteczką. Ileż to czasu minęło, od kiedy ostatni raz szedł piechotą Brighton Beach Avenue? Trudno było przywołać stare wspomnienia, przyćmione przez te najnowsze, z zeszłego wieczoru. Te, które stworzył Jack Oxby, który spotkał się z ojcem Mike'a i widział jego śmierć.

Mike wyrzucił ze swego życia zarówno Rosję, jak i własną rodzinę. Tak przynajmniej sądził. Ale nic z tego. Wszystko wróciło. Zdjęcie ojca z matką i dziadkiem. Wiedział, że był synem człowieka, skazanego za zbrodnię, której nie popełnił. Synem kobiety, którą musiał odszukać i nauczyć się kochać, bo była jego matką.

Czuł się zakłopotany. Nie mówiąc już o tym, że samotny i wściekły. Czuł, że stracił prawo do egoizmu.

Mijał stragany pachnące rybami i cuchnące rozkładającym się jedzeniem kubły. Sklepy odzieżowe z džinsami dla całej rodziny i bucikami dla niemowląt. Stragany z książkami na deptaku i stoły zasłane starymi magazynami i książkami w miękkich okładkach po rosyjsku i grecku. Zatrzymał się przed nocnym klubem. Witrynę zajmowała reklama występów egzotycznych tancerek, w tym zdjęcia jednej z nich topless - prosto z występów w Mińsku. Wszedł do środka. Mimo że zbliżała się pora lunchu, lokal świecił pustkami. Usiadł przy stoliku, zamówił napój gazowany i sałatkę. Pomieszczenie utrzymane było w zieleniach i czerni. Na suficie zamontowano reflektory. Na drugim końcu sali znajdowała się mała scena, przybrana dekoracjami z zeszłonocnej imprezy rocznicowej, której śladów jeszcze nie uprzątnięto. Jakiś mężczyzna, może właściciel, a może muzyk, wszedł na scenę i podłączył mikrofon. Zasiadł przy syntezatorze i zaczął grać, podśpiewując smutną rosyjską pieśń.

Podano sałatkę. Mike zjadł kilka kęsów, zapłacił i wyszedł w upał popołudnia. Cienie straciły ostrość, rozmyte rozciągającą się na niebie mgiełką. Wszedł na deptak i zapatrzył się na ciemne chmury na południowym horyzoncie, nadciągające znad Atlantyku.

Zerknął na zegarek: za dziesięć druga. Niecałe dwie godziny do spotkania z Olegiem Dieriabinem. W głębi duszy zagościło obce mu uczucie - po części gniew, po części lęk. Coraz częściej nawiedzała go myśl, że powinien odpokutować za porzucenie rodziny. Rosła też w nim nienawiść do człowieka, który tę rodzinę zniszczył.

Spuścił głowę. Do oczu napłynęły mu łzy. Wprawiały go w zakłopotanie, ale doświadczył ich oczyszczającej mocy.

- Pamiętaj, że gdy Mike Carson i Oleg Dieriabin widzieli się po raz ostatni, Mike był jeszcze chłopcem i nazywał się Michaił Wasiliewicz Karsałow.

- Mike to duży chłopiec - powiedział Tobias. - Poradzi sobie.

- Mam nadzieję. - Oxbys się zamyślił. - Do wczoraj Mike mógł przypuszczać, że Dieriabin to tylko jeden z wielu rosyjskich pseudo-biznesmenów. Dałem mu do myślenia.

- Nie musi już snuć domysłów. Teraz wie, jaki to kawał sukinsyna.

- I o wiele więcej. Z tym właśnie musi sobie poradzić.

- Napisałeś scenariusz i wyreżyserowałeś to spotkanie. - Tobias się uśmiechnął. - Masz wątpliwości? - dodał już bez uśmiechu.

- Nie całkiem. Mam tylko jedno z tych swoich cholernych przecuć.

- I co ci ono mówi?

- Wysyła sprzeczne informacje.

- Jak to „sprzeczne”?

- Tak to, iż mówi mi, że powinienem być zabrać jeden z eksponatów z tej twojej kolekcji broni. Pewnie nie będę go potrzebować. Mimo wszystko...

- Mam ze sobą gnata. A poza tym - puknął w szybkę zegarka - jest dopiero druga. Mogę poprosić Eda Parente'a o przysłanie nam kilku swoich chłopców. Za bardzo lubię Mike'a, żeby pozwolić, by mu coś się stało.

- Nie, Alex. Mike'owi Carsonowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Dieriabin nie nastaje na życie ludzi, których może w jakiś sposób wykorzystać. On się pozbywa tylko tych, którzy mogą

go zdemaskować. - Oxby postukał się w pierś. - Jak ja.

- Już czas - burknął Dieriabin. - Gdzież ta Galina? - Nic nie uspokoiłoby go tak, jak nagle pojawienie się ulubionej zabójczym. Otworzył drzwi i wypadł na korytarz. Podszedł do windy, by po chwili powrócić do apartamentu, klnąc po rosyjsku jak szewc.

- Gdzie ona jest, pierdolony Estończyku?

-Nie wiń mnie, że nie potrafisz jej kontrolować! - wydarł się na niego Trivimi. - Poszła coś zjeść.

-Płacę jej, żeby robiła swoje. Płacę, aby mieć pewność, że to robi.

- Nie potrzebujesz jej, żeby poszła z tobą oglądać piętnaście samochodów i podpisać kontrakt. Niby to jest jej praca?

- Skopiuj instrukcje i połóż w widocznym miejscu. Napisz jej, żeby użyła taksówki czy czegoś.

Trivimi spokojnie zabrał się do sprawdzania papierów, które miał w aktówce. Wreszcie wepchnął ją pod pachę i podszedł do drzwi.

- Nie muszę zostawiać Galinie wiadomości - powiedział, wycho-
dząc. - Wie, gdzie nas znaleźć.

Mike zostawił za sobą Brighton Beach i wszystkie związane z dzielnicą wspomnienia. Jechał teraz w deszczu do New Jersey, przez mosty Verrazano i Goethals. Złapał w radiu prognozę pogody. Deszcz miał ustać przed godzinami szczytu, ale kierowcom doradzano zachowanie szczególnej ostrożności. Niżej położone obszary mogły zostać zalane. Spiker obwieścił, że minęła trzecia dziewiętnaście. Mike był na autostradzie Turnpike, na południe od portu lotniczego Newark. Wybierze zjazd prowadzący na lotnisko. Od rogatki ma pięć minut drogi do bramy Doremus Avenue. Za bramą rozciągało się już pole. Umówił się z Oxby i Tobiasem za kwadrans czwarta. Ruch gęstniał. Jechało się coraz wolniej. Doszedł do wniosku, że ledwo zdąży na czas.

Tobias skręcił w Doremus Avenue. Kilkaset metrów dalej było ogro-
. dzenie z bramą i budką strażniczą. Zaparkował obok rocznego jeepa cherokee z tablicami rejestracyjnymi z Ohio. Kierowca, nastoletni rudzielec ze złotym kolczykiem, w koszulce z logo Budweisera z

przodu i z tyłu, próbował zdjąć motocykl marki Harley-Davidson z przyczepki, nim przemoknie do suchej nitki. Deszcz przybrał na sile. Wiatr też się wzmaczał. Z budki wyłonił się ubrany w pomarańczową pelerynę strażnik, otworzył drzwi jeepa i wrzucił przepustkę i kopertę na półkę nad deską rozdzielczą. Potem zniknął w swoim schronieniu.

Przybyły dwa kolejne samochody. Jeden zaparkował w odległości trzech metrów od auta Tobiasa, drugi tuż obok jeepa. Kierowcy - jeden krocząc z parasolem, drugi biegiem - udali się do budki strażnika.

W kilka minut później ten z parasolem wsiadł do samochodu i odjechał. Drugi, wróciwszy do swego pojazdu, czekał na przepustkę.

Młodzieniec z jeepa podprowadził motocykl pod budkę i postawił na podpórce. Następnie wsiadł do terenówki, przejechał przez bramę, zaparkował przed niskim drewnianym budynkiem i zniknął wewnątrz. Znajdował się tam ostatni punkt kontrolny po drodze na pole. Sprawdzano dokumenty, łącznie z potwierdzeniem uiszczenia opłat transportowych. Kiedy kierowca otrzyma pozwolenie na wjazd, otworzą drugą bramę i wpuszczą go na pole, gdzie zaparkuje pojazd na przydzielonym mu miejscu. Potem wróci do motocykla i ruszy w drogę powrotną do Ohio - choć zważywszy na pogodę, może zechcieć przeczekać deszcz.

Tobias objaśnił procedurę jak zwykle ciekawskiemu Oxby'emu. Kiedy stracili z oczu jeepa cherokee, zatrzymał się obok nich wóz Mike'a Carsona.

- Zaczekajcie tutaj - polecił Mike. - Pójdę po nasze przepustki.

Zabrało mu to kilka minut. Kiedy wrócił, zajął miejsce na tylnym siedzeniu samochodu Tobiasa. Podał mu przepustkę.

- Mam też jedną dla Dieriabina. - Spojrzał wprost na Oxby'ego. - Kto na niego zaczeka? Ja nie.

- Alex - odparł inspektor. - Obaj znamy Trivimiego Laara, ale ja mogę na niego podzielać jak płachta na byka. Myślę, że powinniśmy razem zaczekać na Dieriabina.

- Powiedz, żeby pojechali za tobą i za bramą zaparkowali obok budynku numer 1 - poradził Mike. - Wejdźcie do środka i pytajcie o Sama Salzano. Wie, że przyjdziecie. Nie może wam pozwolić wjechać na pole, ale wpuści was przez wejście z tyłu budynku - tłumaczył, pokazując palcem. - Sam wskaże, gdzie zaparkowano samochody, które zamówił Dieriabin. To jakieś trzysta metrów

spacerkiem.

Oxby wsiadł do samochodu Mike'a. Przejechali przez bramę, zaparkowali i zniknęli wewnątrz budynku. Mike nie był bywalcem pola, jednak znał Sama Salzano. Ucieli sobie krótką pogawędkę. Potem Mike skinął na Oxby'ego i wyszli tylnymi drzwiami. Przed nimi za bramą rozciągało się pole. Deszcz przeszedł w mżawkę. Wciąż było parno i duszno.

Oxby z zapartym tchem, dokładnie tak, jak przypuszczał Mike, podziwiał widok niekończących się rzędów aut.

- Tam przed nami - wskazał Mike. - Samochody z czerwonymi wstęgami na tylnych szybach. To nasze.

Tobias rozpoznał samochód, którym przyjechali Dieriabin z Trivimim, już z odległości dziewięćdziesięciu metrów. To ten sam, którym dwa dni wcześniej jechała blond piękność. Ale tym razem blondynka nie siedziała za kółkiem. Pięć po czwartej. Trivimi szybko się uwinął.

Tobias wysiadł z wozu i podszedł do drugiego samochodu od strony kierowcy. Nachylił się nad okienkiem, by po raz pierwszy zerknąć na Olega Dieriabina. Ten skłonił tylko w milczeniu głowę.

- Witam - pozdrowił Tobias Trivimiego, nie podając mu ręki. - Niezły czas.

- O tak - przyznał Trivimi. - Ale czy to nie dziwne miejsce na spotkanie?

- Nie, jeśli siedzi się w biznesie samochodowym. Czy to nie z tego powodu znaleźliście się w Nowym Jorku?

- Ale co pan tu robi? - Trivimi spojrzał nieufnie. - Teraz pan też jest w tym biznesie?

- Mam do czynienia z wieloma biznesami - odparł Tobias. - Taka praca.

- Nie rozumiem. - Trivimi nie krył zdziwienia.

- Taki tam policyjny humor - uciął Tobias. - Proszę zaparkować przy tym budynku. Tam się z wami spotkam.

Deszcz ustał. Ze względu na upał, Tobias musiał zdjąć ortalionową kurtkę. Przewiesił ją przez prawe ramię, zakrywając kolbę gnata wystającą z kabury na biodrze. Był to dwudziestoletni pistolet Smith & Wes-son, którym detektyw posługiwał się z wprawą rewolwerowca.

Trivimi i Dieriabin stanęli przy samochodzie.

- Pan Dieriabin? - zapytał Tobias.

Mężczyzna skinął tylko głową.

- Oleg, to detektyw Tobias - odezwał się zamiast niego Trivimi.

Na tym skończyły się uprzejmości.

Weszli po schodach do budynku. Czekał już na nich Sam Salzano i poinstruował ich, jak dotrzeć na pole.

- Właśnie przypląnął statek - wyjaśnił. - Nie sposób go przegapić. Idźcie w jego kierunku, a spotkacie pozostałych.

Poszli. Tobias na przodzie. Czterysta metrów dalej, po przeciwległej stronie pola, zacumował „Atlantic Companion”, jeden z największych frachtowców samochodowych zawijających do Port Newark.

Na wprost Tobiasa stali Oxby i Mike Carson.

- Gotów? - spytał Oxby.

Mike skinął głową.

- Oby on był gotów.

Zasnętą mgiełką słońce znów rozgrzewało schłodzony deszczem asfalt. Tobias zwolnił i odsunął się na bok. Dieriabin wyszedł na czoło. Czterdzieści metrów. Mike widział już jego twarz, różową skórę i przerzedzone włosy. Dwadzieścia metrów. Teraz dojrzał czerwone pęgi na policzku. Z każdym krokiem widać było coraz więcej cech szczególnych. Kiedy zbliżył się na mniej więcej pięć metrów, Mike ujrzał dziwny uśmiech, który od razu wydał mu się zarazem przymiłny i pogardliwy. Dieriabin wyciągnął rękę na powitanie.

- Michaił - zabasował. - Jestem Oleg Dieriabin.

Mike zignorował gest.

- Wiem, kim pan jest - odparł. - Te samochody - tu wskazał palcem - zamówiła pana firma. Zapłacono nam zaliczkę w wysokości siedemdziesięciu tysięcy dolarów.

- Zgadza się - odrzekł Dieriabin. - Resztę dostaniecie, nim załadują je na jeden z tych statków.

Tobias przysunął się do Oxby'ego. Ten zajął pozycję trzy metry od Mike'a. Trivimi stał obok Dieriabina. Tylko Mike stał z nim twarzą w twarz. Cała piątka ustawiła się w trójkąt, otoczony cadillacami, oldsmobilami i pontiacami z jednej strony, a limuzyną i parą hummerów z drugiej. Stał tu też jeep cherokee dostarczony przez rudzielca, który na swym motocyklu pomykał już z powrotem do Ohio.

- Nigdzie się nie wybierają- oświadczył twardo Mike.

- Jest jakiś problem z samochodami? - Dieriabin nie zrozumiał.
- Poznał pan inspektora Oxby'ego? - spytał Mike, gestem wskazując policjanta.

- A co to ma wspólnego z naszym interesem? - rzucił butnie Rosjanin.

- Z naszym interesem? - powtórzył Mike. - Nic. Za to z moją rodziną. ..

- Naopowiadał ci kłamstw, Michaił.

-Nie ma w tym kłamstw, Dieriabin. A ja nazywam się Mike. Dowiedziałem się wszystkiego, co chciał mi powiedzieć Sasza Akimow, nim zabito go na twoje zlecenie. I tego, co mówił mój ojciec, który zdążył przed śmiercią odkryć prawdę. Jego też zabiłeś.

- Nie możesz wierzyć we wszystkie te bzdury. Słyszysz? Okłamali cię! - wrzasnął Dieriabin.

Wtem uchyliły się tylne drzwi cherokee. Wyszła z nich Galina. Zrobiła krok w ich kierunku, z semmerlingiem w dłoni.

- Galina - powiedział ze zdumieniem Dieriabin, wskazując ręką jeepa. - Cieszę się, że cię widzę, ale jak...

- Płacą mi za to, że wiem, jak - przerwała mu bezceremonialnie.

Oxby i Tobias zwrócili się w jej kierunku, ostrożnie sięgając po broń. Mike zamarł. Trivimi uniósł dłoń, jakby chcąc powstrzymać Galinę.

- Zejdź mi z drogi, Estończyku - warknęła.

- Odłóż broń - odezwał się Dieriabin.

Kobieta spojrzała na niego wyzywająco. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale szybciej nacisnęła spust i pocisk precyzyjnie trafił w udo Dieriabina, zaledwie kilka centymetrów od krocza.

- Suka! - wrzasnął, padając na kolana. - W niego celuj - wskazał Oxby'ego. - To on zabił twójego Wiktora.

- Zawsze zwalasz na kogoś innego. Ale koniec z tym. To ty. Ty zabiłeś Wiktora!

-Nie rób tego, Galino! - krzyknął Oxby. - Kolejne zabójstwo nic nie rozwiąże.

-Nie próbuj mnie powstrzymać - ostrzegła, machając pistoletem.

Odwróciła się do swego szefa i wpakowała kulę w drugą nogę. Męczyzna rozpląszczył się na brzuchu, wijąc się z bólu na gorącym, mokrym asfalcie.

-Skurwysyn! - wykrzyknęła, przymierzając się do kolejnego strzału.

Dieriabin przetoczył się i uniósł z pistoletem w dłoni. Puścił serię, opróżniając magazynek.

Galina w odpowiedzi strzeliła dwukrotnie. Trafiła Dieriabina w klatkę piersiową, ale nie zabiła. Tylko jeden z siedmiu strzałów Dieriabina był celny, jednak to wystarczyło. Kula trafiła Galinę w prawą skroń. Wielkokalibrowa trzydziestkaósemka zmieniła jej przesliczną twarz w potworną krwawą miazgę z kości, mięsa i jedwabistych blond włosów.

ROZDZIAŁ 45

Dlaczego?! Słowo zawisło w powietrzu na jakieś pół minuty. Wreszcie milczenie przerwał Oxby.

- Nie znam odpowiedzi na to pytanie, ale klnę się, że w końcu ją znajdę.

Siedział obok Mike'a Carsona. Naprzeciw nich zasiadał Kip Forbes. Ścianę za jego plecami zdobił ogromny obraz. Inspektor rozpoznał wspaniały portret cesarzowej Eugonii, żony Napoleona III, otoczonej przez damy dworu. Przyległą ścianę zajmowała biblioteczka wypełniona po brzegi muzealnymi katalogami, biografiami i opracowaniami o życiu i pracy Petera Carla Fabergégo. Oxby fachowym okiem ocenił biuro Kipa, dochodząc do wniosku, że pomieszczenie z wszystkimi tymi obrazami, rzeźbami i antycznymi meblami przynależy raczej do Luwru, a nie do jednego z największych amerykańskich domów wydawniczych.

- Aż do wczoraj nie wiedziałem, jak wyglądali - ciągnął Oxby.
- Mój rzekomy ochroniarz podał mi tylko kilka ogólnych informacji o Galinie, w tym tę, że wraz z mężem, Wiktorem Łysenką, byli egzekutorami Olega Dieriabina.

Kip wpatrywał się w detektywa rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

- To czemu, na Boga, chciała go zabić?

-Na to właśnie nie mam odpowiedzi. Może zresztą chodzi tylko o to, że Dieriabin był wrednym łobuzem, który w pełni zasługiwał na każdą kulkę, którą mu wpakowała. Wszystkiego, co wiem o Dieriabinie, dowiedziałem się z jego akt w archiwum marynarki i z piętnastominutowego spotkania z Trivimim Laarem. To *pakan*, boss gangu. Jedną z firm, których był właścicielem, to przedsiębiorstwo transportowe. Planował rozszerzenie jego działalności, tworząc sieć salonów samochodowych. Utrzymywał, że zamierza sprzedawać amerykańskie wozy. Z tych droższych. Między innymi dlatego przyjechał do Nowego Jorku. Chciał zawrzeć układ z Mikiem.

- Kupno i sprzedaż amerykańskich samochodów to nie zbrodnia - zaproponował Kip.

- Nie, ale Dieriabin zamierzał eksportować je na Cypr; trafiłyby w ręce handlarza bronią z klientelą na całym Bliskim Wschodzie. We wnętrzu każdego z nich znajdowałaby się zabójcza ilość biotoksyn.

Kip gwizdnął z podziwem

- To oznacza dużą kasę.

-Ale ryzykowną. Dieriabin produkował truciznę w innej należącej do niego firmie, takiej z laboratorium chemicznym do podrabiania drogich perfum. Ot takie nieszkodliwe oszustwo. Jednak z produkcji perfum przetrucili się na *Clostridium botulinum*. Jedna kropla może zabić tuzin ludzi.

- To wciąż nie wyjaśnia, czemu do siebie strzelali - wtrącił Kip.

- Fakt, kiedy Galina wyskoczyła z tego jeeпа, spodziewałem się, że mnie zastrzeli.

- Przecież mówiłeś, że nigdy jej nie widziałeś. Czemu miałybyście cię zlikwidować?

- Wiedziała, że zabiłem jej męża.

- Chwilka! Wolniej proszę - zaprotestował zaskoczony Kip. - Zabiłeś męża Galiny?

- Nie miałem wyboru.

- Na Boga! Dlaczego?

- Ty już znasz ową historię, Mike. Nie masz nic przeciw temu, żebym opowiedział raz jeszcze?

- Ależ skąd.

Oxby zrelacjonował wydarzenia ponownie, dzieląc się wspomnieniami o swym przyjacielu Jakowie, o Pulii, o Taszkencie... wreszcie o ojcu Mike'a, Wasylu Karsalowie. A także o

Ermitażu, zepsutej ma-trioszce i o tym, jak stara łąda, do której miał wiaść, eksplodowała. Kip Forbes słuchał z ciekawością, nie spuszczać wzroku z detektywa.

Także Mike słuchał uważnie.

- Nie przyszło mi to do głowy tamtego wieczoru... Chcesz powie dzieć, że to Galina przyszła do mnie do biura i postrzeliła Saszę Akimowa?

-Ano właśnie! Była również pielęgniarką, która wykończyła Saszę pentobarbitaliem sodu. Oraz kobietą, która zraniła dotkliwie tego pisarza.

-Lenny'ego Sulzbergera. Będzie wściekły, że sam nie może się zemścić.

- No właśnie. To o zemstę w tym wszystkim chodzi - zawyrokował Oxby.-No i to...

Sięgnął do reklamówki, którą postawił na podłodze obok swojego krzesła.

Gdy Kip zobaczył, jak Oxby wyjmuje charakterystyczną jasnobrązową kasetkę, aż pochylił się do przodu.

-Niesamowite - powiedział. Niecierpliwie oczekiwał chwili, w której dane mu będzie zobaczyć najsłynniejszą chyba ze wszystkich pisanek Fabergégo. - Jak to zdobyłeś?

- Po tym, jak wsadziliśmy Dieriabina do karetki, pozwoliliśmy, żeby Trivimi rozważył nowe okoliczności w areszcie tymczasowym na nowo jorskim posterunku. Powiedzieliśmy mu, że jeśli nie będzie współpracować, to zostanie oskarżony o współudział w morderstwie Saszy Akimowa i przyczynienie się do śmierci Galiny Łysenko. Opowiedział nam, że Dieriabin przywiózł jajko do Nowego Jorku, chcąc na nie znaleźć kupca. Nawiasem mówiąc, byłś na liście kandydatów. Odpowiedziałem mu, że jajko należy do rodziny Mike'a Carsona i że zyskałby, gdyby wskazał, gdzie je ukrył Dieriabin. Tak też zrobił. Oto najślawniejsza pisanka. - Oxby położył jajko przed Mikiem. -Należy do ciebie.

Mike przez chwilę mu się przyglądał, zanim nieśmiało wyciągnął rękę. Podniósł jajko ze złotej podstawki w kształcie dłoni. Dotknął jednego z diamentów.

- Przepiękne - powiedział jakby do siebie. Zerknął na Oxby'ego. -Ale nie mogę go przyjąć.

- Dobrze się zastanów, Mike. Mówiłem ci, że twój ojciec zapłacił najwyższą cenę za morderstwo, które popełnił Dieriabin. Jeśli

odmówisz przyjęcia jajka, czy oznacza to, że chcesz je oddać zabójcy?

Pokręcił głową.

- Do diabła, sam nie wiem, czego chcę.

- Mam propozycję - wtrącił się Kip. - Założmy, że nie oddasz jajka Dieriabinowi, ale też nie weźmiesz go dla siebie. Założmy ponadto, że zbada je i wyceni trzech ekspertów. Zapłacę ci taką sumę, powiększoną o pięć procent. Pieniądze zostaną zdeponowane na wyznaczonym przez siebie koncie. Mogą następnie zostać przekazane twojej rodzinie, na cele dobroczynne czy na co tylko sobie zażyczysz.

- To uczciwy układ - stwierdził inspektor. - Jakie jest twoje zdanie, Mike?

Mike tulił jajko w dłoniach.

- Ilu ludzi przez to zginęło? - spytał, patrząc Oxby'emu prosto w oczy.

- Naliczyłem sześciu, choć podejrzewam, że było ich więcej.

Kip Forbes dobrze się znał na sztuce dekoracyjnej uprawianej w warsztatach Petera Carla Fabergégo. Siedząc za biurkiem, dokładnie oglądał pisanek - każdy zdobiący ją klejnot, koszyczek z kwiatków z maleńkich szlachetnych kamieni i wspaniale emaliowaną błękitną skorupkę. Skopiował oznaczenia wygrawerowane na spodzie jajka i wryte na opasującej je srebrnej wstążce.

Oxby tymczasem podziwiał jego biuro, zachwycając się niezwykłą kolekcją obrazów, popiersi i figurynek ze staffordzkiej ceramiki, z których wszystkie przedstawiały Napoleona III lub członków jego rodziny. Meble w stylu empire i biedermeier pochodziły z tej samej epoki. Naprzeciw obrazu przedstawiającego cesarzową Eugenię wisiał naturalnych rozmiarów portret Napoleona III. Inspektor stanął przed nim.

- Widzę, że jesteś fanem Ludwika Napoleona. Dlaczego?

Kip odpowiedział uśmiechem.

- Dawno temu odkryłem, że pocziwy Ludwik nie jest traktowany z należnym mu szacunkiem, zacząłem więc gromadzić poświęconą mu kolekcję. Podoba ci się?

- I owszem. - Odwrócił się ku portretowi cesarzowej w otoczeniu dworek. - Zwłaszcza Eugenia.

- Też ją lubię - przyznał Kip i znów skoncentrował się na carskiej pisanke.

- Zatem co o tym myślisz? - zagadnął Oxby.

- Że to autentyczny Fabergé, z 1916, ostatniego roku, w którym wykonał carską pisankę. Przypuszczam, że kiedy to cacko zostanie już skatalogowane, stanie się znane pod nazwą Ostatni Fabergé. Mistrzowie z warsztatu oznaczali niektóre wyroby w szczególny sposób. O tak... - Zaprezentował Oxby'emu skopiowane oznaczenia. - Te żłobienia pełniły funkcję kodu. Kopiowano je potem do rejestru Fabergégo. Jedno z nich mogłoby potwierdzić, czy wykonanie pisanki zlecił Rasputin.

- A gdzie ten rejestr? - zagadnął Oxby.

- Przykro mi, nic z tego. - Kip się zaśmiał. - Zaginał, gdy komuniści zamknęli warsztaty Fabergégo w 1918.

- Jest coś jeszcze godnego uwagi?

- Jeśli masz na myśli skrytkę, to pewien jestem tylko, że takowa istnieje.

- Będę w Sankt Petersburgu w drugim tygodniu września - oznajmił Oxby. - Jakow zapewnia, że zapowiadają piękną pogodę. Może wy też się wybieriecie?

Mike siedział do tej pory cicho, przysłuchując się tylko, ale teraz zareagował z entuzjazmem.

- Ja z pewnością!

- A ty, Kip? - chciał wiedzieć Oxby.

- Mam straszliwie napięty harmonogram, ale zrobię, co w mojej mocy. Gdyby się udało, jak się z tobą skontaktować?

Inspektor przerzucił kartki notatnika w poszukiwaniu wizytówki. Naraz wypadła pomiędzy nich karteczka z tajemniczymi cyframi. Podniósł ją i położył przed Kipem.

• Skopiowałem te cyfry z notatki, którą znaleziono w majątku tej staruszki z Schaffhausen. Tłumaczenie nie wyjaśnia, co znaczą. Masz jakiś pomysł?

Kip Forbes wpatrywał się w skrawek papieru.

- Dwa-jedenaste-dziewięć - odczytał na głos, powoli kręcąc głową. - Nic mi to nie mówi. Jak na razie.

- Miej je na uwadze - poradził Oxby ze znaczącym uśmiechem.

- Mam przecucie, że mogą znaczyć coś ważnego.

Kiedy dotarli do holu Forbes Building, Mike zagadnął Oxby'ego:

- Jestem ci coś winien za to wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

Problem w tym, że...

- Nic mi nie jesteś winien - przerwał mu detektyw. - Zapłacono mi z nawiązką wspomnieniami i nowymi przyjaźniami.

- Tylko że gdyby nie ty, Dieriabin wciąż miałby jajko.

- A gdybym się nie wmieszał, twój ojciec wciąż mógłby żyć.

Mike chwycił Oxby'ego za ramię.

- Nie możesz się za to winić. Z tego, co wiem, mój ojciec był już za życia martwy, tyle że o tym nie wiedział.

Oxby uśmiechnął się na ten oksymoron.

- Bardzo chcę, żeby Jakow znalazł twoją matkę.

-Nie bardziej niż ja.

- Pokażę ci Sankt Petersburg - oznajmił bez mrugnięcia okiem Oxby. - Już się tam zadomowiłem.

- Dobra, zatrudniam cię jako przewodnika. - Ucisnęli dłonie, pieczętując początek przyjaźni.

- Mogę cię gdzieś podrzucić? - spytał Mike.

- Dzięki, ale chcę jeszcze obejrzeć kolekcję, którą zgromadził Kip. Zadzwoń przed wyjazdem.

Zapadło niezręczne milczenie.

- No to *see you* - rzucił w końcu Mike, niczym rasowy Amerykanin.

Oxby obserwował oddalającą się postać, aż zniknęła mu z oczu. Potem przeszedł przez hol, kierując się do galerii Fabergégo. Zatrzymał się przed pierwszą gablotką, gdy zza pleców dobiegł go znajomy głos.

- Jak poszło?

Oxby odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz z Alekssem Tobiasem.

- Ty przebiegły lisie! - wykrzyknął. - Poszło świetnie, ale chciałem, żebyś był tam ze mną.

- Nie mogłem. Nianczyłem dwóch Rosjan.

- Poprawka. Jednego Rosjanina i jednego Estończyka.

- Dla mnie to jedno.

- Jak tam Dieriabin?

- Lepiej niż na to zasługuje. Próbował uzyskać pomoc rosyjskiego konsulatu, lecz nie byli zainteresowani.

- A Trivimi?

- Pracuje nad nim prokurator, ale nie mogą go trzymać dłużej niż parę dni.

- Może Lenny Sulzberger chce przeprowadzić wywiad z Dieriabim?

- A niby czemu miałby chcieć?

- Bo to świetna historia. Jest spora szansa, że sprawa znajdzie ciąg dalszy w Sankt Petersburgu. Może się nią zainteresować biuro prokuratora, a wtedy Dieriabin będzie się miał z czego tłumaczyć.

- Lenny na pewno rzuci się na taki kasek.

- No to mnie z nim umów. Tylko jego nie miałem jeszcze sposobności poznać.

-Umówię - zapewnił Tobias. Potem wyjął z kieszeni wycinek z gazety. - Miałem ci o tym powiedzieć. Zainteresowany?

Notatka traktowała o aukcji dzieł sztuki, która miała się odbyć tego wieczoru w Sotheby.

- Chcesz się przejść?

- To sztuka nowoczesna - marudził Oxby.

- Będzie trochę niezłych rzeczy. Motherwell. Calder. Andy Warhol.

- Pewnie niezły tłumek się zbierze.

- Mnóstwo dzianych młodziaków.

- Zobaczyłbym Warhola. Coś ciekawego?

- Choćby *Pomarańczowa Marilyn* - odparł Tobias. - Znasz?

- O tak! - rozpromienił się Oxby. - Jak to wy, Amerykanie, mówicie, niezła sztuka!

OD AUTORA

Fabula książki jest fikcją literacką, a bohaterowie wydarzeń zostali stworzeni na jej potrzeby, z wyjątkiem postaci historycznych, które zainspirowały tę opowieść. Peter Carl Fabergé był genialnym złotnikiem i jubilerem, zaś owiany legendą Grigorij Rasputin ~ wpływową figurą na dworze Mikołaja II. Jaką rzeczywiście odgrywał rolę w ostatnich latach caratu w Rosji i jak wyglądały jego relacje z carycą Aleksandrą, tego wciąż jeszcze dociekają badacze tamtej epoki.

PODZIĘKOWANIA

Christopherowi Forbesowi składam szczególne podziękowania - nie tylko za wspaniałomyślne podzielenie się wiedzą o Fahergém i niezwykłych carskich pisankach, ale także za to, że pozwolił mi uczynić się jedną z kluczowych postaci tej historii. Pozdrawiam Margaret Kelly Trombly i Robyn Tromeur z „Forbes Magazine Collection” za ich nieocenioną pomoc. Gerard Hill z Sotheby również podzielił się ze mną swą szeroką wiedzą o Fahergém oraz innych rosyjskich dziełach sztuki.

Wraz z moją żoną Barbarą odwiedziliśmy dom Josepha i Mariny Wolfsonów w Moskwie oraz Nelly i Wiktora Obuchowów w Sankt Petersburgu. Zgotowano nam gorące przyjęcie. Mielśmy okazję naocznie przekonać się o trudnościach, które napotykają Rosjanie na swojej drodze do kapitalizmu.

Jane Lombard dostarczyła mi dodatkowych informacji na temat współczesnej Rosji, a Larysa Łyśniak okazała się niezastąpionym ekspertem w doborze rosyjskich fraz. Larysie winien jestem szczególne spasiba.

Mieszkającym w Sankt Petersburgu Ninie i Leonidowi Bazylewiczom dziękuję za przeczytanie rękopisu i podzielenie się swoją gruntowną wiedzą na temat kultury i tradycji ich kraju. Miałem również przyjemność spędzić czas z Juną Zek w Muzeum Narodowym Ermitażu.

Carl i Ann Klemme byli dla mnie oczami i uszami w uzbeckim Taszkencie.

Dickowi Welchowi należą się podziękowania za podzielenie się swą ogromną wiedzą z zakresu broni palnej, zaś Johnowi D 'Andrei za równie cenne informacje na temat noży.

Jak zawsze hojnie dzielili się ze mną swym czasem spędzonym na studiowaniu zasobów bibliotecznych Barbara Simmonds i Barry Devlin.

Agent specjalny FBI Raymond Kerr oraz agent specjalny Joseph Valiquette dostarczyli mi szczegółowych informacji na temat rosyjskiej przestępczości w stanie Nowy Jork.

Jestem wdzięczny Stuartowi Stearnsowi za rzetelny wykład na temat niebezpiecznych substancji pochodzenia biologicznego i przyczyn ograniczania dostępu do śmiertelnych toksyn. Oraz Jimowi Coyne, za jego przenikliwość w zakresie medycyny.

Dziękuję Johnowi Rozemie, Samowi Salzano, Robertowi Forsythowi i Brianowi Maherowi za pomoc w zrozumieniu tajemnic otaczających przygotowania i transport amerykańskich samochodów do zagranicznych portów. Moje podziękowania należą się również oficerowi Patowi Caputo, za ukazanie mi kilku sposobów, którymi posługuje się amerykańska służba celna, uniemożliwiając opuszczenie portu skradzionym pojazdom.

Jak zawsze dziękuję Pete 'owi Woodowi za poświęcenie i niezachwianą lojalność. Pozostaje moim ulubionym czytelnikiem i bezkompromisowym krytykiem.